



# MOJE ŻYCIE OBOK

Huntley Fitzpatrick



# MOJE ŻYCIE OBOK

Huntley Fitzpatrick

Przełożyła  
Katarzyna Krawczyk

**ZYSK I S-KA**  
WYDAWNICTWO

Fitzpatrick Huntley  
Moje życie obok

ISBN: 978-83-65521-32-3

TYTUŁ ORYGINAŁU: My Life Next Door

PRZEKŁAD: Katarzyna Krawczyk

Copyright © 2012 by Huntley Fitzpatrick

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.

This edition published by arrangement with Dial Books for Young Readers, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2016

Redakcja: Magdalena Wójcik

Cover photo: Max Wanger

Cover design: Theresa M. Evangelista

Wydanie I

**Zysk i S-ka Wydawnictwo**

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67, faks 61 852 63 26

Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90

[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl) [www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

*Oczywiście dla Colette Corry.  
Słowo „przyjaciółka” nigdy nie odda wszystkiego.*

## Rozdział pierwszy

Garrettowie od początku byli zakazani.

Ale nie dlatego się liczyli.

Dziesięć lat temu stałyśmy na podwórku, kiedy podniszczony samochód zatrzymał się przed parterowym domem krytym dachówką. Stał tuż za furgonetką z meblami.

— No nie — westchnęła mama, a ręce opadły jej po bokach. — Miałam nadzieję, że uda się tego uniknąć.

— Czyli czego? — zawołała moja starsza siostra z podjazdu przed domem. Miała osiem lat i już zajmowała się pracą zadaną przez mamę na ten dzień, czyli sadzeniem cebulek żonkili przed oknami. Podeszła szybko do furtki oddzielającej nasz dom od posesji obok, po czym wspięła się na palce, żeby zerknąć na sąsiadów. Przysunęłam twarz do szczeliny w deskach, przyglądając się ze zdziwieniem rodzicom i piątce dzieci, które wyroiły się z samochodu, jak w sztuczce klauna z cyrku.

— Właśnie tego. — Mama wskazała szpadlem samochody, drugą dłonią wiążąc srebrnoblond włosy w kok. — Na każdej ulicy musi się taka trafić. Rodzina, która nigdy nie kosi trawników, rozrzuca wszędzie zabawki, nigdy nie sadi kwiatów, a jeśli już to robi, to nie podlewa ich i zostawia, żeby uschły. Bałaganiarze, którzy obniżają wartość nieruchomości wokół. No i mamy. Tuż obok nas. Samantho, źle sadzisz tę cebulkę.

Obróciłam cebulkę, uklękłam w piasku, żeby bardziej zbliżyć się do ogrodzenia, nie spuszczać wzroku z mężczyzny, który wyjmował z fotelika dziecko, podczas gdy na plecy wspinał mu się kędzierzawy kilkulatek.

— Wydają się sympatyczni — uznałam.

Pamiętam, że zapadła cisza. Uniosłam wzrok na mamę.

Kręciła głową z dziwnym wyrazem twarzy.

— Samantho, tu nie chodzi o bycie sympatycznym. Masz siedem lat, powinnaś wiedzieć, co jest ważne. Pięcioro dzieci! Dobry Boże! Wypisz wymaluj rodzina twojego ojca. Szaleństwo! — Znów pokręciła głową i uniosła oczy do nieba.

Przysunęłam się do Tracy i paznokciem kciuka zdrapałam odrobinę farby z ogrodzenia. Siostra spojrzała na mnie z tą samą ostrzegawczą miną, jaką przybierała, kiedy oglądała telewizję, a ja podchodziłam do niej z jakimś pytaniem.

— Słodziak z niego — stwierdziła, znów zapuszczając żurawia przez ogrodzenie. Spojrzałam na sąsiadów i zobaczyłam, jak z tylnego siedzenia gramoli się starszy chłopak z rękawicą baseballową w ręce, po czym sięga z powrotem i wywleka pudło ze sprzętem sportowym.

Nawet wtedy Tracy lubiła się stawiać, zapominając, z jakim trudem mama nas wychowywała.

Tata zostawił ją bez pożegnania z rocznym dzieckiem, drugim w drodze, zniszczonymi złudzeniami i, na szczęście, funduszem powierniczym po rodzicach.

Z czasem nasi sąsiedzi, Garrettowie, okazali się dokładnie tacy, jak przewidywała mama. Trawnik kosili sporadycznie, jeśli nie rzadziej. Lampki świąteczne wisały u nich do Wielkanocy. Ogródek za domem zamienił się u nich w gratowisko z basenem, trampoliną, huśtawką i drabinką. Czasami pani Garrett próbowała posadzić jakieś sezonowe rośliny — we wrześniu chryzantemy, w czerwcu niecierpki, ale wkrótce porzucała je na pastwę suszy i pewną śmierć, żeby zająć się czymś ważniejszym, na przykład pięciorgiem swoich dzieci. Z czasem ich liczba wzrosła do ośmiorga. Rodzili się mniej więcej co trzy lata.

— Moja strefa zagrożenia — podsłuchałam raz panią Garrett mówiącą do pani Mason, która skomentowała jej rosnący brzuch — to dwadzieścia dwa miesiące. Wtedy nagle już nie są niemowlętami, a ja tak lubię maleństwa.

Pani Mason uniosła brwi i uśmiechnęła się, po czym zacisnęła usta i odwróciła się, kręcąc ze zdziwieniem głową.

Jednak pani Garrett chyba nie zwracała na to uwagi, zadowolona z siebie i ze swojej bałaganiarskiej rodziny. Kiedy kończyłam siedemnaście lat, było ich pięciu chłopców i trzy dziewczyny.

Joel, Alice, Jase, Andy, Duff, Harry, George i Patsy.

W ciągu dziesięciu lat, od kiedy Garrettowie zamieszkali obok, wyglądając przez boczne okna domu, mama prawie zawsze prychała niecierpliwie. Za dużo dzieci na trampolinie. Na trawniku porzucone rowery. Kolejny różowy lub niebieski balonik przywiązany do skrzynki na listy, kiwający się na wietrze. Hałaśliwe mecze baseballa. Muzyka grzmiąca na cały regulator, kiedy Alice opalała się z koleżankami. Starsi chłopcy myjący samochody i przy okazji oblewający się wodą z węzów. A wreszcie pani Garrett karmiąca dziecko piersią na werandzie lub siedząca na kolanach pana Garretta, na oczach wszystkich.

— Nieprzyzwoite — mówiła mama, patrząc.

— Ale zgodne z prawem — zawsze kontrowała Tracy, przyszła prawniczka, odrzucając do tyłu platynowe włosy. Sadowiła się obok mamy, obserwując Garrettów z dużego okna kuchni. — Sąd uznał, że karmienie piersią w dowolnym miejscu jest dozwolone. Własna weranda to akurat właściwe miejsce.

— Ale dlaczego? Po co to robi, skoro jest mleko w proszku i butelki? A skoro już musi, to czemu nie wejdzie do domu?

— Mamo, pilnuje pozostałych dzieci. Przecież to właśnie powinna robić — dodawałam czasami, starając się wesprzeć Tracy.

Mama wzdychała, kręciła głową i szła do skrytki po odkurzacz, jakby to był jej środek uspokajający. Kołysanką mojego dzieciństwa była mama kreśląca odkurzaczem idealnie symetryczne linie na beżowym dywanie w salonie. Linie wydawały się jej bardzo ważne, tak ważne, że potrafiła włączyć urządzenie, kiedy obie z Tracy jadłyśmy śniadanie, potem powoli szła z nim za nami do drzwi, kiedy zakładałyśmy kurtki i plecaki. Potem wracała, zacierając ślady naszych stóp, przy okazji swoje też, dopóki nie wyszłyśmy. Wreszcie starannie odkładała odkurzacz za kolumnę na werandzie, żeby wyciągnąć go wieczorem, po powrocie z pracy.

Jedynie, czego nie wiedziała moja mama, i czemu byłaby przeciwna, to to, że obserwowałam Garrettów. Niemal cały czas.

Od samego początku było jasne, że nie wolno nam się bawić z Garrettami. Po zanieśieniu obowiązkowej lasagne na powitanie nowych sąsiadów mama robiła, co mogła, by okazywać jak najmniejsze zainteresowanie. Na uśmiechy i powitania pani Garrett odpowiadała chłodnym skinieniem głowy. Oferty pani Garrett dotyczące skoszenia trawnika, zagrabienia liści lub odgarnięcia śniegu zbywała oschłym „dziękuję, to już załatwione”.

Wreszcie Garrettowie przestali próbować.

Chociaż mieszkali obok i co rusz któreś z dzieci mijало mnie na rowerze, kiedy podlewałam kwiaty, łatwo było trzymać się na dystans. Ich dzieci chodziły do miejscowych szkół publicznych, natomiast Tracy i ja — do Hodges, jedynej prywatnej szkoły w naszym miasteczku w Connecticut.

Za oknem mojego pokoju rozciąga się niewielka równa połać dachu z balustradą. Nie jest to balkon z prawdziwego zdarzenia, raczej duży parapet. Leży między dwoma oknami ze spadzistymi dachami, osłonięty zarówno od frontu, jak i od tyłu, a wychodzi idealnie na prawą stronę domu Garrettów. Jeszcze przed ich przyjazdem lubiłam siadywać na nim i rozmyślać. Ale potem zaczęłam tam marzyć.

Po wieczornym myciu wychodziłam na dach i zaglądałam przez oświetlone okna. Widziałam panią Garrett myjącą naczynia, jedno z młodszych dzieci siedzące na blacie obok niej. Albo pana Garretta mocującego się ze starszymi chłopcami w salonie. Albo światło zapalone w pokoju, w którym zapewne spało najmłodsze, i sylwetkę pana lub pani Garrett przechadzających się po pokoju

i głaszczących plecy niemowlęcia. Przypominało to oglądanie filmu niemego, tak różnego od mojego życia.

W miarę upływu lat nabierałam śmiałości. Czasami obserwowałam ich w ciągu dnia, przysiadłszy z plecami opartymi o ścianę z oknem, starając się dopasować Garrettów do imion, które słyszałam wołane zza siatkowych drzwi. Było to dość trudne, gdyż wszyscy mieli brązowe włosy, oliwkową skórę i muskularną budowę, jakby stanowili własny typ urody.

Najłatwiej było zidentyfikować Joela — najstarszego i najbardziej wysportowanego. Jego zdjęcia często pojawiały się w miejscowych gazetach w związku z jego sukcesami sportowymi; znałam go w wersji czarno-białej. Alice, następna w kolejności, farbowała włosy na dziwne kolory i nosiła ubrania wywołujące komentarze pani Garrett, więc ją też nauczyłam się rozpoznawać. George i Patsy byli najmłodszy. Środkowa trójka chłopców, Jase, Duff i Harry... nie mogłam ich odróżnić. Byłam niemal pewna, że Jase jest najstarszy z nich, ale czy to ten najwyższy? Duff podobno był ten inteligentny, gdyż błyszczał w konkursach szachowych i ortograficznych, ale nie nosił okularów ani nie wyróżniał się innymi cechami typowego kujona. Harry wciąż pakował się w kłopoty, gdyż często słyszałam refren: „Harry, jak mogłeś?”. Andy zaś, średnia dziewczyna, chyba zawsze gdzieś się gubiła, gdyż jej imię wywoływano najdłużej przy stole albo samochodzie: „Andyyyyy!”.

Z mojej kryjówki wyglądałam na podwórko, próbując znaleźć Andy, domyślić się, co przeskrobał Harry lub dojrzeć najnowsze skandaliczne ubranie Alice. Garrettowie byli dla mnie jak bajka na dobranoc na długo przedtem, zanim sama stałam się częścią tej bajki.



## Rozdział drugi

Podczas pierwszej upalnej czerwcowej nocy jestem w domu sama, próbując cieszyć się spokojem, ale krążę z pokoju do pokoju, nie mogąc znaleźć miejsca.

Tracy wyszła z Flipem, kolejnym już jasnowłosym tenisistą w niekończącym się korowodzie jej chłopaków. Nie mogę dodzwonić się do mojej najlepszej przyjaciółki Nan, bo odkąd w zeszłym tygodniu szkoła się skończyła, a jej chłopak Daniel skończył liceum, jest nim całkowicie pochłonięta. W telewizji nie ma niczego ciekawego, w mieście żadnego miejsca, do którego miałabym ochotę pójść.

Próbowałam posiedzieć na ganku, ale w czasie odpływu wilgotne powietrze jest przytłaczające, przesiąknięte wonią błota niesioną bryzą od rzeki.

Siedzę więc w naszym salonie, chrupiąc lód pozostały z wody sodowej, przeglądając stos magazynów „In Touch” należących do Tracy. Nagle słyszę donośny, ciągły, buczący dźwięk. Ponieważ nie ustaje, rozglądam się zaniepokojona, próbując go zidentyfikować. Suszarka? Czujnik dymu? W końcu zdaję sobie sprawę, że to dzwonek do drzwi, brzęczący bez końca. Spieszę otworzyć, oczekując — niestety — jednego z byłych chłopaków Tracy, który ośmielony zbyt wieloma truskawkowymi daiquiri w klubie przychodzi ją odzyskać.

Zamiast tego widzę matkę, przypartą do dzwonka, z całującym ją namiętnie facetem. Gdy otwieram szeroko drzwi, o mało nie wpadają do środka, po czym on opiera rękę na framudze i po prostu całuje ją dalej. Stoję więc, czując się głupio, z założonymi ramionami, w cienkiej nocnej koszuli falującej nieznacznie w gęstym powietrzu. Zewsząd dookoła dobiegają odgłosy lata. Odległy chłopot wody o brzeg, ryk zbliżającego się ulicą motocykla, szum wiatru w krzewach dereni. Żaden z nich, a na pewno nie moja obecność, nie przeszkadza mojej mamie czy temu facetowi. Nawet strzelający gaźnikiem motocykl wjeżdżający na podjazd Garrettów, zazwyczaj doprowadzający mamę do szaleństwa, w ogóle ich nie rozprasza.

W końcu odrywają się od siebie, żeby nabrać powietrza, a ona odwraca się do mnie z zakłopotanym śmiechem.

— Samantha. A niech to! Wystraszyłaś mnie.

Mówi speszonym, wysokim, dziewczęcym głosem. Nie apodyktycznym tonem „tak ma być”, którego zwykle używa w domu, albo słodkim syropem zmieszonym ze stałą, który przybiera w pracy.

Pięć lat temu mama zajęła się polityką. Tracy i ja początkowo nie brałyśmy tego poważnie — mama rzadko nawet głosowała. Ale pewnego dnia wróciła z wiecu rozemocjonowana i zdecydowała się zostać senatorem. Wystartowała i wygrała, a nasze życie zmieniło się całkowicie.

Byłyśmy z niej dumne. Naprawdę. Zamiast jednak szykować śniadania i przeszukiwać nasze torby

z książkami, aby upewnić się, że odrobiliśmy prace domowe, mama wychodziła o piątej rano i jechała do Hartford, „zanim zacznie się ruch”. Zostawała tam do późna z powodu komisji i sesji nadzwyczajnych. W weekendy nie było mowy o ćwiczeniach gimnastycznych Tracy ani moich zawodach pływackich. Zajmowała się nadchodzącymi głosowaniami, posiedzeniami nadzwyczajnymi albo uczestnictwem w miejscowych wydarzeniach. Tracy próbowała wszelkich sztuczek zbuntowanej nastolatki. Próbowała eksperymentować z lekami i piła alkohol, kradła w sklepach, sypiała ze zbyt wieloma chłopakami. Ja przeczytałam masę książek, przekonałam się do demokratów (mama do republikanów) i spędzałam więcej niż zwykle czasu, obserwując Garrettów.

Tak więc dziś wieczorem stoję tu, oszołomiona tak, że nie mogę się poruszyć, niespodziewanym i przedłużającym się okazywaniem uczuć, aż w końcu mama puszcza faceta. On odwraca się do mnie, a ja łapię z trudem powietrze.

Po tym, jak facet zostawia cię w ciąży i z maluchem, nie trzymasz jego fotki na gzymsie kominka. Posiadamy tylko kilka zdjęć naszego taty i wszystkie stoją w pokoju Tracy. A jednak rozpoznaję go — zaokrąglona szczęka, dołeczki, błyszczące pszenicznoblond włosy i szerokie ramiona. Ten facet ma wszystkie te cechy.

— Tata?

Wyraz twarzy mamy zmienia się z marzycielskiego zaślepienia w kompletny wstrząs, jakbym zakłęła.

Facet odsuwa się od mamy, wyciągając do mnie rękę. Ponieważ wszedł w krąg światła z pokoju, zdaje sobie sprawę, że jest o wiele za młody na mojego ojca.

— Cześć, kochanie. Jestem najnowszym — i najbardziej entuzjastycznym — członkiem kampanii reelekcji twojej mamy.

„Entuzjastycznym? Mało powiedziane”.

Chwyta moją rękę i potrząsa nią, zupełnie bez mojego udziału.

— To jest Clay Tucker — mówi mama nabożnym tonem, którego można używać wobec Vincenta van Gogha albo Abrahama Lincolna. Obraca się i patrzy na mnie z naganą, bez wątplenia za słowo „tata”, lecz szybko dochodzi do siebie. — Clay opracowywał kampanie krajowe. Mam dużo szczęścia, że zgodził się mi pomagać.

„W jakim charakterze?” — zastanawiam się, kiedy mama wicherzy sobie włosy gestem, który nie może być niczym innym niż kokieterią. Mama?

— Cóż, Clay — ciągnie. — Mówiłam ci, że Samantha to duża dziewczyna.

Zamrugałam. Mam pięć stóp i dwa cale. W obcasach. „Duża dziewczyna” to przesada. Po czym pojęłam. Ma na myśli wiek. Jestem stara dla kogoś tak młodego jak ona.

— Clay był niezwykle zaskoczony, gdy się dowiedział, że mam córkę nastolatkę. — Matka

zakłada krnąbrny kosmyk ponownie rozczochranych włosów za ucho. — Mówi, że sama wyglądam jak nastolatka.

Zastanawiam się, czy wspomniała o Tracy, czy też zamierza ukrywać ją przez jakiś czas.

— Jesteś tak piękna, jak twoja matka — mówi do mnie Clay. — Więc teraz w to wierzę.

Ma ten rodzaj południowego akcentu, który przywodzi na myśl roztopione masło na herbatnikach i huśtawkę na ganku.

Clay rozgląda się po salonie.

— Co za niesamowity pokój — mówi. — Po prostu zaprasza, by odprężyć się po ciężkim dniu.

Mama uśmiecha się promiennie. Jest dumna z naszego domu, wciąż odnawia pokoje, ulepszając już doskonale. Clay przechadza się powoli, oglądając gigantyczne pejzaże na białych ścianach, podziwiając beżową kanapę tak miękką, że nie można na niej usiąść, oraz ogromne fotele, wreszcie sadowiąc się na jednym z nich przed kominkiem. Jestem w szoku. Obserwuję wyraz twarzy mamy. Jej randki zawsze kończyły się przy drzwiach. Tak naprawdę, prawie się nie umawiała.

Ale mama nie robi tego, co zwykle, nie rzuca okiem na zegarek i nie mówi: „O mój Boże, spójrz na zegarek”, grzecznie wypychając go za drzwi. Za to znowu śmieje się śmiechem małej dziewczynki, bawiąc się perłowym kolczykiem, i mówi:

— Zaraz zaparzę kawę.

Skręca w kierunku kuchni, ale zanim zdoła uczynić krok, Clay Tucker zbliża się do mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Wydaje mi się — mówi — że jesteś miłą dziewczyną, która zrobi kawę i pozwoli mamie odpocząć.

Płonę na twarzy i mimowolnie robię krok w tył. Faktycznie, zazwyczaj parzę dla mamy herbatę, gdy wraca późno. To jakby rytuał. Ale nikt nigdy nie kazał mi tego robić. W pierwszej chwili mam wrażenie, że musiałam się przesłyszeć. Poznałam tego faceta jakieś dwie sekundy temu. Inna część mnie natychmiast czuje smutek, jak w szkole, gdy zapomnę odrobić dodatkową pracę z matematyki, albo w domu, gdy wrzucam do szuflady swoje niezłożone, świeżo wyprane ubrania. Stoję, szukając słów odpowiedzi i czuję pustkę. W końcu kiwam głową, odwracam się i idę do kuchni.

Gdy odmierzam kawę, słyszę szmery i cichy śmiech dochodzące z salonu. Kim jest ten facet?

Czy Tracy go poznała? Raczej nie, skoro to ja jestem dużą dziewczyną. A poza tym, od kiedy w zeszłym tygodniu dostali świadectwa ukończenia liceum, Tracy kibicuje Flipowi na meczach tenisa. Resztę czasu spędzają na naszym podjeździe w jego kabriolecie ze złożonymi siedzeniami, podczas gdy mama wciąż jest w pracy.

— Kawa już gotowa, skarbie? — zawołała mama. — Clay potrzebuje kopa. Pracuje jak pies gończy, pomagając mi.

Pies gończy? Wlewam świeżo zaparzoną kawę do filiżanek, stawiam je na tacy, znajduję śmietankę, cukier, serwetki i sztywnym krokiem idę z powrotem do salonu.

— Dla mnie w sam raz, kochana, ale Clay pije w dużym kubku. Prawda, Clay?

— Zgadza się — mówi facet. — W największym, jaki jest, Samantho. Działam na kofeinę. To moja słabość — puszcza oko.

Wracając z kuchni drugi raz, z łoskotem stawiam kubek przed Clayem. Mama mówi:

— Pokochasz Samanthę, Clay. To taka bystra dziewczyna. W zeszłym roku wzięła wszystkie zajęcia dla kandydatów na studia. Celująca we wszystkim. Była w redakcji rocznika i gazetki szkolnej, w drużynie pływackiej... Gwiazda, moja dziewczynka.

Mama uśmiecha się do mnie swoim prawdziwym uśmiechem, tym, który pojawia się aż w kącikach jej oczu. Zaczynam odwzajemniać uśmiech.

— Jaka matka, taka córka — mówi Clay; spojrzenie mamy przesuwa się na jego twarz i pozostaje na niej, jak zaczarowane. Wymieniają intymne spojrzenie, mama podchodzi do jego fotela i siada na poręczu. Przez sekundę zastanawiam się, czy wciąż jestem w pokoju. Najwyraźniej powinnam sobie iść. Świetnie. Dzięki temu jednak nie grozi mi utrata kontroli, więc może nie wyleję Clayowi na kolana wciąż gorącej kawy z dużego kubka. Ani nie wyleję czegoś naprawdę zimnego na mamę.

„Odbierz, odbierz” — błagam osobę na drugim końcu linii. W końcu ktoś się odzywa, ale to nie jest Nan. To Tim.

— Rezydencja Masonów — mówi. — Jeśli jesteś Danielem, Nan wyszła z innym facetem. Z większym kutasem.

— Nie jestem Danielem — odpowiadam. — Ale naprawdę wyszła? Nie ma jej?

— Nie, oczywiście, że nie. Nan? Ma szczęście, że znalazła Daniela, a to już cholernie smutne.

— Gdzie ona jest?

— Gdzieś w pobliżu — odpowiada uczynnie Tim. — Jestem w swoim pokoju. Zastanawiałaś się kiedykolwiek, do czego służą włosy na palcach u nóg?

Tim jest nawalony. Jak zwykle. Przymykam oczy.

— Mogę z nią teraz porozmawiać?

Tim mówi, że ją złapie, ale dziesięć minut później wciąż czekam. Prawdopodobnie nawet zapomniał, że odebrał telefon.

Rozłączam się i leżę przez chwilę na łóżku, wpatrując się w wentylator na suficie. Potem otwieram okno i wychodzę na dach.

Jak zwykle, u Garrettów pali się większość świateł. Łącznie z podjazdem, gdzie Alice z jakimiś



skąpo ubranymi przyjaciółmi i kilkorgiem spośród Garrettów grają w kosza.

Mogą być wśród nich także jacyś chłopcy. Trudno powiedzieć, wszyscy tak bardzo skaczą, z ustawionego na frontowych schodach iPoda grzmi dzika muzyka.

Jestem kiepska w koszykówce, ale oni chyba doskonale się bawią. Spoglądam w okno salonu i widzę państwa Garrettów. Ona pochyla się nad jego krzesłem, składa ramiona, opuszczając wzrok na niego, podczas gdy on pokazuje jej coś w czasopiśmie. W sypialni, gdzie śpi najmłodsze dziecko, mimo tak późnej pory wciąż pali się światło. Zastanawiam się, czy Patsy boi się ciemności.

Wtedy niespodziewanie tuż obok słyszę głos. Tuż pod sobą.

— Cześć.

Zaskoczona, prawie tracę równowagę; czuję na swojej kostce podtrzymującą mnie rękę i słyszę szeleszczący odgłos, gdy ktoś, jakiś facet, pnie się po kratce na dach, na moje własne tajemne miejsce.

— Cześć — mówi ponownie, siadając obok, jakby mnie dobrze znał. — Potrzebujesz ratunku?

## Rozdział trzeci

Wpatruję się w chłopaka. To oczywiście Garrett, nie Joel, ale który z nich? Z bliska, w świetle sącącym się z mojej sypialni wygląda inaczej niż większość Garrettów. Jest smuklejszy, szczuplejszy, jego pofalowane włosy mają jaśniejszy odcień, z tymi pasmami blond, które u brunetów pojawiają się w lecie.

— Dlaczego miałabym potrzebować ratunku? To jest mój dom, mój dach.

— Nie wiem. Po prostu gdy cię tu zobaczyłem, pomyślałem, że możesz być Roszpunką. Księżniczką uwięzioną w wieży. Te długie jasne włosy i... cóż...

— A ty miałbyś być...? — Wiem, że się roześmieję, jeśli odpowie: „Księciem”.

Ale on odpowiada:

— Jase Garrett. — I podaje mi rękę, jakbyśmy byli na rozmowie na studia, a nie spotkali się przypadkiem w nocy na moim dachu.

— Samantha Reed. — Pomimo dziwacznych okoliczności podaję mu rękę z machinalną uprzejmością.

— Bardzo książęce imię — odpowiada z aprobatą, zwracając się do mnie z uśmiechem. Ma bardzo białe zęby.

— Nie jestem żadną księżniczką.

Spogląda na mnie z namysłem.

— Mówisz to dobitnie. Jest coś ważnego, co powinienem o tobie wiedzieć?

Cała ta rozmowa jest absurdalna. Przypuszczenie, że Jase Garrett miałby czy musiałby coś o mnie wiedzieć, jest kompletnie niedorzeczne. Zamiast jednak to powiedzieć, nieoczekiwanie zwierzam mu się:

— Na przykład, przed chwilą chciałam zrobić krzywdę komuś, kogo dopiero co poznałam.

Jase zastanawia się nad odpowiedzią przez dłuższą chwilę, rozważa myśli i słowa.

— Cóż... — odpowiada w końcu. — Wyobrażam sobie, że wiele księżniczek miało na to ochotę... zaaranżowane małżeństwa i tak dalej. Któż mógł przewidzieć, z kim taka biedaczka skończy? Ale... ta osoba, którą chciałaś zranić, to ja? Bo wiesz, ja potrafię pojąć aluzję. Zamiast łamać mi rękę, możesz poprosić mnie, bym opuścił twój dach.

Wyciąga nogi, składając ramiona za głowę, tak swobodnie, jakby był na swoim terenie. Pomimo to, opowiadam mu wszystko o Clayu Tuckerze. Może dlatego, że Tracy nie ma w domu, a mama zachowuje się jak obca osoba. Może dlatego, że Tim zawiódł, a Nan jest nieosiągalna. Może chodzi o samego Jase'a, o sposób, w jaki spokojnie siedzi, czekając na moją opowieść, jakby interesowały go problemy jakiejś przypadkowej dziewczyny. W każdym razie opowiadam mu o wszystkim.

Gdy kończę, zapada cisza.

W końcu, na wpół w ciemności, z profilem oświetlonym przez moje okno, mówi:

— Cóż, Samantha... zostałam przedstawiona temu facetowi, a potem wszystko poszło na opak. To by oznaczało zabójstwo uzasadnione. A ja czasami miewam ochotę zabić ludzi, których znam jeszcze słabiej... jak nieznajomych w supermarketach.

Siedzę na moim dachu z psychopatą? Gdy zaczynam się odsuwać, on ciągnie dalej:

— Tych ludzi, którzy wciąż podchodzą do mojej mamy, gdy jest z całą naszą gromadką, i mówią: „Wie pani, są sposoby, by temu zapobiec”. Jakby posiadanie dużej rodziny było jak, nie wiem, pożar lasu, a oni byli gliniarzami. Niektórzy opowiadają tacie o wazektomii i wysokich kosztach studiów, jakby nie miał o tym pojęcia. Niejednokrotnie miałem ochotę ich uderzyć.

O rany. Nigdy, w szkole czy gdzie indziej, nie spotkałam chłopaka, który tak szybko przeszedłby do poważnych tematów.

— Warto uważać na tych, którzy myślą, że tylko oni znają jedyną prawdziwą drogę — mówi refleksyjnie Jase. — Jeśli staniesz na ich drodze, mogą cię po prostu przejechać walcem.

Pamiętam uwagi mojej własnej matki o wazektomii i kosztach studiów.

— Współczuję — mówię.

Jase poprawia się zaskoczony.

— Cóż, mama namawia, żeby im współczuć, jak wszystkim, według których ich sposób postępowania powinien być uniwersalnym prawem.

— Co mówi twój tata?

— On i ja mamy podobne odczucia. Tak jak reszta rodziny. Mama to nasza pacyfistka. — Uśmiecha się.

Z boiska dobiegają odgłosy śmiechu. Spoglądam w tamtą stronę; jakiś chłopak złapał którąś dziewczynę w pasie i kręci nią w kółko, po czym stawia na ziemi i przyciska ją do siebie.

— Dlaczego nie jesteś tam? — pytam.

Spogląda na mnie, jakby jeszcze raz rozważając, co odpowiedzieć. W końcu rzuca:

— Ty mi powiedz, Samantha.

Po czym wstaje, przeciąga się, mówi dobranoc i zsuwa się z powrotem po pergoli.

## Rozdział czwarty

W świetle poranka, szczotkując zęby, wykonując te same rutynowe poranne czynności, patrząc w lustrze na tę samą twarz — włosy blond, niebieskie oczy, piegi, nic specjalnego — łatwo mogę uwierzyć, że spotkanie na dachu, kiedy siedziałam tam w koszuli nocnej, i późniejsza rozmowa o uczuciach z nieznanym — i to Garrettem — to tylko piękny sen.

Podczas śniadania pytam mamę, gdzie poznała Claya Tuckera, a mama, pochłonięta odkurzaniem korytarza, odpowiada tylko:

— Na wiecu politycznym.

Ponieważ nigdzie indziej nie chodzi, raczej niczego to nie wyjaśnia.

Łapię w kuchni Tracy, która nakłada wodoodporny tusz do rzęs przed lustrem nad naszym barkiem, przygotowując się na dzień plażowania z Flipem, i opowiadam jej wszystko o wczorajszym wieczorze. Z wyjątkiem części dotyczącej Jase'a.

— Co w tym wielkiego? — odpowiada, nachylając się do swojego odbicia. — Mama w końcu znalazła kogoś, kto ją pociąga. Jeśli on może pomóc jej w kampanii, tym lepiej. Wiesz, jak mama się boi listopada. — Zwraca na mnie swoje umalowane oczy. — To wszystko, jeśli chodzi o ciebie i twoje obawy przed bliskością?

Nie cierpię, kiedy Tracy zwała na mnie te psychoanalityczne bzdury o radzeniu sobie ze sobą. Od kiedy jej okres buntu zakończył się roczną terapią, czuje się uprawniona do wygłaszania autorytarnych sądów w tej dziedzinie.

— Nie, chodzi o mamę — nalegam. — Nie była sobą. Gdybyś przy tym była, sama byś zobaczyła.

Tracy rozwiera szeroko ręce gestem obejmującym naszą zupełnie odnowioną kuchnię, połączoną z wielkim salonem i olbrzymim przedpokojem. To wszystko jest zbyt duże dla trzech osób, zbyt okazałe, i Bóg raczy wiedzieć, co o nas mówi. Nasz dom jest prawdopodobnie trzy razy większy od domu Garrettów. A ich jest dziesięcioro.

— Dlaczego miałabym tu być? — pyta. — Co tu po nas?

Chcę odpowiedzieć: „Ja tu jestem”, ale rozumiem, o co jej chodzi. Wszystko w naszym domu jest najwyższej klasy, nowoczesne i lśniące czystością. A trzy mieszkające w nim osoby wolałyby znaleźć się gdzieś indziej.

Mama lubi rutynę. To oznacza, że określone potrawy serwowane są w konkretne dni tygodnia, na przykład zupa i sałatka w poniedziałek, makaron we wtorek, befsztyk we środę. Na ścianie trzyma plan naszych szkolnych zajęć, chociaż w rzeczywistości nie ma czasu ich dopilnować i upewnić się,



że nie mamy zbyt wielu zaległości przed wakacjami. Odkąd została wybrana, niektóre z tych procedur stały się mniej obligatoryjne. Inne uległy zaostrzeniu. Piątkowe obiady w Stony Bay Bath and Tennis Club pozostają święte.

Stony Bay Bath and Tennis Club to ten rodzaj budowli, którą każdy w mieście uważa za kicz, tyle że każdy chce w niej bywać. Została postawiona piętnaście lat temu, ale wygląda jak zamek Tudorów. Położona jest na wzgórzach nad miastem, więc roztacza się z niej wspaniały widok na rzekę i dobiegają do niej dźwięki zarówno z basenu olimpijskiego, jak i zatoki. Mama kocha B&T. Jest nawet jednym z dyrektorów. To oznacza, że dzięki przynależności do drużyny pływackiej zostałam latem zeszłego roku wciągnięta do zespołu ratowników i w tym roku zaangażowana ponownie na dwa razy w tygodniu, poczynając od przyszłego poniedziałku. To oznacza całe dwa dni w B&T, plus obiady piątkowe.

Zatem, ponieważ dzisiaj jest piątek, jesteśmy tu wszyscy, Tracy, Flip i ja, przechodząc za mamą przez okazałe dębowe drzwi. Pomimo ciągłego ubiegania się tej pary o złoty medal w mistrzostwach świata w umizgach, mama uwielbia Flipa. Może dlatego, że jego tata prowadzi największą firmę w Stony Bay. Nie wiadomo dlaczego, odkąd Flip i Tracy zaczęli spotykać się sześć miesięcy temu, zawsze zjawia się na piątkową wieczorną kolację rybną. Szczęściarz.

Siadamy przy tym samym co zwykle stoliku, pod gigantycznym obrazem przedstawiającym statek wielorybiczny otoczony przez ogromne wieloryby, które, mimo że podżgane harpunami, zdolne są jednak schrupać kilku nieszczęsnych marynarzy.

— Musimy ustalić nasze plany na lato — mówi mama, kiedy na stole pojawia się koszyk z chlebem. — Ogarnąć to wszystko.

— Mamo! Przerabialiśmy to. Jadę do Vineyard. Flip ma fajną pracę jako trener tenisa u kilku rodzin, a ja z przyjaciółkami wynajęłam dom i będę kelnerką w Salt Air Smithy. Czysz zaczynamy płacić w tym tygodniu. Wszystko jest zaplanowane.

Mama sięga po serwetkę i rozkłada ją.

— Poruszałaś to, Tracy, tak. Ale na nic się nie zgodziłam.

— To moje lato dobrej zabawy. Zasłużyłam na nie — mówi Tracy, pochylając się nad talerzem po szklankę wody. — Prawda, Flip?

Flip przezornie atakuje koszyk z chlebem, smaruje bułkę grubo masłem i nie może odpowiedzieć.

— Nie mam już zobowiązań wobec college'u. Idę na Middlebury. Nie muszę niczego udowadniać.

— Ciężka praca i radzenie sobie są tylko po to, żeby coś udowodnić? — Mama wygina brwi w łuk.

— Flip? — powtarza Tracy.

Flip, wciąż pochłonięty bułką, dokłada sobie jeszcze masła i żuje dalej.

Mama skupia swoją uwagę na mnie.

— Tak więc, Samantha, chcę być pewna, że jesteś gotowa na lato. Ile dni w tygodniu masz pracować w Breakfast Ahoy? — Z uroczym oficjalnym uśmiechem dziękuje kelnerowi dolewającemu nam wody z lodem.

— Trzy, mamó.

— Oraz dwa dni jako ratowniczką — marszczy lekko czoło. — Więc pozostają ci wolne trzy popołudnia. Plus weekendy. Hmmm.

Przyglądam się, jak kroi bułkę i smaruje ją, wiedząc, że nie chce jej jeść. Robi to po prostu, żeby się skoncentrować.

— Mamó! Samantha ma siedemnaście lat! Boże! — mówi Tracy. — Niech ma trochę wolnego czasu.

Gdy to mówi, na stół pada cień; wszyscy spoglądamy w górę. To Clay Tucker.

— Grace... — Całuje ją w jeden policzek, w drugi, po czym przysuwa krzesło do mamy, odwraca je i siada na nim okrakiem — ...i reszta twojej uroczej rodziny. Nie zdawałem sobie sprawy, że masz syna.

Tracy i mama spieszą wyjaśnić to nieporozumienie, gdy podchodzi kelner z kartą. Całkiem niepotrzebnie, gdyż odkąd pasiaste dinozaury w butach wielkości łodzi przemierzały ziemię, B&T oferuje w piątkowe wieczory to samo menu na kolację.

— Właśnie mówiłam Tracy, że powinna wybrać na lato coś bardziej konkretnego — mówi mama, podając Clayowi bułkę posmarowaną masłem. — Coś więcej niż dobra zabawa w Vineyard.

Clay zasłania ramionami oparcie krzesła i przechyla głowę w stronę Tracy.

— Myślę, że przyjemne wakacje z dala od domu mogą być dobrym pomysłem dla twojej Tracy, Grace... dobrym przygotowaniem przed wyjazdem do college'u. A ty będziesz mogła bardziej skupić się na kampanii.

Mama lustruje przez chwilę jego twarz i najwyraźniej zauważa na niej jakiś niewidoczny sygnał.

— W takim razie — przyznaje — może byłam zbyt pochopna, Tracy. Jeśli możesz, podaj mi nazwiska, telefony i adresy tych dziewczyn, z którymi będziesz mieszkać, i swoje godziny pracy.

— Grace. — Clay Tucker chichocze niskim, rozbawionym tonem. — Chodzi o opiekę rodzicielską, nie politykę. Nie potrzebujemy adresów.

Mama uśmiecha się do niego, rumieniec podkreśla jej kości policzkowe.

— Masz rację. Jak zwykle spinam się z niewłaściwych powodów.

Spinam się? Od kiedy moja matka używa takich wyrażen? Na moich oczach zmienia się w Scarlett O'Harę z Południa. Ma to jej pomóc w zwycięstwie tu, w Connecticut?

Pod stołem wysuwam z kieszeni telefon i stukam do Nan: „Mama porwana przez obcych. Poradź

coś”.

„Wiesz co?” — odpisuje Nan, ignorując mojego SMS-a. „Wygrałam Laslo z literatury! Wysłałam wypracowanie o Hucku Finnie i Holdenie Caulfieldzie do stanowej gazety dla licealistów w Connecticut!!! Danielowi zamieścili referat w zeszłym roku i mówi, że dało mu to dużą przewagę na MIT!!! Columbio, nadciągam!”

Pamiętam ten referat. Nan napociła się nad nim. A ja myślałam, że wybrała strasznie dziwny temat, ponieważ wiem, że nienawidzi *Buszującego w zbożu*: „Mnóstwo przekleństw. A ten gość to świr”.

„Super!” — odpisuję, a mama odkrywa telefon, zamyka go z klapnięciem i wkłada do swojej torebki.

— Samantho, Maria Mason dzwoniła dziś do mnie w sprawie Tima. — Bierze powoli łyk wody i spogląda na mnie, znowu unosząc brwi.

Nie jest dobrze. „W sprawie Tima” ostatnio oznacza „katastrofa”.

— Chce, bym pociągnęła za jakieś sznurki, żeby otrzymał tu pracę ratownika. Widocznie nie wyszło z pracą w Hot Dog Haven.

Słusznie. Bo jeśli masz trudności z nakładaniem keczupu i musztardy na hot doga, zdecydowanie powinieneś się wziąć za ratowanie ludzi.

— Mają w klubie posadę dla ratownika, ponieważ otwierają basen w zatoce. Jak myślisz?

Uf, katastrofa? Tim i ratowanie życia to niezupełnie dobra kombinacja. Wiem, że dobrze pływa — zanim go wyrzucili, należał do drużyny w Hodges, ale...

— Co? — pyta niecierpliwie, gdy przygryzam zębami wargę.

Gdy dyżuruję jako ratownik, prawie nie odrywam wzroku od basenu. Wyobrażam sobie Tima siedzącego na krzeselku ratownika i krzywię się. Ale już od lat kryję jego wybryki przed jego rodzicami, moją mamą...

— Mamo, on jest ostatnio rozproszony. Nie sądzę...

— Wiem. — Jej głos brzmi niecierpliwie. — W tym rzecz, Samantho, że przydałoby mu się coś w tym rodzaju. Musiałby się skupić, wyjść na słońce i świeże powietrze. Nade wszystko, będzie to dobrze wyglądało na jego podaniu do college’u. Zamierzam za niego poręczyć.

Sięga po komórkę, skinąwszy mi głową na zakończenie konwersacji.

— Cóż — mówi Clay, uśmiechając się do mnie, Tracy i Flipa. — Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że porozmawiamy z mamą o sprawach zawodowych?

— Nie krępujcie się — mówi lekko Tracy.

Clay od razu przechodzi do rzeczy.

— Oglądałem tego gościa, Bena Christophera, z którym tym razem konkurujesz, Grace. I oto, co

myślę: musisz być bardziej empatyczna.

Co to za słowo?

Mama patrzy na niego spod przymrużonych powiek, zastanawiając się pewnie, czy mówi w obcym języku, więc może nie tylko ja się zdziwiłam.

— Ben Christopher. — Clay przedstawia w skrócie: — Dorastał w Bridgeport w ubogiej rodzinie, prywatna szkoła podstawowa na stypendium ABC, założył własne przedsiębiorstwo produkujące panele słoneczne, zdobywając tym głosy zielonych. — Przerzywa, żeby posmarować drugą połowę bułki mamy, i odgryza duży kęs. — Ma bzika na punkcie reprezentowania zwykłych ludzi. Ty, kotku, możesz wydawać się trochę sztywna. Chłodna. — Następny kęs bułki, znowu przeżuwanie. — Wiem, że taka nie jesteś, ale jednak...

Oj. Rzucam okiem na Tracy, oczekując, że przyprawia ją to o mdłości tak jak mnie, ale ona jest zajęta Flipem, splatając z nim ręce.

— Co zatem zrobić? — Między brwiami mamy pojawia się bruzda. Nigdy nie słyszałam, żeby pytała kogoś o radę. Niełatwo jej nawet zapytać o drogę, gdy się kompletnie zgubimy.

— Odpręż się. — Clay kładzie rękę na jej przedramieniu i ściska je. — Odsłoń się trochę. Łagodniejsza wersja Grace.

„Brzmi jak reklama płynu do prania”.

Wkłada rękę do kieszeni i wydobywa coś, pokazując nam. To jedna z ulotek z poprzedniej kampanii mamy.

— Rozumiesz, o czym mówię. Hasło twojej ostatniej kampanii. „Grace Reed — Pracując dla dobra wspólnego”. To po prostu okropne, kochanie.

— Wygrałam, Clay — broni się mama.

Jestem pod wrażeniem, że rozmawia z nią tak otwarcie. Za to hasło Tracy i ja otrzymałyśmy w szkole należną porcję kpin.

— Wygrałaś — obdarzył ją szybkim uśmiechem — co jest wyrazem uznania dla twojego czaru i umiejętności. Ale „dobro”? Odsuść. Mam rację, dziewczyny? Flip?

Flip chrząka przy jakiejś trzeciej bułce, rzucając tęskne spojrzenie w kierunku drzwi. Nie mam pretensji, że chce uciec.

— Ostatnią osobą, która użyła tego w kampanii politycznej, był John Adams. Albo może Aleksander Hamilton. Tak jak mówię, musisz być bardziej empatyczna, być tym, kogo ludzie szukają. Większość rodzin, młodych rodzin, wciąż przeprowadza się do naszego stanu. Są twoim ukrytym skarbem. Nie zabiegasz o głosy szarych ludzi. Zagarnął je Ben Christopher. Oto mój pomysł: „Grace Reed ciężko pracuje dla twojej rodziny, ponieważ rodzina jest tym, na czym jej zależy”. Jak sądzisz?

W tym momencie podchodzi kelner z naszymi przystawkami. Nie wydaje się zdziwiony widokiem



Claya przy stole, co sprawia, że zastanawiam się, czy nie było to zaplanowane od samego początku.

— O, wygląda bardzo dobrze — mówi Clay Tucker, gdy kelner stawia przed nim dużą miskę chowdera. — Niektórzy twierdzą, że my, południowcy, nie potrafilibyśmy docenić tego rodzaju rzeczy. Ale lubię doceniać to, co przede mną. A to — unosi łyżkę w stronę mojej matki, obdarzając uśmiechem całą resztę — jest pyszne.

Doznaję wrażenia, że często będę widywać Claya Tuckera.

## Rozdział piąty

Gdy następnego dnia wracam po pracy do domu lepka od chodzenia w letnim skwarze, moje oczy natychmiast zwracają się ku Garrettom. Dom sprawia wyjątkowo spokojne wrażenie. Stoję i przyglądam mu się, a wtedy zauważam na podjeździe leżącego na plecach Jase'a, dłubiącego coś przy olbrzymim czarno-srebrzystym motocyklu.

Chcę tu wyraźnie powiedzieć, że w żadnym wypadku nie jestem typem dziewczyny, którą pociągają motocykle i skórzane kurtki. W najmniejszym stopniu. Michael Kristoff w ciemnych golfach i z depresyjną poezją to największe ekstremum, do jakiego mogłam się zbliżyć w sympatii do łobuzów, poza tym znajomość z nim wystarczyła, by na zawsze mnie do nich zniechęcić. Spotykaliśmy się niemal całą wiosnę, dopóki nie uświadomiłam sobie, że jest to nie tyle udręczony artysta, ile dręczyciel. Co stwierdziwszy, bez żadnych ukrytych zamiarów podchodzę do końca naszego podwórka, wokół wysokiego płotu odgradzającego matkę od „dobrych sąsiadów” — palisady wysokiej na prawie dwa metry, postawionej kilka miesięcy po wprowadzeniu się Garrettów — i w górę podjazdu.

— Cześć — mówię. „Błyskotliwe otwarcie, Samantha”.

Jase opiera się na łokciu, patrząc na mnie bez słowa. Z jego twarzy nic nie da się wyczytać; mam ochotę zawrócić i odejść.

Wtedy zauważa:

— Zgaduję, że to strój służbowy.

Cholera. Zapomniałam, że go nie zdjęłam. Patrzę na siebie, na krótką niebieską spódnicę, bufiastą białą marynarską bluzkę i wesołą czerwoną apaszkę.

— Bingo — mówię mocno speszona.

Kiwa głową, po czym uśmiecha się do mnie szeroko.

— W ogóle nie skojarzyłbym, że Samantha Reed to ty. Gdzie, do licha, pracujesz? — chrząka.

— I dlaczego tam?

— Breakfast Ahoj. Obok nabrzeża. Lubię mieć zajęcie.

— Uniform?

— Mój szef go zaprojektował.

Jase przez minutę albo dwie przypatruje się mi w milczeniu, po czym mówi:

— Musi mieć bujną wyobraźnię.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc naśladowuję jeden z nonszalanckich gestów Tracy i wzruszam ramionami.

— Dobrze płaci? — pyta Jase, sięgając po klucz francuski.

— Najlepsze napiwki w mieście.

— Wyobrażam sobie.

Zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego prowadzę tę rozmowę. I żadnego pomysłu, jak ją kontynuować. Jase koncentruje się na odkręcaniu jakiejś śruby czy nakrętki, lub czegoś w tym rodzaju. Więc pytam:

— To twój motocykl?

— Mojego brata, Joela. — Odrywa się od pracy i siada, jakby było niegrzecznie dalej pracować, skoro faktycznie ciągniemy rozmowę. — Lubi podtrzymywać ten cały wizerunek przekłętego buntownika i człowieka wyjętego spod prawa. Woli to od wizerunku zapalonego sportowca, mimo że tak naprawdę nim jest. Mówi, że w ten sposób może wyrwać bystrzejsze dziewczyny.

Potakuję głową, jakbym wiedziała o tym.

— I wrywa?

— Nie jestem pewien. — Jase pociera czoło. — Kreowanie własnego wizerunku zawsze wydawało mi się rodzajem oszustwa i manipulacji.

— Więc nie tworzysz sobie wizerunku? — Siadam na trawie obok podjazdu.

— Nie. Dostajesz to, co widzisz. — Ponownie uśmiecha się do mnie.

Szczerze mówiąc, z tego, co widzę z bliska i za dnia, jest całkiem miły. Oprócz rozjaśnionych na słońcu, falujących kasztanowych włosów i nawet białych zębów, Jase Garrett ma zielone oczy i usta, które zawsze wyglądają jak uśmiechnięte. Plus jego spokojne spojrzenie, które wytrzyma każdy wzrok. Ojej.

Rozglądam się, próbując wymyślić, co powiedzieć. W końcu mówię:

— Całkiem spokojnie tu dzisiaj.

— Zajmuję się dziećmi.

Rozglądam się jeszcze raz.

— I gdzie one są? W skrzynce na narzędzia?

Przechyliła głowę w moją stronę, doceniając żart.

— Pora drzemki — wyjaśnia. — George'a i Patsy. Mama na zakupach. Zajmie jej to wieki.

— Nie wątpię. — Odrywając wścibski wzrok od jego twarzy, zauważam, że jego T-shirt jest mokry od potu przy szyi i pod pachami.

— Chce ci się pić? — pytam.

Szeroki uśmiech.

— Chce. Ale nie mam zamiaru ryzykować życia i prosić cię, żebyś przyniosła mi coś do picia. Wiem, że nowy facet twojej mamy naraził się na śmierć właśnie tym, że kazał ci sobie usługiwać.

— Też chce mi się pić. I jest mi gorąco. Mama robi dobrą lemoniadę.

Wstaję i zaczynam się oddalać.

— Samantho.

— Mhmmm.

— Wróć, dobra?

Patrzę na niego przez sekundę, przytakuję, po czym idę do domu, biorę prysznic, przy tym odkrywam, że Tracy znowu perfidnie zużyła całą moją odżywkę, przebieram się w szorty i koszulkę bez rękawów, wreszcie wracam z dwoma olbrzymimi plastikowymi kubkami pełnymi lemoniady z kostkami lodu.

Gdy wchodzę na podjazd, Jase stoi tyłem do mnie, grzebiąc coś przy jednym z kół, ale odwraca się, słysząc zbliżające się klapanie moich japoniek.

Podaję mu lemoniadę. Patrzy na nią i uświadamiam sobie, że Jase Garrett patrzy w ten sposób na wszystko — ostrożnie, uważnie.

— O! W kostkach lodu zamroziła nawet kawałeczki skórki cytrynowej i mięty. Robi lód z lemoniady.

— Jest typem perfekcjonistki. Przyglądanie się, jak robi lemoniadę, przypomina wizytę w laboratorium naukowym.

Opróżnia kubek jednym haustem, po czym sięga po drugi.

— To mój — mówię.

— O Jezu! Oczywiście. Przepraszam. Jestem spragniony.

Wyciągam rękę z lemoniadą.

— Możesz wypić. W domu jest więcej.

Potrząsa głową.

— Nie mam zamiaru niczego ci zabierać.

Czuję, jak mój żołądek ściska się w sposób opisywany w książkach. Niedobrze. To nasza druga rozmowa. Naprawdę niedobrze, Samantho.

W tym momencie słyszę ryk samochodu na naszym podjeździe.

— Hej, Samantho!

To Flip. Wyłącza silnik i podchodzi do nas.

— Hej, Flip — mówi Jase.

— Znasz go?

— W zeszłym roku spotykał się z moją siostrą, Alice.

Flip natychmiast mówi do mnie:

— Nie mów Tracy.

Jase spogląda na mnie pytająco.



— Moja siostra jest bardzo zaborcza — wyjaśniam.

— Ogromnie — dodaje Flip.

— Nienawidzi byłych dziewczyn swoich chłopaków — mówię.

— Bardzo — zgadza się Flip.

— Super — mówi Jase.

Flip wygląda, jakby się bronił.

— Ale jest lojalna. Nie sypia z moim partnerem do tenisa.

Jase krzywi się.

— Wiedziałaś, w co się pakujesz z Alice, człowieku.

Przenoszę wzrok z jednego na drugiego.

Flip mówi:

— Tak... Nie wiedziałem, że się znacie.

— Nie znamy — mówię, w tej samej chwili Jase odpowiada:

— Znamy.

— W porządku. Nieważne. — Flip macha dłonią, wyraźnie niezainteresowany. — Więc gdzie jest

Tracy?

— Powinam ci powiedzieć, że cały dzień jest zajęta — przyznaję. Moja siostra: mistrzyni udawania niedostępnej. Nawet gdy już dała się zdobyć.

— Spoko. Więc gdzie jest tak naprawdę?

— Na plaży Stony Bay.

— Jadę tam. — Flip odwraca się, by odejść.

— Zawieź jej magazyn „People” i kokosowy napój FrozFruit — wołam za nim. — Wtedy cię ozłoci.

Gdy odwracam się do Jase’a, znowu promiennie uśmiecha się do mnie.

— Jesteś miła. — Wydaje się zadowolony, jakby nie spodziewał się tego aspektu mojej osobowości.

— Niespecjalnie. Opłaca mi się dobry humor Tracy, bo wtedy pożyczka ode mnie mniej ubrań. Znasz siostry.

— Tak. Ale moje nie pożyczają ode mnie ubrań.

Nagle słyszę głośny krzyk, zawodzenie, odgłos jakby zjawy. Podskakuję z szeroko otwartymi oczami.

Jase wskazuje na elektroniczną nianię podłączoną do drzwi garażowych.

— To George.

Rusza do domu, po czym odwraca się, pokazując gestem, żebym poszła za nim.

Właśnie w ten sposób, po tych wszystkich latach, wchodzi do domu Garrettów.

Dzięki Bogu, że mama pracuje do późna.

Pierwsza rzecz, która mnie uderza, to kolory. Nasza kuchnia jest cała biała i srebrnoszara — ściany, granitowe blaty kuchenne, zamrażarka, zmywarka do naczyń Bosch. Ściany u Garrettów są słonecznie żółte. Zasłony też są żółte, z zielonymi liśćmi. Ale cała reszta wnętrza to feeria barw. Lodówka pokryta jest obrazkami i rysunkami, jeszcze więcej obrazków wisi na ścianach. Puszki plasteliny, pluszowe zwierzaki i pudełka płatków zbożowych zastawiają zielony blat. W zlewie piętrzą się naczynia. Stół jest wystarczająco duży, by wszyscy Garrettowie mogli przy nim jeść, ale nie mieści stosów gazet i magazynów, skarpet i opakowań po przekąskach, okularów do pływania, na wpół zjedzonych jabłek i skórek od bananów.

George wychodzi nam na spotkanie w połowie kuchni. Trzyma dużego plastikowego triceratopsa, na sobie ma jedynie koszulkę z ogrodu botanicznego na Brooklynie. To znaczy, żadnych spodni, bielizny.

— Stop, kolego. — Jase pochyła się, wskazując ręką nagą połowę brata. — Co się stało?

George, zapłakany, już nie krzyczy, tylko robi głęboki wdech. On też ma falujące brązowe włosy, ale duże oczy wypełnione łzami są niebieskie.

— Śniły mi się czarne dziury.

— Mam cię. — Jase kiwa głową, prostując się. — Całe łóżko mokre?

George potakuje z miną winowajcy, po czym spod wilgotnych rzęs spogląda na mnie.

— Kto to?

— Nasza sąsiadka. Samantha. Prawdopodobnie wie wszystko na temat czarnych dziur.

George patrzy na mnie podejrzliwie.

— Wiesz?

— Cóż — mówię. — Hm, wiem, że są gwiazdami, które zużyły całe paliwo, po czym zapadły się z powodu własnej grawitacji... I że jak raz coś w nie wpadnie, to znika z widzialnego wszechświata.

George znowu zaczyna krzyczeć.

Jase bierze nagusa na rękę.

— Ona wie również, że w pobliżu Connecticut nie ma żadnej czarnej dziury. Prawda, Samantha?

Czuję się okropnie.

— Nie ma, nawet w naszym wszechświecie — mówię mu pospiesznie, chociaż prawie na pewno jakaś jest w Drodze Mlecznej.

— Jest jedna w Drodze Mlecznej — szlocha George.

— Ale to daleko od Stony Bay. — Wyciągając rękę, by poklepać go po plecach, przypadkowo dotykam ręki Jase'a, ponieważ robi to samo. Szybko cofam swoją.

— Tak więc jesteś zupełnie bezpieczny, kolego.

Płacz George'a przechodzi w czkawkę, po czym cichnie całkowicie pod wpływem limonkowych lodów na patyku.

— Bardzo, bardzo przepraszam — szepczę do Jase'a, odmawiając ostatnich pomarańczowych lodów. Ciekawe, czy ktoś kiedykolwiek bierze pomarańczowe.

— Skąd miałaś wiedzieć? — odszeptuje. — I skąd ja miałem wiedzieć, że jesteś astrofizykiem?

— Kiedyś miałam etap fascynacji gwiazdami. — Moja twarz płonie, gdy myślę o tych wszystkich nocach, kiedy siedziałam na dachu, obserwując gwiazdy... i Garrettów.

Unosi brwi, jakby zdziwiony moim zakłopotaniem. Najgorszą rzeczą w byciu blondynką jest to, że rumieni się całe twoje ciało — uszy, szyja, wszystko. Nie da się tego przeoczyć.

Na górze rozlega się kolejne zawodzenie.

— To Patsy. — Jase rusza na schody. — Poczekaj tu.

— Lepiej pójdę do domu — mówię, mimo że tak naprawdę nie mam żadnego powodu, by to zrobić.

— Nie. Zostań. Wracam za sekundę.

Zostaję z George'em. Mały w zamyśleniu ssie przez kilka minut swoje lody, po czym pyta:

— Wiedziałaś, że w kosmosie jest bardzo, bardzo zimno? I nie ma tlenu? A gdyby kosmonauta wypadł z wahadłowca bez kombinezonu, umarłby natychmiast?

Szybko się uczę.

— Ale to nigdy by się nie zdarzyło. Ponieważ kosmonauci są bardzo, bardzo ostrożni.

George uśmiecha się do mnie takim samym olśniewającym, miłym uśmiechem, jak jego starszy brat, mimo że w tym momencie ma zielone zęby.

— Mógłbym się z tobą ożenić — przyznaje. — Chcesz mieć dużą rodzinę?

Zaczynam kasłać, w tej chwili ktoś mnie klepie po plecach.

— George, zazwyczaj lepiej omawiać tego rodzaju rzeczy w spodniach.

Jase upuszcza bokserki u stóp George'a, następnie stawia Patsy na ziemi koło niego.

Dziewczynka ma na sobie różowe letnie ubranie, uczesana jest w kucyk, z którego włosy sterczą prosto do góry, ma pulchne ramiona i łukowate nogi. Może mieć około roku.

— To? — domaga się Patsy, wskazując na mnie trochę wojowniczo.

— To jest Samantha — mówi Jase. — Najwyraźniej niedługo będzie twoją szwagierką. — Unosi brew. — Szybko ci poszło z George'em.

— Rozmawialiśmy o kosmonautach — wyjaśniam. W tej chwili otwierają się drzwi i wchodzi pani Garrett, zataczając się pod ciężarem jakichś pięćdziesięciu toreb z zakupami.

— Mam cię. — Jase puszcza oko, po czym odwraca się do matki. — Hej, mamó.

— Cześć, kochanie. Jak się zachowywali? — Całkowicie skupia się na starszym synu i wydaje się mnie nie zauważać.

— Nieźle — mówi Jase. — Ale jednak musimy zmienić George'owi prześcieradło.

Bierze parę plastikowych toreb, układając je na podłodze koło lodówki.

Matka patrzy na niego zmrużonymi oczami, tak samo zielonymi jak u Jase'a. Jest ładna jak na mamę, z tą otwartą, przyjazną twarzą, ze zmarszczkami w kącikach oczu, jakby często się uśmiechała, ma oliwkową karnację, kręcone brązowe włosy.

— Co mu czytałeś do snu?

— Mamo. *Ciekawskiego George'a*. Też go pozmieniałem. W książce był mały wypadek z balonem na gorące powietrze, pomyślałem, że to może być problematyczne. — Po czym odwraca się do mnie.

— O, przepraszam. Samantho, to moja mama. Mamo, Samantha Reed. Mieszka obok.

Pani Garrett obdarza mnie szerokim uśmiechem.

— Nawet nie zauważyłam, że tu stoisz. Nie wiem, jak przegapiłam taką ładną dziewczynę. Podoba mi się ten błyszczak do ust.

— Mamo — głos Jase'a zdradza lekkie zakłopotanie.

Odwraca się do niego.

— To tylko pierwszy rzut. Możesz przynieść pozostałe torby?

Podczas gdy Jase znosi pozornie nieskończoną ilość zakupów spożywczych, pani Garrett zagaduje do mnie, jakbyśmy znały się od zawsze. Tak dziwnie siedzieć w kuchni z tą kobietą, którą przez dziesięć lat oglądałam z daleka. To jak znaleźć się w windzie z celebrytą. Tłumię pragnienie, by powiedzieć:

— Jestem pani wielką fanką.

Pomagam jej układać zakupy, co pani Garrett udaje się połączyć z karmieniem piersią. Moja matka by umarła. Próbuję udawać, że jestem przyzwyczajona do oglądania tego typu scen.

Godzina u Garrettów i już zobaczyłam jednego z nich półnagię i całkiem spory fragment piersi pani Garrett. Teraz jeszcze brakuje, żeby Jase zdjął koszulkę.

Na szczęście dla mojej równowagi nie robi tego, chociaż po wniesieniu wszystkich toreb ogłasza, że potrzebuje prysznic, przywołuje mnie gestem i maszeruje na górę.

Idę za nim. To szalone. Nawet go nie znam. W ogóle nie wiem, jakim jest typem faceta. Chociaż liczę na to, że jeśli jego matka o normalnym wyglądzie pozwala mu zabrać dziewczynę do swojego pokoju, to Jase nie zamierza zostać szalonym gwałcicielem. Mimo to, co by o tym pomyślała moja mama?

Wejście do pokoju Jase'a jest jak wejście do... cóż, nie jestem pewna... lasu? Ostoi ptactwa? Miniaturowej dżungli w zoo? Pokój jest wypełniony roślinami, naprawdę wysokimi, zwisającymi,

sukulentami i kaktusami. W jednej klatce siedzą trzy papużki aleksandretty, w innej olbrzymia kakadu o wrogim wyglądzie. Wszędzie, gdzie spojrzę, widzę zwierzęta. W wybiegu obok biurka żółw. W klatce obok stadko myszokoczków. W terrarium coś przypominającego jaszczurkę. Fretka w małym hamaku w kolejnej klatce. Szaroczarny gryzoń w kolejnej. I w końcu, na schludnie poślany łóżku Jase'a, ogromny biały kot, tak gruby, że wygląda jak balon z małymi wyrostkami z futerka.

— Mazda. — Jase wskazuje mi krzesło koło łóżka.

Gdy siadam, Mazda skacze mi na kolana i zaczyna się szaleńczo łaścić, próbując przytulić się do moich szortów, wydając niskie dźwięki.

— Przyjazny.

— Niezupełnie. Za wcześnie odstawiony — mówi Jase. — Wezmę ten prysznic. Czuj się jak u siebie w domu.

Pewnie. W tym pokoju nie ma problemu.

Od czasu do czasu miałam sposobność bywać w pokoju Michaela, ale zazwyczaj po ciemku, gdy wygłaszał ponure wiersze, których nauczył się na pamięć. Dotarłam tam po znacznie dłuższym czasie niż dwie rozmowy. Ostatniej jesieni przez krótki czas spotykałam się również z Charleyem Tylerem, do czasu, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że to, że lubię jego dołeczki i jego pociąg do moich blond włosów, albo, spójrzmy prawdzie w oczy, moich cycków, nie jest wystarczającą podstawą dla wzajemnych relacji. Nigdy nie zaprowadził mnie do swojego pokoju. Może Jase Garrett jest kimś w rodzaju zaklinacza węży. To wyjaśniałoby zwierzęta. Jeszcze raz rozejrzałam się wokół. O Boże, ma węża. Jeden z tych pomarańczowych, białych i czarnych o przerażającym wyglądzie, o których wiem, że są niegroźne, ale mimo to wyjątkowo mnie odpychają.

Drzwi się otwierają, ale to nie Jase. To George, teraz w bokserkach, ale bez koszulki. Wpada i rzuca się na łóżko, patrząc na mnie ponuro.

— Wiedziałaś, że wahadłowiec Challenger wybuchnął?

Przytakuję głową.

— Dawno temu. Teraz mają o wiele doskonalszy sprzęt.

— Chciałbym pracować w obsłudze naziemnej w NASA. Nie na wahadłowcu. Nie chcę nigdy umrzeć.

Mam ochotę go przytulić.

— Ja też, George.

— Jase chce się z tobą ożenić?

Znowu zaczynam kasłać.

— Och. Nie. Nie, George. Mam dopiero siedemnaście lat.

Jakby to było jedynym powodem, dla którego nie jesteśmy zaręczeni.

— Ja mam tyle. — George podnosi cztery trochę brudne palce. — Ale Jase ma siedemnaście i pół. Mogłabyś. Wtedy mogłabyś tu z nim mieszkać. I mieć dużą rodzinę.

Oczywiście w połowie tej propozycji Jase wraca do pokoju.

— George. Spadaj. Leci Discovery Channel.

George wycofuje się tyłem z pokoju, w progu zaś rzuca:

— Jego łóżko jest naprawdę wygodne. I nigdy w nim nie siusia.

Drzwi zamykają się i obydwójce zaczynamy się śmiać.

— O Jezu. — Jase, ubrany w inny zielony T-shirt i marynarskie spodenki do biegania, przysiadł na łóżku. Ma mokre, teraz bardziej pofalowane włosy i małe krople wody na ramionach.

— W porządku. Jest świetny — mówię. — Chyba naprawdę wyjdę za niego.

— Możesz się nad tym zastanowić. Albo zachować dużą ostrożność przy czytaniu przed snem.

Uśmiecha się do mnie leniwie.

Muszę wyjść z pokoju tego faceta. Szybko. Wstaję, zaczynam przemierzać pokój, kiedy zauważam zdjęcie dziewczyny naklejone na lustrze nad biurkiem. Podchodzę bliżej, by się przyjrzeć. Dziewczyna ma czarne kręcone włosy zaczesane w koński ogon i poważny wyraz twarzy. Jest również całkiem ładna.

— Kto to jest?

— Moja była dziewczyna. Lindy. Miała naklejkę zrobioną w centrum handlowym. Teraz nie mogę jej odkleić.

— Dlaczego „była”? — Dlaczego o to pytam?

— Stała się zbyt niebezpieczna — odpowiada Jase. — Wiesz, teraz gdy o tym myślę, sądzę, że mogłem nakleić na nią coś innego.

— Mogłeś. — Pochyliłam się bliżej w stronę lustra, obserwując jej doskonałe rysy. — Co to znaczy niebezpieczna?

— Kradła w sklepach. Dużo. I na randki chciała chodzić tylko do centrów handlowych. Trudno nie wyglądać na pomocnika. Odsiadanie wyroku, oczekiwanie, by ktoś zapłacił za mnie kaucję, to nie jest mój ulubiony sposób na spędzanie wieczoru.

— Moja siostra też kradła — mówię, jak gdyby było istotne, że mamy coś wspólnego.

— Zabrała cię kiedyś ze sobą?

— Nie, dzięki Bogu! Umarłbym, gdybym wpadła w kłopoty.

Jase patrzy na mnie uważnie, jakby to, co powiedziałam, było warte uwagi.

— Nie, ty nie, Samantho. Nie umarłabyś. Po prostu wpadłabyś w tarapaty, po czym ruszyła dalej.

Stoi za mną, znowu zbyt blisko. Pachnie szamponem miętowym i czystą skórą. Zapewne każda

odległość jest zbyt mała.

— Tak, więc, muszę iść. Dom. Mam coś do zrobienia.

— Jesteś pewna?

Przytakuję energicznie. Właśnie kiedy wchodzimy do kuchni, trzaskają drzwi z siatką przeciw owadom i wchodzi pan Garrett, a za nim mały chłopiec. Mały, ale większy od George'a. Duff? Harry?

Jak wszystkich z rodziny, dotychczas widywałam ojca Jase'a tylko z daleka. Z bliska wygląda na młodszego, wyższego, z rodzajem charyzmy, która sprawia, że pokój robi wrażenie zatłoczonego tylko dlatego, że on w nim jest. Takie same falujące ciemnobrązowe włosy jak Jase'a, ale z szarymi, a nie jasnymi smugami. George podbiega i uczepia się nogi taty. Pani Garrett z uśmiechem podchodzi do niego od zlewu. Jest rozjaśniona tak, jak widziałam w szkole u dziewczyn, obserwując je zadržane przez zatłoczone sale.

— Jack! Wcześniej wróciłeś.

— Trafiliśmy na trzy godziny w sklepie, kiedy nikt nie przychodzi. — Pan Garrett odgarnia za ucho kosmyk włosów z jej twarzy. — Stwierdziłem, że lepiej byłoby wykorzystać czas, przeznaczając go na trochę więcej treningu z Jase'em, więc zgarnąłem Harry'ego od jego gry i wróciłem do domu.

— Chcę włączyć stoper! Chcę włączyć stoper! — wykrzykuje Harry.

— Moja kolej! Tatuś! Teraz moja kolej! — Twarz George'a czerwienieje.

— Nawet nie umiesz czytać cyfr — mówi Harry. — Nieważne, jak szybko biegnie, zawsze mówisz, że było jedenaście minut. Teraz moja kolej.

— Przyniosłem ze sklepu dodatkowy stoper — mówi pan Garrett. — Jesteś gotowy, Jasonie?

— Zaprosił Samanthę — zaczyna pani Garrett, ale przerywam, mówiąc:

— Właśnie wychodziłam.

Pan Garrett odwraca się do mnie.

— Och, cześć, Samantho. — Jego wielka dłoń zakrywa moją, a on patrzy na mnie uważnie, po czym się uśmiecha. — Więc to ty jesteś tą tajemniczą sąsiadką.

Szybko rzucam okiem na Jase'a, ale ma nieprzeniknioną minę.

— Jestem z sąsiedztwa. Ale nie ma w tym niczego tajemniczego.

— Cóż, dobrze przyjrzeć się bliżej. Nie wiedziałem, że Jase ma...

— Odprowadzę ją na zewnątrz, tato. Później będę gotowy do startu... dzisiaj zaczynam pierwszy, tak?

Gdy kierujemy się do drzwi kuchni, pani Garrett nakłania mnie, by ich odwiedzić.

— Cieszę się, że wpadłaś — mówi Jase, kiedy dochodzimy do końca podjazdu. — Przepraszam



jeszcze raz za George'a.

— Lubię George'a. Do czego się przygotowujesz?

— O, ech, sezon futbolowy. Jestem w tym roku tylnym obrońcą. Może dostanę stypendium, które, muszę przyznać, przydałoby się.

Stoję w upale, mrużąc oczy od słońca, zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć, jak dobrze się oddalić albo w ogóle oddalić, i niby dlaczego się tym kłopotę, gdy mamy nie będzie w domu całe godziny. Robię krok do tyłu, trafiam na plastikową łopatkę, potykam się.

Jase błyskawicznie wyciąga rękę.

— Powoli.

— Uf. W porządku. Ups. Dobrze. Do widzenia. — Po szybkim, nerwowym machnięciu, spieszę do domu.

Ups?

Boże, Samantho.

## Rozdział szósty

Flip i Tracy wrócili do domu, opaleni i wymięci, ze smażonymi małżami, piwem korzennym i długimi hot dogami z knajpy Clam Shack. Rozłożyli je na blacie w kuchni, zrobili przerwę, żeby objąć się nawzajem w pasie, uszczypnąć w tyłki i cmoknąć w ucho.

Szkoda, że tak wcześnie wróciłam od Garrettów. A właściwie dlaczego?

Tim wciąż chyba opiekuje się komórką Nan, gdyż kiedy do niej dzwonię, słyszę: „Słuchaj, Heidi, naprawdę nie powinniśmy znów się spotykać”.

— Mówi Samantha. Gdzie jest Nan?

— Na litość boską, przecież nie jesteśmy bliźniakami syjamskimi, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Czemu wciąż mnie o to pytasz?

— Nie wiem. Może dlatego, że wciąż odbierasz jej komórkę. Jest w domu?

— Chyba tak. Prawdopodobnie. Albo nie — odpowiada Tim.

Rozłączam się. Telefon stacjonarny jest zajęty, a Masonowie nie mają usługi oczekiwania na połączenie (według pani Mason „to tylko elektroniczny sposób na bycie nieuprzejmym”), więc postanawiam pojechać do Nan rowerem.

Tracy i Flip przenieśli się na kanapę w salonie, skąd dobiega chichot i szepty. Wchodząc do korytarza, słyszę gorączkowy szept Flipa:

— Mała, co ty ze mną wyprawiasz!

Opanowuję mdłości.

— Przy tobie tak dobrze mi w śroooooodkuu! — podśpiewuję głośno.

— Przestań! — woła Tracy.

Jest przypływ i upał, czyli słony zapach niesiony od zatoki jest silniejszy niż zwykle; niemal zagłusza bagienną woń rzeki. Dwie strony miasta. Uwielbiam je obie. Uwielbiam to, że zamykając oczy i biorąc głęboki oddech, mogę określić porę roku i dnia. Zamykam teraz oczy i wdycham gęste, ciepłe powietrze; po chwili dociera do mnie pisk i otwieram je akurat na tyle, by ominąć kobietę w różowym daszku i skarpetkach do sandałów. Stony Bay oblewa mały półwysep u ujścia rzeki Connecticut. Mamy szeroką przystań, więc turyści lubią nasze miasto. Latem jest tu trzykrotnie więcej ludzi, więc chyba nie powinnam jednak jeździć rowerem z zamkniętymi oczami.

Na moje pukanie Nan otwiera drzwi ze słuchawką telefonu przy uchu. Uśmiecha się, po czym przykłada palec do ust i brodą wskazuje salon, mówiąc jednocześnie do telefonu:

— Są państwo u mnie na pierwszym miejscu, więc naprawdę chciałabym wyprzedzić innych

kandydatów.

Kiedy wchodzę w drzwi Masonów, zawsze ogarnia mnie to samo uczucie: ze wszystkich stron otaczają mnie zadowolone twarze figurek gipsowych i tabliczki z irlandzkimi błogosławieństwami, a na wszystkich fotelach i nawet na telewizorze leżą serwetki. W łazience papier toaletowy kryje się pod tiulową różową spódnicą lalki o pustych oczach.

Na półkach nie ma książek, lecz figurki i zdjęcia Nan i Tima, w dzieciństwie rzeczywiście bardzo podobnych do siebie. Po raz kolejny przyglądam się im, podczas gdy Nan dyktuje przez telefon swój adres. Mała Nan i Tim przebrani za Mikołaja i panią Mikołajową; kilkuletnie dzieci z okrągłymi oczami i kędziorami przebrane za wielkanocne kurczaki. Nan i Tim w przedszkolu w bawarskich strojach. Zdjęcia kończą się raptownie, kiedy dzieci mają około ośmiu lat. O ile dobrze pamiętam, wtedy na czwartego lipca przebrano ich za wujka Sama i Betsy Ross, a Tim ugryzł fotografa.

Na zdjęciach są do siebie znacznie bardziej podobni niż teraz: oboje rudowłosi i piegowaci. Jednak, ponieważ życie jest niesprawiedliwe, Nan ma blade i sprane włosy blond oraz piegi na całym ciele, jak również jasne rzęsy. Timowi zostało tylko kilka piegów na nosie, a brwi i rzęsy ma ciemne, włosy zaś koloru ciemnej miedzi. Byłby naprawdę powalający, gdyby w ogóle mu na tym zależało.

— Rozmawiam z Columbią, proszę o przesłanie podania — wyjaśnia Nan szeptem. — Fajnie, że przysłałaś. Zapomniałam o całym świecie.

— Dzwoniłam do ciebie na komórkę, ale odebrał Tim, a on nie chciał cię poszukać.

— A to tam się podziela moja komórka! Boże, pewnie wykorzystał wszystkie swoje minuty i teraz wygaduje moje. Zabiję go.

— A nie możesz wejść na stronę Columbii i ściągnąć podanie? — szepczę, chociaż znam odpowiedź. Nan beznadziejnie radzi sobie z komputerem; zawsze otwiera mnóstwo aplikacji, których nie zamyka, więc system co chwila się zawiesza.

— Mój laptop znów przechodzi terapię Macho Mitcha. — Mitch to niewiarygodnie przystojny, chociaż nieco złowrogi spec od komputerów, który wpada do Nan naprawiać jej komputer. Według Nan facet wygląda jak Steve McQueen, którego jest fanką, dla mnie zaś to dość nadęty typ z obrażoną miną, gdyż wciąż musi naprawiać te same usterki.

— Dzięki, tak, a kiedy wyślecie formularz? — rzuca Nan do telefonu, podczas gdy Tim wchodzi do pokoju z włosami sterczącymi na wszystkie strony, w znoszonych spodniach od flanelowej piżamy w szkocką kratę i podkoszulku szkoły Ellery Prep Lactose. Nie patrząc na nas, podchodzi do figurek z arki Noego stojących na półce pod oknem i przestawia je w obsceniczne grupki.

Właśnie ustawił panią Noe i wielbłąda w kompromitującej, a przy okazji anatomicznie niewygodnej pozie, kiedy Nan kończy rozmowę.

— Miałam do ciebie zadzwonić — mówi. — Kiedy zaczynasz ratownictwo? Ja od przyszłego tygodnia siedzę w sklepie z pamiątkami.

— Ja też.

Tim ziewa głośno, drapie się po kłacie i stawia dwie mały i nosorożca obok siebie w nieprawdopodobnym trójkącie. Nawet z dużej odległości czuję, czym zalatuje: piwem i trawką.

— Mógłbyś przynajmniej przywitać się z Samantha, Timmy.

— Heeeeja, mała. Mam wrażenie, jakbyśmy rozmawiali ledwie kilka minut temu. A, faktycznie. Przecież gadaliśmy. Sorki. Nie wiem, gdzie się podziały moje maniery. Odkąd zbiegły się w praniu, już są nie te same. Chcesz trochę? — Wyciąga z kieszeni spodni fiolkę Visine i podaje mi.

— Nie, dzięki, ograniczam się — odpowiadam. Szare oczy Tima faktycznie potrzebują kropli. Nie znoszę przyglądać się, jak ktoś bystry i przenikliwy spędza życie na otepianiu się i rozmydłaniu sobie mózgu. Tim opada z jękiem na kanapę, dłonią zasłaniając oczy. Trudno sobie go przypomnieć sprzed czasów, kiedy startował do Betty Ford.

W dzieciństwie nasze rodziny często spędzały wspólnie weekendy na plaży Stony Bay. Wtedy Tim był mi wręcz bliższy niż Nan. Nan z Tracy czytały, opalały się, spacerowały po brzegu, lecz Tim nie bał się nigdy zapuścić głębiej i wciągał mnie za sobą w największe fale. To on także odkrył prąd odpływowy w potoku, który porywał nas i wyrzucał w morze.

— Co tam, mała, jak leci? — Unosi brwi i robi do mnie śmieszoną minę, wciąż rozparty na kanapie. — Charlie dostał amoku, bo ty nie dostałaś amoku na jego tle, wiesz, o co mi chodzi.

— Bardzo śmieszne, Timmy. Możesz się już zamknąć — gasi go Nan.

— Ale naprawdę... dobrze, że zerwałaś z Charleyem, Samantho. To palant. Ja też już się z nim nie przyjaźnię, gdyż to on uznał mnie za palanta, dziwne.

— Trudno uwierzyć — uznaje Nan. — Timmy, zmiataj do łóżka. Niedługo wraca mama, na pewno nie kupi twoich wykrętów, że wzięłaś za dużo benadrylu na alergię. Wie, że nie masz alergii.

— Właśnie że mam! — odpowiada Timmy głośno, z przesadnym oburzeniem. Z kieszeni koszuli wyciąga blanta i triumfująco macha do niej. — Mam alergię na zioło. — I wybucha śmiechem. Wymieniam spojrzenia z Nan. Tim jest na ogół naćpany i pijany. Ale w tej chwili emanuje nerwową, chorobliwą energią, która wskazuje na coś mocniejszego.

— Wyjdźmy stąd — mówię. — Chodźmy do centrum.

Nan kiwa głową.

— Do Doane? Potrzebuję lodów czekoladowych. — Porywa torebkę z miękkiego krzesła w kwiatki, pochyla się nad Timem, wciąż rozchichotany, i potrząsa nim. — Idź na górę — powtarza. — No już. Zanim zaśniesz.

— Nie zasnę, siostra. Oczy mi odpoczywają — mamrocze Tim.

Nan znów potrząsa jego ramieniem. Kiedy się odsuwa, Tim chwyta jej torebkę, zatrzymując szarpnięciem.

— Nano, siosterka... Nan, mała, potrzebuję czegoś — mówi ponaglająco, ze zrozpaczoną miną.

Nan unosi jasne brwi.

— Paczkę żelek od Doane, okej? Ale bez zielonych. One mnie przerażają.

## Rozdział siódmy

Na werandzie łapię Nan za rękę i ściskam ją.

— Wiem! — mówi. — Odkąd wykopali go z Ellery, jest znacznie gorzej. Całymi dniami tak siedzi, Bóg wie, co wyrabia nocami. Rodzice kompletnie nie zdają sobie sprawy z niczego. Mama łyka każde jego kłamstwo: „W torbie? To kocimiętka. Te tabletki? Aspiryna. Biały proszek? A to tylko sól”. Po czym za przekleństwa każe mu wrzucać kasę do skarbonki. A on natychmiast podbiera mi pieniądze z torebki. A tata...? Cóż. — Wzrusza ramionami.

Pani Mason jest najbardziej beztroską z wszystkich znanych mi osób. Zawsze zaczyna od: „No więc! Ojej! Cóż!”. Dla odmiany pan Mason rzadko się odzywa. W dzieciństwie miałam zabawkę — nakręcaną plastikową kaczkę z koszyka wielkanocnego; pan Mason mi się z nią kojarzył. Odkąd wracał do domu po pracy, do samej kolacji niemal nie ruszał się z kraciastego fotela; potem wracał na miejsce i siedział w nim do pójścia spać, wstając jedynie po to, żeby iść do pracy lub do stołu i wrócić.

— Ma nawet doniczkę Tima z własnymi kwiatkami, podlewa je płynem Miracle-Gro. Człowiek, który w latach osiemdziesiątych był młody, nie potrafi rozpoznać trawki? — śmieje się, ale z nutką hysterii w głosie. — Tim się topi, a my martwimy się kolorem jego kąpielówek.

— Nie możesz im powiedzieć? — pytam nie po raz pierwszy ani drugi, nawet nie setny. Ale kto to mówi? Sama też nie opowiedziałam mamie o Timie.

Nan śmieje się, ale nie odpowiada.

— Rano, kiedy zeszłam na śniadanie, tata mówił, że może Timowi trzeba szkoły wojskowej, żeby z niego zrobiła mężczyznę. Albo paru miesięcy w armii. Wyobrażasz sobie? Na pewno natychmiast tak by wkurzył oficerów, że wsadziliby go do jakiejś czarnej dziury i zapomnieli o jego istnieniu. Albo podłożyłby się pierwszemu lepszemu byczkowi i został pobity na śmierć. Albo wpakowałby się w kłopoty z żoną sierżanta i dostał kulkę w łeb od wściekłego męża.

— Jak to dobrze, że nie marnujesz czasu, zamartwiając się na zapas — stwierdzam.

Nan objęła mnie ramieniem.

— Tęskniłam za tobą, Samantha. Przepraszam. Daniel pochłaniał cały mój czas, wciąż latałam z nim na imprezy absolutoryjne, ale tak naprawdę uciekałam z domu.

— Co tu się dzieje? — Widzę, że nie może się doczekać, żeby mi wszystko opowiedzieć, chce się oderwać od problemów z Timem.

— Daniel... — westchnęła. — Może powinnam jednak durzyć się w Macho Mitchu i Stevie McQueenie. Nie wiem, co się z nim dzieje. Jest spięty, świruje na tle dostania się na MIT, ale wiesz, jaki z niego mózg — a szkoła zaczyna się dopiero za trzy miesiące. Przecież dopiero czerwiec. Facet

mógłby wyluzować.

— Pewnie. — Trąciłam ją ramieniem. — Ponieważ wiesz o tym wszystko, w końcu zamawiasz katalogi uczelni milisekundę po zakończeniu roku.

— I dlatego tak doskonale do siebie pasujemy, prawda? — odpowiada z lekkim grymasem. Kiedy skręcamy w Main Street, zrywa się wiatr i porusza liśćmi klonów rosnących wzdłuż ulicy, które wydają cichy, melodyjny szelest. Powietrze pachnie bujną zielenią, ma słony posmak. Kiedy zbliżamy się do Dark and Stormy, miejscowej hamburgerowni i baru, w drzwiach pojawiają się dwie osoby, mrużąc oczy w świetle słońca. Clay. I bardzo ładna brunetka w drogim kostiumie. Zatrzymuję się zaintrygowana; Clay obdarza kobietę szerokim uśmiechem, po czym pochyła się i całuje ją. W usta. Jednocześnie przesuwał ręką po jej plecach.

Chciałam zobaczyć jeszcze Claya Tuckera, jednak nie w takiej sytuacji.

— Co się dzieje, Samantho? — Nan ciągnie mnie za rękę.

„Co się dzieje?”. To nie był pocałunek francuski, ale na pewno też nie siostrzano-braterski.

— To nowy facet mojej matki. — Teraz Clay ściska kobietę za ramię i mruga do niej wciąż z uśmiechem.

— Twoja mama ma faceta? Żartujesz. Kiedy się to stało?

Kobieta śmieje się i przesuwa ręką po rękawie Claya.

Nan rzuca mi spojrzenie i mruga.

— Nie wiem, kiedy się poznali. To chyba coś poważnego. Znaczący tak wygląda, przynajmniej ze strony mamy.

Teraz brunetka, która, jak zauważyłam, ma przynajmniej dziesięć lat mniej niż mama, otwiera teczkę i podaje Clayowi szary folder. Ten przechyla głowę w stylu „Jesteś najlepsza”.

— Nie wiesz, czy jest żonaty? — pyta Nan ściszone głosem. Nagle dociera do mnie, że wciąż stoimy na chodniku i wyraźnie się na nich gapimy. W tej chwili Clay unosi wzrok i dostrzega nas. Macha do mnie ręką, najwyraźniej niezmiernie. „Jeśli zdradzasz moją mamę...” — myślę, po czym gubię wątek, bo właściwie niby co mogłabym zrobić?

— To chyba tylko koleżanka — podsuwa Nan bez przekonania. — No chodź na te lody.

Rzucam Clayowi ostatnie spojrzenie, z nadzieją, że zawarłam w nim niezawołowaną groźbę dotyczącą jego najwartościowszych części ciała, jeśli zdradza moją mamę. Potem ruszam za Nan. Co mogę zrobić?

Usiłuję wymazać Claya z myśli, przynajmniej do czasu powrotu do domu, zanim się zastanowię. Dzięki Bogu Nan nie podejmuje tematu.



Z ulgą docieram do Doane. Mieści się w budynku z dwuspadowym dachem niedaleko pomostu dzielącego ujście rzeki od oceanu. W cukierni u Doane'a kupowało się kiedyś cukierki za centa, kiedy jeszcze było to możliwe. Teraz klientów wabi Vargas, kurczak zjadający trójkolorowe karmelki — nadgryziony przez mole wypchany kurczak z prawdziwymi piórami, do którego trzeba wrzucić ćwierćdolarówkę, żeby uruchomić jego wściekle obsesyjne sesje dziobania. Z jakiegoś powodu turyści ciągną do niego, tak samo jak do dobrych lodów, krówek i ładnego widoku na latarnię morską.

Nan przeszukuje portmonetkę.

— Samantho, miałam dwadzieścia dolarów, a nie mam nic! Zabiję mojego brata!

— Nieważne — odpowiadam, wyjmując banknoty z kieszeni.

— Oddam ci — obiecuje Nan, biorąc ode mnie gotówkę.

— Nie ma problemu, Nan. Chcesz lody?

— Wreszcie. W każdym razie Daniel zabrał mnie wczoraj do kina do New Haven. Myślałam, że świetnie się bawiliśmy, ale on dopiero dzisiaj przysłał mi jednego SMS-a z tekstem: „LVYA”, zamiast normalnie napisać, że mnie kocha. Jak myślisz, o co chodzi?

Nigdy nie potrafiłam rozszyfrować Daniela. To jeden z tych cwaniaczków, przy których inni czują się głupcami.

— Może się spieszył?

— Pisząc do mnie? Wobec kogo powinien się najbardziej starać, jak nie wobec swojej dziewczyny? — Nan wrzuca do foliówki cukierki z piwem ziołowym, żelki misie i groszki słodowe. Terapia słodyczowa.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Wreszcie, nie patrząc na nią, wyrzucam z siebie to, co od dłuższego czasu chodzi mi po głowie:

— Przy Danielu zawsze wydajesz się zdenerwowana. Czy to normalne?

Nan zapatrzyła się na Vargasa, który pogrążył się w szaleństwie dziobania, już nawet nie chwytając cukierków, lecz wali głową jak w ataku padaczki.

— Nie wiem — odpowiada wreszcie. — Daniel to mój pierwszy chłopak na poważnie. Ty miałaś Charleya i Michaela. A nawet w ósmej klasie Taylora Oliveirę.

— Taylor się nie liczy, tylko raz się całowaliśmy.

— A wszystkim opowiadał, że zrobiliście wszystko! — odpowiada Nan, jakby to cokolwiek udowadniało.

— Fakt, zapomniałam. Co za książkę. Naprawdę był miłością mojego życia, to prawda. No i, jak film z Danielem?

Vargas podskakuje coraz wolniej, w końcu zatrzymuje się gwałtownie.

— Film? — odpowiada Nan z roztargnieniem — A, film... *Żal i litość*. W porządku jak na czarno-biały trzygodzinny film o hitlerowcach. Potem jednak poszliśmy do kawiarni, siedzieli tam studenci z Yale. Danielowi nagle odbiło, zaczął używać słów w stylu „tautologiczny” i „podteksty”.

Wybucham śmiechem. Chociaż Nan przyciągnął mózg Daniela, jego bufonowatość to powracający temat naszych rozmów.

— W końcu musiałam go wyciągnąć do samochodu i zacząć całować, żeby przestał gadać.

Zanim wypowiedziała słowo „całować”, wyobraziłam sobie usta Jase’a Garretta. Ładne usta. Pełna dolna warga, jednak nie nadęta ani naburmuszona. Odwracam się do Nan, schylonej nad galaretkami, z delikatnymi jasnymi włosami zatkniętymi za uchem i ułamanym paznokciem w ustach. Nos ma lekko opalony, z obłazącą skórą, a piegi są ciemniejsze niż tydzień temu. Otwieram usta, żeby powiedzieć: „Poznałam chłopaka...”, ale jakoś nie potrafię. Nawet Nan nigdy się nie dowiedziała, że podglądałam Garrettów. Nie robiłam z tego sekretu przed nią, po prostu nigdy się nie zgadało. Poza tym... „Poznałam chłopaka”? To może znaczyć wszystko i nic. Odwracam się do słodczy.

— Jak myślisz — pyta Nan — kupimy Timowi żelków? To ty trzymasz kasę.

— No dobrze, kupimy, ale tylko te straszne zielone.

Nan z głośnym szelestem zamyka torebkę.

— Samantho, co z nim zrobimy?

Z głośnym szumem sypię do białej papierowej torebki kaskadę żelków o smaku zielonego jabłuszka i przypominam sobie czasy, kiedy mieliśmy po siedem lat. Poparzyła mnie meduza. Tim płakał, gdyż matki — jego i moja — nie pozwoliły mu nasikać mi na nogę, co jak słyszał, jest antidotum na jad. „Ale mam, mam moc, żeby ją uratować!” — szlochał. Przez lata te słowa funkcjonowały między nami jako żart: „Nie zapominaj, że mam moc, żeby cię uratować!”. A teraz chłopak nie potrafi uratować samego siebie.

— Poza nadzieją, że to żelki magiczne? — odzywam się. — Nie mam pojęcia.

## Rozdział ósmy

Następnego dnia po południu zrzucam na naszym ganku służbowe buty, chcąc się przebrać, gdy słyszę panią Garrett.

— Samantha! Samantha, mogłabyś podejść tu na sekundę?

Stoi na końcu naszego podjazdu, trzymając w ramionach Patsy. George, ubrany jedynie w bokserki, stoi obok niej. Dalej w górze podjazdu czai się za wozem Harry, trzymając w rękach jedną z tych dysz, które przyczepia się do węża ogrodowego, widocznie bawi się w snajpera.

Gdy podchodzę bliżej, widzę, że pani Garrett znów karmi piersią Patsy. Uśmiecha się do mnie szeroko i mówi:

— Hej, Samantho... Tak się zastanawiałam. Jase mówił mi, jak wspaniale poradziłaś sobie z George'em... i zastanawiałam się, czy czasem... — Przerywa nagle, przyglądając mi się z bliska rozszerzonymi oczami.

Spuszczam wzrok. Och. Uniform.

— To mój strój roboczy. Mój szef go zaprojektował. — Nie wiem, dlaczego zawsze to dodaję, poza obawą, że w innym wypadku, do diabła, zostałam przyłapana martwa w niebieskiej mini i koszulce z marynarskim kołnierzykiem.

— Mężczyźni... — mówi sucho pani Garrett.

Kiwam głową.

— Naturalnie. W każdym razie... — zaczyna mówić w pośpiechu. — Zastanawiałam się, czy czasem nie byłabyś zainteresowana opieką nad dziećmi? Jase nie chciał, bym cię pytała. Obawiał się, że pomyślisz, że zwabił niczego niepodejrzewającą dziewczynę do naszego domu, abym mogła wykorzystać ją dla własnych potrzeb. Jak jakaś zrozpaczona matczyna wersja białego niewolnictwa.

Śmieję się.

— Nie pomyślałam tak.

— Oczywiście, ty nie. — Znów się uśmiecha. — Wiem, że każdy musi przypuszczać, że tak postępuję, że pytam każdą napotkaną dziewczynę, czy zajmuje się dziećmi, ale tak nie jest. Bardzo mało ludzi od razu dobrze radzi sobie z George'em, a Jase powiedział, że tobie udało się natychmiast. Oczywiście mogę poprosić starsze dzieci, ale nie cierpię wzbudzać w nich poczucia, że tego oczekuję. Alice, na przykład, zawsze to robi, chociaż to olbrzymi ciężar.

Mówi szybko, jednak jest zdenerwowana.

— Jase nigdy nie odmawia, ale jego praca w sklepie komputerowym i treningi zajmują mu najwięcej czasu, więc naprawdę ostro pracuje z wyjątkiem jednego popołudnia w tygodniu i, oczywiście, części weekendu. W każdym razie, potrzebuję czasem tylko paru godzin.

— Będzie dobrze — mówię. — Nie mam za bardzo doświadczenia, ale uczę się szybko i cieszyłabym się z opieki nad dziećmi.

Dopóki nie powiem matce.

Pani Garrett patrzy na mnie z wdzięcznością, po czym odstawia Patsy od jednej piersi i po rozpięciu czegoś tam, przenosi ją do drugiej. Patsy zawodzi na znak protestu. Pani Garrett przewraca oczami.

— Lubi tylko jedną stronę — zwierza się. — Bardzo niewygodne.

Jeszcze raz przytakuję, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Dzięki wyczerpującemu powiedzeniu mojej matki: „Twoje ciało się zmienia”, mam pojęcie o seksie i ciąży, ale jednak mgliste pojęcie o pielęgnacyjnej reszcie. Dzięki Bogu!

W tym momencie George wtrąca:

— Wiesz, że jeśli rzucisz pensa ze szczytu Empire State Building, możesz kogoś zabić?

— Wiem. Ale nigdy się to nie zdarza — mówię szybko. — Ponieważ ludzie na tarasie widokowym są naprawdę, naprawdę ostrożni. I jest duża plastikowa osłona.

Pani Garrett kiwa głową.

— Jase ma rację. Masz znakomite podejście.

To miłe, że Jase myśli, że zrobiłam coś dobrze.

— W każdym razie — kontynuuje pani Garrett — mogłabyś przychodzić raz, może dwa razy w tygodniu po południu, jeśli nie koliduje to z twoją letnią pracą?

Zgadzam się, mówię, jaki mam rozkład zajęć, nawet zanim zaproponuje mi więcej, niż zarabiam w Breakfast Ahoy. Po czym pyta, jeszcze raz patrząc trochę nieśmiało, czy miałabym coś przeciwko, żeby zacząć od dzisiaj.

— Oczywiście, że nie. Tylko się przebiorę.

— Nie przebieraj się. — George wyciąga rękę, dotykając mojej spódnicy brudnym palcem. — Lubię to. Wyglądasz jak Czarodziejka z Księżyca.

— Obawiam się, że bardziej jak Barbie z Księżyca, George. Muszę się przebrać, ponieważ pracowałam w tym ubraniu cały poranek i pachnie jajkami na bekonie.

— Lubię jajka na bekonie — mówi mi George. — Ale — jego twarz się chmurzy — wiesz, że bekonem jest — łyzy napływają mu do oczu — Wilbur?

Pani Garrett natychmiast siada obok niego.

— George, przerabialiśmy to. Pamiętasz? Wilbur nie został przerobiony na bekon.

— Tak, zgadza się. — Pochyliłam się również, ponieważ wilgoć przelewa się po rzesach George'a. — Pajęczycy Charlotte go uratowała. Miał długie i szczęśliwe życie — z córkami Charlotte, hm, Nelly i Uranią, i...

— Joy — stwierdza pani Garrett. — Ty, Samantha, jesteś urodzoną opiekunką. Mam nadzieję, że nie kradniesz w sklepach.

Kaszlę.

— Nie. Nigdy.

— Zatem bekon jest z Babe, mam? Jest ze Świnki z klasą?

— Nie, nie, Babe wciąż pasie owce. Bekon nie jest z Babe. Bekon jest robiony tylko z naprawdę złośliwych świń, George. — Pani Garrett głaszcząc go po włosach, po czym ociera mu łzy.

— Złych świń — wyjaśniam.

— Są złe śwynie? — George wygląda na zdenerwowanego. Ups.

— Cóż, śwynie, hmmm, bez duszy. — Też brzmi nieźle. Zastanawiam się nad dobrym wyjaśnieniem. — Jak zwierzęta, które nie rozmawiają w Narnii.

Głupia. George ma cztery lata. Miałby już znać Narnię? Wciąż jest na poziomie *Ciekawskiego George'a*. Ocenzonego.

Ale zrozumienie rozświetla jego twarz.

— Aha. Zatem w porządku. Bo naprawdę lubię bekon.

Gdy wracam, George stoi już w nadmuchiwanym basenie, podczas gdy Harry leje wodę do środka. Pani Garrett sprawnie zdejmuje Patsy pieluszkę, ciągnąc za jakiś rodzaj bufiastych plastikowych spodni z małymi słoneczkami.

— Ach, prawda, nie poznałaś jeszcze Harry'ego. Harry, to przyjaciółka Jase'a, Samantha, będzie się wami zajmować jakiś czas.

Jak zostałam przyjaciółką Jase'a? Rozmawiałam z nim dwa razy. Wow, czy pani Garrett aż tak różni się od mojej matki?

Harry, który ma zielone oczy, ale dość proste ciemnobrązowe włosy i mnóstwo piegów, patrzy na mnie prowokująco.

— Umiesz skoczyć tyłem do wody?

— No. Tak.

— Nauczysz mnie? Od razu?

Pani Garrett przerywa.

— Harry, omawialiśmy to. Samantha nie może zabrać cię na duży basen, ponieważ musi mieć na oku mniejsze dzieci.

Harry wyduł wargi.

— Mogłaby zostawić Patsy w Baby-Björn, tak jak ty to robisz, i iść do wody. Mogłaby trzymać

George'a za rękę. On całkiem dobrze pływa w pływakach.

Pani Garrett spogląda na mnie przeprasząco.

— Moje dzieci spodziewają się od każdego wielozadaniowości do ekstremalnego stopnia. Harry, nie. Ten basen albo nic.

— Ale umiem już pływać. Pływam naprawdę dobrze. A ona potrafi skoczyć tyłem do wody. Mogłaby mnie nauczyć skakać tyłem do wody.

W czasie, gdy noszę dziecko i trzymam George'a za rękę? Musiałbym być naprawdę Czarodziejką z Księżyca.

— Nie — powtarza stanowczo pani Garrett. Po czym zwraca się do mnie: — Bądź ze stali. Po prostu powtarzaj „nie”. W końcu przestanie.

Zabiera mnie do domu, pokazuje, gdzie są pieluszki, zaprasza, żebym częstowała się wszystkim, co jest w lodówce, daje mi numer swojego telefonu komórkowego, wskazuje listę numerów alarmowych, ostrzega przed poruszaniem tematu tornad przy George'u, wskazuje do furgonetki i odjeżdża.

Zostawiając mnie z Patsy, która próbuje ściągnąć mi koszulkę, George'em, który chce, bym wiedziała, że nigdy nie powinno się dotykać błękitno upierścienionej ośmiornicy, i Harrym, który wygląda tak, jakby chciał mnie zabić.

Rzeczywiście, nie będzie źle.

Przeważnie unikałam opieki nad dziećmi. To nie tak, że nie lubię dzieci, ale nie cierpię tych krępujących momentów. Nigdy nie chciałam mieć do czynienia ze spóźnionymi, przepraszącymi rodzicami albo uciążliwą jazdą do domu z tatusiem usiłującym nawiązać rozmowę. Ale opieka nad dziećmi Garrettów jest całkiem łatwa. Zabieram je do naszego domu, więc mogę uruchomić zraszacz ogrodowy, taki skomplikowany stojący miedziany kręcioł. Harry, na szczęście, jest zachwycony i wraz z George'em spędzają półtorej godziny, bawiąc się nim, po czym skaczą tyłem do dziecięcego basenu, podczas gdy Patsy siedzi mi na kolanach, obgryzając mój kciuk dziąsłami i śliniąc mi rękę.

Skończyłam robić przekąski i zaganiam dzieci z powrotem na zewnątrz do basenu, gdy podjeżdża motocykl i zatrzymuje się.

Odwracam się z dreszczem oczekiwania, ale to nie Jase. To Joel, który zsiada z motocykla, opiera się o niego i przyjmuje pozę „patrz i podziwiał”. Czego mam całkowicie dosyć w Breakfast Ahoy.

— George. Harry. Kogo przyprowadziliście do domu? — pyta Joel. Jest przystojny, ale trochę za bardzo i dobrze o tym wie.

— To jest Czarodziejka z Księżyca — mówi George. — Wie wszystko na temat czarnych dziur.

— I skacze tyłem do wody — dodaje Harry.

— Ale nie możesz jej mieć, ponieważ ona wyjdzie za Jase'a — kończy George.

Cudownie.

Joel wygląda na całkowicie zaskoczonego.

— Jesteś przyjaciółką Jase'a?

— Cóż, nie do końca, to znaczy, niedawno się poznaliśmy. Jestem tu jako opiekunka.

— Ale była w jego pokoju — dodaje George.

Joel unosi na mnie brew.

Znowu rumieniec na całym ciele. Zbyt widoczny w bikini.

— Tylko zajmuję się dziećmi.

George łapie mnie wokół pasa, całuje w pępek.

— Nie. Jesteś Czarodziejką z Księżyca.

— Więc, skąd jesteś? — Joel krzyżuje ramiona na piersi, opierając się tyłem o motocykl.

George i Harry biegną z powrotem do miedzianego zraszacza. Na jednym biodrze trzymam Patsy, ale ona wciąż próbuje ściągnąć górę mojego bikini.

— Przenieś ją na drugą stronę — sugeruje Joel bez mrugnięcia okiem.

— Och. Racja.

Patsy, dziecko preferujące jedną pierś.

— Co mówiłaś? — Joel wciąż opiera się leniwie tyłem o motocykl.

— Mieszkam obok.

— Jesteś siostrą Tracy Reed?

Oczywiście. Naturalnie nie przeoczyłby Tracy. Podczas gdy ja jestem jasnowłosa, Tracy jest blondynką. Ja mam słomiane włosy i rodzaj miodowych piegów po tacie, podczas gdy Tracy jest jasną blondynką z bladą skórą. Ona, niesprawiedliwie, wygląda, jakby nigdy nie widziała słońca, mimo że większość lata spędza na plaży.

— Tak. — Wtedy nagle zastanawiam się, czy moja siostra również utrzymuje potajemne kontakty z Garrettami. Ale Joel nie ma jasnych włosów, a to na równi z dobrym bekhendem główny wymóg Tracy wobec chłopaka, więc prawdopodobnie nie. Dla pewności pytam: — Grasz w tenisa?

Joel wygląda na niewzruszonego tym nielogicznym, niemającym sensu pytaniem, bez wątplenia zadawanym przez speszone dziewczyny.

— Kiepsko. — Wyciąga ręce po Patsy, która najwyraźniej postanawia w tym momencie, że nieważne, do której piersi się dobierze. Jej małe palce zdecydowanie powracają na mój top.

— Tak, skórzana kurtka prawdopodobnie spowalnia twój powrotny wolej. — Podaję mu dziecko.

Oddaje udawany salut.

— Czarodziejka z Księżycą i mądrała. Miło.

Właśnie wtedy na podjazd z piskiem opon wjeżdża dziup. Alice otwiera drzwi, sięgając za siebie, by wyplątać pasek torebki z rączki skrzyni biegów i szarpie ją do siebie. W tej chwili włosy ma jaskrawoniebieskie, ściągnięte z boku w koński ogon. Ma na sobie czarną bluzkę bez pleców i bardzo krótkie spodenki.

— Znałeś wynik, Cleve — warczy do kierowcy samochodu. — Wiedziałeś, gdzie stanąłeś.

Prostuje się, idąc zamaszystym krokiem do kuchennych drzwi i zatrząskując je za sobą. W przeciwieństwie do braci jest niewielka, ale to nie zakłóca jej charakterystycznej aury władzy.

Cleve, facet o łagodnym wyglądzie w spodenkach kąpielowych z hawajskim nadrukiem i koszuli PacSun, nie wygląda, jakby ogarniał sytuację. Osuwa się za kierownicę.

Joel oddaje Patsy z powrotem w moje ręce i podchodzi do samochodu.

— Pech, chłopie — mówi do Cleve'a, który przechyla głowę w potwierdzeniu, ale nic nie odpowiada.

Wracam do zraszacza i siadam. George rzuca się obok mnie.

— Wiedziałeś, że tarantula jedząca ptaki jest tak duża jak twoja ręka?

— Jase nie ma tarantuli, prawda?

George uśmiecha się do mnie swoim najbardziej słonecznym uśmiechem.

— Nie. Miał jedną o imieniu Agnes, ale ona — jego głos opada żałośnie — umarła.

— Jestem pewna, że jest teraz w tarantulowym niebie — zapewniam go pospiesznie, wzdrygając się na myśl, jak ono może wyglądać.

Furgonetka pani Garrett zatrzymuje się za motocyklem, wypluwając z siebie, jak sądzę, Duffy'ego i Andy'ego, obu czerwonych na twarzach i smagłych od wiatru. Sądząc po ich kamizelkach ratunkowych, byli na obozie żeglarskim.

George i Harry, moi lojalni fani, chwala przed matką moje osiągnięcia, podczas gdy Patsy natychmiast wybuchą łzami, celuje oskarżający palec w jej stronę i zawodzi: „Aaaam”.

— To było jej pierwsze słowo. — Pani Garrett bierze ją ode mnie, nie zważając na wilgotny kostium kąpielowy Patsy. — Z książki dla niemowląt.



## Rozdział dziewiąty

Bez mamy i Tracy wieczorem w domu jest tak cicho, że mogę liczyć dźwięki. Łoskot lodu upuszczanego z zamrażarki do pojemnika. Zmiana prędkości klimatyzacji. I nagle hałas, którego się nie spodziewałam. Leżałam właśnie w swoim pokoju, zegar pokazywał dziesiątą wieczorem, a ja zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć coś mamie o tej kobiecie z Clayem. I wtedy rozległy się rytmiczne odgłosy, łomot z zewnątrz pod moim oknem. Otwieram je, wyłażę, patrząc w dół i dostrzegam Jase'a. Wali młotkiem, przybijając coś do kratki. Patrzy do góry z paznokciem w ustach i macha do mnie.

Miło go widzieć, ale to trochę dziwne.

— Co robisz?

— Obluzowała się. — Wyjmuje palec z ust, zajmuje pozycję przy kratce i ponownie zaczyna walić młotkiem. — Wyglądało to niebezpiecznie.

— Dla mnie czy dla ciebie?

— Zgadnij. — Stuka ostatni raz, kładzie młotek na trawie, w kilka sekund wspina się po kratce i siada obok mnie. — Podobno moja rodzina cię zaangażowała. Przepraszam.

— Wszystko dobrze. — Przesuwam się lekko do tyłu. Znowu jestem w koszuli nocnej, co w tej sytuacji wydaje się niestosowne.

— Rodzina to najlepsza rzecz, jaką mam, ale może być trochę... — przerywa, jakby szukając słowa — przytłaczająca.

— Nie daję się tak łatwo przytłoczyć.

Jase zerka na mnie, jego zielone oczy lustrują moją twarz.

— No. Nie dajesz, prawda?

Nagle myślę, że siedząc tu z nim, mogę być, kimkolwiek chcę. Potem zauważam, jak coś przesuwa mu się na ramieniu.

— Co to?

Jase obraca głowę na bok.

— A, masz na myśli Herbie? — Łapie i ściąga ze swojego ramienia wiewiórkę, królika — coś futerkowego.

— Herbie?

— Lotopałanka karłowata. — Podaje mi jej łapkę; teraz przypomina latającą puchatą wiewiórkę z dużym czarnym pasem na plecach i czarnymi cieniami wokół oczu.

Głaszczę ją niepewnie po głowie.

— Kocha to. Bardzo lubi dotyk. — Jase przesuwa drugą rękę, tak że Herbie jest ukołyszana

w dwóch dłoniach. Jego ręce są szorstkie i sprawne. Jase Garrett wydaje się taki męski, nie chłopięcy.

— Jesteś czymś w rodzaju... doktora Dolittle'a czy co?

— Po prostu lubię zwierzaki. A ty?

— Cóż, tak, ale... Nie mam zoo w pokoju.

Zagląda przez ramię w moje okno i kiwa głową.

— No, faktycznie nie masz. Schludny pokój. Zawsze taki jest?

Czuję, że muszę się bronić, po czym bronię się przed tym poczuciem.

— Zazwyczaj. Czasami...

— Bywasz trochę szalona i nie odwieszasz szlafroka? — sugeruje.

Wiadomo było, że to się zdarzy — siedzi tak blisko, że czuję jego oddech na policzku. Motyle w brzuchu znów dają o sobie znać.

— Podobno jesteś Czarodziejką z Księżyca.

— Tak. Kilka godzin z twoją rodziną i poczułam nadprzyrodzone moce.

— Będiesz musiała je poczuć. — Odchyła się, kładąc sobie Herbie na brzuchu i opierając się na łokciach. — W dodatku skaczesz do wody na plecy.

— Owszem. Drużyna pływacka.

Jase, patrząc na mnie, powoli kiwa głową. Wszystko, co robi, wygląda na tak przemyślane i celowe. Podejrzewam, że jestem przyzwyczajona do chłopaków, którzy działają pod wpływem impulsu. Charley, który myślał tylko o seksie, i Michael z jego nastrojami, albo szczęśliwy, albo w głębokiej rozpacz.

— Chcesz popływać? — pyta w końcu Jase.

— Teraz?

— Teraz. W naszym basenie. Jest tak gorąco.

Powietrze jest parne i ciężkie, aż gęste. Zastanówmy się. Pływanie. Wieczorem. Z chłopakiem. Praktycznie nieznanym. I to Garrettem.

Oszłamiające, ile zasad matki właśnie łamię. Siedemnaście lat wykładów, rozmów i przypominania: „Pamiętaj, jak to wygląda, Samantho. Nie tylko, jak to wygląda. Dokonuj przemyślanych wyborów. Zawsze zastanawiaj się nad konsekwencjami”.

Mija mniej niż siedemnaście sekund, a ja mówię:

— Tylko włożę strój.

Pięć minut później stoję w ogrodzie pod oknem swojej sypialni, czekając nerwowo na Jase'a, by wrócił po przebraniu się w kąpielówkę. Wciąż patrzę w kierunku naszego podjazdu, wystraszona, czy nie dojrzę szerokiego ruchu reflektorów samochodu Claya, odwożącego moją matkę, która znajdzie

mnie, jak stoję w czarnym tankini tam, gdzie się mnie nie spodziewa.

Zamiast tego słyszę cichy głos Jase'a.

— Hej — mówi, wchodząc w ciemnościach na mój podjazd.

— Nie masz znów Herbie, prawda?

— Nie, nie przepada za wodą. Chodź. — Prowadzi mnie wokół naszej dwumetrowej barykady z powrotem na dół do domu Garrettów, przez podjazd na ich podwórko do wysokiego zielonego łańcucha otaczającego ich basen.

— Okej — mówi. — Dobrze się wspinasz?

— Dlaczego mamy się wpinać? To twój basen. Dlaczego nie przejdziemy przez furtkę?

Jase składa ramiona, opiera się plecami o ogrodzenie i uśmiecha się, aż jego zęby błyszczą biało w ciemnościach.

— To fajniejszy sposób. Jeśli łamiesz zasady, poczujesz to.

Patrzę na niego podejrzliwie.

— Nie jesteś jednym z tych narwańców, którzy dla jaj pakują dziewczynę w kłopoty, prawda?

— Nie. Wspinaj się. Podsadzić cię?

Mogłam skorzystać, ale nie przyznałam się. Wkładam palce nóg w ogniwa łańcucha i wspinam się do góry, czepiając się z drugiej strony, chroniąc przed upadkiem. Jase jest przy mnie prawie natychmiast. Dobry wspinacz. Naturalnie, myślę, przypominając sobie o pergoli.

Spada z pluśnięciem tam, gdzie znajdują się podwodne światła. W basenie pływa kilka nadmuchiwanych zabawek, o co moja mama zawsze lamentuje. „Nie wiedzą, że powinni je wyjąć, bo filtr przestanie działać? Bóg wie, jak zapaskudzony jest ten basen”.

Ale nie wygląda to niehigieniczne. To piękny, rozżarzony nocny szafir. Nurkuję na prawo, płynę do końca, wynurzam się, żeby nabrać powietrza.

— Jesteś szybka — woła Jase ze środka basenu. — Ścigamy się?

— Jesteś jednym z tych, którzy muszą pokonać dziewczynę, żeby dowieść, jakimi są macho?

— Zdaje się — zauważa Jase — że znasz wielu wkurzających ludzi. Jestem tylko sobą, Samantha. Ścigamy się?

— Zgoda.

Nie pływałam od roku. Praktyki zajmowały mi zbyt dużo czasu i mama dała mi szlaban. Wciąż jednak pływam, gdy tylko mogę. I wciąż jestem szybka. On wciąż wygrywa. Dwa razy. Później ja, jeden raz. Potem pływamy wokół.

W końcu Jase wspina się na górę, wyciąga z dużego drewnianego pojemnika dwa ręczniki i rozkłada je na trawie. Padam na jeden, kierując wzrok w nocne niebo. Jest okropnie gorąco, wilgoć zaciska się wokół mnie jak palce.

Jase leży obok mnie.

Szczerze mówiąc, czekam, że to on zacznie. Charley Tyler sięgnąłby do góry mojego kostiumu kąpielowego szybciej niż Patsy. Ale Jase podkłada ramię za głowę, patrząc w górę na niebo.

— Co to? — pyta, wskazując.

— Co?

— Mówiłaś, że interesujesz się gwiazdami. Powiesz mi, co to jest?

Mrużę oczy, skupiając się na punkcie, który wskazuje jego palec.

— Smok.

— A to?

— Gemma.

— A tam?

— Skorpion.

— Naprawdę jesteś astrofizyczką. A co to tam?

— Węgielnica.

Pęka ze śmiechu.

— Naprawdę?

— Jesteś jedynym, który tarantulę nazwał Agnes. Tak, naprawdę.

Przekręca się na bok, by na mnie spojrzeć.

— Skąd wiesz o Agnes?

— Od George'a.

— No jasne. George mówi wszystko.

— Jest super — odpowiadam.

Okej, teraz jego twarz jest blisko mojej. Jeśli podniosłabym głowę i trochę przechyliła? Ale nie robię tego, nie zamierzam być jedną z tych dziewczyn. Nigdy nią nie byłam i nie zamierzam się zmienić. Za to patrzę na Jase'a, zastanawiając się, czy on się przysunie. Po czym zauważam szeroką smugę reflektorów na naszym podjeździe.

Zrywam się.

— Muszę lecieć do domu. Powinam już w nim być.

Mówię wysokim, spanikowanym głosem. Moja matka zawsze przed zaśnięciem sprawdza mój pokój. Biegnę do ogrodzenia z łańcucha, walę o furtkę i czuję ręce Jase'a na mojej talii, podnoszącego mnie tak wysoko, że wystarczy rzut jedną nogą ponad ogrodzeniem.

— Spokojnie. Zdążysz. Nie martw się. — Jego głos jest cichy, kojący. Prawdopodobnie tak uspokaja zwierzęta.

Spadam po drugiej stronie i biegnę na kratkę.

— Samantho!

Obracam się, chociaż mogę dostrzec tylko czubek jego głowy ponad ogrodzeniem.

— Uważaj na młotek. Wciąż leży w trawie. Dzięki za zawody.

Kiwam głową, macham szybko ręką i biegnę.

## Rozdział dziesiąty

— Samantha! Samantha. — Tracy wpada do mojej sypialni. — Gdzie jest twój granatowy top?

— W szufladzie, Tracy. Dlaczego pytasz? — odpowiadam słodko. Tracy pakuje się na wyjazd do Martha's Vineyard — pół godziny przed przyjazdem Flipa. Typowe. Uważa za prawo pierworodnej zabieranie moich ubrań, na które ma ochotę, pod warunkiem że właśnie nie mam ich w tym czasie na sobie.

— Biorę go, dobra? Tylko na lato — dostaniesz z powrotem na jesieni, obiecuję.

Szarpie, otwierając moją szufladę, szukając po omacku wśród ubrań, wyciąga nie tylko niebieski top, ale parę białych.

— Jasne, ponieważ jesień to pora, kiedy naprawdę będę potrzebować topów. Odłóż je.

— Słuchaj! Potrzebuję więcej białych bluzek... strasznie dużo będziemy grać w tenisa.

— Słyszałam, że podobno w Vineyard ostatnio mają nawet sklepy.

Tracy przewraca oczami i wkłada koszulki z powrotem, odwracając się, by wrócić do swojego pokoju. W zeszłym roku uczyła tenisa w B&T i nagle uświadamiam sobie, że nie tylko w domu, ale i tam będzie bez niej dziwnie. Moja siostra tak naprawdę już poszła swoją drogą.

— Będę za tobą tęsknić — mówię, gdy migiem zwija sukienki z wieszaków, upychając je na łapucapu w walizce mamy, wcale nie przeszkadza jej widoczny na niej monogram GCR.

— Będę wysyłać ci kartki. — Przechodząc do łazienki, otwiera powłóczkę na poduszkę. Przypatruję się, jak zbiera do niej z półki prostownicę do włosów, lokówkę i elektryczną szczoteczkę do zębów. — Mam nadzieję, że tak naprawdę nie będziesz za mną tęsknić, Samantho. To wakacje przed twoim ostatnim rokiem w szkole. Zapomnij o mamie. Wyluzuj biust. Ciesz się życiem.

Macha do mnie wymownie swoim zestawem antykoncepcyjnym.

Fuj. Nie potrzebuję pomocy wizualnych o życiu seksualnym mojej siostry.

Wrzuca zestaw do powłóczki i zawiązuje ją. Po czym jej ramiona opadają, a na twarzy nagle ukazuje się wyraz bezradności.

— Obawiam się, że zabrnęłam z Flipem zbyt daleko. Spędzić z nim całe lato? Niezbyt kuszące.

— Lubię Flipa — mówię.

— Taaak, też go lubię — mówi krótko. — Ale chcę go lubić tylko do końca sierpnia. Idzie na studia na Florydę. Ja wybieram się do Vermontu.

— Samoloty, pociągi, samochody? — sugeruję.

— Nie cierpię tych niechlujnych długodystansowców, Samantho. W dodatku zastanawiasz się, czy nie ma w kampusie jakiejś dziewczyny, o której nie wiesz, i robisz z siebie idiotkę.

— Trochę zaufania, Tracy. Flip sprawia wrażenie całkowicie ci oddanego.

Wzdycha.

— Wiem. Któregoś dnia przyniósł mi na plażę magazyn i FrozFruit. To było takie słodkie. Wtedy zdałam sobie sprawę, że może zabrnęłam zbyt daleko.

Ups.

— Nie widzisz po prostu, jak to wszystko się układa?

Tracy uśmiecha się żałośnie.

— Zdaje mi się, że gdy spotykałaś się z Charleyem, miałaś coś w rodzaju harmonogramu z każdym ruchem, który pozwoliłaś mu wykonać.

— Charley musiał mieć harmonogram albo przed pierwszą randką próbowałyby seksu w priusie taty na naszym podjeździe.

Tracy chichocze.

— Był strasznym napaleńcem. Ale te dołeczki... Naprawdę się z nim przespałaś?

— Nie. Nigdy. — Jak może nie pamiętać? Trochę to boli. Pamiętam każdy szczegół życia intymnego Tracy, w tym te traumatyczne wakacje dwa lata temu, gdy spotykała się z trzema braćmi, łamiąc dwóm serca i zostając gruntownie rozbita przez trzeciego.

Flip trąbi klaksonem na podjeździe, coś, co mama ogólnie potępia, ale w jego wykonaniu jakoś to znosi.

— Rety! Spóźnię się... muszę iść! Kocham! — Tracy zbiega po schodach głośno jako stado słońi w butach do stepowania. Nigdy nie rozumiałam, jak moja drobna, szczupła siostra potrafi robić tyle hałasu na schodach. Obejmuje mamę ramionami, ściska ją chwilę, rzuca się do drzwi i krzyczy: — Idę, Flip! Jestem warta czekania, obiecuję!

— Wiem, lalczko! — odkrzykuje Flip.

Tracy podbiega do mnie ponownie, całuje hałaśliwie w policzek, cofa się.

— Masz pewność co do tych białych bluzek?

— Tak. Idź! — mówię, więc zakręciwszy spódnicą oraz trzaskając drzwiami, wychodzi.

— Taaak, w sierpniu w Stony Bay High będzie test kompetencji zawodowych — mówi Nan, gdy idziemy do B&T. Zatrzymałyśmy się w Doane i siorbie swój koktajl lodowo-ciasteczkowy, a ja chrupię lód ze swojego napoju z limonką.

— Bądź wciąż w moim sercu. Jest lato, Nan. — Wystawiam twarz do słońca, wdycham głęboko ciepłe powietrze. Odpływ. Rozgrzany zapach rzeki.

— Wiem — odpowiada. — Ale to tylko jeden poranek. Kiedy zdawałyśmy ostatnim razem, miałam grypę żołądkową i dostałam tylko sto dziewięćdziesiąt. Nie najlepiej. Nie na Columbię.



— Nie możesz zdawać online? — Lubię szkołę i lubię Nan, ale po prostu nie mogłabym tak szybko myśleć o średniej ocen i wynikach testu do czasu Świąta Pracy.

— To nie to samo. Nadzorowany jest przebieg i wszystko. Warunki są dokładnie takie jak na rzeczywistym teście. Mogłybyśmy zrobić go razem. Byłoby zabawnie.

Uśmiecham się do niej i sięgam, by spróbować jej koktajlu.

— To twój pomysł na zabawę? Nie mogłybyśmy zamiast tego po prostu popływać w wodzie rojącej się od rekinów?

— Proszę. Wiesz, że koszmarnie boję się takich rzeczy. Pomogłoby mi to poćwiczyć w rzeczywistych warunkach. A zawsze czuję się lepiej, wiedząc, że tam jesteś. Zapłacę nawet za ciebie. Proooszę, Samantha?

Mruczę, że o tym pomyślę. Doszliśmy do B&T, gdzie przed rozpoczęciem pracy musimy wypełnić papierki. I jest inna rzecz, którą też chcę zrobić.

Pocę się lekko, gdy rozglądając się wokół z miną winowajczyni, pukam do drzwi biura pana Lennox.

— Wejść! — woła pan Lennox. Patrzy zaskoczony, gdy zaglądam do środka. — O, cześć, panno Reed. Wiesz, że zaczynasz od przyszłego tygodnia.

Wchodzę do biura i jak zwykle myślę, że pan Lennox powinien otrzymać mniejsze biurko. Jest niewysoki i wygląda, jakby masywny blat z rzeźbionego dębu połykał go w całości.

— Wiem — mówię, siadając. — Właśnie wypełniłam papiery. I zastanawiałam się... Potrzebuję... mam nadzieję wrócić w tym roku do pływania w zespole. Więc chcę potrenować. Zastanawiałam się, czy może mogłabym przychodzić godzinę wcześniej, przed otwarciem, i pływać w basenie olimpijskim? — Pan Lennox beznamiętnie odchyła się w krześle. — To znaczy, mogę korzystać z oceanu czy rzeki, ale muszę zejść z czasem i łatwiej będzie, jeśli będę pewna pokonanego dystansu i szybkości.

Splata palce pod nosem.

— Basen jest otwarty od dziesiątej rano.

Próbuję nie pozwolić opaść ramionom. Pływanie w nocy z Jase'em, wyścigi, nawet przypadkowe, zrobiły mi tak dobrze. Nienawidziłam rezygnacji pływania w drużynie. Moje stopnie z matematyki i nauk ścisłych w ciągu semestru jesiennego pogorszyły się, zatem mama nalegała. Ale może jeśli poświęcę czas i naprawdę mocno się postaram...

Pan Lennox mówi dalej:

— Z drugiej strony, twoja matka jest nieocenioną członkinią naszej rady nadzorczej... — odejmuje palce od twarzy i uśmiecha się nieznacznie. — I zawsze byłaś bardzo dobrą pracownicą. Możesz korzystać z basenu... pod warunkiem, że będziesz postępować zgodnie

z pozostałymi zasadami: brać prysznic, używać czepka i nie opowiadać innym o naszej umowie.

Podskakuję.

— Dziękuję, panie Lennox. Obiecuję, nie będę. To znaczy, zrobię wszystko, co pan mówi.

Dziękuję.

Gdy wychodzę, na zewnątrz czeka Nan. Gdy widzi mój uśmiech, mówi:

— Zdajesz sobie sprawę, że to jest prawdopodobnie jedyny raz w jego całym życiu, gdy Lennox nagina zasady? Nie wiem, czy mu gratulować, czy współczuć.

— Naprawdę się cieszę — mówię.

— Pływanie zawsze dobrze ci robiło — zgadza się Nan. — A teraz może spadła ci forma?

— dodaje od niechcienia. — Dobrze ci to robi.

Odwracam się, by na nią spojrzeć, ale odeszła już kilka kroków, kierując się z powrotem do holu.

Następnego dnia w Breakfast Ahoy mam nocną zmianę, od dziewiątej do pierwszej, zamiast od szóstej do jedenastej. Postanawiam więc zrobić sobie koktajl, podczas gdy mama marszczy brwi, odsłuchując wiadomości z telefonu. To pierwszy raz, kiedy naprawdę widzę ją w tych dniach i zastanawiam się, czy nie pora już powiedzieć jej o Clayu. Właśnie decyduję, że tak, kiedy zamyka telefon i otwiera drzwi lodówki, stukając sandałem w podłogę. Zawsze to robi przed lodówką, jakby oczekiwała, że miska truskawek wykrzyknie: „Zjedz mnie!” albo sok pomarańczowy wyskoczy i naleje się do szklanki.

Klap. Klap. Klap.

To również jej ulubiona metoda na ciszę tak głośną, że ktoś musi zacząć mówić, by ją wypełnić. Znowu otwieram usta, ale ku mojemu zdziwieniu mama odzywa się pierwsza.

— Kochanie. Myślę o tobie.

I mówi to w taki sposób, że po prostu nie mogę sobie poradzić.

— O moich planach na lato? — pytam i natychmiast czuję się winna sarkazmu w moich słowach.

Mama wyjmuje karton jajek, patrzy na niego, odstawia do lodówki.

— Tak, oczywiście. Te wybory nie będą łatwe. To nie tak, jak za pierwszym razem, kiedy startowałam, gdy moim jedynym przeciwnikiem był ten pomyłony liberał. Jeśli nie będę ciężko pracować, mogę utracić fotel. Dlatego jestem tak wdzięczna Clayowi. Muszę skoncentrować się i wiedzieć, że wy, dziewczyny, jesteście pod opieką. Tracy... — Przytupuje mocniej. — Clay myśli, że nie powinnam się martwić. Pozwolić jej jechać. Przecież na jesieni pojedzie do college’u. Ale ty? Jak mogę wyjaśnić tak, żebyś zrozumiała?

— Mam siedemnaście lat. Rozumiem wszystko. — Znowu błyska mi Clay i ta kobieta. Jak to

poruszyć? Pochyliłam się za nią nad truskawkami.

Mama wyciąga rękę i trzepie mnie palcem w policzek.

— To wtedy, gdy mówisz takie rzeczy, przypominam sobie, jak jesteś młoda. — Po czym jej twarz łagodnieje. — Wiem, że trudno będzie ci przyzwyczać się do nieobecności Tracy. Mnie również. Wokół będzie cicho. Rozumiesz, że całe lato mam zamiar ciężko pracować, prawda, skarbie?

Przytakuję. W domu już teraz brakuje śpiewu Tracy pod prysznicem albo stukotu jej stóp po schodach, jakby waliła młotkiem.

Mama wyjmuje z lodówki filtrowaną wodę i wlewa do czajnika.

— Clay mówi, że przerastam tę pozycję. Mogę być ważna. Mogę być kimś więcej niż kobietą z funduszem powierniczym, który kupił jej drogę do władzy.

Kiedy wygrała pierwszy raz, ukazało się wiele artykułów opisujących to szczegółowo. Czytałam je skrzywiona i ukrywałam gazety, mając nadzieję, że mama nigdy ich nie zobaczy. Ale, oczywiście, czytała je.

— Od tak dawna nikt nie patrzył na mnie, widząc naprawdę mnie — dodaje nagle, stojąc z filtrowaną wodą. — Twój ojciec... myślałam, że to było to. Ale potem... po nim... robisz się zajęta i coraz starsza... i nikt więcej już na ciebie tak nie patrzy. Ty i Tracy... Ona jesienią odjedzie do college'u. Potem ty to zrobisz. I myślę... Teraz kolej na mnie? Gdzie się podziała moja szansa? Clay szybko pogodził się z faktem, że mam kilkunastoletnie córki. On widzi mnie, Samantho. Nie potrafię ci powiedzieć, jak mi z tym dobrze.

Odwraca się i patrzy na mnie. Nigdy nie widziałam jej tak... promiennej.

Jak mogę powiedzieć: „Ej, mamó, przypuszczam, że może on spotyka się też z inną”?

Myślę o Jasie Garretcie, który zdaje się rozumieć pewne sprawy bez konieczności ich wyjaśniania. Czy mama czuje się tak z Clayem? Proszę, niech facet nie okaże się jakimś ohydny kobieciarzem.

— Cieszę się, mamó — mówię. Naciskam blender i kuchnia wypełnia się hałasem miksowanych truskawek i lodu.

Odgarnia mi włosy z czoła, odstawia filtrowaną wodę i stoi obok mojego łokcia do czasu, kiedy wyłączam mikser. Zapada cisza.

— Wy dwie, ty i Tracy — mówi w końcu do moich pleców — to najlepsze, co kiedykolwiek mi się przytrafiło. Osobiście. Ale życie to więcej niż sprawy osobiste. Nie chcę, żebyście były jedyną rzeczą, która kiedykolwiek mi się przytrafiła. Chcę... — Jej głos oddala się i obracam się, by ujrzeć, jak spogląda przed siebie w coś, czego nie dostrzegam. Nagle odczuwam strach o nią. Gdy tak stoi z rozmarzonym wyrazem twarzy, wydaje się kobietą — nie moją matką, królową odkurzacza, która przewraca oczami na Garrettów. Tak naprawdę spotkałam Claya dwa razy. Zgaduję, że jest czarujący,

ale najwyraźniej tata też był. Mama zawsze mówiła gorzko: „Wasz ojciec był czarujący” — tak jakby czar był jakąś niedozwoloną substancją, której użył, by straciła dla niego głowę.

Odchrząkuję.

— Tak — mówię, mam nadzieję, że tonem obojętnym, a nie dociekliwym, jakbym chciała zdobyć informacje. — Jak dużo wiesz o Clayu Tuckerze?

Mama zwraca na mnie oczy.

— Dlaczego pytasz, Samantha? Dlaczego cię to obchodzi?

To dlatego nie mówię wprost. Wbijam łyżkę w swój koktajl, rozgniatając kawałki truskawek.

— Tak się zastanawiam. Wydaje się...

Jak potencjalna katastrofa? Młodszy? Prawdopodobnie nietaktownie to poruszyłam. Jest na to taktowny sposób?

Więc nie kończę zdania — zazwyczaj mama stosuje tę metodę, by namówić nas do opowiedzenia o wszystkim. Niewiarygodne, to działa w drugą stronę.

— Dobrze, jedno, co wiem, to że przeszedł długą drogę jak na stosunkowo młodego człowieka. Podczas ostatniej kampanii doradzał NRC, odwiedzał G.W. Busha na jego ranczo w Crawford...

Cóż, ech. Tracy zwykła dokuczać mamie z powodu nabożnego tonu, którego używała, ilekroć wymawiała imię naszego poprzedniego prezydenta: „Mama się durzy w naczelnym dowódcy sił zbrojnych!”.

Zawsze byłam tym zbyt przestraszona, żeby dokuczać.

— Clay Tucker jest prawdziwym człowiekiem czynu — mówi teraz. — Nie mogę uwierzyć, że poświęca czas na moją małą kampanię.

Wkładam z powrotem truskawki do lodówki, po czym dłużej łyżką w moim koktajlu, szukając reszty owoców, które uszły mikserowi.

— Jak skończył w Stone Bay?

„Zabrał ze sobą żonę? Ukochana z rodzinnego miasta?”

— Kupił rodzicom letni domek na Seashell Island.

Mama otwiera lodówkę i przekłada truskawki z drugiej półki, na której je postawiłam, na trzecią.

— Tej małej wyspie w dole rzeki. Wypalił się trochę, więc przyjechał tu nieco odpocząć — uśmiecha się. — Potem przeczytał o moim wyścigu i nie mógł się powstrzymać, żeby się nie zaangażować.

W kampanię? Czy w mamę? Może jest kimś w rodzaju tajnego agenta, szukającego sposobów, by ją zdyskredytować. Ale to nigdy by nie zadziało. Nie ma żadnych trupów w szafie.

— To dobrze? — Wybieram truskawkę i pożeram ją. — Że jakby spotykacie się... a on, hm, doradza ci? Myślałam, że tak nie wypada.

Mama zawsze niezwykle rygorystycznie oddzielała działalność polityczną od spraw osobistych. Kilka lat temu Tracy zapomniała przynieść pieniądze, by zapłacić za łyżwy u McKinskeya Rinka, a facet, który o tym poinformował, zwolennik mamy, powiedział, żeby się tym nie przejmować. Następnego dnia mama zaprowadziła tam Tracy i zapłaciła pełną cenę, chociaż Tracy ślizgała się po godzinach.

Marszczy brwi.

— Jesteśmy pełnoletni, Samantho. Nie mam męża, on nie ma żony. Nie łamiemy żadnych reguł.

— Podnosi brodę, zakładając ramiona. — Nie podoba mi się twój ton.

— Ja... — Ale już podeszła do drzwi od szafy i wyciągnęła odkurzacz, podkreślając go do kojącego ryku 747.

Zajmuję się swoim koktajlem, zastanawiając się, w jaki sposób mogłam załatwić to lepiej. Mama praktycznie prześwieciła Charleya i Michaela, nie wspominając o niektórych coraz bardziej wątpliwych wyborach Tracy. Gdy jednak chodzi o nią...

Odkurzacz wydaje nagle gardłowy krztuszący dźwięk i zamiera. Mama potrząsa nim, wyłącza, odłącza od sieci, próbuje jeszcze raz, ale na nic.

— Samantho! — krzyczy. — Wiesz coś o tym? — Co, wiem z długiego doświadczenia, oznacza: „Jesteś za to odpowiedzialna?”.

— Nie, mamó. Wiesz, że nigdy go nie dotykam.

Potrząsa nim oskarżycielsko jeszcze raz.

— Wczoraj wieczorem działał bez zarzutu.

— Nie używałam go, mamó.

Nagle zaczyna wrzeszczeć.

— W takim razie, co jest z nim nie w porządku? Najlepsza pora, żeby się popsuł! Clay przychodzi na obiad, z potencjalnymi sponsorami kampanii, a pokój zrobiony jest tylko do połowy.

Trzaska odkurzaczem.

Jak zwykle, salon jest nieskazitelnie czysty. Nawet trudno powiedzieć, którą stronę właśnie odkurzyła.

— Mamó. Będzie dobrze. Nawet nie zauważą.

Kopie odkurzacz, piorunując mnie wzrokiem.

— Ja zauważę!

Dobra.

— Mamó. — Jestem przyzwyczajona do jej nastrojów, ale to wydaje się przesadą. Nagle gwałtownie wyłącza odkurzacz z sieci, zabiera go, przechodzi przez pokój i wyrzuca przez frontowe drzwi. Sprzęt ląduje na podjeździe, roztrzaskując się. Wpatruję się w nią.

— Nie musisz być w pracy, Samantha?

## Rozdział jedenasty

Moja praca jest wyjątkowo wkurzająca, gdyż przychodzą do mnie Charley Tyler i banda chłopaków ze szkoły. Z Charleyem zerwałam po przyjacielsku, ale wciąż oznacza to mnóstwo docinków typu: „A co to ja widzę przez moją super lunetę?” oraz żarcików na temat wspinania się na maszty innych chłopaków. Rzecz jasna siadają przy jednym z moich stolików — numer osiem — i co chwila wysyłają mnie po wodę, dodatkowe masło lub ketchup, po prostu dlatego, że mogą.

W końcu szykują się do wyjścia. Dzięki Bogu zostawiają spory napiwek. Wychodząc, Charley mruga do mnie i pokazuje dołeczki w policzkach.

— Oferta masztu nadal jest aktualna, Sammy-Sam.

— Spadaj, Charley.

Sprzątam ich straszliwie zaśmiecony stół, kiedy ktoś pociąga mnie za pasek spódnicy.

— Dzieciaku.

Tim jest nieogolony, rudawe włosy ma rozczochrane, a na sobie ubranie, w którym widziałam go ostatnio: flanelowe spodnie od pizamy, niepasujące do letniego upału. Najwyraźniej jeszcze nie wrzucono ich do pralki.

— Hejka. Potrzebuję hajsu, burżujko.

Te słowa pieką. Tim wie, a przynajmniej kiedyś wiedział, jak nie znoszę tej etykiety, którą przyczepiały mi dzieciaki z przeciwnych drużyn pływackich.

— Nie dam ci kasy, Tim.

— Bo wydam na drinka, co? — pyta wysokim, sarkastycznym głosem, jaki przybiera mama, mijając bezdomnych przy okazji wizyt New Haven. — Wiesz, że niekoniecznie. Może wydam na blanty. Albo jeśli będziesz hojna, a do mnie szczęście się uśmiechnie, jakaś laska mi obciągnie. No już, daj mi pięć dych.

Opiera się o kontuar, zakłada ramiona i unosi podbródek w moją stronę. Konfrontacja? Nagle rzuca się w kierunku kieszeni mojej spódnicy, do której chowam napiwki.

— Dla ciebie to nic. Cholera, Samantha, nawet nie wiem, po co ci ta robota. No już, rzuć kilka dolców.

Odskakuję tak nagle, że tani materiał spódnicy o mało się nie rozerwał.

— Daj spokój, Tim! Wiesz, że nic ci nie dam.

Kręci głową.

— A kiedyś byłaś w porządku. Kiedy zamieniłaś się w taką sukę?

— Kiedy ty zamieniłeś się w dupka! — Przeciskam się obok niego z tacą pełną brudnych naczyń.

Do oczu napływają mi łzy. „Nie próbuj” — upominam siebie samą. Ale Tim znał mnie kiedyś lepiej

niż ktokolwiek inny.

— Jakieś kłopoty? — pyta kucharz Ernesto, unosząc wzrok znad sześciu patelni, na których smaży coś jednocześnie. Breakfast Ahoy to nie restauracja ze zdrowym jedzeniem.

— Jeden taki palant. — Ze szczękiem zrzucam naczynia do pojemnika.

— Nic nowego. Cholerne miasto pełne palantów i rozwydrzonej młodzieży...

Ups... Niechcący wprowadziłam Ernesto w tryb oburzonej tyrady. Wyłączam się, wysyłam mu wymuszony uśmiech i wracam stawić czoło Timowi, lecz dostrzegam jedynie błysk brudnych spodni w kratę i słyszę trzask zamykanych drzwi. Na stole przy drzwiach leży kilka monet, kolejne kilka na podłodze. Reszta mojego napiwku zniknęła.

Kilka dni po rozpoczęciu siódmej klasy w Hodges, zanim wyleciał Tim, zapomniałam pieniędzy na obiad, więc poszłam poszukać Tracy lub Nan. Wpadłam na Tima, zaszytego w krzakach z największym z możliwych ćpunów w Hodges — Tima, którego dotąd uważałam za równie odpornego na taki towar jak ja czy Nan. Prowodyrem tej grupy był Drake Marcos, ćpun z ostatniej klasy, zawsze w otoczeniu dobranej asysty. Niezłe osiągnięcie niczym wypracowanie szkolne.

— O, to siostra Tracy Reed. Wyluzuj, siostró Tracy Reed. Wydajesz się spięta. Luzik — odezwał się Drake.

Inne dzieciaki wybuchnęły śmiechem, jakby powiedział najlepszy dowcip. Zerknęłam na Tima, wpatrzonego w swoje stopy.

— Odrobina szaleństwa, siostró Tracy Reed. — Drake wyciągnął w moją stronę torebkę czegoś — nawet nie wiedziałam, co to.

Wybąkałam jakąś wymówkę, że muszę wracać do klasy, czego Drake nie omieszkał opatrzyć dłuższym komentarzem, przerywanym chóralnymi wybuchami śmiechu swoich lojalnych wyznawców.

Odeszłam parę kroków, po czym odwróciłam się i zawołałam Tima, który wciąż gapił się w swoje mokasyny.

— No chodź!

Wtedy dopiero spojrzał na mnie.

— Odwal się, Samantha.



## Rozdział dwunasty

Otrząśnięcie się po wizycie Tima zabiera mi chwilę, ale w Breakfast Ahoy wypadki następują szybko po sobie i to pomaga.

Dzisiaj jednak wszystko się sypie.

Rano odwiedza nas także kobieta, która z oburzeniem przyjmuje wiadomość, że jej pies mieszaniec nie może usiąść z nią przy stole, jak również mężczyzna z dwoma kilkuletnimi bachorami, które rzucają we mnie papierkami po dżemie i cukrze, a do pojemnika z serwetkami wyciskają musztardę i ketchup. Idąc do domu, sprawdzam wiadomości na komórce — jedna jest od mamy, wciąż mówiącej poirytowanym głosem, proszącej mnie o sprzątnięcie domu. „Doprowadź go do błysku” — mówi z naciskiem. I dodaje: „I ulotnij się, bo Clay przyprowadzi sponsorów”.

Mama nigdy dotąd nie chciała się pozbyć mnie z domu. Czy to dlatego, że zapytałam o Claya? Idę podjazdem, zastanawiając się nad tym, po czym widzę odkurzacza, wciąż leżący jak włóczęga.

— Samantha! — woła Jase znad płotu. — Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakby ci dzisiaj wiały przeciwne wiatry!

— Proszę, oszczędź sobie marynarskich żarcików. Już je wszystkie słyszałam.

Podchodzi bliżej, uśmiechnięty, kręcąc głową. Dzisiaj w białym T-shircie wydaje się jeszcze bardziej opalony.

— Z pewnością. Na pewno wszystko dobrze? Wydajesz się taka... rozmamłana, a to u ciebie rzadkie.

Opowiadam mu o sprzątaniu domu i zniknięciu z niego.

— Na dodatek — dodaję, kopiąc odkurzacza — zepsuł się.

— To mogę naprawić, tylko skoczę po narzędzia. — Zanim zdążę coś powiedzieć, wybiega. Wchodzę do domu, zrzucam z siebie strój żeglarski i nakładam lekką niebieską sukienkę. Nalewam lemoniadę, kiedy Jase puka do drzwi.

— W kuchni!

Wchodzi z odkurzaczem w ramionach, jakby niósł ofiarę wypadku; z kciuka zwisa mu torebka z narzędziami.

— W której części domu nie jest czysto?

— Moja mama ma hopla na punkcie czystości.

Jase kiwa głową, unosi brwi, ale nie komentuje. Stawia odkurzacza na płytkach, otwiera skrzynkę i pochyla się nad nią, chyba szukając właściwego narzędzia. Gapię się na mięśnie na jego ramionach i nagle ogarnia mnie przemożna chęć, żeby przesunąć po nich palcami. Przerażające. Zamiast tego pryskam na blat odkażaczem i atakuję go ręcznikiem papierowym. „Spadaj, przekłeta plamo”.

Po niespełna pięciu minutach Jase naprawił odkurzacz. Winowajcą okazała się spinka do mankietu Claya. Usuwam z myśli obraz mamy wyrywającej spinkę z rękawa w ataku żądy. Potem Jase pomaga mi na nowo doprowadzić parter do nieskazitelnego wyglądu.

— Trudno stwierdzić, czy w ogóle coś robię, skoro tu i tak jest idealnie — mówi, sięgając ssawką pod poduszki na fotelu, podczas gdy ja poprawiam już symetrycznie leżące poduchy na narzucie. — Może warto by sprowadzić George’a i Patsy, dać im plastelinę, farby do twarzy, a potem zrobić brownie, żeby mieć później co sprzątać.

Kiedy skończyliśmy, Jase pyta:

— O której musisz wracać wieczorem?

— O jedenastej — odpowiadam nieco zbity z tropu, gdyż jest dopiero popołudnie.

— No to bierz kurtkę i strój kąpielowy.

— Co robimy?

— Masz się ulotnić, prawda? Zgubimy się w tłumie u mnie w domu, a potem coś wymyślimy.

Jak zwykle kontrast między podwórkiem Garrettów a naszym jest ogromny — czuję się jak Dorotka wchodząca z czarno-białego filmu w Technikolor. Alice gra we frisbee z jakimś gościem, z basenu dobiegają stłumione piski i okrzyki, Harry sieka piłkę do skakania raketą tenisową. Alice podaje frisbee do Jase’a, który łapie je z łatwością i odrzuca obcemu gościowi — to nie Cleve znający wyniki, lecz postawny typ piłkarza. Słyszę, jak pani Garrett mówi głośno z okolicy basenu:

— George! Co ja ci mówiłam o sikaniu do wody?

Potem drzwi z siatki otwierają się z hukiem i wypada z nich Andy, niosąca z pięć różnych strojów kąpielowych.

— Alice! Musisz mi pomóc!

Alice unosi wzrok do nieba.

— Po prostu weź pierwszy lepszy, Andy. Będzie dobrze. To tylko randka.

Andy, ładna czternastolatka z aparatem na zębach, kręci głową z miną, jakby miała się zaraz rozplakać.

— To randka z Kyle’em. Z Kyle’em! Alice, nigdy żaden chłopak się ze mną nie umówił, wreszcie się zdarzyło, a ty nie chcesz nawet pomóc.

— Co jest, Ands? — Jase podchodzi do niej.

— Kyle Comstock. Ten z obozu żeglarskiego. Od trzech lat przez całe wakacje gapię się na niego, omal łódki nie wywróciłam. Zaprosił mnie na plażę, a potem do Clam Shack. Alice kompletnie nie chce pomóc, a mama mówi tylko, żebym się posmarowała filtrem.

Alice zniecierpliwiona kręci głową.

— Chodź, Brad, idziemy się zmyć. — Po czym razem z piłkarzem kieruje się do basenu.

Jase przedstawia mnie Andy, która obraca na mnie niespokojne piwne oczy.

— Pomożesz mi? Na pierwszą randkę nie powinno się być zmuszonym do nakładania stroju kąpielowego. To nie fair.

— Racja — przyznaję. — Pokaż, co tam masz.

Andy rozkłada na ziemi stroje kąpielowe.

— Trzy jednoczęściowe i dwa komplety bikini. Mama mówi, że bikini jest już niemodne. A ty jak myślisz, Jase?

— Na pierwszą randkę na pewno nie bikini — kiwa głową. — Na pewno jest taka zasada. Albo powinna być. W każdym razie dla moich sióstr.

— Jaki on jest? — pytam, przeglądając pozostałe stroje.

— Kyle? Oj, no wiesz. Doskonały. — Macha rękami.

— Andy, może trochę więcej szczegółów? — pyta Jase sarkastycznie.

— Zabawny. Sportowy typ. Lubiany. Słodki, ale zachowuje się tak, jakby o tym nie wiedział. Taki typ, który wszystkich rozśmiesza, ale nie stara się o to przesadnie.

— Ten — wskazuję na czerwony kostium marki Speedo.

— Dziękuję. A po pływaniu? Mam się przebrać w sukienkę? Pomalować się? Jak ja mam z nim rozmawiać? Dlaczego ja się na to zgodziłam? Nie cierpię małży!

— Kup sobie hot doga — radzi jej Jase. — Są tańsze, chłopak to doceni.

— Nie maluj się, nie potrzebujesz — dodaję. — Zwłaszcza po plaży. Nałóż na włosy odżywkę, żeby wyglądały na mokre. Sukienka to dobry pomysł. I zadawaj mu dużo pytań o niego.

— Uratowałaś mi życie, będę ci wdzięczna całą wieczność — mówi Andy z żarem i biegnie z powrotem do domu.

— Fascynujące — zauważa Jase półgłosem. — Jak wybrałaś strój?

— Powiedziała, że to typ sportowca — odpowiadam. Skóra na karku zaczyna mnie mrowić na dźwięk jego głosu tuż przy moim uchu. — Plus jej ciemne włosy i opalenizna pasują do czerwonego. Chyba jestem zazdrosna. Mama mówi, że blondynkom czerwony nie pasuje.

— A ja myślałem, że superześlarka może wszystko. — Jase otwiera drzwi kuchni i gestem zaprasza mnie do środka.

— Niestety moja moc jest ograniczona.

— Możesz sprawić, żeby ten Kyle Comstock okazał się dobrym facetem? To by była bardzo użyteczna moc.

— Chciałabym — odpowiadam. — Przydałaby mi się taka moc do wykorzystania na facecie

mojej mamy. Ale niestety.

Bez dalszych słów Jase kieruje się ku schodom, a ja, jak ofiara zahipnotyzowana przez węża, idę za nim do jego pokoju. W korytarzu natykam się na Duffa, gapiącego się na mnie szeroko otwartymi oczami. Ma kasztanowe włosy Garrettów, dość długie, i okrągłe zielone oczy. Jest mocniej zbudowany niż Jase i znacznie niższy.

— Voldemort uciekł — oznajmia.

— Cholera. — Jase wydaje się zdenerwowany, co jest dziwne, jako że Harry Potter nie jest żadną nowością. — Wyjmowałeś go z klatki? — Jase dwoma krokami dopada drzwi swojego pokoju.

— Tylko na minutę, chciałem sprawdzić, czy już zrzucił skórę.

— Duff, trzeba było pomyśleć. — Jase pada na kolana i zagląda pod łóżko i komodę.

— A Voldemort to...? — zagaduję Duffa.

— Wąż zbożowy Jase'a. Wymyśliłem mu imię.

Całą siłą woli powstrzymuję się, żeby nie wskoczyć na komodę. Jase grzebie teraz w skrytce.

— Lubi buty — rzuca przez ramię.

„Wąż Voldemort i w dodatku fetyszysta butów. Cudownie”.

— Iść po mamę? — Duff stoi już w drzwiach.

— Nie. Mam go. — Jase wynurza się ze skrytki z pomarańczowo-biało-czarnym węzem owiniętym wokół ramienia. Odsuwam się kilka kroków.

— Jest bardzo nieśmiały, Samantho. Nie bój się. I całkowicie nieszkodliwy. Prawda, Duff?

— Absolutna — zapewnia mnie z powagą Duff. — Wężę zbożowe zwykle są niedoceniane jako zwierzęta domowe. W rzeczywistości są bardzo łagodne i inteligentne, tyle że mają złą opinię. Jak szczury i wilki.

— Wierzę ci na słowo — mamroczę, obserwując, jak Jase odwija sobie węża i wsuwa do klatki, gdzie gad zwija się w wielką, złowrogą bransoletkę.

— Mogę ci wydrukować coś o nich z Internetu, jeśli chcesz — zapewnia mnie Duff. — Z węzami zbożowymi trzeba uważać tylko na to, że w stresie mogą narobić.

— Duff, proszę, idź już — mówi Jase.

Duff wychodzi ze spuszczoną głową. Do pokoju wkracza Joel w obcisłej czarnej koszulce, jeszcze ciaśniejszych czarnych dzinsach i irytacją na twarzy.

— Miałeś go naprawić. Za dziesięć minut odbieram Giselle.

— Działał — odpowiada Jase.

— Ale już nie działa. Spójrz na niego.

Jase patrzy na mnie przepaszająco.

— To motocykl. Chodź ze mną, sprawdzę.

I znów już po kilku minutach stukotu, odkręcania i dokręcania śrubek motocykl z warkotem wraca do życia. Joel wskakuje na siodełko, mówi coś, co może być podziękowaniem, ale słowa giną w warkocie silnika, po czym odjeżdża.

— Jak to się stało, że taki jesteś we wszystkim dobry? — pytam Jase'a, który wyciera zatłuszczone ręce w szmatkę ze skrzynki z narzędziami.

— We wszystkim — powtarza z namysłem.

— W naprawianiu. — Wskazuję motocykl i mój dom — przypomnienie odkurzacza.

— Tata prowadzi sklep żelazny. To daje mi nieuczciwą przewagę konkurencyjną.

— Ale to także tata Joela — zauważam. — A jednak to ty naprawiłeś motocykl. I zajmujesz się wszystkimi zwierzętami.

Zielone oczy Jase'a spotykają moje spojrzenie; jego powieki przymykają się.

— Chyba lubię rzeczy wymagające czasu i uwagi. Takie są więcej warte.

Nie wiem dlaczego, na te słowa oblewam się rumieńcem.

W tej chwili wpada Harry.

— O, superżeglarka, nauczysz mnie skoku do wody tyłem? Teraz, dobrze?

— Harry, Samantha nie musi...

— W porządku — wtrącam szybko, zadowolona, że nie muszę roztapiać się w słońcu na podjeździe. — Wezmę tylko kostium.

Harry to uczeń pełen entuzjazmu, chociaż skoki przodem w jego wykonaniu najczęściej wyglądają tak, że wyciąga ręce nad głowę i wali brzuchem w wodę. Wciąż każe mi pokazywać, więc skaczę po raz kolejny tyłem do basenu, podczas gdy pani Garrett pluska się w płytkim końcu z George'em i Patsy. Jase przepływa kilka okrążeń, potem stoi w miejscu, przyglądając się nam. Alice i jej Brad najwyraźniej przenieśli się gdzieś indziej.

— Wiesz, że orki rzadko zabijają ludzi? — woła George ze stopni.

— Tak, słyszałam.

— Nie lubią smaku ludzkiego mięsa. A wiesz, że najbardziej niebezpieczne dla ludzi rekiny to ludojad, tygrysi, młot i żarłacz?

— Wiem, George — mówię, kładąc Harry'emu dłoń na plecach, żeby zgiął się pod właściwym kątem.

— Ale w basenie ich nie ma — dodaje Jase.

— Jase, jak myślisz, czy powinniśmy przejść się na obiad do Clam Shack, żeby sprawdzić, jak idzie Andy? — pyta pani Garrett.

— Człaby się upokorzona, mamó. — Jase opiera się o brzeg basenu z łokciami na betonowej obudówce.

— Wiem, ale randka w jej wieku! Nawet Alice zaczynała w wieku piętnastu lat.

Jase zamyka oczy.

— Mamo, obiecałaś, że w tym tygodniu już nie będę się musiał nikim zajmować. Samantha też nie musi zaraz wracać do domu.

Pani Garrett marszczy brwi.

— Wiem. Ale Andy jest taka... niedojrzała jak na czternastolatkę. Poza tym w ogóle nie znam tego Comstocka.

Jase wzdycha i rzuca mi spojrzenie.

— Moglibyśmy wpaść do knajpy po drodze i rzucić okiem — podpowiadam. — Czy to wystarczy?

Pani Garrett rzuca mi promienny uśmiech.

— Randka na przespiegi? — pyta Jase z powątpiewaniem. — Może i zadziała. Masz mundurek na taką okazję, Samantho?

Chlapię go wodą, czując ukłucie szczęścia, że nazwał to randką. W głębi ducha jestem nie bardziej układna niż Andy.

— Nie mam nic w stylu Lary Croft, jeśli o to ci chodzi.

— Kiepsko — odpowiada i ochlapuje mnie wodą.

## Rozdział trzynasty

Ojciec Kyle'a Comstocka, wysoki przystojniak o twarzy cierpiętника, wkrótce potem podjeżdża czarnym bmw. Wysiada z niego Kyle, który idzie na podwórko w poszukiwaniu Andy. Jest słodki, ma kręcone ciemnoblonde włosy i zaraźliwy uśmiech, uroczy mimo aparatu na zębach.

Andy, w czerwonym stroju kąpielowym i w narzutce z granatowej frotty, wskakuje do samochodu, rzucając mnie i Jase'owi spojrzenie typu „patrzcie, jaki on jest super”.

Kiedy po godzinie docieramy do Clam Shack, knajpa jest jak zwykle pełna. Zajmuje mały, podniszczony budynek na plaży Stony Bay, mniej więcej wielkości garderoby mojej mamy, a przez całe lato ustawiają się przed nią kolejki. To jedyna jadłodajnia na plaży, największej i najlepszej z plaż ogólnodostępnych, szerokiej i piaszczystej. Kiedy w końcu dostajemy się do wewnątrz, widzimy Andy i Kyle'a przy stoliku w kącie. On rozmawia z ożywieniem, a ona bawi się frytkami, czerwona prawie jak jej kostium. Jase zamyka oczy.

— Boli, kiedy widzi się swoją siostrę w takiej sytuacji? — pytam.

— Nie martwię się o Alice. To pajęczyca, jak skończy z gościem, potrafi odgryźć mu głowę. Ale Andy to inny typ. Chyba czeka nas leczenie złamanego nastoletniego serca.

Rozgląda się w poszukiwaniu wolnego miejsca, nagle pyta:

— Samantho, znasz tego typka?

Widzę Michaela siedzącego samotnie przy ladzie i przyglądającego się nam z niechęcią. „Obaj byli w jeden dzień. No to mam szczęście”.

— To, ee... No, przez jakiś czas się spotykaliśmy.

— Tak mi się wydawało. — Jase wydaje się rozbawiony. — Wygląda tak, jakby miał za chwilę wyzwać mnie na pojedynek.

— Raczej tego nie robi, ale na pewno wieczorem napisze o tobie wrogi wiersz.

Nie ma miejsc siedzących, więc w końcu zabieramy hamburgera Jase'a i moją zupę rybną na zewnątrz, nad morze. Słońce wciąż jest wysoko na niebie i mocno przygrzewa, ale wieje chłodna bryza. Nakładam kurtkę.

— Co zrobiłaś temu emo? Bolesne rozstanie?

— Powiedzmy. Straszliwy dramat, w końcu to Michael. Chociaż przecież nie był we mnie szaleńczo zakochany, wcale. Taki jest Michael. — Żuję kawałek ostrygi, wpatrując się w wodę i niebieskoczarne fale. — Dla niego byłam tylko dziewczyną z wiersza, a nie sobą. Najpierw nieosiągalna, potem jakaś złocista wróżka, która miała wyzwolić go z wiecznej melancholii, czy może też syreną, która mamiała go seksem, chociaż on nie miał na to ochoty...

Jase zakrztusił się frytkami.

— O rany. Naprawdę?

Czuję rumieniec na twarzy.

— Niezupełnie. To po prostu gorliwy katolik, więc najpierw robił krok do przodu, a potem przez kilka dni cierpiał.

— Zabawny gość. Powinniśmy go spiknąć z Lindy, moją byłą.

— Tą, która kradnie w sklepach? — Wyciągam rękę po jego frytki, po czym gwałtownie ją cofam.

Jase podaje mi pudełko.

— Właśnie tą. Zero sumienia. Może by się jakoś wyrównali.

— Naprawdę cię aresztowali? — pytam.

— Zawieźli radiowozem na komisariat, a to mi w zupełności wystarczy. Dostałem ostrzeżenie, ale jak się okazało, to nie była pierwsza wpadka Lindy, więc ona dostała wysoką grzywnę — chciała, żebym połowę wziął na siebie — i pracę na rzecz społeczności lokalnej.

— I co, zapłaciłeś tę połowę? — Przełykam kolejne frytki Jase'a. Staram się na niego nie patrzeć. W miodowym świetle wieczoru jego zielone oczy, opalona skóra i usta skrzywione w rozbawionym uśmiechu to już nieco za dużo.

— Omal tego nie zrobiłem, bo czułem się jak kretyn. Tata mnie przekonał, żeby tego jednak nie robić, bo nie miałem pojęcia, co robi Lindy. Ona bez zmruczenia oka potrafiła wrzucić do torebki kilkanaście sztuk. Dopóki nie dopadł nas ochroniarz, wyczyściła prawie całą ladę z kosmetykami. — Pokręcił głową.

— Michael pisał gniewne wiersze o rozstaniu, kilka dziennie przez trzy miesiące, a potem przesłał mi je listem na koszt odbiorcy.

— Powinniśmy ich poznać. Zaslugują na siebie. — Jase wstaje, zgniata papier po hamburgerze i chowa do kieszeni. — Chcesz się przejść do latarni?

Chłodno mi, ale i tak chcę iść. Falochron wiodący do latarni jest dziwny — do połowy drogi skały są praktycznie płaskie i równe, po czym nagle zamieniają się w nierówne głązy, więc przejście całej drogi wymaga skakania i wspinania się po nich. Kiedy docieramy do latarni, światło wieczoru ze złocistego zamieniło się w różowozłoty blask zachodu. Jase obejmuje ramionami czarne metalowe pręty balustrady i spogląda na ocean, na którym w oddali wciąż błyskają trójkąciki białych żaglówek wracających do domu. Jest tak malowniczo, że niemal oczekuję nagłego dźwięku orkiestry w tle.

Tracy jest dobra w tych sprawach. Potknęłaby się i wpadła na chłopaka, po czym spojrzalaby na niego przez rzęsy. Albo zadrżałaby i niby nieświadomie przysunęłaby się do niego. Wiedziałyby dokładnie, jak skłonić kogoś, żeby pocałował ją właśnie wtedy i w taki sposób, jaki sobie zaplanuje.

Ja jednak nie mam takiego talentu. Zatem tylko stoję u boku Jase'a, opieram się o balustradę i obserwuję żagłówki, czując ciepło jego ramienia obok mojego. Po kilku minutach chłopak odwraca



się i spogląda na mnie. Jego spojrzenie... Nieśpieszne, pełne namysłu, powoli przesuujące się po mojej twarzy. Czy zatrzymuje się na moich oczach, wargach? Nie jestem pewna. Chciałabym. W końcu odzywa się:

— Chodźmy do domu. Weźmiemy garbusa i skoczmy gdzieś. Alice jest mi winna przysługę.

Gramoląc się z powrotem przez kamienie, zastanawiam się bez przerwy, co się właśnie zdarzyło. Przysięgłabym, że patrzył na mnie tak, jakby chciał mnie pocałować. Co go powstrzymało? Może w ogóle go do mnie nie ciągnie. Może chce, żebyśmy byli przyjaciółmi? Nie jestem pewna, czy dam radę przyjaźnić się z kimś, z kogo mam ochotę zedrzeć ubranie.

O Boże. Czy ja naprawdę to pomyślałam? Rzucam kolejne ukradkowe spojrzenie na Jase'a. Tak, owszem.

Znów zaglądamy do Andy i Kyle'a. Teraz to ona mówi, a on trzyma jej rękę w dłoni i patrzy na nią. Wygląda obiecująco.

\* \* \*

Kiedy docieramy do domu Garretta, ich furgonetki nie ma. Wchodzimy do salonu, gdzie zastajemy Alice i jej Brada rozłożonych na brązowym narożniku. Brad masuje Alice stopy. George śpi twardo na podłodze, nago, twarzą do ziemi. Patsy biega w fioletowych spodniach od pizamy, na próbę powtarzając:

— Am-am.

— Alice, Patsy powinna już spać. — Jase bierze małą na rękę; w jego szerokiej dłoni mały fioletowy zadek ginie. Alice wydaje się zaskoczona widokiem małej obok, jakby Patsy powinna była sama pójść na górę dawno temu. Jase kieruje się do kuchni po butelkę. Alice siada, przyglądając mi się zmrużonymi oczami, jakby próbowała mnie umiejscowić. Teraz ma ciemnorude włosy, pokryte lśniącym żelem, od którego sterczą na wszystkie strony.

Po kilkuminutowej obserwacji odzywa się:

— Jesteś siostrą Tracy Reed, prawda? Znam Tracy. — Z jej tonu wynika, że w tym szczególnym przypadku znajomość z Tracy nie oznacza szczególnej zażyłości.

— Tak, mieszkam obok.

— Spotykacie się z Jase'em?

— Jako przyjaciele.

— Nie skrzywdź go. To najfajniejszy chłopak na świecie.

Jase wraca do pokoju akurat na te słowa i unosi wzrok do góry tylko na mój użytek. Potem z łatwością unosi w ramionach George'a i rozgląda się po pokoju.

— Gdzie jest Happy?

Alice, która z powrotem usadowiła się na kolanach Brada, wzrusza ramionami.

— Alice, jeśli George obudzi się i nie znajdzie Happy’ego, wiesz, co się stanie.

— Czy Happy to plastikowy dinozaur? — pyta Brad. — Bo taki jest w wannie.

— Nie, Happy to pluszowy pies. — Jase grzebie przez chwilę pod kanapą, po czym wynurza się z Happyem, który najwyraźniej ma za sobą długie i pełne wydarzeń lata. — Sekunda. — Mija mnie, przez moment opierając dłoń na moich plecach.

— Mówię poważnie — oznajmia bez ogródek Alice po jego wyjściu. — Jeśli go zranisz, będziesz miała do czynienia ze mną.

Wydaje się w pełni zdolna do wynajęcia płatnego zabójcy, jeśli coś skrewię. Wdepnęłam.

Otwierając drzwi samochodu Alice, wiekowego białego garbusa, Jase próbuje zebrać około pięćdziesięciu płyt z siedzenia pasażera, potem otwiera schowek pod deską rozdzielczą i próbuje je tam wepchnąć. Ze schowka wypada czerwony koronkowy stanik.

— Jezu! — mówi Jase, wpychając go pośpiesznie między płyty.

— Rozumiem, że nie jest twój — odzywam się.

— Naprawdę potrzebuję własnego samochodu — odpowiada. — Chcesz się przejechać nad jezioro?

Kiedy wyjeżdżamy sprzed domu, wracają państwo Garrettowie. Parkują i całują się jak nastolatki: ona otacza mu szyję ramionami, a on zatapia palce w jej włosach. Jase kręci głową, lekko zakłopotany, lecz ja zagapiam się na nich.

— Jak to jest? — pytam.

Jase kładzie ramię na oparciu mojego siedzenia i wycofuje samochód.

— O co chodzi?

— Jak to jest mieć szczęśliwych rodziców. Rodziców, którzy są razem. Dwoje rodziców.

— Nigdy tego nie miałaś?

— Nie. Nie poznałam ojca. Nawet nie jestem pewna, czy w ogóle żyje.

Jase patrzy na mnie, marszcząc czoło.

— Nie płaci alimentów?

— Nie, mama ma fundusz powierniczy. Ojciec chyba próbował się jakoś dogadać, ale porzucenie jej w ciąży zaszkodziło jego wizerunkowi.

— Mam nadzieję — mamrocze Jase. — Przykro mi, Samantho. Ja od zawsze miałem dwoje rodziców. To taka baza. Nie wyobrażam sobie, że miałyby być inaczej.

Wzruszam ramionami, zastanawiając się, dlaczego to przerabiam z Jase’em. Nigdy dotąd nie

miałam problemu z trzymaniem dla siebie spraw prywatnych. Jednak jego ciche skupienie na mnie skłania mnie do mówienia.

Po jakimś kwadransie docieramy nad jezioro, leżące po drugiej stronie miasta. Rzadko tu bywam. Wiem, że to miejsce spotkań uczniów szkoły państwowej — istnieje tradycja, że w ostatni dzień szkoły ludzie z ostatniej klasy wskakują do wody w ubraniach. Spodziewałam się, że zastaniemy tłum samochodów o zaparowanych oknach, lecz kiedy wjeżdżamy, parking jest pusty. Jase sięga na tylne siedzenie, wyciąga ręcznik, bierze mnie za rękę i razem idziemy między drzewami na brzeg. Jest tu znacznie cieplej niż na plaży, bo nie ma morskiej bryzy.

— Ścigamy się do pomostu? — mówi Jase, wskazując na ciemniejszy kształt ledwo widoczny w gęstniejącym mroku. Zrzucam kurtkę i sukienkę, wciąż jestem w stroju kąpielowym, po czym ruszam do biegu w stronę wody.

Jezioro jest chłodne i jedwabiste, woda łagodniejsza niż w oceanie. Trawa morska pod stopami zatrzymuje mnie na chwilę; odsuwam od siebie myśli o pstrągach i kłapiących zębami żółwiach kryjących się pod spodem. Jase już płynie pełną szybkością; śpieszę, żeby go dogonić.

I tak jest pierwszy; wspina się na pomost i wciąga mnie obok siebie, kiedy już dopłynęłam.

Rozglądam się wokół: widzę spokojną wodę, odległy brzeg — przebiega mnie dreszcz, kiedy czuję jego dłoń zaciskającą się na mojej ręce.

— Co ja tu z tobą robię? — pytam.

— Co?

— Ledwie cię znam. Równie dobrze możesz być seryjnym mordercą, który zwabił mnie nad puste jezioro.

Jase śmieje się i kładzie na plecach na pomoście, zakładając ramiona pod głowę.

— Nie jestem. A ty o tym wiesz.

— Skąd mam wiedzieć? — Uśmiecham się do niego i kładę obok; niemal stykamy się biodrami.

— Cała ta szczęśliwa rodzina miłych ludzi może być tylko przykrywką.

— Instynkt. Wiesz, komu ufać. Ludzie to wiedzą, jak zwierzęta. Nie słuchamy go tak dobrze, jak one, nie za każdym razem, ale zawsze gdzieś tam jest ukryty. To mrowienie, kiedy coś jest nie tak, i spokój, kiedy wszystko jest dobrze. — Jego głos jest niski i chrapliwy w ciemności.

— Jase?

— Hm? — Unosi się na łokciu; ledwo widzę jego twarz w półmroku.

— Musisz mnie pocałować — mówię ku własnemu zaskoczeniu.

— Tak. — Zbliża się do mnie. — Muszę.

Jego miękkie, ciepłe wargi dotykają mojego czoła, potem zsuwają się na policzek i suną w bok, do ust. Jego dłoń przesuwa się w górę na kark pod moimi mokrymi włosami, podczas gdy moja

przesuwa się na jego plecy. Pod chłodną warstewką wody skórę ma ciepłą, mięśnie twarde, kiedy tak leży na jednym łokciu. Wtulam się w niego głębiej.

Nie jestem nowicjuską, jeśli chodzi o całowanie. A przynajmniej tak myślałam, ale nigdy nie było tak, jak teraz. Nie dość mi bliskości. Kiedy Jase delikatnie pogłębia pocałunek, czuję, że tak powinno być, nie ma tej sekundy zaskoczonego wahania, które czułam przy innych chłopakach.

Po długim czasie płyniemy z powrotem do brzegu i kładziemy się na ręcznikach, znów się całując. Jase uśmiecha się pod moimi pocałunkami, którymi pokrywam jego twarz. Moje dłonie zaciskają się na jego ramionach, nosem przeciąga po mojej szyi i delikatnie zaciska wargi na obojczyku. Kiedy tak leżymy razem letnią nocą, świat wokół wstrzymuje bieg.

— Powinniśmy wracać — szepcze Jase, głaskając mnie w pasie.

— Nie. Jeszcze nie. Jeszcze nie — odpowiadam, przesuwając wargami po jego chętnych ustach.

## Rozdział czternasty

Punktualna aż do przesady, nigdy nie rozumiałam wyrażenia „straciłem poczucie czasu”. Nigdy nie straciłam z oczu niczego, ani komórki, ani pracy domowej, ani planu pracy, a na pewno nie straciłam poczucia czasu. Ale dziś w nocy to zrobiłam. Gdy wsiadamy do samochodu, jest za pięć jedenasta. Próbuję tłumić panikę w swoim głosie, gdy przypominam Jase’owi o mojej godzinie powrotu do domu. Przyspiesza trochę, ale trzyma się przepisów i wyciąga rękę, uspokajająco dotykając mojego kolana.

— Wejść z tobą — proponuje, gdy dojeżdżamy do okrężnej drogi dojazdowej. — Wyjaśnię, że to moja wina.

— Nie.

Reflektory volkswagena oświetlają lexusa zaparkowanego na naszym podjeździe. Clay? Jeden z tych darczyńców? Ręką lepką od potu szarpię się z klamką u drzwi. Gorączkowo wymyślam usprawiedliwienie akceptowalne dla mamy. Dziś rano była w nie najlepszym nastroju. O ile sponsorzy nie zarzucili jej pieniędzmi, choć prawdopodobnie nawet jeśli to zrobili, jestem w poważnych tarapatkach. Chcę wejść przez frontowe drzwi, ponieważ mama na pewno sprawdziła już moje łóżko.

— Dobranoc, Jase — krzyczę w pośpiechu i gnam, nie oglądając się za siebie. Zamierzam otworzyć drzwi, ale one otwierają się gwałtownie od wewnątrz i właściwie w nie wpadam. Stoi w nich mama z wyrazem furii na twarzy.

— Samantha Christino Reed! — zaczyna. — Wiesz, która godzina?

— Spóźniłam się. Wiem. Ja...

Potrząsa kieliszkiem w rękę, jakby to była różdżka, która ma zamknąć mi usta.

— Nie mam zamiaru znów tego przechodzić — rozumiesz? Wystarczył mi bunt nastolatki w wykonaniu twojej siostry. Nie potrzebuję tego, rozumiesz?

— Mamo, spóźniłam się tylko dziesięć minut...

— Nie o to chodzi! — podnosi głos. — Chodzi o to, że masz tego nie robić! Spodziewam się po tobie czegoś więcej. Szczególnie tego lata. Wiesz, że jestem pod dużą presją. To nie czas na twoje młodzieńcze problemy!

Mimo woli zastanawiam się, czy rodzice w ogóle uwzględniają w swoich codziennych planach problemy latorośli. *Zanosi się na wolny tydzień, Sarah. Myślę, że mogę omówić twoje zaburzenia jedzenia.*

— To nie problemy — mówię słowa, które brzmią tak prawdziwie w moich uszach. To mama jest problemem. Tim jest problemem. Czasami nawet Nan jest problemem. Jase i Garrettowie... oni to

kompletne zaprzeczenie problemów. Ciepłe wybrzeże pod falą przyływu, egzotyczne, ale nie niebezpieczne życie.

— Nie spieraj się ze mną, Samantho — warczy mama. — Masz szlaban.

— Mamo!

— Co się dzieje, Grace? — rozlega się delikatnie akcentowany głos południowca i z salonu z podwiniętymi rękawami i krawatem zawiązanym luźno na szyi wychodzi Clay.

— Właśnie to załatwiam — odpowiada mu ostro mama.

Niemal oczekuję, że po takiej odzywce wycofa się, jakby dostał w pysk, ale on wręcz się rozluźnia. Opiera się plecami o framugę, strzepuje coś z ramienia i mówi po prostu:

— Wygląda na to, że potrzebujesz mojej pomocy.

Mama wzdraga się tak mocno, że praktycznie się trzęsie. Zawsze pilnowała prywatności — nigdy nie krzyknęła na Tracy czy na mnie, gdy byliśmy wśród ludzi — wtedy słyszałyśmy tylko krótki szept: „Omówimy to później”. Ale to jest Clay i mama wyciąga rękę, by przygłaskać włosy tym głupim, wstydliwym gestem, który wykonuje tylko przy nim.

— Samantha się spóźniła. Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia.

Właściwie nie dała mi żadnej szansy na usprawiedliwienie, ale tak naprawdę nie wiem, co powiedziałabym w swojej obronie.

Clay zerka na swojego rolexa.

— O której powinna wrócić, Grace?

— O jedenastej — mówi teraz ciszej mama.

Clay śmieje się przyduszonym głosem.

— Godzina jedenasta w czasie wakacji? I Samantha ma siedemnaście lat? Kochanie, wtedy wszyscy się spóźniamy.

Podchodzi, chwytając ją delikatnie za szyję.

— Wiem, że tak. I ty też... — Przesuwa dłoń na jej brodę, tak żeby spojrzała na niego. — Odsuść trochę, cukiereczku.

Mama patrzy na jego twarz. Wstrzymuję oddech. Rzucam spojrzenie na swojego nieprawdopodobnego obrońcę. Puszczą do mnie oko, szturchając mamę knykciem w brodę. W jego oczach nie ma śladu winy albo — i jestem zaskoczona ulgą, jaką mi to przynosi — współudziału w tym, co wie, że zobaczyłam.

— Może zareagowałam zbyt mocno — mówi w końcu mama, do niego, nie do mnie.

Ale zaczynam myśleć o tym samym. Może to proste wyjaśnienie dla brunetki?

— Wszyscy to robimy, Gracie. Może naleję ci jeszcze trochę wina?

Wyjmuje kieliszek z jej niestawiających oporu palców i przechodzi do kuchni, jakby był u siebie.

Obie z mamą stoimy.

— Masz mokre włosy — mówi w końcu. — Lepiej je umyj i nałóż odżywkę, bo jak wyschną, będą skołtunione.

Kiwam głową i odwracam się, by wejść na schody. Zanim zdążyłam odejść, słyszę ją za sobą. Ale ignoruję to, idę do siebie do pokoju i opieram głowę na łóżku, wciąż w mokrym kostiumie kąpielowym i wilgotnej letniej sukience na ramiączkach. Materac ugina się, gdy mama siada.

— Samantha... dlaczego prowokujesz mnie w ten sposób?

— Nie prowokuję — nie o to chodzi...

Zaczyna masować mnie po plecach w ten sposób, w jaki to robiła, gdy w dzieciństwie śniłam koszmary.

— Kochanie, po prostu nie rozumiesz, jak ciężko być rodzicem, tym bardziej samotnym. Odkąd obie się urodziłyście, pracowałam bez planu, nigdy nie wiedząc, czy postępuję dobrze. Patrz na Tracy i ten incydent z kradzieżą w sklepie. I na twój związek z tym Michaeliem, który, o ile mi wiadomo, mógł ćpać.

— Mamo. Nie brał narkotyków, mówiłam ci już. Po prostu był dziwny.

— Wszystko jedno. To właśnie ten rodzaj spraw, którymi nie mogę się zajmować podczas kampanii. Muszę się skupić. Nie mogę się rozpraszać na te wybryki.

Wybryki? Jakbym wróciła we wczesnych godzinach porannych naga, śmierdząca alkoholem i trawką.

Głaszcz mnie po plecach jeszcze parę minut, po czym marszczy brwi.

— Dlaczego masz mokre włosy?

Kłamstwo przychodzi mi łatwo, chociaż nigdy przedtem nie skłamałam mamie.

— Wzięłam prysznic u Nan. Wypróbowałyśmy make-up i odżywki.

— Aha. — Po czym zniża głos: — Mam cię na oku, Samantha. Zawsze byłeś moją grzeczną dziewczynką. Po prostu... zachowuj się, dobrze?

Zawsze to robię. I właśnie to mnie zdenerwowało. Szepczę tylko: „Dobrze” i leżę całkowicie nieruchomo pod jej palcami. W końcu wstaje, mówi „dobranoc” i wychodzi.

Po jakichś dziesięciu minutach słyszę stukanie do okna. Zamieram, nasłuchując, czy mama też je słyszała. Ale na dole jest zupełnie chicho. Otwieram okno i widzę Jase’a przykucniętego na moim balkonie.

— Chciałem się upewnić, czy u ciebie wszystko w porządku. — Po czym, patrząc z bliska w moją twarz, dodaje: — W porządku?

— Zaczekaj chwilę — mówię, praktycznie zamykając okno na jego palcach. Spieszę się do drzwi na szczyt schodów i wołam: — Biorę teraz ten prysznic, mamo.

— Weź odżywkę! — odkrzykuje dużo bardziej odprężonym głosem. Daję nura do łazienki, odkręcam wodę na cały regulator i wracam, by otworzyć okno.

Jase wydaje się zakłopotany.

— Wszystko dobrze?

— Mama jest trochę nadopiekuńcza. — Przekładam jedną, następnie drugą nogę na zewnątrz okna i siadam obok Jase'a, który ułożył się wygodnie na szczycie. Nad nami szumi nocna bryza, a gwiazdy są tak jasne.

— To była moja wina. Ja to wymyśliłem. Pozwól mi porozmawiać z twoją mamą. Powiem jej...

Wyobrażam sobie rozmowę Jase'a z mamą. To, że po raz pierwszy się spóźniłam, gdy byłam z „jednym z tych Garrettów”, potwierdziłoby według niej wszystko, co zawsze o nich mówiła. Po prostu to wiem.

— To nie pomogłoby.

Wyciąga do mnie rękę i bierze moją zimną dłoń w swoją ciepłą. Czując, że jestem zmarznięta, zamyka na niej drugą dłoń.

— Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Byłoby dobrze, gdybym nadal nie wyobrażała sobie mamy przychodzącej na górę, by upewnić się, że wzięłam wystarczająco dużo odżywki, i znajdującej mnie tutaj. Chrząkam.

— Tak. Widzimy się jutro?

Pochyla się do przodu, wciąż trzymając moją rękę, przysuwając usta do mojego nosa i zjeżdżając w dół do moich ust, skłaniając je do otwarcia. Zaczynam odprężyć się przy nim i wtedy wydaje mi się, że słyszę pukanie.

— Muszę iść. Dobranoc?

Ściska mi rękę z tak olśniewającym uśmiechem, że serce ściska mi się jeszcze mocniej.

— Tak. Zobaczymy się jutro.

Pomimo tych pocałunków nie mogę się odprężyć. Spóźniona raz w życiu o dziesięć minut i jestem problemem w kampanii? Może mama i Masonowie otrzymają zniżkę w szkole wojskowej, jeśli wyślą mnie tam razem z Timem.

Zakręcam prysznic, głośno zamykając drzwi z matowego szkła. W pokoju podnoszę poduszkę, nadając jej kształt. Nie wiem, jak będę spać. Moje ciało jest za ciasne. Gdyby w tej chwili Charley Tyler przystawiał się do mnie, poszłabym z nim do łóżka nawet ze świadomością, że nic to dla niego nie znaczy. Jeśli Michael faktycznie byłby narkomanem i ofiarowałby mi natychmiastowe zapomnienie, zażyłabym to, chociaż waham się przed zażyciem aspiryny. Gdyby Jase zapukał jeszcze raz w okno i powiedział mi, że jedziemy motocyklem w podróż do Kalifornii, natychmiast bym pojechała.



Co z tego, że jestem taka jak zawsze, gdy nie poznaję własnej matki?

## Rozdział piętnasty

Gdy następnym razem zajmuję się dziećmi, pani Garrett zabiera mnie na zakupy spożywcze, więc mogę zabawiać dzieci i wyrywać im słodycze i chipsy z rąk, podczas gdy ona przegląda stos swoich bonów i fachowo odpowiada na komentarze.

— Na pewno ma pani pełne ręce — słyszy często.

— Dobrych rzeczy — odpowiada spokojnie, wyjmując płatki Count Chocula z uchwytu chętnego George'a.

— Musi być pani katoliczką — to inny komentarz, który słyszy raz po raz.

— Nie, jestem płodna. — Odrywa ręce Harry'ego od ostatniego bohatera najnowszych *Transformersów*.

— To dziecko potrzebuje czapki — wyklada starsza kobieta o srogim wyglądzie w przejściu między zamrażarkami.

— Dziękuję, ale niespecjalnie, ma kilka ładnych w domu. — Pani Garrett podnosi duże pudło mrożonych gofrów i dokłada do wózka.

Podaję Patsy butelkę soku, prowokując w Birkenstocks kobietę o wyglądzie zasuszonych chrupków do uwagi:

— To dziecko jest o wiele za duże na butelkę. Powinno już mieć kubek-niekapek.

Kim są ci ludzie i dlaczego uważają, że tylko ich własne opinie są słuszne?

— Nie ma pani czasem ochoty ich zabić albo przynajmniej skłąć? — pytam ściszone głosem, kierując wózek z Harrym i George'em uczepionymi obu stron jak czepiaki dalej od opryskliwej kobiety od kubka-niekapka.

— Oczywiście. — Pani Garrett wzrusza ramionami. — Ale jaki to byłby przykład?

Straciłam rachubę, ile zrobiłam basenów, ale wiem, że mniej niż zwykle; gdy wdrapuję się po drabinie, wyciskając wodę z włosów, jestem bez tchu, ale orzeźwiona. Odkąd pamiętam, uwielbiam pływanie — od chwili, gdy odważyłam się wyjść za Timem z bezpiecznej pływnicy na większe fale. Zamierzam wrócić do drużyny. Przesuwam ręcznik po twarzy, sprawdzam godzinę — za kwadrans basen zostanie otwarty, czemu zazwyczaj towarzyszy nagły przypływ ludzi przez bramki. Na krzeselku brzęczy mój telefon komórkowy.

„Zrób sobie przerwę, wodna dziewczyno!”, pisze do mnie Nan ze sklepu z upominkami B&T. „Spotkajmy się”.

Stony Bay jest bardzo z siebie dumne. Sklep z upominkami — „Upominki znad Zatoki”

— wypełniają pamiątki reklamujące różne charakterystyczne obiekty miasta. Gdy wchodzę, Nan już pracuje, przemawiając słodko do pana w różowych szortach w szkocką kratę:

— Jak pan widzi, mamy podkładkę pod mysz z Main Street, a także te podkładki z widokiem ujścia rzeki z lotu ptaka, tę małą latarnię, która wygląda jak nasza latarnia morska, i te podstawki pod szklanki z widokiem doku — nie musiałby pan wcale wychodzić na dwór. Mógłby pan oglądać całe miasto w salonie.

Mężczyzna wydaje się skonsternowany czy to ironiczną przemową Nan, czy też pomysłem wydania tylu pieniędzy.

— Tak naprawdę chciałem tylko to — mówi, unosząc jakieś podstawki z napisem „Jedno martini, drugie martini, trzecie martini, podłoga”. — Możesz dopisać je mojego rachunku klubowego?

Gdy Nan wbija je w kasę, facet wychodzi, a ona krzyżuje ze mną spojrzenie.

— Mój pierwszy dzień w pracy i już tego żałuję. Jeśli to całe prześwietne Stony Bay w pamiątkach zrobi mi pranie mózgu i powiem ci, że muszę zapisać się do Klubu Ogrodowego, zajmiesz się mną, dobra?

— Możesz na mnie liczyć, siostrze. Widziałaś Tima? Powinien być tu dziesięć minut wcześniej, żebym mogła pokazać mu jego uniform i tak dalej.

Nan zerka na zegarek.

— Oficjalnie nie jest jeszcze spóźniony. Zostały mu dwie minuty. Jakim cudem zdobyłam najnudniejsze zajęcie w mieście z najdłuższymi godzinami pracy? Wzięłam je tylko dlatego, że pani Gritzmocker, która robi zakupy, jest żoną pana Gritzmockera, nauczyciela biologii, którego pragnę prosić o napisanie listu polecającego.

— To cena twojej bezwzględnej ambicji — mówię. — Nie jest za późno na skruchę i pracę dla większego dobra — w Breakfast Ahoy.

Nan uśmiecha się do mnie, jej setki piegów już pociemniały w letnim słońcu.

— Cóż, zachowuję swój kostium niegrzecznej żeglarki na Halloween.

Rzuca okiem przez okno za moimi plecami.

— Ponadto obie będziemy zajmować się moim bratem, skoro dał się wywalić ze stoiska z hot dogami.

— Co dokładnie zrobił? — pytam, otwierając jedną z próbek błyszczaków, rozcierając go na palcu i wachając. Maż. Piña colada. Nie cierpię kokosów.

— Pytał ludzi, jak gorącą chcieliby parówkę — mówi Nan z roztargnieniem. — Jest tam teraz. Za stoiskiem. Przejdź się upewnić, że nie jest beznadziejny.

Biorąc pod uwagę nasze ostatnie spotkanie, zbliżam się ostrożnie. Tim pochyła się nad krzesłem ratownika. Chociaż jest pochmurno, ma ciemne okulary. Niedobry znak. Podchodzę do

niego. W przeciwieństwie do Nancy, był kiedyś taki wyluzowany. Teraz jest bombą zegarową, która może detonować w rękach.

— Hmmm — mówię niepewnie. — Dobrze się czujesz?

— Dobrze — mówi obcesowym głosem. Albo nie wybaczył mi, że nie jestem jego bankomatem, albo boli go głowa. Prawdopodobnie i to, i to.

— Serio? Ponieważ ta praca jest, cóż, poważna.

— Tak, los świata zależy od tego, co zajdzie na basenie B&T Lagoon. Rozumiem. Jestem na swoim miejscu. — Salutuje, nie patrząc na mnie, po czym strzyka na dłoń kremem z filtrem przeciwsłonecznym, żeby rozetrzeć go na swojej bladej klatce piersiowej.

— Szczerze. Nie możesz się tu wygłupiać, Tim. Są tu dzieci i...

Jego ręka na moim ramieniu zamyka mi usta.

— Tak, tak. Skończ wykład, księżniczko Buttercup. Wiem. — Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, dźga się nimi w serce z uśmiechem pozera. — Jestem skacowany, ale szczerzy. Oszczędzę sobie zabaw w godzinach pracy. Teraz zejdz ze mnie i bierz się do roboty.

— Jesteś częścią mojej pracy. Mam pokazać ci, gdzie są uniformy. Poczekaj.

Umieszczam na krześle znak „Ratownik nieobecny”, by był bardziej widoczny, prowadzę przez krzewy do basenu Lagoon i tam również ustawiam jeden. Grupa mam stojących za bramą z dziećmi i rękami pełnymi zestawów do pływania wygląda na poirytowaną.

— Jeszcze tylko pięć minut — ogłaszam, dodając kategorycznym tonem: — Musimy rozwiązać kwestię bezpieczeństwa.

Tim jest spocony i zaabsorbowany, gdy idzie za mną przez kręty szlak do pomieszczenia, w którym trzymamy sprzęt. Przechodzimy przez natryski z grubymi dębowymi drzwiami zamkniętymi na grube zatrzaski, z tabliczkami „Wilki Morskie” i „Mewy”, których napisy ułożone są również z flag sygnałowych.

— Chce mi się rzygać — mówi.

— Tak, to niedorzeczne, ale...

Łapie mnie za rękaw.

— Naprawdę. Minuta. — Znika w męskiej toalecie.

Niedobrze. Wychodzę za drzwi, więc nie muszę słuchać. Po około pięciu minutach wraca na zewnątrz.

— Co? — pyta agresywnie.

— Nic.

— Dobrze — mamrocze. Wchodzimy do pomieszczenia ze sprzętem.

— Więc, oto twój uniform i rzeczy. — Pakuję mu w ręce rękawiczki, kapelusz, kurtkę i gwizdek, które

dostajemy do pracy, oraz granatowe szorty ze złotą tłoczonym herbem.

— Chyba żartujesz. Nie mogę nosić własnego stroju?

— Nie. Musi być widoczny znak B&T — mówię, usiłując zachować kamienną twarz.

— Cholera, Samantho. Nie mogę tego nosić. Jak mam poznawać gorące dziewczyny, żeby je przelecieć?

— Masz ratować życie, nie kantować dziewczyny.

— Zamknij się, Samantha.

Wydaje się, że jednak wszystkie nasze rozmowy kończą się w tej samej ślepej uliczce.

Podchodzę, zgarniam czapkę z jaskrawym logo i wkładam mu ją na głowę.

Została usunięta nawet szybciej, niż Tim mógł powiedzieć:

— I bez czapki to będzie wyjątkowo piekielny zestaw. Nosisz taki?

— Nie. Z jakiegoś powodu tylko mężczyźni ratownicy je dostają. Ja mam małą kamizelkę z godłem.

— Dobra, nie będę tego nosił. To tak jakbym po prostu niedługo miał chodzić w babskim przebraniu.

Nie mogę martwić się o Tima. To bezcelowe. Ponadto to nie jest praca, która pozwala na przestoje. Na dalekim krańcu basenu olimpijskiego grupa starszych kobiet ma zajęcia z aerobiku wodnego. Pomimo liny blokującej tę część dzieci bombardują grupę, ochlapując panie i naruszając ich słabą równowagę. Zawsze znajdzie się dziecko, które nie pływa z pieluszką, pomimo wielu znaków wskazujących, że musi ją mieć, i muszę rozmawiać z matką, która zazwyczaj staje się wrogo nastawiona: „Peyton umiała korzystać z toalety, jak miała jedenaście miesięcy. Ona nie potrzebuje pieluszki!”.

O drugiej basen pustoszeje i mogę się trochę odprężyć. Mamy pozabierały dzieci do domów na drzemkę. Nie ma nikogo oprócz opalających się i leżakujących. Jestem bardzo rozgrzana i lepka od tak długiego przesiadywania w wysokim krześle z plastiku. Zdrapując się z niego, dmucham w gwizdek i podnoszę sygnał „Ratownik nieobecny”, myśląc o wodzie sodowej w snack-barze dla ochłody.

— Robię sobie przerwę. Przynieść ci coś do picia? — wołam do Tima.

— Tylko jeżeli ma osiemdziesiąt procent — odkrzykuje przez krzewy i granitowe kamienie, które oddzielają basen olimpijski od Lagoon.

Za mną odzywa się brzęczyk tylnych drzwi. Dziwne. Wszyscy goście B&T muszą wpisać się na listę przy portierni. Tyłne drzwi służą dla dostaw, a Nan nie mówiła, że mają coś dostać ze Stony

Bay.

Brzęczykiem otwieram drzwi, stoi w nich pan Garrett ze stosem desek na ramieniu. Wygląda tak niecodziennie, że cofam się o krok. Wszedł jakby z niewłaściwego filmu, cały opalony i pełen energii na tle bladego wejścia w kolorze kości słoniowej. Na mój widok jego twarz rozpromienia się w szerokim uśmiechu.

— Samantha! Jase mówił, że tu pracujesz, ale nie mieliśmy pewności, w jakich godzinach. Ucieszy się.

Mój słodki zakiet z insygniami i śmieszna złoto zwieńczona marynarka są żałosne, ale pan Garrett zdaje się tego nie zauważać.

— To dopiero pierwsza część ładunku — mówi. — Powiedzieli ci, gdzie mam to złożyć?

Drewno? Nie, jestem zmieszana, co oczywiście widać.

— Spokojnie. Zadzwoń do zarządcy budynku, zanim przywieziemy pozostałe.

Nie wiedziałem, że Garrett's Hardware wykonuje również stolarkę. Nie wiem nic na temat firmy Garrettów i nagle czuję się tym zawstydzona, jakbym powinna wiedzieć.

Gdy dzwoni, zaglądam mu przez ramię na krawężnik, gdzie widzę charakterystyczny wygięty tył wyblakłej zielonej furgonetki Jase'a. Skacze mi puls. Jak to jest, że do tego lata mój świat i świat Garrettów były tak ostro oddzielone, a teraz tak się splatają?

— Tak. — Pan Garrett zamyka telefon. — Chcą, żeby to zrzucić właśnie tutaj, pomiędzy dwoma basenami. Sądzę, że zbudują tiki bar.

Racja. Tiki bar będzie wspaniale harmonizować z tą całą atmosferą Henryka VIII wokół B&T. *Przynieś mi drinka scorpion bowl, dziewczko.* Rzucam okiem przez krzewy w poszukiwaniu Tima, ale widzę tylko smugę dymu papierosowego.

— Sam! — Jase równoważy stos drewna na swoim ramieniu, spocony w letnim skwarze. Chodzi w dżinsach i ma na rękach parę grubych rękawic roboczych. Zrzuca z hałasem drewno na płytę basenu i podchodzi do pocałunku, słono ciepłego. Jego rękawice na moich ramionach są szorstkie i smakuje jak cynamonowa guma. Cofam się, nagle bardzo świadoma, że okno pana Lennox wychodzi na basen, i Tima nie dalej niż sześć metrów stąd. I Nan. Nie wspominając o pani Henderson opalającej się w pobliżu. Należy z mamą do Klubu Ogrodowego. Jase cofa się, lustrując mnie wzrokiem, podnosi nieznacznie brwi.

— Jesteś teraz admirałem? — Takich słów się nie spodziewałam. Dotyka złotego galonu na ramionach mojej marynarki. — Duży awans w porównaniu z Breakfast Ahoy. — Uśmiecha się. — Mam ci salutować?

— Proszę, nie.

Jase składa się do następnego pocałunku. Sztywnieję. Kątem oka widzę, jak pani Henderson siada

z telefonem przy uchu. Na pewno nie ma mojej mamy na szybkim wybieraniu...?

W oczach Jase'a widać zaskoczenie i lekki ból. Lustruje moją twarz.

— Przepraszam! — mówię. — Muszę zachowywać pozory w tym uniformie. — Macham ręką w jego kierunku. Zachowywać pozory? — To znaczy: „Trzymać wzrok na basenie. Nie rozpraszać się”. Kierownictwo nieprzychylnie patrzy na fraternizację podczas pracy — mówię, wskazując gestem w kierunku okna pana Lennox.

Patrząc na znak „Ratownik nieobecny”, Jase rzuca zdziwione spojrzenie, odwraca się z powrotem i kiwa głową. Kulę się w duchu.

— Dobra — mówi wolno. — A to jest dopuszczalne? — Schyla się, by dać mi cnotliwego buziaka w czoło.

Pan Garrett wzywa:

— Hej, potrzebuję czterech rąk do pracy, a dostałem tylko dwie.

Czerwienieję, ale Jase tylko uśmiecha się do mnie i odwraca, by pomóc tacie. Może pan Garrett jest przyzwyczajony do Jase'a całującego przy nim dziewczyny? Może to wszystko jest dla nich obu łatwe i oczywiste. Dlaczego to tak dziwne i trudne dla mnie?

W tym momencie pospiesznie wychodzi pan Lennox najwyraźniej wytrącony z równowagi. Zbieram siły.

— Nie powiedzieli, kiedy przyjedziecie — mówi. — Tylko „pomiędzy południem a piątą”!

Oddycham, czując się głupio.

— Zła pora? — pyta pan Garrett, kładąc ostatni stos drewna na poprzedni.

— Po prostu lubię być powiadomiony — protestuje pan Lennox. — Wpisał się pan na portierni? Wszyscy dostawcy muszą się wpisać z podaniem dokładnego czasu przyjazdu i odjazdu.

— Po prostu podjechaliśmy do krawężnika. Dostarczałem tu wcześniej. Nie pomyślałem, że to będzie problem.

— To jest regulamin klubu. — Ton pana Lennox jest nagły.

— Podpiszę przy wyjściu — mówi pan Garrett. — Chce pan, żeby resztę zrzucić na stertę tutaj? Kiedy zaczyna się budowa?

Najwyraźniej to inny czuły punkt wytrąconego z równowagi pana Lennox.

— Mnie również nie powiedzieli.

— Proszę się o to nie martwić — mówi mu pan Garrett. — Mamy brezent do przykrycia, gdyby miało to trochę potrwać.

Chodzą z Jase'em tam i z powrotem do ciężarówki, na przemian dźwigając pojedyncze ładunki lub ciągnąc je wspólnie. Pan Lennox waha się, być może niedługo będzie potrzebował reanimacji.

— To wszystko — mówi w końcu pan Garrett. — Potrzebuję tylko podpisu.

Podaje panu Lennoxowi bloczek, po czym cofa się i z grymasem zaciska i rozluźnia lewą dłoń.

Rzucam okiem na Jase'a. Zdjął rękawice i ociera czoło. Chociaż jest pochmurno, temperatura wynosi ponad dwadzieścia siedem i jest wilgotno jak zwykle.

— Może przynieść wam coś do picia? — pytam.

— Nie trzeba, mamy termos w samochodzie. Ale toaleta? — Jase przechyla do mnie głowę.

— Czy muszę po to wpisać się na listę na portierni?

Nic na to nie odpowiadam, tylko kieruję go do toalet, po czym stoję niepewnie. Pan Garrett schyla się do basenu, zanurza ręce i chlapie wodą na twarz, zwilża falujące brązowe włosy, takie jak jego syna. Chociaż pan Lennox, mrużąc, usunął się, czuję się skruszona.

— Przepraszam za... — Robię gest w kierunku klubu.

Pan Garrett śmieje się.

— Na pewno nie jesteś odpowiedzialna za to, że kochają swoje zasady, Samantho. Miałem już wcześniej do czynienia z takimi facetami. Nic nowego.

Jase, uśmiechając się, wraca z toalety.

— Tam jest coś w rodzaju gryfów zaglądających do kabin.

Wskazuje kciukiem ponad ramieniem.

— Masz chwilę — mówi Jase'owi pan Garrett, klepiąc go w ramię. — Mam jeszcze trochę papierkowej roboty w samochodzie.

— Dzięki, tato — mruży Jase i odwraca się do mnie.

— Więc... zobaczę cię dziś wieczorem? — pytam.

— Koniecznie. O której kończysz pracę? Oj... zapomniałem. Dopiero później. Dziś jest czwartek, wieczorem mam znowu trening z tatą. Na plaży.

— Na plaży w futbol? Jak to się robi?

— Ćwiczmy według jego starego treningu. Miał szansę na drugą ligę do czasu, gdy nie uszkodził kolana, więc muszę budować mięśnie. To oznacza bieganie w wodzie po kolana, co wciąż jest dla mnie zabójcze.

— Jason! Gotowy? — woła pan Garrett.

— Idę! — Rzuca rękawice na ziemię, jego nagie dłonie przesuwają się w górę moich ramion, po czym ciągnie mnie w cień krzaków. Chcę się do niego przytulić, ale wciąż jestem spięta. Za jego głową widzę Tima liczącego w ręce monety, zmierzającego do baru szybkiej obsługi. Spogląda na nas, ogarnia scenę, uśmiecha się, po czym kiwa nam palcem wskazującym. Nu-nu.

— Będę szanować uniform i powstrzymam się od fraternizacji — mówi Jase, całując mnie w policzek. — Ale zobaczę cię dziś wieczorem.

— Bez uniformu — dodaję i zatykam ręką usta.



Uśmiecha się, ale mówi tylko:

— Dla mnie bomba.

## Rozdział szesnasty

Jase trzyma rękę na szybie, poklepując ją bardzo delikatnie, ale jestem tak wyczulona na dźwięki, że kiedy to słyszę, otwieram szeroko okno i wychodzę na zewnątrz w mniej niż dwadzieścia sekund.

Wskazuje koc rozłożony na dachu.

— Przygotowany! — komentuję, zsuwając się w dół obok niego.

Chwyta mnie, oplatając ramię wokół mojej szyi.

— Próbuję myśleć zawczasu. Poza tym potrzebowałem bodźca, by skończyć ostatnią część treningu, więc pomyślałem o spotkaniu z tobą tu, na górze.

— Byłam bodźcem?

— Byłaś. — Jego ramię jest ciepłe pode mną. Otulam palce u nóg końcówką koca, ocierając się o wciąż ciepłe dachówki. Jest niemal dziewiąta i resztki dnia przegrywają bitwę z ciemnością. Kolejna gwiazdzista noc.

— Na świecie są różne gwiazdy, wiedziałaś? Gdybyśmy byli w Australii, zobaczylibyśmy zupełnie inne niebo.

— Nie widzielibyśmy ich po prostu od tyłu? — Jase przyciąga mnie, składając moją głowę na swojej klatce piersiowej. Głęboko wdycham zapach ciepłej skóry i czystej koszuli. — Albo do góry nogami? Naprawdę są całkowicie inne?

— Przeważnie inne — odpowiadam. — W Australii jest zima, więc widzą Krzyż Południa... i Pas Oriona. A ta czerwona gwiazda, Aldebaran, jest częścią oka Byka. No wiesz, Byka.

— To jak z tym jest dokładnie — pyta, wodząc leniwie palcem hipnotyzującym ruchem wokół kołnierzyka mojej koszuli — że stałaś się astrofizykiem?

— Rodzaj okrężnej drogi. — Zamykam oczy, wciągając w płuca zapach skoszonej trawy, krzaków róż mamy, czystej skóry Jase'a.

— Mów dalej — mówi, posuwając palec w górę mojej szyi, wzdłuż szczęki, po czym z powrotem w dół wzdłuż kołnierzyka. Czuję się prawie zahipnotyzowana tym prostym ruchem i uświadamiam sobie, że opowiadam historię, której nigdy nie opowiedziałam.

— Wiesz, że mój tata zostawił moją mamę, zanim się urodziłam?

Przytakuje głową, marszczy czoło, ale nic nie mówi.

— Szczerze mówiąc, naprawdę nie wiem, jak to się wydarzyło — mama nie mówi o tym. Czy go wyrzuciła, czy sam odszedł, czy bardzo się ze sobą pokłócili, czy... coś. Ale zostawił kilka rzeczy — między innymi duże pudło, które, jak sądzę, mama chciała wysłać do niego. Tak przypuszczam. Ale właśnie się urodziłam, była też mała Tracy, która miała tylko nieco ponad rok. Więc go nie wysłała, tylko schowała głęboko w szafie w przedpokoju.

Zawsze myślałam, że to zupełnie niepodobne do mamy, że go nie wyrzuciła.

— Znalazłyśmy z Tracy to pudło, gdy miałyśmy około pięciu i sześciu lat. Pomyślałyśmy, że to prezent pod choinkę, albo coś. Więc otworzyłyśmy je podekscytowane. Ale pudło było pełne przypadkowych rzeczy — stare T-shirty z nazwami zespołów, kasety magnetofonowe, zdjęcia tych wielkich zlotów ludzi, których nie znałyśmy, sportowe ciuchy. Jedna tenisówka. Rupiecie. Nie tego się spodziewałyśmy, kiedy zdałyśmy sobie sprawę, co to jest.

— A czego się spodziewałaś? — pyta cicho Jase.

— Skarbu. Starych dzienników albo czegoś takiego. Jego kolekcji Barbie.

— Hm... twój tata zbierał Barbie?

Śmieję się.

— O ile wiem, nie. Ale byłyśmy dziewczynkami. Wolałybyśmy Barbie od jakichś śmierdzących butów, starego R.E.M. i T-shirtów z Blind Melon.

— No, domyślam się. — Teraz palec Jase'a przesuwają się w dół moich szortów, sunąc wzdłuż wszywanego paska. Biorę ciężki oddech.

— W każdym razie, na samym dnie był ten teleskop. Luksusowy, ale opakowany, tak jakby od kupna nigdy nie został otwarty. Albo ktoś mu go dał, a on go nie chciał. Więc wzięłam go i ukryłam w swojej szafie.

— Po czym zaczęłaś go używać? Na dachu? — Jase obraca się, podpierając się teraz na łokciu, patrzy mi w twarz.

— Nie na dachu, tylko z okna. Przez kilka lat nie potrafiłam zrozumieć ruchów gwiazd. Ale potem tak, używałam go. Szukając kosmitów, odnajdując Wielką Niedźwiedzicę i tak dalej.

Wzruszam ramionami.

— Zastanawiając się w ogóle, gdzie jest twój tata?

— O, może. Prawdopodobnie. Początkowo. Właśnie potem zainteresowałam się tymi wszystkimi odległymi planetami i takimi różnymi historiami.

Jase kiwa głową, jakby miało to dla niego sens.

Czuję się trochę zakręcona.

— Teraz twoja kolej.

— Hmm? — Wodzi dookoła mojego pępka tym jasnym palcem.

O mój Boże.

— Opowiedz mi jakąś historyjkę. — Obracam głowę, wtulając wargi w przetartą bawełnę jego koszuli. — Opowiedz mi o tym, o czym nie wiem.

Tak, niczym nierozpraszana, żadnym wpadającym rodzeństwem, żadnym tłumem przyjaciół, żadną niedogodną chwilą w trakcie pracy, tylko ja i Jase, poznaję Garrettów, nie tylko ich obserwując.

Dowiaduję się, że Alice jest w szkole pielęgniarskiej. Jase podnosi brew, gdy śmieję się z tego.

— Co, nie postrzegasz mojej starszej siostry jako anioła stróża? Jestem wstrząśnięty.

Duff jest uczulony na truskawki. Andy urodziła się dwa miesiące za wcześnie. Wszyscy Garrettowie są muzykalni. Jase gra na gitarze, Alice na flecie, Duff na wiolonczeli, Andy na skrzypcach.

— A Joel? — pytam.

— O, na bębnach, oczywiście — mówi Jase. — Najpierw był klarnet, ale potem zdał sobie sprawę, że to go po prostu nie kręci.

Łagodne powietrze pachnie słodko i bujnie. Czując wolny rytm serca Jase'a pod moim policzkiem, zamykam oczy i odprężam się.

— Jak było na treningu?

— Jestem trochę obolały — przyznaje Jase. — Ale tata wie, co robi. W każdym razie u Joela to działało. Dostał komplet punktów na uniwersytecie stanowym za futbol.

— Więc gdzie startujesz do college'u — wiesz już?

Jase, podparty na jednym łokciu, kładzie się z powrotem, pocierając kciukiem nos. Jego twarz, zazwyczaj tak pogodna i otwarta, chmurzy się.

— Nie wiem. Nie jestem pewny, czy mogę startować.

— Co?

Przesuwa palcami po włosach.

— Moi rodzice — mój tata — nigdy się przesadnie nie zadłużali. Ale w zeszłym roku zaczęły się wykopy pod nowy hipermarket budowlany Lowe's. Tata pomyślał, że to odpowiednia chwila na wzięcie pożyczki i ulokowanie w asortymencie budowlanym. Specjalne rzeczy, których nie ma Lowe's. Ale, cóż, ludzie się nie budują. Sklep ledwie wychodzi na czysto. Jest cienko. Alice ma częściowo trochę pieniędzy od naszej stryjecznej babki Alice. W tym roku dostała też pracę prywatnej pielęgniarki-opiekunki. Ale ja... dobrze... może wyjdzie mi z piłką, ale nie jestem swoim bratem.

Obracam się twarzą do niego.

— Musi być coś innego, Jase. Jakiś inny rodzaj stypendium, pożyczki studenckiej. Jestem pewna, że coś się wymyśli.

Myślę o pani Garrett próbującej ograniczyć ilość soku nalewanego przez dzieci. „Duff, nigdy nie wypijasz całej szklanki. Wlewaj trochę i napełnij ponownie, jeśli jesteś naprawdę spragniony”. Po czym o mamie, która po obejrzeniu Food Network robi wyśmienite potrawy i nie ma jej w domu wystarczająco długo, by je zjeść, o Tracy i teraz o sobie, nigdy niebędącej w stanie skończyć.

— Jest sposób, Jase. Znajdziemy go.

Wzrusza ramionami, wyglądając trochę mniej ponuro, gdy kieruje na mnie wzrok.

— Czarodziejka z Księżyca rusza mi na ratunek?

Salutuję.

— Do usług.

— Tak? — Pochyliła się, zbliżając głowę tak, że nasze nosy się stykają. — Mógłbym dostać listę tych usług?

— Pokażę ci moją — wzdygam — jeśli...

— Umowa — mruczy Jase, po czym zbliża usta do moich, ciepły i pewny, gdy przyciągają mnie jego ręce.

Później podciąga się, całując mnie ostatni raz, po czym schodzi po kracie i czeka, aż złożę koc i rzucę mu na dół.

— Dobranoc!

— Dobranoc! — szepczę i wtedy słyszę za sobą głos mamy.

— Kochanie?

O Boże. Skaczę z powrotem do środka przez okno tak szybko, że uderzam czołem o framugę.

Oj!

— Rozmawiałaś z kimś? — Mama wygląda elegancko w czarnej bluzce bez rękawów i białych dopasowanych spodniach. Teraz marszczy brwi z założonymi rękami. — Wydawało mi się, że słyszę głosy.

Próbuję powstrzymać rumieniec na mojej twarzy. Bez powodzenia. Rumienię się i mam spuchnięte wargi. Prawdopodobnie nie mogę wyglądać na bardziej winną.

— Właśnie wołałam „cześć” do pani Schmidt po drugiej stronie ulicy — mówię. — Odbierała pocztę.

Niewiarygodne, mama kupuje to. Już jest nieobecna.

— Sto razy mówiłam ci, żebyś nie zostawiała otwartego okna. Wypuszcza klimatyzowane powietrze i wpuszcza owady! — Zatrząskuje okno, przekręca rączkę, po czym wygląda przez nie. Modłę się, żeby nie zobaczyła podejrzanego postaci Jase’a idącego do domu z, Boże, kocem! Nie żeby mama koniecznie skojarzyła fakty, ale udało nam się o włos, a ona głupia nie jest i...

Czuję, jak serce wali mi w piersi.

— Dlaczego ci ludzie nigdy nie wyrzucą rupieci ze swojego ogrodu? — mamrocze do siebie, spuszcżając zasłonę.

— Czegoś chciałaś, mamusiu? — pytam, po czym się krzywię. Nie nazwałam jej mamusią od co najmniej sześciu lat.

Ale po tym słowie wydaje się, że złagodniała, i podchodzi, by odgarnąć mi włosy z twarzy,

prawie jak robił to Jase. Tyle tylko że zgarnia je do tyłu, zbierając w koński ogon, po czym odsuwa się, badając efekt i uśmiechając tym uśmiechem, który sięga jej oczu.

— Tak, potrzebuję twojej pomocy, Samantho. Mam jutro kilka imprez i utknęłam. Przyjdiesz mi pomóc? Możemy napić się herbaty.

Kilka minut później mój poziomy adrenalinowy stopniowo opada do normalnego, sączę herbatę rumiankową, patrząc na mamę rozkładającą na łóżku lniane kostiumy i letnie swetry. Powinno to być zadanie dla Tracy; to ona przejmuje się ciuchami i przygotowuje sobie ubranie poprzedniego wieczoru. Jednak z jakiegoś powodu od zawsze ja pomagam mamie wybrać strój.

— Oto, co mam — mówi mama. — Idę na obiad w Garden Club, później muszę być na przyjęciu urodzinowym stulatka, a prosto stamtąd na rejs po porcie.

Przytulając się plecami do atlasowego wałka, zawężam wybór do podstawowej czarnej sukienki, swobodnego białego lnianego garnituru, niebieskiej spódnicy w kwiaty z szalem o kolorze chabrow.

— Czarny — mówię — pasuje do wszystkiego.

— Hmm. — Mama marszczy czoło i zgarnia wieszak, przykładając czarną sukienkę do siebie, odwraca się, by spojrzeć w duże lustro.

Matka zawsze zabraniała mi noszenia się całkiem na czarno. Według niej to kolor zbyt surowy i całkiem wyświechtany. Zanim zdążę zapytać, dlaczego ją kupiła, rozpogadza się.

— Przecież mam taką samą granatową.

Oświadczam, że strój jest doskonały, bo to prawda. Mama znika w garderobie, aby dokonać wyboru butów. Wtulam się głębiej w poduszki. Chociaż jest niewiele wyższa ode mnie, sypia na wielkim małżeńskim łóżu przypominającym te wielkie meble dla LA Lakers lub coś w tym stylu. Kiedy tu jestem, zawsze czuję się trochę jak dziecko.

Potem przeglądamy buty, pozbywając się koszmarnych wysokich i męczących butów Manola oraz „praktycznych, ale brzydkich” Naturalizers. Mama siada na łóżku, sięgając po herbatę. Jej ramiona unoszą się i opadają z westchnieniem.

— To odpręża. — Uśmiecha się do mnie. — Mam wrażenie, że od dawna się tym nie zajmowałyśmy.

Ma dobre wrażenie, bo to prawda. Nasz herbaciany rytuał, wybieranie ubrania, mama w domu wieczorem... nie pamiętam, kiedy to wszystko zbiegło się razem.

— Tracy przysłała mi przesłodkie zdjęcie swoje i Flipa przy latarni morskiej East Chop.

— Też je dostałam — mówię.

— Są bardzo słodką parą. — Mama sączy swoją herbatę.

„Słodką” nie jest pierwszym słowem, którego użyłabym do opisanja Tracy i Flipa, ale wpadałam na nich w nieodpowiednich chwilach, w których mama, o dziwo, nigdy ich nie przyłapała. A co by

było, gdyby przyszła do mojego pokoju pięć minut wcześniej? Dwie minuty? Prędej? Otwarte okno pokazałoby jej, gdzie jestem. Co bym powiedziała? Co zrobiłby Jase?

— Nie brakuje ci chłopaka, kochanie? — Kompletnie mnie zaskakuje. Wstaje, zgarniając odrzucone stroje i rusza w stronę szafy, by je odwiesić. Nie odzywam się. — Wiem, że to ważne w twoim wieku — śmieje się z żalem. — Może w moim również. Zapomniałam... — Przez chwilę odpływa, po czym najwyraźniej bierze się w garść, wracając do tematu. — Co z Thorpem, Samantho? Młodszym bratem Flipa? Jest takim miłym chłopcem.

Sugeruje mi teraz randkę? U mamy to nowe i dziwaczne zachowanie.

— Uch, Thorpe gra dla innej drużyny — odpowiadam.

— Cóż, nie myślę o jego sportowej lojalności — mówi. — Zawsze miał cudowne maniery.

— Od szkoły średniej znana jest jego orientacja seksualna, mamo.

Mruga szybko, przyswajając informację.

— Och. Och. W takim razie, cóż.

W spokojnym powietrzu głośno dzwoni jej telefon komórkowy.

— Cześć, kochanie.

Mama przytrzymuje telefon ramieniem, strosząc włosy, chociaż Claya tu nie ma.

— Kiedy? Dobrze, włączę natychmiast. Oddzwonię do ciebie później!

Sięga po pilota, starannie ułożonego w koszyku z wikliny na jej stoliku nocnym.

— Channel Seven relacjonuje moje przemówienie w Tapping Reeve House. Powiedz mi, co sądzisz, Samantho.

Zastanawiam się, czy dzieci gwiazd filmowych doznają tego dziwnego poczucia odłączenia, jakiego teraz doznaję ja. Osoba na ekranie wygląda jak kobieta, która robi lemoniadę w naszej kuchni, ale słowa padające z jej ust są obce. Nigdy wcześniej nie miała problemu z imigrantami. Albo małżeństwami homoseksualnymi. Zawsze była konserwatywna w umiarkowany sposób. Słucham jej, patrzę na jej podekscytowaną twarz obok siebie i nie wiem, co powiedzieć. To przez Claya? Bez względu na to skręca mnie.

## Rozdział siedemnasty

Gdy mama nie prowadzi kampanii, zajęta bardziej niż kiedykolwiek, w naszym domu jest Clay. Przyzwyczajenie się do tego zajmuje mi trochę czasu. Jak zauważyłam na początku, Clay jest inny. Rozsiada się, zdejmuje krawat i rzuca marynarkę na kanapę, kopiąc buty gdziekolwiek, nie mając nic przeciwko otworzeniu lodówki, wyjmowaniu resztek i jedzeniu ich prosto z Tupperware. Rzecz, na którą mama nigdy nie pozwoliłaby Tracy albo mnie. Ale Clay ma wolną rękę. Czasem, gdy rano wchodzę do kuchni, widzę, jak gotuje śniadanie dla mamy, tajemnicze śniadanie pełne rzeczy, których nigdy nie jadła, jak kaszki i domowe frytki. Podczas gdy mama studiuje plan dnia, Clay całując ją w głowę, napełnia jej filiżankę kawą i podaje talerz.

Następnego ranka po tym, jak wybierałyśmy ubranie, gdy schodzę z góry, stoi w kuchni w fartuchu (!).

— Twoja mama właśnie wyjechała po jakieś papiery, Samantho. Masz ochotę na herbatniki z sosem pieczeniowym?

Fuj, nie. Dzierży patelnię z taką samą swobodną pewnością, z jaką wydaje się traktować wszystko. Dziwnie mieć w domu mężczyznę czującego się u nas tak swobodnie.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że widzę go pierwszy raz, od kiedy wpadłam na niego na Main Street. To okazja, by spytać go, o co chodzi z tą kobietą, ale nie mam pojęcia, jak zacząć.

— Proszę. Spróbuj — mówi, stawiając przede mną talerz. Wygląda to, jakby ktoś zwymiotował na herbatnika, ale rzeczywiście pachnie naprawdę dobrze. — No dalej — mówi. — Nie bądź jedną z tych dziewczyn, które boją się mieć za dużo ciała.

Włosy opadają mu chłopięco na czoło, a w oczach ma uśmiech. Chcę go polubić. Sprawia, że mama jest tak szczęśliwa. I stanął w mojej obronie w sprawie godziny policyjnej. Zmieniam pozycję na mniej wygodną.

— Tak w ogóle, to dzięki. Za pomoc tamtej nocy — mówię w końcu, dziobiąc widelcem w grudkowatym sosie.

Clay chichocze.

— Też byłem młody, kochanie.

„Wciąż jesteś” — myślę, zastanawiając się nagle, czy nie bliżej mu wiekiem do mnie niż do mamy.

— Dalej, Samantho. Nie jesteś tchórzem. Ugryź kawałek.

W porządku, myślę. Nie będę tchórzem. Patrzę mu w oczy.

— Kim była ta kobieta, z którą cię widziałam?

Oczekuję, że powie mi, że to nie moja sprawa. Albo że nie ma pojęcia, o czym mówię. Ale nie



robi tego.

— W centrum? Zawracałaś sobie tym głowę?

Wzruszam ramionami.

— Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć coś mamie.

Opiera ręce na blacie, spoglądając mi w oczy.

— Ponieważ widziałas, jak jadłem lunch ze starą znajomą?

Powietrze się trochę zmieniło. Uśmiecha się, ale nie jestem pewna, co to teraz oznacza.

— Wyglądaliście na bardzo bliskich przyjaciół — mówię.

Clay patrzy na mnie uważnie, wciąż opierając się mimochodem o blat. Patrzę mu w oczy. Po chwili nagle się odpręża.

— To po prostu kumpela, Samantha. Była moją dziewczyną jakiś czas temu, ale to historia. Jestem teraz z twoją mamą.

Robię widelcem małe wgniecenia w sosie pieczeniowym.

— A mama o niej wie?

— Nie odbyliśmy wielkiej rozmowy o naszej przeszłości. Zbyt wiele dzieje się tutaj i teraz. Ale twoja mama nie ma żadnego powodu, by niepokoić się o Marcie. Nie więcej, niż ja miałbym przejmować się twoim tatą. Chcesz trochę soku? — Zanim zdążę odpowiedzieć, nalewa mi szklankę.

— Jesteśmy dorośli, cukiereczku. Wszyscy mamy przeszłość. Stawiam, że nawet ty. Ale to nieważne w porównaniu do terażniejszości, prawda?

Cóż... dobrze, chyba. Faktycznie ledwie pamiętam, co widziałam w Michaelu albo Charleyu.

— Wszyscy mamy też terażniejszość — dodaje. — Więc nawet tym, których kochamy, nie mówimy o wszystkich drobnostkach.

Patrzę na niego ostro. Ale nie, to szalone. Bywa tutaj nawet rzadziej niż mama. Nie może wiedzieć o Jasie. Ale chwila, to oznacza...

— Jak powiedziałem, Marcie to przeszłość. Nie jest moją terażniejszością, Samantha. I znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że dużo bardziej koncentruję się na przyszłości niż przeszłości.

Pałaszuję zadziwiająco dobry herbatnik, gdy wchodzi mama zarumieniona z gorąca, z dużym stosem gazet. Clay zabiera je z jej rąk, daje wielkiego całusa, podsuwa dla niej stołek.

— Pracowałem nad twoją córką, chcę z niej zrobić południowca, Gracie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie, skarbie. — Mama opada na stołek obok mnie. — Wygląda pysznie. Umieram z głodu!

Clay podaje jej dwa herbatniki i chochlę z sosem pieczeniowym, a mama nakłada sobie jak drwal. To tyle, jeśli chodzi o jej zwykłe śniadanie z melona i tostu żytniego. I tak to wygląda. Clay jest teraz w naszym życiu, w naszym domu, wszędzie.

Mam poczucie, że to był ostatni raz, kiedy widziałam mamę przed jej zniknięciem. Potem każdego poranka mama wypada przez drzwi z ubraniem na wieczór wiszącym na wieszaku w samochodzie. Najdłuższe rozmowy, które z nią prowadzę, to jej SMS-y, kiedy pisze mi, że jest na przyjęciu z grillem, opiekany mi małżami jadalnymi, przycinaniu wstęgi, rejsie wycieczkowym z fundatorami, spotkaniu związkowym... czymkolwiek. Zaniedbuje nawet odkurzanie, zostawiając karteczki z poleceniem, żebym posprzątała. Kiedy jest w domu na obiedzie, jest również Clay, który w połowie posiłku odsuwa na bok talerz, wyciąga kartki z bazgrołami notatek, z roztargnieniem od czasu do czasu sięgając po widelec, żeby wyłowić kawałek mięsa albo kęs pomidora z jakiegokolwiek talerza w zasięgu — własnego, mojego, mamy.

Słyszałam zwrot „on tym żyje i oddycha” opisujący czyjś entuzjazm, ale nigdy nie widziałam tego w praktyce tak wyraźnie jak dziś. Clay Tucker żyje i oddycha polityką. Sprawia, że mama z jej nieustannym planowaniem wygląda jak przypadkowy amator. Zamienia ją w kogoś nowego, kogoś jak on sam. Może to dobrze... Ale faktem jest, że brakuje mi jej.

## Rozdział osiemnasty

— Panno Reed! Panno Reed? Mogłaby pani tutaj przyjść? — Głos pana Lennox, niemal wibrując z wściekłości, przecina powietrze. — W tej chwili!

Dmucham w gwizdek, po upewnieniu się, że nie ma w wodzie żadnych małych dzieci bez rodziców, stawiam znak „Ratownik nieobecny” na moim krzesełku i podążam do basenu z laguną. Pan Lennox stoi tam z Timem. Kolejny raz pan Lennox wygląda, jakby kilku oddechów brakowało mu do udaru mózgu. Tim, rozbawiony i trochę wymęczony, mruży oczy w południowym słońcu.

— To — pan Lennox wskazuje na mnie palcem — jest ratownik.

— Och... — mówi Tim. — Teraz kapuję.

— Nie kapujesz tego, młodzieńcze. Uważasz siebie za ratownika? Tak siebie nazywasz?

Wyraz twarzy Tima jest dobrze znany, walczy z decyzją, czy zgrywać cwaniaka. W końcu mówi:

— Moi przyjaciele nazywają mnie Tim.

— Nie to mam na myśli! — Pan Lennox odwraca się do mnie. — Czy wiesz, ile przewinień popełnił ten młodzieniec?

Tim pracuje w B&T dopiero od tygodnia, więc zgaduję ostrożnie:

— Hm... pięć?

— Osiem! Osiem! — Niemal oczekuję, że pan Lennox eksploduje kulą ognia. — Osiem przewinień. Pracowałaś tu przez dwa lata. Ile przewinień popełniłaś?

Tim składa ręce i patrzy na mnie.

Fraternizacja podczas pracy jest warta czterech przewinień, ale nigdy nie powiedział ani słowa — ani mnie, ani, najwyraźniej, Nan — że widział mnie i Jase’a.

— Nie jestem pewna — mówię. — Żadnego.

— Żadnego! — mówi pan Lennox. — W krótkim okresie swojej pracy ten młodzieniec — unosi rękę, zaginając palec za palcem — dwa razy wziął jedzenie z baru szybkiej obsługi, nie płacąc. Nie nosił kapelusza — trzy razy. Pozwolił komuś innemu siedzieć na krześle ratownika...

— To było tylko małe dziecko — wtrąca Tim. — Chciał popatrzeć z góry. Miał jakieś cztery lata.

— To krzesło nie jest zabawką. Opuściłaś również swoje stanowisko bez wystawienia znaku albo zasygnalizowania przerwy — dwa razy.

— Byłem przy basenie — protestuje Tim. — Rozmawiałem z jakimiś dziewczynami. Przestałbym, gdyby ktoś tonął. Nie były aż tak gorące — to ostatnie dodaje do mnie, jakby był mi winien wyjaśnienia tego niewytłumaczalnego braku odpowiedzialności.

— Nawet nie zauważyłaś mnie, gdy stanąłem za tobą, chrząkając! Chrząknąłem trzy razy.

— Niezauważenie chrząkania jest odrębnym przestępstwem od niewywieszenia tego znaku? Albo

to są trzy różne przewinienia z powodu trzech razy, bo...

Twarz pana Lennox'a ściąga się i zastyga. Prostuje się tak wysoko, jak pozwala mu jego niski wzrost.

— Ty — wymachuje palcem przed klatką piersiową Tima — nie masz ducha Bath and Tennis. Każde słowo punktuje odrębnym dźwiękiem.

Warga Tima drga, kolejny zły ruch.

— Teraz — grzmi pan Lennox — nie masz pracy.

Słyszę za sobą westchnienie i odwracam się, po czym zauważam Nan.

— Tydzień — szepcze. — Nowy rekord, Timmy.

Pan Lennox odwraca się na pięcie, wołając:

— Proszę zwrócić do biura wszystkie elementy garderoby, które są własnością klubu.

— Ech, cholera — mówi Tim, sięgając do kieszeni bluzy z kapturem zawieszanej na krześle ratownika i wyciągając paczkę marlboro. — Miałem taką nadzieję, że będę mógł zatrzymać tę śliczną czapeczkę.

— To wszystko? — Głos Nan wzrasta niespodziewanie zarówno w tonie, jak i głośności. — To wszystko, co masz do powiedzenia? To czwarta praca, którą straciłeś, odkąd wykopali cię ze szkoły! Twojej trzeciej szkoły w trzy lata! Twoja czwarta praca w trzy miesiące! Jak to możliwe tak często?

— Tak więc, po pierwsze, to kino koncertowe było nudne jak cholera — oświadcza Tim, zapalając papierosa.

— Kogo to obchodzi! Wszystko, co miałeś robić, to sprawdzać bilety! — wykrzykuje Nan.

Tim mówił cicho, ale pan Lennox głośno, a Nan, która nie cierpi scen, zdaje się nie troszczyć o to, że właśnie taką urządza. Grupa małych dzieci wpatruje się w nich okrągłymi oczami. Pani Henderson po raz kolejny wyciąga telefon komórkowy.

— I spieprzyłeś to, wpuszczając wszystkich swoich znajomych za darmo!

— Mają wyśrubowane ceny za popcorn i słodycze — zarząd prawie nic nie stracił.

Nan chwyta się rękami za włosy, mokre od upału albo frustracji.

— Potem był ośrodek dla seniorów. Rozdawałeś jointy emerytom, Timmy? Co to było? — Teraz pod pretekstem pójścia w kierunku baru szybkiej obsługi przybliża się pani Henderson.

— Hej, Nan, gdybym woził tyłek na wózku inwalidzkim w takim miejscu, miałbym tylko nadzieję, że pojawisz się z jakimś ziołem. Ci biedacy naprawdę potrzebowali rozmycia obrazu. To było jak służba publiczna. Mieli tańce w cztery pary. Mieli sfingowane konkursy American Idol. Mieli dzień zajebistego kapelusza. To było jak Dzień Męczarni Seniora. Oni...

— Jesteś cholernym nieudacznikiem — mówi Nancy, która nigdy nie przeklina. — To niemożliwe, że naprawdę jesteście rodziną.

Wtedy wydarza się zadziwiająca rzecz. Po twarzy Tima przemyka wyraz bólu. Zamyka oczy, otwiera je ponownie i gapi się na nią.

— Żałuję, siostrzyczko. Ta sama pula genów. Mogłem mieć ci za złe, że rzucasz się na głęboką wodę z tymi wszystkimi doskonałymi genami, ale odkąd one cię tak cholernie unieszczęśliwiają, nie mam. Możesz je mieć.

— W porządku, uspokójcie się oboje — mówię tak, jak mówiłam, gdy bili się w dzieciństwie, turlając po trawie, szczypiąc, drapiąc, zadając ciosy pięściami, wszystkie chwytówy dozwolone. Zawsze mnie to przerażało, bałam się, że naprawdę zrobią sobie krzywdę. Jakoś wydaje się to dużo gorsze, gdy bronią są słowa.

— Samantho — mówi Nan. — Wracajmy do pracy. Musimy ją wykonywać, skoro wciąż ją mamy.

— Racja — woła Tim za jej plecami. — Bo wtedy możesz zatrzymać te świetne stroje! Priorytety, prawda, Nano? — Podnosi swoją czapkę, odkłada ją na krzeselko ratownika i gasi w niej papierosa.

## Rozdział dziewiętnasty

— Mam niespodziankę. — Kilka dni później Jase otwiera przede mną drzwi furgonetki. Od czasu incydentu w B&T nie widziałam Tima i Nan i w głębi ducha cieszę się, że nie uczestniczę w tym wszystkim.

Wślizguję się do furgonetki, pod moimi tenisówkami trzeszczą stopy pogniecionych magazynów, puste kubki po kawie Dunkin's Donuts, butelki po wodzie mineralnej i oranżadzie oraz mnóstwo papierków po niemożliwych do identyfikacji przekąskach. Alice i jej garbus najwyraźniej wciąż są w pracy.

— Niespodzianka, dla mnie? — pytam zaintrygowana.

— Cóż, jest dla mnie, ale dla ciebie również w pewnym sensie. Mam na myśli, że to coś, co chciałbym ci pokazać.

Brzmi to trochę niepokojąco.

— To jakaś część ciała? — pytam.

Jase wywraca oczy.

— Nie. Jezu! Mam nadzieję, że byłbym wtedy bardziej subtelny.

Śmieję się.

— Dobra. Tylko sprawdzam. Pokaż mi.

Jedziemy dwa miasta dalej, do Maplewood, bardziej zaniedbanego niż Stony Bay. Jase kieruje furgonetkę na parking z olbrzymią czerwono-biało-niebieską tablicą, na której napis głosi: „Używane samochody French Boba”.

— Francuski Bob?

— Bob niestety myśli, że dodając „French”, sprawia, że brzmi to z klasą.

— Rozumiem. Więc powinieneś być French Jase?

— *Oui, oui*. Chodź. Chcę, żebyś mi powiedziała, co o niej myślisz.

O niej?

Gdy wychodzimy z samochodu, chwyta mnie za rękę, ciągnąc do tyłu. Znajduje się tu całe mnóstwo niezwykle starych pojazdów w różnych stanach rozkładu, z dużymi białymi literami wymalowanymi na przednich szybach. Spoglądam na nie, zauważając, że wszystkie one brzmią mniej więcej tak: TANIO JAK BARSZCZ — TYLKO 3999! albo TAKICH JUŻ NIE ROBIĄ, czy WARCZY JAK MŁODY TYGRYS.

Zatrzymujemy się przed szaro-białą bryką z olbrzymią maską i małym kokpitem. Napis na przedniej szybie mówi: TO SŁODKIE MALEŃSTWO MOŻE BYĆ TWOJE ZA ZALEDWIE KILKA PENSÓW.

— Kilka pensów oznacza, oczywiście, sto pięćdziesiąt dolców — mówi Jase. — Ale czy nie jest piękny?

Żaden ze mnie koneser samochodów, ale oczy mu świecą, więc mówię z entuzjazmem:

— Wspaniały.

Śmieje się ze mnie.

— Wiem, nie teraz. Ale ta bryka to mustang '73. Wyobraź ją sobie pomalowaną farbą zamiast powłoki gruntowej. Wyobraź z nowymi pokrowcami na siedzeniach i skórzaną kierownicą i...

— Futrzana kostka zawieszona na lusterku? — pytam powątpiewająco. — Cukierkowa jabłkowoczerwona farba? Lamparci wzór na siedzeniach?

Jase potrząsa głową.

— Za kogo mnie masz, Samantha? Nie ma mowy. Oczywiście brytyjski zielony wyścigowy. I żadnej kostki. Ach, zanim zapytasz, żadnych obrazków dziewczyn tańczących hula.

— W takim razie kocham go.

Uśmiecha się.

— Dobrze. Bo wiem, że mogę go ponownie uruchomić i da się go naprawić, tylko chciałem się upewnić, że ty... tobie się podoba, ponieważ... po prostu chciałem się upewnić.

Klepie maskę, nieznacznie pochylając głowę.

— Oszczędzałem na to przez cztery lata. Powinienem odkładać na college, wiem — mówi, jakby jednak oczekując, że zrobię mu wykład na temat odpowiedzialności finansowej. — Ale ostatnio garbusa wciąż ma Alice. Najwyraźniej Brad jest kiepskim kierowcą. A ty i ja nie możemy spędzać wszystkich randek na twoim dachu. Poza tym to naprawdę dobra okazja.

Moją uwagę przyciąga jedno.

— Oszczędzałeś na samochód, odkąd miałeś trzynaście lat?

— A co? Myślisz, że to dziwaczne?

Jego uśmiech jest tak zaraźliwy, że też się uśmiecham, nawet wcześniej, niż zaczynam odpowiadać.

— Nie wiem. Właśnie pomyślałam, że trzynastolatki wolą raczej Xboxy.

— Joel nauczył mnie prowadzić, gdy miałem trzynaście lat — jesienią na parking przy plaży. Po prostu się uzależniłem. Dlatego zacząłem uczyć się, jak naprawiać samochody... skoro nie mogłem legalnie prowadzić. Wciąż myślisz, że jestem zwariowany, hę? Można powiedzieć.

— W dobry sposób — zapewniam go.

— Mogę z tym żyć. Chodźmy teraz, *ma chérie*, i zapłaćmy French Bobowi.

Bob zgadza się na odholowanie mustanga do domu Garrettów do piątku. Gdy wspinamy się z powrotem do furgonetki, pytam:

— Gdzie zamierzasz przy nim pracować?

Ja również odnoszę się do tej bryki jak do żywej istoty.

— Po prostu na podjeździe. Joel na dniach zabiera motocykl do pracy, więc będzie wolne miejsce. Poza tym do czasu, gdy moja mama nie zorganizuje tej wyprzedaży rzeczy używanych, o której mówi od pięciu lat, nie ma miejsca w garażu.

Już widzę moją matkę z rękami na biodrach, piorunującą wzrokiem przez okno niesprawny samochód i wydającą zniecierpliwione fuknięcie: „A teraz stary zardzewiały wrak! Co następne? Plastikowe flamingi?”.

Ściskam kolano Jase’a, a on natychmiast nakrywa moje palce swoimi, uśmiechając się do mnie tym powolnym, odurzającym uśmiechem. Czuję uścisk serca, ponieważ oddaję część siebie, czego nigdy wcześniej nie robiłam. I nagle przypominam sobie zmartwienia Tracy o zbyt poważny związek z Flipem. To było tylko kilka tygodni temu, a wydaje się, że odpłynęłam daleko od brzegu.

Harmonogram Jase’a jest tak napięty jak mojej mamy. Sklep żelazny, treningi, jakieś dorywcze naprawy w sklepie rowerowym, dostarczanie drewna... Pewnego popołudnia po służbie ratowniczej zastanawiam się z wahaniem na naszym ganku, czy nie zadzwonić do niego, gdy słyszę gwizd i on sam wchodzi na nasz podjazd.

Rzuca okiem na moją marynarkę z pagonami i kostium z głupim herbem. Tak bardzo chciałam wyjść z B&T, że nie przejmowałam się przebieraniem.

— Znowu admirał Samantha.

— Wiem — mówię. — Dobrze ci, że możesz nosić to, co chcesz. — Macham ręką na jego wyblakłe szorty i zielonkawą koszulę wypuszczoną na spodnie.

— Ale wciąż wyglądasz lepiej niż ja. O której twoja mama wraca dzisiaj do domu?

— Późno. Jest u jakiegoś hodowcy sponsora w Bay Harbor Grille. — Przewracam oczami.

— Chcesz przyjść do mnie? Możesz fraternizować się poza pracą?

Mówię, żeby poczekał dwie minuty, ponieważ chcę pozbyć się uniformu.

Gdy wchodzimy do Garrettów, jak zwykle wre u nich gorączkowa praca. Pani Garrett przy stole kuchennym karmi piersią Patsy, wpytując Harry’ego o nazwy różnych węzłów żeglarskich. Duff siedzi przy komputerze. George, półnagi, je ciasteczka czekoladowe, leniwie zanurzając je w mleku i przeglądając „National Geographic Kids”. Alice i Andy intensywnie dyskutują nad zlewem.

— Jak mam namówić go, by to zrobił? To mnie po prostu zabija. Umrę — mówi Andy, oczy ma zamknięte.

— Na co umierasz, kochana? — pyta pani Garrett. — Umknęło mi.



— Kyle Comstock wciąż mnie nie pocałował. To mnie dobija.

— To nie powinno trwać tak długo — zauważa Alice. — Może jest gejem.

— Alice — protestuje Jase. — On ma czternaście lat. Jezu.

— Co to gej? — pyta George z ustami zapchanymi ciasteczkami.

— Gej jest jak te pingwiny, o których czytaliśmy w Central Park Zoo — wyjaśnia Duff, wciąż stukając w klawiaturę. — Pamiętasz, czasami chłopiec koleguje się z innym chłopcem?

— A, pamiętam. Co to znaczy „koleguje”, zapomniałem tej części — odpowiada George, wciąż żując.

— Spróbuj tego — proponuje siostrze Alice. Podchodzi do Jase’a, odrzuca włosy do tyłu, spuszcza wzrok, palcami przesuwając po jego klatce piersiowej, po czym bawi się guzikami jego koszuli, kołysząc nieznacznie przed nim. — To zawsze działa.

— Nie na twojego brata. — Jase odsuwa się, zapinając koszulę.

— Myślę, że mogę spróbować — w głosie Andy pobrzmiewa wątpliwość. — Ale jeśli od razu włoży mi język w usta? Nie sądzę, bym była na to gotowa.

— Blee — kwiczy Harry. — Rzygam. To obrzydliwe.

Czuję ciepło na twarzy, przenoszę wzrok na Jase’a. On też się rumieni. Ale trochę dziwnie uśmiecha się do mnie.

Pani Garrett wzdycha.

— Myślę, że po prostu nie powinnaś się spieszyć, Andy.

— Jakie to naprawdę uczucie, obrzydliwe czy miłe? — Andy odwraca się do mnie. — To tak trudno sobie wyobrazić, chociaż próbuję przez cały czas.

— Idziemy z Samanthą na górę, hmmm, karmić zwierzęta.

Jase łapie mnie za rękę.

— Tak to się teraz nazywa? — pyta Alice rozwlekłe.

— Alice — zaczyna pani Garrett, gdy spieszymy na górę do względnie cichego pokoju Jase’a.

— Przepraszam — mówi Jase, końcówki uszu wciąż mu płoną.

— Żaden problem. — Zdejmuję gumkę z włosów, odrzucam ją, mrugam szybko, trzepocząc rzęsami i wyciągam rękę, wędrując teatralnie palcami w górę jego klatki piersiowej, by rozpiąć mu koszulę.

— O mój Boże — szepcze Jase. — To jakbym właśnie... Nie mogę się powstrzymać...

Zahacza palcem wskazującym o pasek moich szortów, przyciągając mnie. Jego usta, teraz znajome, ale coraz bardziej podniecające, zbliżają się do moich. Parę ostatnich tygodni spędzaliśmy godziny na całowaniu, ale tylko całowaniu, dotykając jedynie twarzy, pleców i talii. Jase, który się nie spieszy.

Nie tak jak Charley, który nie potrafił dotykać moich warg bez sięgania po więcej, albo Michael, który opatentowanym ruchem wpychał ręce w górę pod moją koszulę, rozpinał stanik, po czym jęczał i mówił: „Dlaczego mi to robisz?”.

Teraz to moje ręce suną w górę pod koszulę Jase’a, do jego klatki piersiowej, podczas gdy opuszczam głowę na jego ramię i robię głęboki wdech. Wszystkie inne nasze pocałunki były powolne i ostrożne, nad jeziorem, na dachu, gdy potencjalnie nie byliśmy sami. Teraz jesteśmy w jego sypialni i jest to zarówno kuszące, jak i wspaniałe. Przenoszę ręce na rąbek jego koszuli, szarpiąc go, podczas gdy część mnie jest kompletnie zszokowana, że to robię.

Jase robi krok do tyłu, patrzy na mnie skupionymi zielonymi oczami. Potem podnosi ramiona, więc mogę zdjąć mu koszulę.

Robię to.

Widziałam go bez koszuli. Widziałam go w kąpielówkach. Ale jedyny raz, kiedy dotykałam jego klatki piersiowej, było ciemno. Teraz popołudniowe słońce przenika do pokoju pachnącego ziemią i ciepłem, ze wszystkimi cichymi roślinami, oprócz naszych oddechów.

— Samantho.

— Mmmm — mówię, przeciągając ręką po jego brzuchu, czując twarde zaciśnięte mięśnie.

Wyciąga rękę. Zamykam oczy, myśląc, jak będę speszona, jeśli mnie zatrzyma. Zamiast tego, jego palce zbliżają się lekko do rąbka mojej koszuli, unoszą go, podczas gdy druga ręka krąży po mojej talii, porusza się w górę, dotykając mojego policzka, zadając milczące pytanie. Kiwam głową i całkowicie poluźnia koszulę.

Przyciąga mnie blisko i całujemy się ponownie, znacznie bardziej intymnie, gdy całym ciałem dotyka mojego. Czuję głuchy odgłos bicia jego serca i jego oddech. Wkładam ręce w fale jego loków i przyciskam bliżej.

Drzwi otwierają się i wchodzi George.

— Mamusia kazała to przynieść.

Odsuwamy się pośpiesznie od siebie i widzimy go z talerzem ciasteczek czekoladowych, z których kilka jest nadgryzionych. George podsuwa nam talerz z miną winowajcy.

— Musiałem upewnić się, czy wciąż są dobre. — Po czym rzuca: — Hej, nie macie niczego na wierzchu!

— Uhm, George... — Jase przeczesuje ręką włosy z tyłu głowy.

— Ja też. — George wbija palec we własną nagą klatkę piersiową. — Pasujemy do siebie.

— G-man. — Jase prowadzi go do drzwi, podając mu trzy ciasteczka. — Kolego, wracaj na dół.

— Lekko trąca brata między chude łopatki, po czym szczelnie zamyka za nim drzwi.

— Jakie są szanse, że nie wspomni o braku koszuli twojej mamie? — pytam.

— Małe. — Jase opiera się plecami o drzwi, zamykając oczy.

— George mówi wszystko. — Pospiesznie szarpię się z moją bluzką, wkładając ręce w rękawy.

— Po prostu, ech... — Najwyraźniej Jase jest w rozterce.

— Karmimy zwierzęta? — sugeruję.

— Racja. Tak. Uch, tutaj. — Podchodzi do szuflad pod łóżkiem. — Mam tu wszystko podzielone na...

Sortujemy jedzenie i wyjmujemy na zewnątrz butelki na wodę, ponownie je napełniając, wymieniając słomę w klatkach. Po jakichś pięciu minutach mówię:

— Włóż ją z powrotem. — Rzucam w niego koszulą.

— Dobra. Dlaczego?

— Po prostu to zrób.

— Czyżbym rozpraszał cię moim ciałem, Samantha?

— Tak.

Śmieje się.

— Dobra. Oboje działamy na siebie tak samo, zatem... — przerywa. Po czym dodaje: — Żle powiedziałem. Jakby liczył się tylko twój wygląd, a tak nie jest. Po prostu jesteś całkiem inna, niż myślałem.

— Niż myślałeś, że jestem, kiedy?

— Kiedy cię widziałem. Siedzącą na dachu. Przez lata.

— Widziałeś mnie. Przez lata? — Czuję, że znowu się rumienię. — Nie mówiłeś o tym.

— Przez wiele lat. Oczywiście, że nie mówiłem. Wiedziałem, że nas obserwujesz. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego po prostu nie wpadniesz. Pomyślałem... że może jesteś nieśmiała... albo snobką... Nie wiedziałem. Nie znałem cię wtedy, Sam. Jednak nie mogłem nie obserwować ciebie.

— Ponieważ jestem tak frapująca i pasjonująca? — Wywracam oczami.

— Zwykle widywałem cię przez okno kuchenne podczas obiadu albo gdy pływałem wieczorem w basenie, i zastanawiałem się, o czym myślisz. Zawsze wyglądałaś na chłodną, opanowaną i doskonałą... ale to...

Milknie, znowu mierzwiąc sobie włosy.

— Jesteś mniej... więcej... Teraz podobasz mi się bardziej.

— Co masz na myśli?

— Lubię cię tutaj... rzeczywiście i właśnie ciebie, radzącą sobie z całym tym obłędem: George, Andy, Harry, ja... myślę, z jakim spokojem to traktujesz. Lubię cię taką, jaka jesteś naprawdę.

Przez dłuższą chwilę przygląda mi się uważnie, po czym odwraca się, ostrożnie napełniając butelkę w klatce fretki.

Pod przebłyskiem przyjemności po jego słowach czuję dreszczyk niepokoju. Jestem spokojna? Jestem kimś, kto przyjmuje rzeczy bez mrugnięcia okiem? Jase jest tak pewny, że mnie zna.

Pukanie do drzwi. Tym razem to Duff proszący o pomoc przy węzłach żeglarskich. Potem Alice, która ma jutro test ze sztucznego oddychania i potrzebuje chętnej ofiary.

— Nie ma mowy — odpowiada Jase. — Wykorzystaj Brada.

Myślę, że to dobrze, że ktoś nam co chwila przerywa. Ponieważ teraz nie czuję najmniejszego spokoju, zupełnie wyprowadzona z równowagi tym, co zdarzyło się, gdy staliśmy, dotykając się nagą skórą do nagiej skóry, z tym narastającym uczuciem, że tego, co się dzieje między nami, nie ma w moim harmonogramie, nie jest pod moją kontrolą. Nie ja decyduję o odejściu, wycofaniu się albo kroku w tył, ale pragnienie mniej łatwe do opanowania. Wcześniej zawsze czułam się zaciekawiona, a nie... nie zmuszona. Jakie doświadczenia ma Jase? Fantastycznie całuje; ale przecież jest dobry we wszystkim, co robi, więc to żadna wskazówka. Jedyna dziewczyna, o której wiem, to sklepowa złodziejka Lindy, a ona, zdaje się, na pewno nie wahała się brać z życia tego, co chciała.

Kiedy pani Garrett przychodzi w górę spytać, czy chcę zostać na kolacji, odpowiadam, że nie, mój cichy pusty dom z daniami w pojemnikach Tupperware jakoś po raz pierwszy daje schronienie przed zmysłową ciszą pokoju Jase'a.

## Rozdział dwudziesty

— Oto, co mamy w planach, Grace. Pieczenie świni w Centrum Seniora. Festiwal Śledzia u Cór Świętego Damiana. Festiwal Błogosławionego Śledzia Synów Wszechmogącego Michaela. Musisz pójść na nie wszystkie.

Clay ma marker i lokalną gazetę. Mama ma trzecią filiżankę porannej kawy.

— Festiwale śledzia? — pyta słabo. — Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

— Nigdy wcześniej nie miałaś prawdziwego przeciwnika, Grace. Tak, na nie wszystkie. Słuchaj, w Bay Crest otwierają restaurację w starym krytym wagonie towarowym. Musisz tam być.

Mama wolno bierze łyk. Jej włosy są rozczochrane jak zwykle, platynowa płatanina w miejscu, gdzie powinna mieć kok, gdy odchyła do tyłu głowę na kanapie.

Clay zakreśla markerem jeszcze parę artykułów, po czym spogląda na mamę.

— Jesteś skonana — mówi. — Wiem. Ale powinnaś to zrobić, Gracie, musisz przyjąć, że trzeba tam iść.

Mama prostuje się, jakby Clay szarpnął za sznurki. Teraz podchodzi, siada obok niego, przegląda papier i zagarnia włosy za uszy.

Sposób, w jaki zachowuje się przy Clayu, sprawia, że jestem niespokojna. Zachowywała się tak przy tacie? Między Tracy i Flipem istnieje równowaga, widzę to teraz, ale mama czasami wydaje się jak zaczarowana. Myślę o tych chwilach w pokoju Jase'a. Jeśli mama czuje się tak przy Clayu, to nie mogę jej nie zrozumieć. Ale... ale drzenie, które czuję przy Jasie, jest niczym przy ciarkach niepokoju, których dostaję teraz, przyglądając się, jak ich jasnowłose głowy zbliżają się do siebie.

— Jest coś, czego potrzebujesz, cukiereczku? — pyta Clay, zauważając moje wahanie.

Otwieram usta, po czym znowu zamykam. Może Tracy ma rację i po prostu nie jestem przyzwyczajona do mamy „mającej faceta”. Może mimo wszystko zazdrośnie strzegę swojego niewidzialnego ojca. Może po prostu buzują we mnie hormony. Spoglądam na zegar — do B&T zostało półtorej godziny. Widzę spokojną wodę, słoneczne odbłaski na jej powierzchni, ten cichy podwodny świat, rozbity tylko przez moje równomierne uderzenia. Łapię swój sprzęt i wychodzę.

— Czarodziejko z Księżyca! Jesteś w telewizji! — Harry sam pędzi do mnie, gdy wchodzę przez drzwi kuchenne. — To jesteś ty! W samym środku Mammal Mysteries. Chodź zobaczyć!

W pokoju dziennym Garrettów George, Duff i Andy siedzą zahipnotyzowani przed jedną z politycznych reklam mamy. Teraz jest zbliżenie jej twarzy przed budynkiem Kapitolu. „Jako kobiety, jako rodzice, wszyscy wiemy, że rodzina jest na pierwszym miejscu”, mówi, gdy kamera wciąż

pokazuje zdjęcia moje i Tracy, w dopasowanych sukienkach z koszami pełnymi czekoladowych jaj wielkanocnych, na plaży, siedzące na kolanach Świętego Mikołaja w B&T, wszystko z mamą w tle. Nie myślałam, że kiedykolwiek zrobili mi zdjęcie ze Świętym Mikołajem, na którym nie płaczę, ale wyglądam na nim stosunkowo spokojnie. Święty Mikołaj w B&T zawsze śmierdział piwem i miał opadającą, wyraźnie sztuczną brodę. „Moja rodzina zawsze była dla mnie najważniejsza”.

— Twoja mama jest ładna, ale nie wygląda jak nasza mamunia — mówi George.

— To niegrzecznie tak mówić — mówi mu Andy, gdy pokazują inny zestaw zdjęć. Tracy przyjmująca nagrodę z gimnastyki, ja zdobywająca nagrodę na kiermaszu naukowym za mój model komórki.

— O, patrz, też miałaś aparat na zęby, Samantho. Nie myślałem, że potrzebowałaś.

— Miałem po prostu na myśli, że wygląda inaczej — mówi George, gdy mama uśmiecha się i mówi: „Kiedy zostałam wybrana waszym senatorem, utrzymałam swoje priorytety. Moja rodzina po prostu się rozrosła”.

Następne zdjęcia mamy stojącej z tłumem studentów w czapkach i togach, pochylonych obok machającej chorągiewką i przyjmującej kwiaty od małego chłopca starej kobiety w wózku inwalidzkim.

— Ci ludzie to naprawdę twoja rodzina? — pyta podejrzliwie Harry. — Nigdy nie widziałem nikogo z nich w sąsiedztwie.

Teraz kamera odsuwa się, pokazując mamę przy stole w jadalni z gromadą etnicznie odmiennych ludzi, wszyscy uśmiechają się i potakują głowami, wyraźnie rozmawiając z nią o ich wartościach i ich życiu... bankiet z popularnymi potrawami Connecticut. Obserwuję piknik na plaży, składniki potrzebne do ugotowania potrawy z Nowej Anglii, pizza z New Haven, rzeczy, których nigdy nie mieliśmy na swoim stole.

„Dla mnie moi wyborcy są moją rodziną. Będę zaszczycona, siadając przy waszym stole. Tego roku i w następnych usiądę z wami. Jestem Grace Reed i zatwierdziłam tę wiadomość” — kończy stanowczo mama.

— W porządku, Czarodziejko z Księżycy? — George ciągnie mnie za ramię. — Wyglądasz na zasmuconą. Nie miałem nic złego na myśli o twojej mamuni.

Odrywam się od ekranu i widzę go obok mnie, oddychającego z trudem na sposób małego chłopca, trzymającego obszarpanego pluszowego psa Happy.

— Jeśli jesteś smutna — mówi — Happy zaczaruje i pomoże.

Biorę psa, po czym owijam ramiona wokół George'a. Oddycham głośniej. Happy rozduszony między nami, pachnący masłem orzechowym, plasteliną i brudem.

— No, chłopaki. Jest piękny dzień, a my oglądamy Mammal Mysteries. To na deszczowe dni.

Prowadzę Garrettów na zewnątrz, ale przedtem rzucam za siebie spojrzenie na telewizor. Pomimo wszystkich plakatów i ulotek, zdjęć w gazetach, wciąż surrealistyczne jest oglądanie mamy w telewizji. Jeszcze dziwniejsze zobaczyć siebie, jak bardzo jestem na swoim miejscu tam obok niej.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Po wyrzuceniu Tima z B&T Masonowie, wciąż w poszukiwaniu obozów dla trudnej młodzieży, starają się zapewnić mu zajęcia. Dzisiaj wieczorem dali mu kasę, żeby zabrał mnie i Nan do kina.

— Proszę — nalega Nan przez telefon. — To tylko film, co to za ryzyko? Nawet nie mrugnie okiem, ba, nie zauważy, jak wybierzemy coś dla dziewczyn.

Jednak w chwili, kiedy wsiadam na tylne siedzenie jetty Tima, już wiem, że nasz plan nie wypali. Powinnam uciec, jednak tego nie robię. Nie mogę zostawić Nan w opałach.

— Tim, ale to nie jest droga do kina! — Nan pochyła się do przodu z siedzenia pasażera.

— Racja, siostra. Chrzanić kino. To droga do New Hampshire i bezcłowych skrzynek bacardi.

Szybkościomierz wskazuje już ponad sto dwadzieścia na godzinę. Tim przenosi spojrzenie z drogi na ekran iPoda lub przytyka zapalniczką, lub grzebie w kieszeni koszuli w poszukiwaniu kolejnego marlboro. Czuję, jak samochód zjeżdża na bok, po czym wraca na swój pas, kiedy Tim szarpie kierownicą. Spoglądam na profil Nan. Nie odwracając się, przyjaciółka wyciąga do tyłu ramię i chwyta mnie za rękę.

Po jakichś dwudziestu minutach szaleńczej jazdy wężykiem Tim podjeżdża pod McDonalda, tak mocno dając po hamulcach, że Nan i mnie zarzuca do przodu, a potem do tyłu. Ale i tak się cieszę. Palce wciąż mam sztywne od kurczowego trzymania się klamki u drzwi. Tim wraca do samochodu jeszcze bardziej zmulony, ze źrenicami niemal wielkości szarych tęczówek, z rudymi włosami zmierzwionymi nad czołem.

— Musimy się stąd wydostać — szepczę do Nan. — Ty musisz poprowadzić.

— Mam tylko prawo jazdy ucznia — odpowiada Nan. — Wpakuję się w duże kłopoty.

Trudno sobie wyobrazić, jak nasze kłopoty mogą jeszcze urosnąć. Ja oczywiście w ogóle nie umiem prowadzić, gdyż mama wciąż odkłada moje lekcje, twierdząc, że jestem za młoda, a większość instruktorów zbyt niekompetentna. Nigdy nie chciało mi się o to kruszyć kopii, skoro bez problemu mogłam się zabierać z Tracy. Teraz żałuję, że nie podrobiłam podpisu mamy na zgodzie na kurs. Zastanawiam się, czy udałoby mi się mimo wszystko spróbować. W końcu czasami słyszy się o sześciolatkach, które wiozą do szpitala dziadków z zawałem. Sprawdzam przód jetty — wystaje z niej rączka skrzyni biegów. Nic z tego.

— Musimy coś wymyślić. Szybko, Nanny.

— Wiem — odmrucuje Nan, po czym pochyła się do przodu i kładzie rękę na ramieniu Tima, który bezskutecznie próbuje włożyć kluczyk do stacyjki. — Timmy, to nie ma sensu. Wszystko, co zaoszczędzisz na zakupach, pójdzie na benzynę, żeby tam dojechać.

— Cholera, przecież to przygoda, siostra. — Tim, który wreszcie zdołał trafić kluczykiem do



stacyjki, wciska w podłogę pedał gazu i pali opony, wyjeżdżając z parkingu. — Nigdy nie miałaś na to ochoty?

Samochód przyśpiesza; siedzenia przenika nagłą szum silnika. Tim z prawej strony wyprzedza samochody. Przemknęliśmy przez Middleton i zbliżamy się do Hartford. Rzucam okiem na zegarek. Za dziesięć dziewiąta... O jedenastej mam być w domu. Do tego czasu nigdy nie dotrzemy do New Hampshire. Zakładając, że nie owiniemy się gdzieś wokół drzewa. Palce mnie bolą od kurczowego ściskania klamki, po czole ścieka strużka potu.

— Tim, musisz się zatrzymać. Zatrzymaj się i wypuść nas! — mówię głośno. — Nie chcemy z tobą jechać.

— Wyluzuj, Samantho.

— Zabijesz nas wszystkich! — krzyczy Nan.

— Dziewczyny, umrzecie jako dziewice. Normalnie zastanawiam się, po co tak się, kurwa, oszczędzacie, he?

— Timmy, przestań przeklinać!

Oczywiście tego mu tylko trzeba.

— Przeklinać? Ja przeklinam? O kurwa... Naprawdę? — Powtarza przekleństwo śpiewnie, głośno, potem cicho, jednym tchem wymawiając je kilka razy. Przez kilka kolejnych chwil bez przerwy bombarduje nas słowami na „k”. Potem zaczyna je śpiewać na melodię *Marszu Pułkownika Bogeya*. Czuję ogarniający mnie histeryczny śmiech, który już niemal wydobywa się na zewnątrz, lecz wtedy dostrzegam, że wskazówka szybkościomierza wskazuje ponad sto sześćdziesiąt na godzinę. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak przerażona.

— Cholera, gliny. — Tim niepewnie, szerokim łukiem skręca na postój dla tirów. Modlę się, żeby radiowóz pojechał za nami, lecz on pędzi dalej na sygnale. Twarz Nan przypomina pergamin. Jetta hamuje z piskiem opon, Tim wytacza się z samochodu.

— Cholera, idę sikać — oznajmia i oddala się w kierunku olbrzymiego niebieskiego dumpstera.

Wyszarpuję kluczyki ze stacyjki, wyskakuję i rzucam je w krzaki obok parkingu.

— Co ty robisz? — piszczy Nan, idąc za mną z rozłożonymi ramionami.

— Ratuję nasze życie.

Kręci głową.

— Zwariowałaś, Samantho? Tim miał na tym breloczku kluczyk od blokady roweru.

Schylam się, opieram ręce na kolanach i oddycham głęboko. Odwracam się do niej. Na widok mojej miny Nan zaczyna się śmiać.

— Dobra, to szaleństwo — przyznaje. — Ale jak się z tego wydostaniemy?

W tej chwili wraca wężykiem Tim. Wsuwa się na przednie siedzenie, po czym opiera głowę na

kierownicy.

— Źle się czuję. — Wciąga głęboko powietrze i otacza ramionami głowę, przy okazji naciskając klakson. — Miłe z was dziewczyny, naprawdę. Do cholery, naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje.

Najwyraźniej Nan i ja nie mamy na to odpowiedzi. Zamykamy drzwi samochodu i opieramy się o nie. Autostradą po lewej przesuwa się sznur samochodów. Tyłu ludzi, wszyscy nieświadomi tego, co się z nami dzieje. Równie dobrze moglibyśmy się znaleźć na pustyni.

— I co teraz? — pyta Nan.

Mama tysiąc razy mi powtarzała, co robić, kiedy znajdę się w samochodzie z niepewnym kierowcą. Zatem dzwonię do niej. Do domu. Dzwonię na komórkę. Uch, na komórkę Claya. Tracy — chociaż ona raczej nie pomoże, skoro jest w Vineyard, ale... Nikt nie odbiera. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie mama miała wyjść wieczorem, lecz w głowie mam pustkę. Ostatnio dużo mówiło się u nas o „gospodarczym okrągłym stole” i „spotkaniu rady miasta” oraz „ludziach do obsadzenia wydarzenia informacyjnego”.

W końcu wybieram numer Jase’a. Odbiera po trzecim sygnale.

— Samantha! Cześć, ja...

Przerywam mu i opowiadam, co się stało.

Nan, która sprawdza stan Tima, woła:

— Stracił przytomność! Chyba. Jest cały mokry. Boże, Samantho!

— A gdzie jesteście dokładnie? — pyta Jase. — Alice, potrzebuję pomocy! — krzyczy do kogoś w tle. — Widzisz jakieś drogowskazy? Gdzie jest najbliższy zjazd?

Rozglądam się wokół, ale nic nie widzę. Pytam Nan, jakie mijałyśmy miasto, lecz ona kręci głową.

— Miałam zamknięte oczy — mówi.

— Czekaście — rzuca Jase. — Wsiadajcie do samochodu, zablokujcie drzwi od środka i włączcie światła awaryjne. Znajdziemy was.

Rzeczywiście — czterdzieści pięć minut później rozlega się stukanie w okno; uniósłszy wzrok, widzę Jase’a i Alice za jego plecami. Otwieram drzwi. Mięśnie mam zeszywniałe, nogi się pode mną uginają. Jase otacza mnie ramionami, ciepłymi, mocnymi i spokojnymi. Zapadam się w nie. Nan, która wygramoliła się z samochodu za mną, na nasz widok staje jak wryta. Szczęka jej opada.

Po minucie Jase puszcza mnie i pomaga Alice, zaskakująco cichej i wyrozumiałej, przetaszczyć nieprzytomnego Tima na tylne siedzenie garbusa. Tim wydaje z siebie głośnie chrapnięcie; najwyraźniej odpadł całkowicie.

— Co on wziął? — pyta Alice.

— N...nie wiem — zajakuje się Nan.

Alice schyla się, bierze go za rękę, nasłuchuje oddechu i kręci głową.

— Chyba nic mu nie będzie. Odleciał. Zabiorę ich do domu, jeśli ona — wskazuje gestem Nan — pokaże mi drogę, a potem wpadniesz mnie odebrać, dobrze? — Wsuwa się na siedzenie kierowcy, przesuując je do przodu, żeby dostosować do swojej drobnej figury.

Nan, która wsiadła do garbusa obok Alice, patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

„Co się dzieje?” — pyta bezgłośnie, po czym przykłada wyimaginowaną słuchawkę telefonu do ucha. Kiwam głową i głęboko, z drzeniem wciągam powietrze. Czekam, aż Jase zapyta, co, do cholery, sobie wyobrażałam, wsiadając do samochodu z kimś w takim stanie, lecz on tylko mówi:

— Zrobiłaś dokładnie to, co trzeba.

Staram się ze wszystkich sił być tą dziewczyną, za którą uważa mnie Jase. Tą spokojną dziewczyną, której nic nie wyprowadzi z równowagi. Ale nigdzie nie mogę jej znaleźć. Zamiast tego wybucham płaczem, tym zenującym hałaśliwym szlochem, kiedy z trudnością łapie się oddech.

Oczywiście Jase znosi to mężnie. Stoimy razem, póki nie odzyskam panowania nad sobą. Potem sięga do kieszeni po batonik czekoladowy.

— Alice twierdzi, że dobrze robi na szok, a w końcu przecież będzie zawodową ratowniczką.

— Rzuciłam kluczyki w krzaki.

— Sprytne. — Jase rusza w gąszcz, schyla się i maca rękami po ziemi.

Ruszam za nim, powtarzając jego gesty.

— Masz niezły zasięg — stwierdza w końcu, po dziesięciu minutach bezskutecznych poszukiwań.

— Do ósmej klasy byłam w drużynie Hodges Heroines — odpowiadam. — I co teraz?

Jase bez słowa wraca do jetty i otwiera przede mną drzwi pasażera, gestem zapraszając mnie do środka. Wsiadam, z fascynacją patrząc, jak wrywa kawałek plastiku spod kierownicy, zdejmując czerwoną izolację z dwóch czerwonych przewodów i skręca je. Po czym wyciąga brązowy drucik i dotyka nim czerwonych. Sypią się iskry.

— Umiesz tak ruszyć? — Widziałam to tylko w filmach.

— Tylko po to, żeby doprowadzić go do domu.

— Skąd to umiesz?

Jase zerka na mnie, podczas gdy silnik przeskakuje na wyższy bieg.

— Uwielbiam samochody — mówi po prostu. — Nauczyłem się o nich wszystkiego.

Po dziesięciu minutach jazdy w ciszy Jase odzywa się z zastanowieniem:

— Timothy Mason. Powinienem się być domyślić.

— Znasz go? — pytam z zaskoczeniem. Najpierw Flip, teraz Tim. Ponieważ nie znałam Garrettów, wyobrażałam sobie, że żyją w zupełnie innym świecie niż mój.

— Ze skautów. — Jase wyciąga rękę z dwoma palcami w powietrzu, jakby salutował.

Zaczynam chichotać. Skauci jakoś nie kojarzą się z Timem.

— Już wtedy prosił się o katastrofę. A raczej ku niej zmierzał. — Jase w zamyśleniu zagryza dolną wargę.

— Kokaina na obozach? — dopytuję.

— Nie, głównie rozpalanie ogniska lupą i podkradanie innym odznak... Niezły chłopak w gruncie rzeczy, ale coś go pchało w kłopoty. Przyjaźnisz się z jego siostrą? Jaka jest?

— Całkowite przeciwieństwo. Chodzący ideał. — Na myśl o Nan po raz pierwszy zerkam na zegar na desce rozdzielczej. Jest dwudziesta druga czterdzieści sześć. Racjonalnie rzecz biorąc — ostatnio racjonalność mnie opuściła — mama w żaden sposób nie może mnie winić za spóźnienie w takich okolicznościach. A jednak czuję, że się spinam. Mama na pewno znajdzie sposób — wiem, że potrafi — by całą winę zwalić na mnie. Albo, co gorsza, na Jase'a.

— Przepraszam, że cię w to wciągnęłam.

— To nic, Samantha. Cieszę się, że nic ci się nie stało. Nic innego się nie liczy. — Spogląda na mnie przez moment. — Jeszcze się nie spóźniłaś. — Jego głos jest niski, łagodny; czuję, jak pod powiekami znów zbierają mi się łzy. Co mi się stało?

Przez resztę drogi Jase stara się odwrócić moją uwagę. Recytuje mi wyczerpującą i całkowicie niezrozumiałą listę rzeczy, których potrzebuje do uruchomienia mustanga („no i mam jakieś trzysta koni mechanicznych dzięki tej sztuczce z aluminiowymi głowicami i rurą wydechową, a przy dwustu sześćdziesięciu koniach sprzęgło wskakuje na trzeci bieg, a ja potrzebuję sprzęgła typu centerforce, lecz to cudo kosztuje pięć stówek, tylko że to przeskakowanie przy każdym wrzuceniu trzeciego biegu naprawdę mnie dobija”) i patrzy, „jak to wyszło”. Potem mi mówi, że właśnie grzebał wieczorem przy mustangu na podjeździe, podczas gdy Kyle Comstock i Andy siedzieli na schodach.

— Staralem się nie podsłuchiwać i nie podglądać, ale oj, to aż bolało. Biedak wciąż próbował grać wyluzowanego chłopaka — najpierw trącenie kolanem, potem ziewnięcie, otoczenie ramieniem — i w ostatniej chwili tracił odwagę. Albo wyciągał rękę i ją cofał. Andy oblizywała wargi i podrzucała głową, aż się przestraszyłem, że jej odpadnie. I przez cały czas rozmawiali o tym, jak to w zeszłym roku na biologii musieli przeprowadzić sekcję płodu świni.

— Trudno to nazwać afrodyzjakiem.

— Owszem. Biologia mogłaby brzmieć obiecująco, ale sekcja zwłok świni to zdecydowanie błędny kierunek.

— Tak trudno znaleźć właściwą drogę — kręcę głową — zwłaszcza w wieku czternastu lat.

— Nawet w wieku siedemnastu. — Jase wrzuca kierunkowskaz, zjeżdżamy z autostrady.

— Albo nawet w wieku siedemnastu lat — potakuję. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, jakie

doświadczenia ma za sobą Jase.

Kiedy zatrzymujemy się przed domem Masonów, spostrzegamy Alice i Nan, które najwyraźniej też przed chwilą dotarły. Stoją przy garbusie i dyskutują. Większość okien w domu Masonów jest ciemna, widać tylko słabą pomarańczową poświatę dobiegającą z okien salonu i dwóch migających lamp na ganku.

— Czy moglibyśmy wejść, nie budząc nikogo? — błaga Nan, szczupłymi palcami chwytając Alice za ramię.

— Prawdziwe pytanie brzmi, czy powinniśmy pozwolić wam wejść, nie budząc nikogo. Rodzice powinni o tym wiedzieć — mówi Alice z wystudiowaną cierpliwością, jakby kilka razy już przez to przechodziła.

— Alice ma rację — wtrąca Jase. — Jeśli go nie przyłapią... gdyby nie złapali mnie z Lindy, może spodobałyby mi się kradzieże w sklepach. Chodzi jeszcze o coś więcej... jeśli nikt nie uświadomi sobie, jak daleko Tim się posunął, następnym razem może się wpakować w podobną sytuację, która jednak skończy się inaczej. Ciebie też to dotyczy. I Samantha.

Alice kiwa głową, patrząc na Nan, lecz mówi do brata.

— Pamiętasz River Fillipi, Jase? Rodzice puszczali mu płazem wszystko, w ogóle się nie przejmowali. Skończyło się tak, że uderzył w trzy samochody, po czym rozwalił się o barierkę na 1-95.

— Ale nie rozumiecie. Tim już siedzi po uszy w kłopotach. Rodzice chcą go wysłać na jakiś okropny obóz militarny, to ma być już ostatnia deska ratunku. Najostatniejsza. Wiem, że to idiota i właściwie nieudacznik, ale to mój brat... — Nan urywa gwałtownie. Głos jej drży, jak i całe jej ciało. Podchodzę i biorę ją za rękę. Przypominam sobie te niezręczne kolacje, które jadałam u nich w domu, niewidzące spojrzenie pana Masona, panią Mason szczebioczącą o nadzieiwaniu karczochów. Czuję się jak na huśtawce kiwającej się w przód i tył między tym, co znam jako dobre i słuszne, a każdą przeszłą chwilą i przyczyną, które, jak widzę, prowadziły do tej sytuacji. Jase i Alice mają rację, ale z Timem naprawdę jest źle. Wciąż słyszę w pamięci to, co niedawno mówił, tak bardzo zagubiony: „Do cholery, naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje”.

— Możesz się zakraść do domu i otworzyć drzwi wewnętrzne? — pytam Nan. — Może uda się zaciągnąć Tima do sutereny, zwalimy go na kanapę w salonie. Rano będzie w stanie zmierzyć się z tym, co go czeka.

Nan wciąga powietrze.

— Dam radę. — Rzuca spojrzenie w kierunku Alice i Jase'a.

Alice wzrusza ramionami i marszczy brwi.

— Skoro tego chcesz... chociaż dla mnie to wszystko nie tak.

— One lepiej znają sytuację — zwraca jej uwagę Jase. — No dobrze, Nan. Idź otworzyć drzwi do piwnicy, zaniemiemy go tam.

Oczywiście Tim budzi się nam na rękach, zdezorientowany i wymiotuje na Alice. Szybko zatykam sobie nos, bo od zapachu można się zakrztusić. Co dziwne, Alice się nie wścieka; wznosi oczy do góry i bez obrzydzenia strzepuje zrujnowaną koszulę. Holujemy Tima na kanapę; chociaż chudy, chłopak jest wysoki i trudny w transporcie. Jase przynosi wiaderko stojące obok pralki i stawia je obok Tima. Nan dokłada szklanekę z wodą i aspirynę.

Tim leży na plecach, błydy jak prześcieradło. Otwiera zaczerwienione oczy, mętным wzrokiem przygląda się Alice w czarnym koronkowym staniku.

— Wow. — Po czym znów odlatuje.

Poprzednim razem za dziesięciominutowe spóźnienie wpakowałam się w duże kłopoty. Jednak tym razem, kiedy naprawdę groziło mi niebezpieczeństwo, kiedy naprawdę potrzebowałam rady kogoś doświadczonego — dlaczego, do licha, nie zadzwoniłam pod numer alarmowy i nie zgłosiłam pijanego kierowcy? — tego wieczoru, kiedy volkswagen wjeżdża na nasz podjazd, okna są ciemne. Mama nawet nie wróciła jeszcze do domu.

— Drugi raz ci się dzisiaj udało, Samantho. — Jase wyskakuje, żeby otworzyć mi drzwi.

Podchodzę do drzwi od strony kierowcy.

— Dziękuję — mówię do Alice. — Byłaś świetna. Przepraszam za koszulę.

Alice wpatruje się we mnie świdrującym wzrokiem.

— Nic wielkiego. Jeśli ten kretyn wywinie się tylko kacem gigantem i rachunkiem za czyszczenie koszuli, ma więcej szczęścia niż rozumu. Jase nie zasłużył na traumę, jeśli dziewczyna, którą sobie wybrał, dokona złego wyboru i skończy na drzewie.

— Nie zasłużył. — Wytrzymuję jej spojrzenie. — Wiem o tym.

Alice odwraca się do Jase'a.

— Jadę do domu, J. Możesz się pożegnać ze swoją damą w opałach.

To już zapiekło; czuję krew napływającą do twarzy. Podchodzimy do drzwi frontowych, opieram się o nie.

— Dzięki — powtarzam.

— Zrobiłabyś to samo dla mnie. — Jase wsuwa palec pod mój podbródek i unosi mi głowę.

— Nic wielkiego.

— Oprócz tego, że nie umiem prowadzić, a ty nigdy nie wpakowałbyś się w taką sytuację i...

— Ćśśś... — Delikatnie pociąga zębami moją dolną wargę, potem przykrywa moje usta swoimi.

Początkowo bardzo delikatnie, potem głęboko, powoli, że nie mogę myśleć o niczym poza jego gładkimi plecami pod moimi dłońmi. Moje palce wędrują do linii jego sprężystych, miękkich włosów; zatracam się w ruchu jego ust i języka. Cieszę się, że żyję, że mogę to wszystko odczuwać.

## Rozdział dwudziesty drugi

Kiedy kolejnego dnia docieram do B&T — godzinę przed czasem — kieruję się prosto do basenu. Wdycham zapach chloru, potem skupiam się na rytmicznych wyrzutach moich ramion w wodzie. Wracam do rutyny. „Pływanie, bez odpoczynku, same nogi, bez odpoczynku, ćwiczenie stylu, odpoczynek, oddech na prawo, oddech na lewo, oddech co trzecie uderzenie”. Tak samo z czasem. Wszystko inne znika. Po czterdziestu pięciu minutach strząsam wodę z włosów, przykładam dłonie do uszu, wychodzę z wody, potem kieruję się w stronę „Pamiętek znad Zatoki” w poszukiwaniu Nan.

Nan do tej pory nie odpowiedziała na żaden z moich SMS-ów. Wyobrażam sobie najgorsze: jej rodzice usłyszeli nasz powrót, zeszli na dół, a Tim już jedzie do jakiegoś obozu o zaostrożnym rygorze na Środkowym Wschodzie, gdzie będzie musiał tłuc granit, a w końcu zostanie zastrzelony przez wściekłego wychowawcę.

Ale w takim wypadku Nan nie przekładałaby spokojnie sukienek w kącie sklepu, prawda? A może tak. Tak jak moja matka, przyjaciółka czasami przedkłada świat fizyczny nad wszystko inne.

— Co z Timem?

Nan obraca się, opiera łokciem o ladę i spogląda na mnie.

— W porządku. Porozmawiajmy o tym, co naprawdę się liczy. O tym, co nie było na tyle ważne, żeby mi powiedzieć. Dlaczego?

— Co nie było ważne...?

Nan blednie pod piegami. Jest na mnie zła? Dlaczego? I nagle do mnie dociera. Pochylam głowę i czuję oblewający mi szyję rumieniec.

— Nie przyszło ci do głowy wspomnieć, że masz chłopaka? W dodatku takie ciacho! Samantho, jestem twoją przyjaciółką. Wiesz wszystko o mnie i Danielu. Wszystko.

Żołądek mi się ściska. Nie powiedziałam Nan nic o Jasie. Ani słowa. Dlaczego? Zamykam oczy, przez sekundę czuję jego ramiona wokół mnie. Cudowne uczucie. Dlaczego nie powiedziałam Nan? Przyjaciółka właśnie z szelestem składa fartuch z napisem „Życie to plaża, a po nim wielka fala” i rzuca go niedbale na stos.

— Jesteś moją przyjaciółką. Widać było, że znacie się nie od wczoraj. Co się dzieje?

— Wcale tak długo się nie znamy, od miesiąca, może nawet krócej. — Na twarz wypływa mi fala gorąca. — Ja tylko... czułam... nie chciałam... mama zawsze tak najeżdża na Garrettów... więc nabrałam nawyku, żeby trzymać ich w sekrecie.

— Twoja mama najeżdża na wszystkich, co nigdy nie przeszkodziło ci opowiedzieć mi o Charleyu i Michaelu. Co to za różnica? Czekaj... Garrettowie? Masz na myśli tych waszych sąsiadów, co to mnożą się jak króliki? — Na moje przytaknięcie pyta: — O rany, jakim cudem w końcu ich poznałaś?



Opowiadam Nan całą historię. Wszystko o Jasie, tych wakacjach, o tym, jak omal nie dostałam szlabanu, i o tym, jak wspiął się do mojego pokoju. I o gwiazdach.

— Wszedł do ciebie przez okno? — Nan przykłada dłoń do ust. — Twoja mama dostałaby szału, gdyby się dowiedziała! Wiesz o tym, prawda? Dostałaby amoku, gdyby wiedziała, co się dzieje. — Teraz jej ton z gniewnego przechodzi w pełen podziwu.

— Zgadza się — odpowiadam, kiedy dzwonek nad drzwiami zaczyna dźwięczeć, oznajmiając nadejście kobiety w fioletowej tunice plażowej, wielkim kapeluszu słomkowym i ze zdecydowanym wyrazem twarzy.

— Kiedy tu byłam parę dni temu — zaczyna tym nieco podniesionym tonem, jakiego niektórzy używają, mówiąc do ekspedientek — widziałam bardzo ciekawe T-shirty. Wróciłam po nie.

Nan prostuje się i przybiera profesjonalną minę.

— Mamy wiele świetnych T-shirtów.

— Te miały napisy — mówi kobieta wyzywająco.

— Mamy takich wiele — odpowiada Nan, prostując ramiona.

— „Stony Bay... To nie jest kolejne miasto żeglarskie” — cytuje kobieta. — Ale w miejscu słowa „nie” był...

— Rysunek węzła — kończy Nan. — Te koszulki leżą w kącie niedaleko okna. — Wskazuje kciukiem kierunek i odwraca się do mnie.

Kobieta zatrzymuje się, po czym rusza w kierunku stosu koszulek.

— Samantha, jak głęboki jest ten związek, o którym nic nie wiem? On wygląda — nie wiem — na starszego od nas. Chyba wie, co robi. Czy ty i on...?

— Nie! Nie, przecież bym ci powiedziała — odpowiadam. Czy na pewno?

— Czy dostanę zniżkę, jeśli kupię po jednej dla wszystkich członków załogi naszego statku? — woła kobieta.

— Nie! — odpowiada Nan lakonicznie. Po czym dodaje do mnie: — Rozmawiamy o tym z Danielem. Ostatnio nawet sporo.

Mimo wszystko czuję się zaskoczona. Daniel jest tak opanowany, że łatwo zapomnieć, iż ma osiemnaście lat. Po takim czasie razem z pewnością rozmawiają o pójściu do łóżka. W okamgnieniu widzę Daniela w mundurku szkolnym prowadzącego debatę szkół w Hodges, mówiącego tym jego charakterystycznym miarowym tonem: „Najpierw wady, potem zalety, poświęcimy im taką samą ilość czasu”.

— Tim ma mnie za idiotkę. — Nan wciska palec wskazujący w świeczkę w kształcie latarni morskiej w Stony Bay. — Według niego Daniel to kutafon i na pewno okaże się beznadziejny w łóżku.

Tim!

— A co się z nim stało? Rodzice się spostrzegli?

Nan kręci głową.

— Nie, miał szczęście. Albo raczej dzięki twojemu chłopakowi niespodziance i jego przerażającej siostrze wymigał się do kolejnego razu. Mama i tata nic nie słyszeli. Przed wyjściem zesłam do sutereny i wyrzuciłam wiadro z wymiocinami. Powiedziałam mamie, że wrócił późno i jest zmęczony.

— Nan, Alice może mieć rację, lepiej go nie kryć. Wczoraj wieczorem było...

Kiwa głową, szybko wciąga powietrze i zagryza koniec kciuka.

— Wiem, wiem. Porażka. Ale wysłać go na obóz rekrutów? Nie wyobrażam sobie, żeby to miało mu pomóc.

Kobieta podeszła do kasy z naręczem koszulek, wszystkie różowe.

Nan odwraca się do niej z szerokim profesjonalnym uśmiechem.

— Zapakuję pani. Czy mam dopisać do rachunku klubu, czy płaci pani osobno?

Snuję się po sklepie, dopóki zegarek nie przypomni mi o zbliżającej się zmianie w pracy. Nan nie odzywa się, dopóki nie szykuję się do wyjścia. Wtedy na chwilę przestaje zmieniać papier w kasie i odzywa się:

— Samantha, masz wszystko, czego chcą dziewczyny.

— Ty masz Daniela — odpowiadam.

— Pewnie. Ale ty masz wszystko. Jak ty to robisz? — W jej głosie pobrzmiwa leciutka nuta goryczy. Myślę o Nan, która po prostu musi zrobić wszystkie zadania dodatkowe do każdego projektu w szkole. Która musi zawsze wytknąć mi ocenę z minusem, kiedy ona dostała plus. Która na mój widok w nowych spodniach zawsze musi skomentować, że na nią byłyby one „dużo za duże”. Nigdy nie chciałam z nią rywalizować, tylko być jej przyjaciółką, jedyną osobą, przy której nie musi być najlepsza. Ale czasami — jak teraz — zastanawiam się, czy dla Nan coś takiego istnieje.

— Nie robię niczego specjalnego, Nanny.

Rozlega się kolejny dzwonek; wchodzi kolejny klient.

— Może i nie. — Jej głos jest zmęczony. — Może nawet nie próbujesz. Ale i tak ci się udaje, prawda? — Odwraca się, zanim zdążę odpowiedzieć. O ile w ogóle znalazłabym odpowiedź.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Po powrocie z pracy do domu nalewam sobie lemoniady i na środku kuchni ściagam mój głupi kostium kąpielowy z nadrukiem, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Od początku lata nawet dźwięk dzwonek się zmienił. Teraz mamy około dwudziestu melodyjek od *Take Me Out to the Ball Game* do *Zip-a-Dee-Doo-Dah*. W ciągu ostatnich dwóch tygodni mama zaprogramowała pierwsze nuty *It's a Grand Old Flag*. Nie żartuję.

Z pralni chwytam top i szorty, szybko je naciagam, po czym zerkam przez mleczną szybę. To Nan i Tim. Dziwne. W czwartki i piątki wieczorem Nan zwykle rezerwuje czas dla Daniela, a Tim rzadko przesiaduje w moim domu. Nawet ja rzadko w nim przesiaduję.

— Czy chciałabyś nawiązać bliższą więź z Bogiem? — pyta Tim, kiedy otworzyłam drzwi. — Ja zostałem uratowany i chciałem przekazać ci dobrą nowinę... za jedyne tysiąc dolarów i trzy godziny twojego czasu. Żartuję. Możemy wejść, Samantha?

Wchodzą do kuchni, po czym Nan natychmiast kieruje się do lodówki po lemoniadę mojej mamy. Po tylu latach wie doskonale, gdzie są specjalne kostki lodu z miętą i skórką cytrynową. Nalewa szklankę Timowi, a on bierze ją od siostry, marszcząc lekko brwi na widok kostek lodu z żółtymi i zielonymi drobinami wewnątrz.

— Masz tequilę? Żartuję, znów. Ha, ha.

Nie czuje się swobodnie. Od dawna nie widziałam Tima w nastroju innym niż znudzona obojętność, apatia pijaka lub zblazowana pogarda dla świata.

— Tim chciał przeprosić za wczoraj — zaczyna Nan, miażdżąc kostkę lodu.

— A właściwie, Nan kazała przyjść i przeprosić — dopowiada Tim, ale patrzy na mnie. — Chciałem powiedzieć, że cholernie cię przepraszam. To było naprawdę głupie, a gdyby ktokolwiek inny potraktował tak moją siostrę — lub ciebie — uznałbym go za nieuleczalnego idiotę, a ta przesłanka doprowadza nas do nieuniknionego wniosku, że właśnie nim jestem. — Kręci głową i bierze łyk lemoniady. — Zauważ, jak zręcznie używam słów na poziomie matury rozszerzonej. Szkoda, że mnie wywalili ze szkoły z internatem, nie?

Kiedy ostatnio słyszałam Tima przepraszającego za cokolwiek? Siedzi ze zwieszoną głową opartą na rękach, oddycha głęboko, jakby przebiegł parę mil lub jakby to, co mówi, wymagało więcej tlenu niż tylko oddychanie. Nawet włosy ma wilgotne, jakby spocone. Wygląda na tak zagubionego, że już sam jego widok boli. Rzucam okiem na Nan, ale ona z nieodgadnioną miną popija lemoniadę.

— Dzięki, Tim. Upiekło się nam, ale naprawdę mnie przerażasz. Jak się czujesz?

— Oprócz tego, że jestem tym samym kretynem co wczoraj — no nie tak schlastanym — to wszystko w porządku. A ty? Co tam z tobą i starym Jase'em? Dotarł dalej niż mój koleś Charley? Bo

Charleya zżera frustracja. Ważniejsze, co u tej gorącej siostry Jase'a?

— Jego gorąca siostra ma chłopaka, który gra w futbol i waży ponad sto kilo — odpowiadam, omijając pytanie o Jase'a.

— No pewnie — stwierdza Tim z uśmiechem. — Zapewne uczy też w szkółce niedzielnej.

— Nie. Ale chyba jest mormonem — odwzajemniam jego uśmiech. — Ale nie martw się, są razem od miesiąca, a jak twierdzi Jase, to już niemal granice wytrzymałości Alice.

— No to nie tracę nadziei. — Tim wychyla szklanekę i odstawia na blat. — Masz może jakąś zwykłą marchewkę albo seler, albo jabłko? Wszystko w naszej lodówce ma w sobie jakieś świństwo.

— To prawda — popiera go Nan. — Po południu ugryzłam śliwkę. Wyglądała normalnie, ale była nadziana jakimś dziwnym serem pleśniowym. Mama kupiła to po reklamie w stacji QVC.

— Pumper. Zastryk smaku prosto w serce twoich ulubionych potraw — cytuje Tim głosem lektora telewizyjnego.

W tej chwili znów rozlega się dzwonek u drzwi. Tym razem to Jase. Ma na sobie spłowiały szary T-shirt i jeansy — zapewne idzie prosto z pracy.

— Hej! — wita go Nan promiennie. — Na wypadek, jakbyś wczoraj nie wyczał, to jestem przyjaciółką Samantha. Z przyjemnością powiedziałabym, że dużo o tobie słyszałam, ale niestety nie, ani słowa. Ale mój brat podobno cię zna. — Wyciąga dłoń do Jase'a. Ten po sekundzie bierze ją, ściska i patrzy na mnie z lekko skonsternowanym wyrazem twarzy.

— Cześć, Nan. Mason. — Witając się z Timem, nieco zmienia ton głosu; widzę, jak mięśnie na szczęce Tima zaciskają się. Jase staje przy mnie i obejmuje mnie ciasno w talii.

Przenosimy się do ogrodu, bo w domu jest bardzo formalnie i sztywno, brakuje miejsca, w którym można by się swobodnie rozłożyć. Jase kładzie się na plecach na naszym pochyłym trawniku, a ja kładę się w poprzek z głową na jego brzuchu, nie zwracając uwagi na ukradkowe spojrzenia Nan.

Przez chwilę rozmowa się nie klei. Jase i Tim leniwie wspominają znajomych z drużyny piłkarskiej w gimnazjum. Ja obserwuję ich razem, zastanawiając się, co by w nich zobaczyła moja mama. Jase z oliwkową skórą i szerokimi barami wygląda na starszego niż siedemnaście lat, niemal na mężczyznę. Tim z kolei jest blady, ma podkrążone oczy, piegi mocno odcinające się od skóry, chude nogi skrzyżowane, twarz przystojną, lecz białą i zapadniętą. Jeansy Jase'a noszą plamy od smaru, koszulka jest wystrzępiona przy szyi i zdefasonowana. Tim ma na sobie schludne luźne spodnie khaki i koszulę w niebieskie prążki z podwiniętymi rękawami. Gdyby mamę zapytać, który z nich jest „groźny”, bez namysłu wskazałaby Jase'a, który naprawia maszyny, ratuje zwierzęta i ratuje mnie — a nie Tima, który na moich oczach beztrudno zgniata kosarza.

Wycierając dłoń w trawę, Tim odzywa się:

— Muszę zdać co najmniej GED, bo albo starzy wyślą mnie do Legii Cudzoziemskiej, albo resztę życia — w takim wypadku nędzne parę lat — spędzę w suterenie w ich domu.

— Mój tata to zrobił... zdał egzamin GED zamiast normalnej matury — mówi Jase, bawiąc się moimi włosami. — Możesz z nim pogadać.

— A może twoja siostra Alice też do tego podchodziła?

Usta Jase'a zadrgały.

— Nie.

— Szlag. Muszę też znaleźć robotę, bo inaczej musiałbym spędzać całe dni w domu, przyglądając się, jak mama wymyśla nowe zastosowania dla pumpera.

— Za chwilę rusza kampania mamy — podsuwam. — A teraz będzie jej potrzeba wszystkich rąk do pomocy, bo Clay Tucker ją rozprasza.

— A kto to, do jasnej, jest Clay Tucker?

— To... — Nan zniża głos, chociaż mówi tylko: — Młodszy facet, z którym spotyka się mama Samantha.

— Twoja mama się z kimś spotyka? — Tim wygląda na wstrząśniętego. — Myślałem, że po tym, jak twój tata ją wydymał, ograniczyła się do wibratora i główki prysznicza.

— Timmy! — Nan spurpurowiała.

— W sklepie taty zawsze znajdzie się coś do zrobienia. — Jase przeciąga się i ziewa niezmiernie. — Przeszawianie na półkach, zamówienia... nic wielkiego, ale...

— Racja. — Tim spuszcza wzrok na kciuk i szarpie skórę. — Na pewno tego właśnie potrzebuje twój tata: naćpanego gościa wyrzuconego ze szkoły, goniącego za nielegalnymi używkami... do pracy w sklepie.

Jase unosi się na łokciu i patrzy mu prosto w oczy.

— Pod warunkiem, że ten gość w sklepie nie pije i tak dalej oraz nie zabiera mojej dziewczyny na przejażdżkę, kiedy jest naćpany. Nigdy więcej. — Jego ton mówi wszystko. Jase przygląda się Timowi przez chwilę, po czym kładzie z powrotem na trawie.

Jeśli to możliwe, Tim blednie jeszcze trochę, po czym rumieni się.

— Eee... No tego... ja... — Rzuca spojrzenie na mnie, na Nan, potem skupia się na swoim palcu. Cisza.

— Układanie towaru na półkach i takie tam może nie brzmią ciekawie, ale to jednak dobra rzecz — odzywa się Nan po minucie czy dwóch. — Jak myślisz, Timmy?

Tim wciąż skupia się na swoim kciuku. W końcu unosi wzrok.

— Jeśli Alice też będzie pracować w sklepie, najlepiej głównie na drabinie w tych swoich super krótkich szortach, to okej. Jeśli nie, to chyba raczej pogadam sobie z gorącą Grace o polityce. Lubię

politykę. Można manipulować ludźmi, kłamać i oszukiwać dla dobra sprawy.

— Z tego, co czytałem, mama Samantha myśli o polityce raczej w kategoriach pracy dla dobra wspólnego. — Jase wyciąga ramiona nad głową i ziewa. Siadam, zaskoczona, że Jase powtarza ostatni slogan z kampanii mamy, który Clay Tucker tak bezlitośnie wykpił. Jase i ja nigdy nie rozmawiamy o polityce, lecz chłopak musiał interesować się jej wystąpieniami przez cały czas.

— Super. Wchodzę w to. Zostanę trybikiem pracującym dla dobra wspólnego. Z moją przeszłością zapewne uda mi się skorumpować wszystkie trzy władze w państwie w jakieś półtora tygodnia — odpowiada Tim. — Czy gorąca Alice interesuje się polityką?

Mama wraca wcześniej, na szczęście już po wyjściu Nan i Tima do domu, a Jase'a na trening. Wieczorem ma spotkanie zapoznawcze w East Stonehill, chce mnie zabrać ze sobą.

— Clay twierdzi, że skoro tak mocno skupiam się na rodzinie, powinnam częściej pokazywać własną.

Przez jakieś osiem tysięcy lat stoję obok niej w Moose Hall, powtarzając: „Tak, jestem dumna z mojej mamy. Głosujcie na nią” — podczas gdy ona ścisza kolejne ręce.

Kiedy wybrano ją po raz pierwszy, była to zabawa i jazda bez trzymanki. Wszyscy ci całkowicie mi obcy ludzie, którzy wydawali się mnie znać, rozradowani naszym widokiem. Teraz wszystko wydaje się surrealistyczne. Wsłuchuję się w jej przemówienie, próbując ocenić, jak się zmieniła. Jest znacznie bardziej pewna siebie, używa nowych gestów: tnie ręką powietrze, rozkłada prosiąco ramiona, potem krzyżuje ręce na sercu... ale chodzi o coś więcej. Ostatnio mama omawiała tylko sprawy lokalne i to dość nieśmiało. Teraz jednak rozprawia się z wydatkami federalnymi i wielkością rządu oraz niesprawiedliwymi podatkami dla zamożnych, którzy tworzą wszystkie miejsca pracy...

— Nie uśmiechasz się — mówi Clay Tucker, zatrzymując się obok mnie — więc uznałem, że jesteś głodna. Te przekąski są zadziwiające. Ja się pouśmiecham przez chwilę, a ty coś zjedz. — Podaje mi talerz koktajlu z krewetek i nadziewanych ostryg.

— Ile to jeszcze potrwa? — pytam, maczając krewetkę w sosie.

— Do ostatniego uścisku ręki, niezależnie od godziny, Samantho. — Wskazuje wykałaczką moją mamę. — Spójrz na Grace. Nie domyśliłabyś się, że od dwóch godzin już tu stoi, buty ją pewnie cisną i może chciałaby iść do łazienki. Profesjonalistka z tej twojej mamy.

Mama rzeczywiście wygląda świeżo, spokojnie i profesjonalnie. Schyla głowę, żeby posłuchać starszego mężczyzny, jakby była to najważniejsza rzecz na świecie. Dotąd jakoś nigdy nie uznawałam jej zdolności do udawania za zaletę, ale w tej chwili tak chyba jest.

— Masz zamiar to zjeść? — pyta Clay, porywając mi z talerza ostrygę, zanim zdążę odpowiedzieć.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Późnym wieczorem leżę na łóżku wpatrując się w sufit, świeżo po prysznicu, w białej koszuli nocnej, którą noszę od ósmego roku życia. Romantycznie długi czas użytkowania; teraz koszula opina mi się wokół ud.

Mama wreszcie przyznała się do zmęczenia i położyła się w swoim apartamencie. Po raz pierwszy zastanawiam się, czy Clay kiedykolwiek spędził tu noc. Jeśli nawet, to i tak bym się nie dowiedziała, gdyż jej pokoje są po drugiej stronie domu i prowadzą do nich schody z podwórka. Uch, nie myśl o tym.

Rozlega się pukanie w moje okno; wyglądam i widzę dłoń przyciśniętą do szyby. Jase. Jego widok budzi we mnie uczucie podobne do tego, kiedy po uderzeniu w splot słoneczny i utracie powietrza można wreszcie głęboko zaczerpnąć powietrza. Podchodzę, kładę dłoń na jego dłoni, po czym popycham okno do góry.

— Cześć. Mogę wejść?

Wchodzi, z gracją, mocno stawiając nogi, jednocześnie ostrożnie uchylając się przed górną belką, jakby robił to już tysiące razy. Potem rozgląda się wokół i uśmiecha do mnie.

— Jaki tu porządek, Sam. Muszę to zrobić.

Zdejmuje trampki i rzuca w kierunku mojego biurka, po czym bierze drugi i ostrożnie i cicho rzuca go w kierunku drzwi.

Potem jedna skarpetka ląduje na mojej komodzie, a druga na biblioteczce.

— Nie krępuj się. — Łapię go za koszulę, zdzieram z niego i rzucam przez pokój na krzesło przy biurku.

Sięgam po niego, ale on kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Sam.

— Hmmm — odpowiadam rozproszona wąską smugą włosów, która otacza jego pępek i schodzi w dół.

— Mam się bać?

Unoszę na niego wzrok; myśli mi się rozbiegają.

— Czego?

— Faktu, że chyba jako jedyna dziewczyna na planecie nie opowiadasz przyjaciółce o wszystkim natychmiast po tym, jak się zdarzy. Mam przecież siostry. Myślałem, że przyjaciółka zawsze wie absolutnie o wszystkim, taka zasada. A twoja przyjaciółka nawet nie wiedziała o moim istnieniu.

— Nan? — pytam szybko, po czym uświadamiam sobie, że nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

— Z nią to trochę skomplikowane. Dużo się u niej dzieje... myślałam, że... — Wzruszam ramionami.



— Chodzi o troskę? — pyta Jase, odsuwając się ode mnie i siadając na łóżku. — A nie o wstyd?

Czuję, jak powietrze ze świstem ucieka mi z płuc, nie mogę zaczerpnąć tchu.

— Miałabym się wstydzić ciebie? Nie. Nie! Nigdy. Ja tylko... — Zagryzam wargę.

Jego oczy oceniają moją twarz.

— Nie chcę cię wpędzać w zakłopotanie. Próbuję tylko ustalić, co jest co. Jesteś... nie wiem...

córką pani senator, a ja... Hm... jednym z tych Garrettów, jak mawiał tata Lindy.

Wypowiada to wyrażenie jak cytat; nie mogę tego znieść. Siadam na łóżku obok niego i kładę dłoń na jego policzku.

— Ja to ja — odzywam się do niego. — I cieszę się, że tu jesteś.

Jase obserwuje moją twarz, potem bierze mnie za rękę i pociąga w dół. Ostrożnie owija się wokół mnie, tak że moja głowa opiera się na jego ramieniu, a jego głowa na moim barku. Jego palce przeczesują powoli moje włosy. Paradoks Jase'a polega na tym, że jednocześnie doskonale zdają sobie sprawę z jego rozpalonej klatki piersiowej na moich plecach, mięśni nóg w szortach owiniętych wokół moich nóg, ale z drugiej strony czuję się tak swobodnie i bezpiecznie, że niemal natychmiast zapadam w sen.

Budzę się, kiedy Jase potrząsa moim ramieniem.

— Muszę iść — szepcze. — Jest rano.

— Niemożliwe. — Przyciągam go do siebie. — To było za krótko.

— Owszem. — Jase całuje mnie w policzek. — Ale muszę iść. Jest piąta dwadzieścia siedem.

Łapię go za nadgarstek i mrużąc oczy, wpatruję się w tarczę zegarka elektronicznego.

— Niemożliwe.

— Naprawdę — mówi Jase. — Posłuchaj. Poranne gołębie.

Przechylam głowę i rozpoznaję serię pohukiwań podobnych do sowych. Jase wyslizguje się z łóżka, zakłada koszulę, skarpetki i buty, podchodzi do mnie, pochyla się, całuje mnie w czoło, potem powoli przesuwa usta w dół, do kącika moich ust.

— Naprawdę musisz iść?

— Tak. Samantho, ja... — przerywa. Otaczam ramionami jego szyję i pociągam go w dół. Przez moment się opiera, potem zsuwa na łóżko obok mnie. Wsuwa mi ręce we włosy, po nocy nieco rozczochrane, a nasze pocałunki nabierają mocy i intensywności. Wsuwam ramię pod niego i pociągam go na siebie, zaglądam w zielone oczy, które otworzyły się odrobinę szerzej. Jase opiera się na łokciach, a jego ostrożne, doświadczone dłonie rozpinają guziki mojej koszuli.

Co dziwne, w ogóle nie czuję zakłopotania. Jestem niecierpliwa. Kiedy jego usta opadają, moje

westchnienie przyjemności przenika każdy centymetr mojego ciała.

— Jase...

— Mmm... — Ustami muska jedną moją pierś, a palcami delikatnie przesuwa po drugiej, lekko, a jednak przyprawia o gęsią skórkę.

— Jase, chcę... chcę... Proszę.

Unosi wzrok na moją twarz; spojrzenie ma senne i rozkojarzone.

— Wiem. Wiem. Ja też chcę, ale nie w ten sposób. Nie w takim pośpiechu. Nie bez żadnego...

— Przełyka. — Nie tak. Ale Boże, Samantho... popatrz tylko na siebie.

Pod jego spojrzeniem czuję się absolutnie piękna.

— Nie widzę nic poza tobą — szepcze chrapliwie. — Jednak muszę iść.

Oddycha głęboko, po czym zapina mi koszulę z powrotem i całuje w szyję.

— Jase, czy ty... Czy ty kiedyś...

Czuję, jak kręci głową, a potem przesuwa się, żeby spojrzeć mi w twarz.

— Nie. Raz prawie z Lindy. Ale w końcu do niczego nie doszło. Ja tylko... Nigdy przy niej nie czułem się tak, jak się czuję, kiedy tylko cię zobaczę. Więc... nie.

Kładę dłoń na jego policzku szorstkim od zarostu.

— Ja też nie.

Jego wargi wykrzywają się; Jase odwraca głowę i dotyka nimi mojej dłoni.

— Zatem naprawdę potrzebujemy czasu. Po to, żeby... — Przełyka i zamyka oczy. — Czasami, kiedy na ciebie patrzę, przestaję myśleć. Potrzebujemy czasu, żeby razem to wszystko przeżyć.

— W porządku — odpowiadam, nagle onieśmielona, nie wiadomo dlaczego. — Hm...

— Uwielbiam to, jak rumienisz się na całym ciele, kiedy się zakłopotasz — mruczy.

— Wszędzie. Uszy robią ci się różowe, kolana też, pewnie nawet palce u stóp.

— W ten sposób nie pomożesz. — Rumienię się jeszcze mocniej.

— Wiem. — Powoli zsuwa się ze mnie i z łóżka. — Ale wcale nie chcę, żebyś przestała się rumienić. Uwielbiam to. A teraz muszę iść. O której będziesz dzisiaj w domu?

Z trudem przypominam sobie świat poza moim pragnieniem przyciągnięcia do siebie Jase'a.

— Eee... Mam podwójną zmianę w Breakfast Ahoy. Zatem o piętnastej.

— Dobrze — odpowiada Jase. — Szkoda, że sklep jest czynny dzisiaj do późna. Ja wracam około siódmej. Do tego czasu będę za tobą tęsknił.

Otwiera okno i wyslizguje się na dwór. Zamykam oczy i dotykam dłonią miejsca na szyi, w które mnie pocałował.

Jestem dziewczicą. Jase, jak widać, też nie ma doświadczenia. Na lekcjach wiedzy o zdrowiu słuchałam wykładu o seksie. Oglądałam filmy dla dorosłych. Słuchałam przechwałek Tracy o tym, ile

razy dziennie mogą to robić z Flipem. Czytałam książki z momentami. Jednak tylu rzeczy jeszcze nie wiem. Czy górę bierze instynkt? Czy od początku jest dobrze, czy trzeba nauczyć się to smakować, jak wino czy papierosy? Czy za pierwszym razem naprawdę tak boli? Czy ledwo się czuje? Czy będę musiała kupić prezerwatywy, czy on to zrobi? Na skutki działania tabletki trzeba długo czekać, prawda? Chodzi mi o to, że najpierw trzeba ją brać przez miesiąc, prawda? No i musiałabym poprosić mojego lekarza o receptę — mojego lekarza, który przekroczył osiemdziesiątkę, ma wąsik i włosy w nosie i był pediatrą mojej mamy.

Szkoda, że nie mogę zadać tych pytań mamie, ale wyobrażenie sobie jej twarzy, gdybym spróbowała, przeraża mnie bardziej niż nieznajomość odpowiedzi. Szkoda, że nie mogę zapytać pani Garrett. Ale... przecież to jej syn, a ona jest tylko człowiekiem. Chociaż byłoby to dziwne. Bardzo dziwne. Mimo że chcę tego, wiem o tym, zaczynam lekko panikować, aż w końcu przypominam sobie człowieka, któremu ufam najbardziej na świecie. Jase. Uznaję, że on jest właściwy. Razem to przejdziemy.

## Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy docieram do domu z obolałymi stopami, zalatująca bekonem i syropem klonowym, jedyny znak od mamy to notka na żółtej karteczce samoprzylepnej: „Odkurz salon”. Odpuszczam sobie tę robotę, bo na dywanie wciąż widać ślady po ostatnim odkurzaniu. Dzwoni telefon, ale to nie mama, lecz Andy.

— Samantha? Mogłabyś wpaść? Mama jest chora, taty nie ma w domu, a ja, no tego, jestem umówiona z Kyle’em i... czy mogłabyś przypilnować dzieci, dopóki Jase nie wróci? Duff nie radzi sobie z pieluszkami, a Patsy ma okropną wysypkę. Trzeba ją smarować tą maścią na receptę. Wysypało ją na tyłku i na nogach.

Rzecz jasna, nie mam pojęcia o wysypce od pieluch, lecz obiecuję, że zaraz do nich przyjdę.

U Garrettów panuje niezwykle poruszenie.

— Mama jest na górze, śpi, naprawdę źle się czuje — tłumaczy mi Andy, jednocześnie próbując pomalować oczy i założyć buty. Wyjmuję jej kredkę z dłoni, poprawiam oczy i czeszę w warkocz dobierany.

— Czy wszyscy jedli?

— Patsy. Ale reszta umiera z głodu, chociaż dałam im wszystkim cukierki. Alice wyszła z Bradem lub coś takiego, nie pamiętam. W każdym razie — Andy wystawia głowę za drzwi — pan Comstock już tu jest. Na razie! — Wybiega, zostawiając mnie z Harrym, Duffem i George’em, którzy już trzymają widelce w gotowości, oraz Patsy, która z poufnym uśmiechem wyznaje mi:

— Kuuuupę.

Wybucham śmiechem.

— To jest jej kolejne słowo po „am-am”?

Duff otwiera lodówkę i wzdycha zawiedziony.

— Tak myślałem. Mama naprawdę przejęła się tą książką dla dzieci. Nic tu nie ma, Samantho. Co nam zrobisz?

W końcu obiad u Garrettów tego dnia składa się z babeczek i pizzerek, makaronu z serem z pudełka, lemoniady mojej mamy, sałatki z brokułów, suszonych pomidorów i pasty z orzeszków pekanowych — nie do końca mi wyszła — po które wysyłam Duffa do mnie do domu, wyjaśniając, na czym polegają specjalne kostki lodu.

Kąpiąc Patsy i George’a, słyszę zamieszanie w korytarzu. Wąż Voldemort uciekł po raz kolejny. Słyszę grzmiące kroki Duffa, podniecone okrzyki Harry’ego, potem widzę wąską sylwetkę zwierzęcia wślizgującą się do pokoju; próbuje wejść do brudnego buta George’a z wizerunkiem Transformera. Jestem dumna z mojego spokoju, kiedy sięgam po Voldemorta, biorę go w rękę i bez

drzenia podają Duffowi. Nawet nie wrzeszczę, kiedy Voldemort, najwyraźniej mocno przestraszony, zwyczajem węży zbożowych wypróżnia się na moją rękę.

— Kuuuupaaaa! — krzyczy z zachwytem Patsy, kiedy idę do zlewu się umyć.

Po półgodzinie Patsy śpi w kołysce z pięcioma smoczkami, które uparła się trzymać w rękach — nigdy nie wkłada ich do ust. George sennie przeciąga się na kanapie, kiwając się przed filmem *Najdziwniejsze metamorfozy zwierząt* na kanale Animal Planet. Duff siedzi przy komputerze, Harry buduje coś w rodzaju Pentagonu z wielkich klocków, kiedy słyszę trzaśnięcie drzwi. Wchodzi Alice, której włosy mają teraz ciemnokasztanowy odcień z niewyjaśnionym blond kosmykiem na przedzie, a z nią Jase, najwyraźniej prosto po dostawie drzewa, spocony i rozczochrany. Na mój widok uśmiecha się szeroko. Kieruje się do mnie, ale Alice staje mu na drodze.

— Leć pod prysznic, zanim zaczniecie się kleić — radzi bratu. — Siedziałam z tobą w samochodzie, naprawdę dech zatyka.

Podczas gdy Jase idzie na górę, ja zdaję sprawozdanie Alice.

— Mama śpi? — pyta z niedowierzaniem. — Dlaczego?

Wzruszam ramionami.

— Andy mówiła, że źle się czuje.

— Cholera, mam nadzieję, że to nie grypa. Z trzema klasówkami na głowie nie mam czasu zajmować się dziećmi. — Alice zaczyna zbierać naczynia po obiedzie i wyrzucać resztki.

— Na razie Samantha zrobiła wystarczająco dużo. — Jase wraca do kuchni, bierze z blatu żółtą plastikową drapaczkę do pleców, parę brudnych skarpetek, puste pudełko chipsów, pięć samochodzików, eyeliner Andy i niedojedzonego banana. Przykłada drapaczkę do ramienia Alice.

— Zostajesz mianowana mamą, dopóki nie wróci tata. Idę z Samanthą na górę. — Bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą.

Jednak ten pośpiech wynika zapewne bardziej z chęci ucieczki od chaosu panującego na dole niż zaciągnięcia mnie do łóżka, gdyż kiedy już docieramy do pokoju, otacza mnie ramionami i pochylając się nade mną, całuje leniwie. Potem odchyła się i przygląda mi się.

— Co? — pytam, sięgając po niego w nadziei na więcej.

— Właśnie tak się zastanawiałem, Samantho. Czy chcesz...

— Tak — odpowiadam natychmiast.

Śmieje się.

— No właśnie powinnaś najpierw wysłuchać pytania. Dużo myślałem nad tym, o czym rozmawialiśmy rano. Jak ty... czy chcesz... zaplanować to wszystko czy...

— Masz na myśli dzień, godzinę i miejsce? Chyba za bardzo bym się spięła. Czułabym się jak przy odliczaniu. Nie chcę planować, nie w ten sposób.

Jase rozluźnia się.

— Ja też tak uważam. Wymyśliłem więc, że powinniśmy być... hm, przygotowani. W każdej chwili. Tak, że jak trafi się okazja, będziemy...

— Gotowi? — dopowiadam.

— Wyluzowani — precyzuje Jase. — Przygotowani.

Trącam go żartobliwie w ramię.

— Skaut do szpiku kości.

— No nie, takiej sprawności nie zdobywałem — śmieje się Jase. — Chociaż na pewno cieszyłaby się dużą popularnością, no i byłaby bardzo pożyteczna. Dzisiaj byłem w aptece. Za duży wybór, no wiesz... prezerwatyw.

— Wiem — uśmiecham się do niego — też tam poszłam.

— Zatem teraz pójdziemy razem — mówi Jase, ujmując moją rękę i odwracając dłońią do góry całuje wnętrze nadgarstka. Puls mi skacze na sam dotyk jego warg. O rany.

W końcu jeszcze tego wieczoru idziemy razem do apteki CVS, gdyż pani Garrett obudziła się, wyszła z pokoju owinięta szafirowym szlafrokiem i poprosiła Jase'a o kupno elektrolitów. Tak znaleźliśmy się w dziale planowania rodziny z koszykiem pełnym napojów dla sportowców i rękami pełnymi...

— Trojan, Ramzes, Magnum... Boże, to brzmi gorzej niż nazwy samochodów — zauważa Jase, przesuując palcami po opakowaniach.

— Wydają się nieco... agresywne. — Obracam w dłoni pudełko w poszukiwaniu instrukcji.

Jase unosi na mnie wzrok i uśmiecha się do mnie.

— Nie martw się, Sam. To dotyczy tylko nas.

— Nie rozumiem połowy tych opisów... co to znaczy pierścień wibracyjny?

— Przypomina część pralki, która się ciągle psuje. A co to znaczy „wyjątkowo wrażliwe”? To jak opis George'a.

Zaczynam chichotać.

— No dobrze, a czy to coś lepszego niż „wyjątkowe odczucia”... o, patrz, tu są prezerwatywy pod nazwą „wspólna rozkosz”, a tu jest „rozkosz dla niej”. Nie ma nic pod tytułem „rozkosz dla niego”.

— To na pewno kwestia terytorium — odpowiada Jase sarkastycznie. — Ale odłóż ten technicolor. Nie ma mowy.

— Ale niebieski to mój ulubiony kolor — oponuję, trzepocząc rzęsami.

— Odłóż je. Te świecące w ciemnościach też. Boże, po co w ogóle produkują takie rzeczy?

— Dla niedowidzących? — pytam, odkładając opakowania na półkę.

Przechodzimy do kasy.

— Miłego wieczoru! — mówi do nas sprzedawca na odchodnym.

— Myślisz, że on wie? — pytam.

— Znów się rumienisz — mruczy Jase z roztargnieniem. — Kto co wiedział?

— No ten sprzedawca. Wiedział, po co je kupujemy?

Jase uśmiecha się lekko kącikami ust.

— Z pewnością nie. Na pewno nie przyszło mu do głowy, że środki antykoncepcyjne kupujemy dla siebie. Jestem pewien, że uznał je za... upominek na parapetówkę.

No dobrze, jestem nedorzeczna.

— Albo na upominki dla gości — śmieję się.

— Albo... — Jase czyta rachunek — materiały do drogiej bitwy na bomby wodne.

— Pomoce na lekcję wychowania do życia w rodzinie? — Wsuwam dłoń w tylną kieszeń jeansów Jase'a.

— Albo płaszczyki przeciwdeszczowe dla... — Jase zawiesza głos.

— Dla lalek Barbie — podpowiadam.

— G.I. Joe — poprawia i wolną dłoń wsuwa w tylną kieszeń moich jeansów, uderzając swoim biodrem o moje. Wracamy do samochodu.

Myjąc wieczorem zęby i nasłuchując dźwięku letniego deszczu bębniącego o szyby, dziwię się, jak szybko nadchodzą zmiany. Miesiąc temu wykladałam na ladę w CVS jakieś dwadzieścia pięć niepotrzebnych artykułów — tipsy, zmywacz do paznokci, gazetę „Seventeen”, mascarę i balsam do rąk — wszystko po to, żeby odwrócić uwagę kasjera od paczki tamponów, jedyne kłopotliwe zakupu. Dzisiaj wieczorem kupiłam prezerwatywy i właściwie nic więcej, w dodatku z chłopakiem, z którym zamierzam ich użyć.

Jase zabrał je do domu, gdyż mama wciąż od czasu do czasu przegląda moje szuflady, układając ubrania kolorami. Na pewno nie łyknęłyby wymówki o bitwie na bomby wodne. Kiedy zapytałam, czy pani Garrett nie znajdzie ich, zbierając rzeczy do prania, Jase spojrzał na mnie zaskoczony.

— To ja zajmuję się moim praniem, Sam.

Nigdy dotąd nie miałam przezwiska. Mama zawsze upierała się, żeby używać mojego pełnego imienia, Samantha. Charley od czasu do czasu wołał na mnie „Sammy-Sam”, tylko dlatego, że wiedział, jak mnie to drażni. Ale podoba mi się imię Sam. Podoba mi się, że jestem Sam Jase'a. To imię brzmi lekko, przyjemnie, pewnie. Chcę taka być.

Wypluwam pastę i przyglądam się sobie w lustrze. Pewnego dnia, któregoś dnia, już niedługo Jase

i ja wykorzystamy te prezerwatywy. Czy wtedy się zmienię? Czy będę się czuła inaczej? Skąd będziemy wiedzieli, kiedy nadejdzie czas?



## Rozdział dwudziesty szósty

Dwa dni później Tim jedzie według moich wskazówek do biura kampanii mamy na rozmowę o pracę. Wygląda zupełnie inaczej niż kierowca wiozący nas po bacardi do New Hampshire; dzisiaj jest schludnie ubrany w garnitur khaki, a do tego krawat w czerwono-żółte paski. Bębni palcami o kierownicę, zapala papierosa, pali, po czym od końcówki odpala kolejnego.

— Dobrze się czujesz? — pytam, wskazując mu skręt w lewo na skrzyżowaniu.

— Beznadziejnie. — Tim wyrzuca niedopałek przez okno i znów wciska zapalniczkę. — Od wielu dni nie miałem nic w ustach: browara, jointa, nic. Zaliczyłem chyba najdłuższy okres abstynencji, odkąd skończyłem nie wiem... jedenaście lat. Czuję się beznadziejnie.

— Na pewno chcesz w tym pracować? Udział w kampanii to głównie działanie na pokaz. Ja się czuję tak samo, a nie jestem na odwyku.

Tim prychnął.

— Na odwyku? Kto, do cholery, tak twierdzi? Gadasz jak mój przedpotopowy ojciec.

Wznoszę oczy do góry.

— Przykro mi, że nie znam się na współczesnym slangu. Rozumiesz, o co mi chodzi.

— Nie mogę całymi dniami siedzieć z matką w domu, ona mnie doprowadza do szału. A jeśli nie udowodnię, że robię coś wartościowego, mam bilet do obozu Tomahawk.

— Żartujesz. Tak się nazywa miejsce, w które chcą cię posłać?

— Coś w tym stylu. Może to obóz Gilotyna. Albo Obóz Kastratów? Nieważne, na pewno nie przetrwam. Niemożliwe, że dostąpię objawienia i nagle zacznę się żywić korzonkami i jagodami albo zbuduję kompas z pajęczyny czy czegokolwiek, co mi zostawią, kiedy mnie porzucą na pustkowiu. To badziewie nie dla mnie.

— Wydaje mi się, że powinieneś iść do pracy u ojca Jase'a. — Dojechaliśmy do kolejnego skrzyżowania; wskazuję w prawo. — Jest znacznie bardziej wyluzowany niż mama. Poza tym miałbyś wolne wieczory.

— Tata Jase'a prowadzi świetny sklep żelazny, Samantho, a ja nie odróżniam klucza od śrubokręta. Nie jestem złotą rączką jak twój chłoptaş.

— Nie musiałyś niczego naprawiać, tylko sprzedawać narzędzia. To ten budynek.

Tim z piskiem opon wjeżdża na podjazd biura kampanii, przed którym trawnik upstrzony jest wielkimi plakatami z napisem „Grace Reed: nasze miasta, nasze rodziny, nasza przyszłość” w czerwieni, bieli i błękitach. Na niektórych mama występuje w żółtym sztormiaku i podaje ręce rybakom lub innym bohaterom codzienności. Na innych jest mamą, którą znam: z upiętymi wysoko włosami, w kostiumie, rozmawia z innymi ludźmi czynu.

Tim wyskakuje na chodnik, szarpnięciem poprawiając krawat. Palce mu drżą.

— Dasz sobie radę?

— Przestań mnie o to pytać. Moja odpowiedź niczego nie zmieni. Czuję się jak podczas trzęsienia ziemi osiem i dziewięć dziesiątych w skali Richtera.

— No to odpuść sobie.

— Muszę coś zrobić, bo stracę resztki rozumu — warczy, po czym zerka na mnie i łagodni ton głosu. — Wyluzuj, mała. Jeśli nie jestem zbyt nawalony, żeby sobie poradzić, to nikt mnie nie prześcignie w udawaniu.

Siedzę w holu, przeglądając czasopismo „People”, zastanawiając się, jak długo jeszcze potrwa ta rozmowa, kiedy na moją komórkę dzwoni Jase.

— Hej, kochanie.

— Cześć. Tim wciąż siedzi na rozmowie.

— Tata powiedział, żebyście wpadli w drodze powrotnej, jeśli Tim chce z nim porozmawiać. Poza tym jeden gość z obsługi chyba chciałby cię zobaczyć.

— Czyżby? Kojarzę gościa... czy wciąż przebiega miłą w cztery minuty i to w glanach?

— Już nie, zajmuje mu to dłużej. Chyba rozpraszała go dziewczyna, która liczyła mu czas przez ostatnie kilka treningów.

— Czyżby? No to chyba powinien popracować nad koncentracją?

— Nie ma mowy. Bardzo mu się podoba obiekt jego koncentracji. Do zobaczenia na miejscu.

Uśmiecham się do telefonu, kiedy Tim wychodzi z tupotem z pokoju i kręci głową.

— Wasza dwójka przyprawia mnie o mdłości.

— Skąd wiesz, że to Jase?

— Samantha, nie nabijaj się ze mnie. Przez cały korytarz widziałem, jak się trzęsiesz.

Zmieniam temat.

— No i jak ci poszło z kierownikiem kampanii mamy?

— A to ten sztywny konus? Na pewno nadaje nowe znaczenie wyrażeniu „nadęty buc”. Ale mnie przyjęli.

Z zaplecza wynurza się mama. Kładzie dłoń na ramieniu Tima i ścisza ją mocno.

— Nasz Timothy to nowe odkrycie, Samantha. Jestem taka dumna! Powinnaś spędzać z nim więcej czasu. Naprawdę wie, czego chce.

Kiwam zimno głową, a Tim uśmiecha się półgębkiem.

Kiedy znajdujemy się na chodniku, pytam go:

— Co dokładnie zrobiłeś, żeby na to zasłużyć?

Tim prychnął.

— Do cholery, Samantha. Wykopaliby mnie z Ellery lata temu, gdybym nie nauczył się włączyć w tyłek wszelkim możliwym władzom. Zeszłej zimy napisałem pracę o latach prezydentury Reagana. Tam — wskazuje budynek za naszymi plecami — powtórzyłem kilka wyrażen z podręcznika. Konus i twoja matka praktycznie dostali orgazmu...

Unoszę dłoń.

— Mogę to sobie wyobrazić, wystarczy.

— Co jest z tobą i Nan? Jesteście strasznie sztywne — mówi Tim. Przez kilka minut jedzie zbyt szybko, po czym odzywa się: — Przepraszam! Mam wrażenie, jakbym miał wyskoczyć ze skóry. Myślę tylko o tym, żeby się najarać.

Z bezsensowną nadzieją, że to odwróci jego uwagę, opowiadam mu o ofercie pana Garretta.

— Jestem na tyle zdesperowany, żeby znaleźć zajęcie, że mogę i tego spróbować. Ale jeśli będę miał nosić jakiś odpalony fartuch, to nie wchodzę w to.

— Żadnych fartuchów. Poza tym Alice często tam wpada.

— Sprzedane. — Tim zapala kolejnego papierosa.

Kiedy docieramy do sklepu, za ladą stoją pan Garrett i Jase. Jase stoi do nas tyłem. Pan Garrett opiera się łokciami o blat takim samym gestem, jakim Jase rozluźnia się na stole kuchennym w domu. Jest bardziej przysadzisty od syna, przypomina Joela. Czy w wieku czterdziestu paru lat Jase też będzie tak wyglądał? Czy wtedy będę go jeszcze znała?

Pan Garrett unosi na mnie wzrok i dostrzega nas. Uśmiecha się.

— Tim Mason, skaut. Byłem twoim drużynowym, pamiętasz?

Tim jest lekko zaniepokojony.

— Ku... pan mnie pamięta i mimo to chce ze mną rozmawiać o pracy?

— Pewnie. Chodźmy na zaplecze. Możesz zdjąć marynarkę i krawat, poczujesz się swobodniej.

Tim idzie za nim korytarzem; i tak wygląda na spiętego, czuje, że ściąganie z pracy o Reaganie nie pomoże mu w tym położeniu.

— Z twojego ojca zawsze był taki twardziel? — pyta Tim w samochodzie do domu godzinę później.

Od razu się jeżę, lecz Jase nie wygląda na przejętego.

— Spodziewałem się, że tak sobie pomyślisz.

Obserwuję profil Jase'a na przednim siedzeniu; włosy rozwiewa mu wiatr. Siedzę z tyłu. Tim znów odpala jednego papierosa od drugiego. Macham sobie dłonią przed twarzą i otwieram okno

nieco bardziej.

— Cholerny warunek zatrudnienia. — Tim opuszcza osłonę przeciwsłoneczną, na jego kolana spada paczka marlboro. — Nie jestem pewien, czy warto.

— Mnie to ani grzeje, ani ziębi. — Jase wzrusza ramionami. — Ale chyba gorzej już nie będzie, przynajmniej ja to tak widzę.

— Nie chodzi o to, że może być gorzej, palancie, tylko o to, że w ten sposób nie mam wyboru.

— A wcześniej niby miałeś? — pyta Jase. — Mimo wszystko chyba warto spróbować.

Czuję się tak, jakby mówili szyfrem. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Kiedy przechyliłam się do przodu, żeby spojrzeć na jego profil, wydaje się umykać, zupełnie nie ten sam chłopak, który na dobranoc tak słodko mnie całuje.

— No to jesteście — mówi Tim, podjeżdżając pod dom Garrettów. — Witamy w domu, tralala. Dobranoc, młodzi kochankowie.

Żegnamy się z Timem i zostajemy na trawniku przed domem Garrettów. Rzucam okiem na mój dom — tak jak się spodziewałam, okna są ciemne. Mama jeszcze nie wróciła. Pociągam Jase'a za nadgarstek i sprawdzam godzinę: dziesięć po siódmej. Zapewne kolejne spotkanie motywacyjne, rady miejskiej, z wyborcami... Czy coś w tym stylu.

— O co chodzi Timowi? — pytam, obracając jego nadgarstek i odwracając do góry, przesuwam palcem po niebieskawych żyłkach.

— Tata uzależnił zatrudnienie od dziewięćdziesięciu spotkań w ciągu dziewięćdziesięciu dni — odpowiada Jase. — Jak twierdzi, tego ludziom potrzeba, żeby przestali pić. Jakoś się tego spodziewałem. — Ustami przesuwam delikatnie po moim obojczyku.

— Dziewięćdziesiąt spotkań z nim?

— Dziewięćdziesiąt spotkań AA. Anonimowych Alkoholików. Tim Mason nie pierwszy marnuje sobie życie. W młodości ojciec dużo pił i jeszcze więcej imprezował. Nigdy nie widziałem go z drinkiem, ale znam jego opowieści. Tak mi się wydawało, że rozpozna, co za ziółko z Tima.

Unoszę dłoń, dotykam ust Jase'a, przesuwam palcem po pełnej krzywiźnie dolnej wargi.

— A jeśli Tim nie wytrzyma i to też zepsuje?

— Wszyscy zasługujemy na szansę, prawda? — odpowiada Jase, po czym wsuwa dłoń na moje plecy pod koszulkę. Zamyka oczy.

— Jase... — mówię. Lub wzdycham.

— Hej wy dwoje, znajdźcie sobie jakiś pokój — słychać radę. Unosimy wzrok — w naszym kierunku zmierza Alice, za nią Brad.

Jase odsuwa się ode mnie i przeciąga dłonią po włosach, przez co mierzwi je jeszcze bardziej — i sprawia, że jeszcze mocniej na mnie działa.

Alice kręci głową i idzie dalej.

## Rozdział dwudziesty siódmy

Czwartego lipca nasz dom buzuje od dziwnej energii.

Wiecie, czwarty lipca to święto miasta w Stony Bay. Na początku wojny o niepodległość Brytyjczycy spalili kilka statków w naszej zatoce jako pośpieszną zapowiedź bardziej spektakularnych działań, więc Stony Bay zawsze czuło się osobiście zaangażowane w Święto Niepodległości. Parada zaczyna się na cmentarzu za ratuszem. Kieruje się na wzgórze do starego kościoła baptystów, gdzie weterani składają wieniec na grobie nieznanego żołnierza, potem krętą drogą w dół, na główną ulicę wysadzaną drzewami, między domami pomalowanymi przepisowo na biało, żółto i czerwono, schludnych i porządných, jak farbki w pudełku, wreszcie schodzi do zatoki. Orkiestry szkolne grają pieśni patriotyczne. Od czasu swojego wyboru mama zawsze wygłasza przemówienie na początek i koniec. Najlepszy uczeń miejskiego gimnazjum recytuje preambułę konstytucji, inny prymus czyta pracę o życiu, wolności i poszukiwaniu sprawiedliwości.

W tym roku ta uczennica to Nan.

— Niewiarygodne — powtarza. — Wyobrażasz sobie? W zeszłym roku był Daniel, a teraz ja. Nawet nie przypuszczałam, że praca o czterech filarach wolności będzie moją najlepszą! Myślałam, że znacznie bardziej udała mi się ta na angielski o buncie nastoletnim Hucka Finna i Holdena Caulfielda.

— Tylko że ta praca nie nadaje się na Święto Niepodległości — zauważam. Szczerze mówiąc, też jestem zaskoczona. Nan nie cierpi pisania wypracowań. Zawsze woli uczyć się na pamięć, niż tworzyć teorie. Dziwnych wydarzeń jest dzisiaj więcej.

Mama, Clay, Nan i ja siedzimy w salonie. Mama słuchała Nan powtarzającą swoje czytanie, podczas gdy Clay przegląda plan obchodów czwartego lipca i próbuje wymyślić, jak mama mogłaby jeszcze, jego słowami, „dołożyć trochę wizgu w tym roku”.

Leży na brzuchu przed kominkiem, przed sobą rozłożył wycinki z gazet i kartki w żółte linie, w dłoni trzyma zakreślacz.

— Powtarzasz się w swoich mowach, Gracie. Prześladowuje cię sformułowanie „dobro wspólne”. — Unosi wzrok, mruga do mamy, potem do Nan i do mnie. — W tym roku potrzebujemy fajerwerków.

— Mamy je — odpowiada mama. — Co roku dostajemy darowiznę ze sklepu Donatego, a pozwolenie jest gotowe od miesiący.

Clay przechyla głowę.

— Grace, kochanie, to była przenośnia. — Kostkami palców stuka w wycinki. — To wszystko są słowa, jakich oczekuje się od lokalnego polityka. Ale ciebie stać na więcej. I powiedzmy sobie

szczerze, jeśli masz wygrać w tym roku, musisz dać z siebie więcej.

Policzki mamy różowieją, nieomylna oznaka zawstydzenia. Mama podchodzi do Claya, kładzie mu dłoń na ramieniu i pochyła się, żeby sprawdzić, co zaznaczył.

— Powiedz, co poprawić — odzywa się, przytyka długopisem i otwiera swój notatnik na pustej stronie. W jednej chwili zapomina o Nan i o mnie.

— O rany — stwierdza Nan, kiedy wsiadamy na rowery, żeby pojechać do niej. — To dopiero. Ten cały Clay trzyma twoją mamę w garści, prawda?

— Na to wygląda — przyznaję. — Ostatnio prawie wciąż tak jest. Nie wiem tylko... znaczy... Jej na pewno na nim zależy, ale...

— Myślisz, że... — Nan zniża głos — chodzi o seks?

— Faj, Nan. Nie mam pojęcia. Nie chcę myśleć o nich w takim kontekście.

— Albo to, albo wycięli jej część mózgu — mruczy Nan. — No dobra, jak powinnam się ubrać? W kolory flagi? — Zjeżdża z chodnika na ulicę, żebyśmy mogły jechać obok siebie. — Proszę, powiedz, że nie. Może tylko niebieski. Albo biały? Czy to zbyt się kojarzy z dziewicą? — Wznosi oczy do nieba. — W sumie nawet by się nadawało. A może niech Daniel nagra mnie przy czytaniu i potem załączę nagranie do mojego podania na studia? Czy to by już było zbyt idiotyczne?

Zasypuje mnie pytaniami, na które nie znajduję odpowiedzi, gdyż mam głowę całkowicie zaprzątniętą inną sprawą. Co się dzieje z mamą? Od kiedy to mama słucha czyjegokolwiek zdania?

Tracy przyjeżdża do domu na paradę czwartego lipca. Nie przeszkadza jej to, gdyż, jak mi mówi: „W ten weekend Vineyard roi się od turystów”. Nie ma sensu pytać jej, w jaki sposób unika turystów przez miesiąc obsługiwania stolików w restauracji. Tracy to Tracy.

Flip też wrócił do domu. Dał Trace bransoletkę z małą złotą zawieszka w kształcie rakiety tenisowej, która wywołała mnóstwo nowych dla Tracy gestów w rodzaju potrząsania ręką i unoszenia jej, żeby pokazać nowy nabytek.

— W bileciku dołączonym do niej było napisane „Żyję, by ci służyć” — szepcze do mnie wieczorem po swoim powrocie. — Wyobrażasz sobie?

Dla mnie brzmi to jak cytat z podkoszulka ze sklepu Nan, ale mojej siostrze oczy płoną.

— A co z miłością na odległość i tym, że to się nie sprawdzi? — pytam. Umiem popsuć nastrój, bez dwóch zdań.

— To we wrześnie! — śmieje się Tracy. — Boże, Samantho, jeszcze mnóstwo czasu. — Głaszcze

mnie po ramieniu. — Zrozumiałabyś, gdybyś kiedykolwiek była zakochana.

Część mnie bardzo chce powiedzieć: „Wiesz, Tracy, w sumie...”

Ale już tak się przyzwyczałam do milczenia, do bycia widownią dla opowieści mamy i Tracy. Ja tylko słucham, kiedy siostra opowiada mi o restauracji Vineyard i święcie zatoki, i sobótce, jak też o tym, co zrobił Flip, co powiedział Flip i co zrobiła wtedy Tracy.

Zanim orkiestra szkolna zbierze się o ósmej rano czwartego lipca, panuje już trzydziestostopniowy upał, niebo zaś kolorem spłowiałego błękitu uprzedza, że będzie tylko cieplej. Mimo to mama jest spokojna i elegancka w swoim kostiumie z białego lnu oraz dużym kapeluszu z niebieskiej słomki z czerwoną wstążką. Tracy, mimo protestów, nałożyła granatową sukienkę przewiązaną białą szarfą. Ja z kolei mam na sobie białą jedwabną sukienkę, którą mama uwielbia, a w której czuję się jak dziesięciolatka.

Stojąc z mamą i Tracy w punkcie zbornym parady, widzę, jak Duff balansuje swoją trąbką, już poczerwieniały na twarzy, chociaż jeszcze nie ruszyli, Andy zaś mrużąc oczy, naciąga strunę skrzypiec. Układając je sobie na ramieniu unosi wzrok, dostrzega mnie i uśmiecha się szeroko, a aparat na zębach rzuca błyski.

Sklep żelazny Garrettów jest dzisiaj zamknięty, lecz Jase z ojcem sprzedają przed sklepem flagi, chorągiewki i tasiemki na rowery. Obok nich Harry wciska ludziom lemoniadę:

— Hej, proszę pana! Chyba chce się panu pić. Dwadzieścia pięć centów! Hej, proszę pani!

Pani Garrett zginęła gdzieś w tłumie z George’em i Patsy. Chyba dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, że na paradę przychodzi naprawdę całe miasto.

Na początku orkiestra gra *America the Beautiful* — przynajmniej mnie się tak wydaje, bo trochę kiepsko im wychodzi. Potem pan McAuliffe, kierownik orkiestry gimnazjalnej Stony Bay, już maszeruje, a za nim rusza z wolna cały orszak.

Bębny grzmią, kiedy mama staje na podium. Tracy i ja siadamy na odkrytej trybunie tuż za nią, z Marissą Levy, prymuską liceum, i Nan na wyznaczonych miejscach. Stąd wreszcie mogę dojrzeć panią Garrett stojącą z boku z ogromną watą cukrową, podającą małe porcje George’owi, podczas gdy Patsy wyciąga rękę. Masonowie są w środku pierwszego rzędu, pan Mason otacza żonę ramieniem, obok nich Tim w... smokingu? Jak wiem, pani Mason kazała mu się porządnie ubrać, a Tim, jak to on, pociągnął sprawę do ekstremum. Chyba się gotuje.

Mama wygłasza przemówienie o dwustu trzydziestu latach dumy, które doprowadziły Stony Bay do miejsca, w którym jest teraz, o dwustu trzydziestu latach świetności itd. Nie wiem, czym to się różni od jej zwykłych przemówień, ale widzę Claya w pobliżu kamery NewsCenter9, z uśmiechem



kiwającego głową, pochylającego się do operatora, jakby sprawdzał, czy na pewno dobrze im wyjdzie.

Po mamie zapada cisza, w której Nan szybko podchodzi do mównicy. Jak wiele innych cech u bliźniaków, wzrostu nie rozdzielono im po równo. Nanny jest ode mnie wyższa o parę centymetrów, mierzy najwyżej metr sześćdziesiąt, podczas gdy Tim już dawno wystrzelił ponad metr osiemdziesiąt. Teraz Nan musi wejść na kilka stopni, żeby w ogóle było ją widać zza pulpitu. Kładzie kartki, wygładza je i przełyka ślinę, a na bladej twarzy uwidaczniają się piegi.

W miarę jak cisza się przedłuża, zaczynam się niepokoić. Wtedy jej spojrzenie napotyka moje, Nan robi znak krzyża i zaczyna:

— W dzisiejszych czasach, w naszym kraju, przyzwyczailiśmy się do świętowania tego, co mamy. Lub do tego, czego chcemy, lub czego nam brakuje. Dzisiaj świętujemy spełnione marzenia i nadzieje naszych przodków, ja zaś chciałabym przypomnieć o czterech rodzajach wolności... i zauważyć, że podczas gdy dwie z nich odnoszą się do tego, co mamy, mianowicie wolności słowa i wolności kultu, dwie pozostałe odnoszą się do tego, czego się pozbyliśmy, a są to: wolność od niedostatku i wolność od strachu.

Mikrofon skrzeczy chwilami, czasami zawodzi wysoko. Mama słucha z głową przechyloną na bok, chłonąc każde słowo, jakby to nie przed nią Nan ćwiczyła przemówienie co najmniej sześć razy. Tracy i Flip dotykają się stopami, trzymają za ręce, ale twarze mają poważne. Szukam w tłumie pani Mason, która siedzi z głową opartą na rękach, i pana Masona, który utkwił spojrzenie w Nan, a ramieniem dotyka żony. Wzrokiem szukam Tima — siedzi z pochyloną głową i pięściami zakrywającymi oczy.

Kiedy Nan dociera do końca, rozlegają się rzęsiste brawa. Jej twarz przybiera barwę włosów, Nan dyga krótko i wycofuje się na trybuny, gdzie siada obok mamy.

— Nie dałoby się tego lepiej ująć! — woła mama. — Czwarty lipca to dzień świętowania wyborów naszych przodków: tego, do czego dążyli i co odrzucili dla naszego dobra, to czas wspominania siły ich marzeń, dzięki której my możemy je spełniać.

I tak dalej w tym guście, lecz ja widzę przede wszystkim Nan ścisiskaną przez rodziców, którzy wreszcie doceniają jej osiągnięcia, zamiast skupiać się tylko na porażkach Tima; widzę jej rozpromienioną twarz nad obejmującymi ją ramionami mamy i taty. Rozglądam się za Timem, który powinien dołączyć do rodziny, ale on zniknął.

Mama przemawia dalej o wolności, wyborze i sile jedności. Clay, teraz usadzony w jednym z tylnych rzędów, dodaje jej odwagi uśmiechem i uniesionymi kciukami.

Po powolnym przemarszu w dół do zatoki zostaje złożony wieniec ku czci żołnierzy, a Winnie Teixeira z podstawówki gra *Pieśń wieczorną*. Potem wszyscy powtarzają przysięgę na wierność

sztandarowi — i na tym kończy się część oficjalna uroczystości czwartego lipca. Uczestnicy rozchodzą się, kupują watę cukrową, mrożoną lemoniadę i lody włoskie z wózków wystawionych przez Doana.

Szukam Nan, ale ona zniknęła w tłumie z rodzicami. Tracy i Flip szybko odsuwają się od mamy, Tracy woła coś przez ramię i macha ręką. Mama już weszła między ludzi, ścisła dłonie, rozdaje podpisy i... uch... całuje dzieci. Mama nawet nie lubi niemowlaków, ale nikt by tego nie odgadł, kiedy rozpląwa się w zachwytach nad małymi, łysymi, zaślinionymi obywatelami. Stoję niezdecydowana, zastanawiając się, czy powinnam zostać z mamą cały dzień, ale marzę tylko o tym, by wreszcie pozbyć się drażniącej skórę dziecinniej sukienki i uciec w jakieś chłodne miejsce.

Wtedy od tyłu obejmują mnie ramiona, a usta Jase'a muskają mój kark.

— Co się dzieje, Sam, nie przebrałaś się? Spodziewałem się zobaczyć cię jako Statuę Wolności lub żonę Washingtona.

Obracam się do niego.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam.

Kolejne pocałunki. Zamieniam się w osobę całującą się w miejscach publicznych. Otwieram oczy, odsuwam się i rozglądam za mamą.

— Ty też polujesz na Tima?

— Na Tima? Nie...

— Przechodził obok stoiska — mówi Jase — miał dość ponurą minę. Chyba powinniśmy go znaleźć.

Przez kilka chwil stoimy przy kołowrocie na końcu ulicy, ja wspinam się na postument z białego kamienia, Jase nad głowami ludzi rozgląda się wokół, ale Tima ani śladu. W końcu go dostrzegam — w czarnym smokingu odcina się od tłumu ubranego w jasne letnie kolory. Rozmawia z Troyem Rhodesem, naszym niestrudzonym miejscowym dilerem.

— Tam jest — trącam Jase'a.

— Wspaniale — Jase przygryza wargi — w doborowym towarzystwie. Najwyraźniej Troy szuka klientów także w szkole państwowej.

Przedzieramy się przez tłum, lecz zanim docieramy do Troya, Tim znów znika. Jase ścisła mnie za rękę.

— Znajdziemy go — pociesza.

Tim, jak się okazuje, wrócił do rodziców. Docieramy do Masonów w chwili, kiedy stary pan Erlicher, prowadzący wolontariat przy bibliotece, mówi:

— A oto i nasza gwiazda — i całuje Nan. Potem odwraca się do Tima, który rzucił się na siedzenie obok Nan. — Słyszałem od twojej mamy, że trochę się w życiu pogubiłeś, młody

człowieku.

— Tak, to cały ja — odpowiada mu Tim, nie podnosząc wzroku. — Pogubiony gość.

Pan Erlicher trąca go w ramię.

— Wiesz, sam dość późno odnalazłem się w życiu. Ha, a spójrz na mnie, jak sobie poradziłem.

Ma dobre zamiary, ale ponieważ jedynym jego znanym nam osiągnięciem jest zagadywanie na śmierć pechowców, którzy na niego trafili, Tim raczej nie wygląda na pocieszonego. Jego oczy biegają wokół, zatrzymują się na mnie i Jasie, po czym znów zaczynają przeszukiwać tłum, jakbyśmy nie mogli mu zaoferować pomocy.

— Hej — odzywa się Jase swobodnie. — Gorąco tu, przenieśmy się gdzieś w chłód.

Daniel już odszukał Nan i czai się za jej plecami, podczas gdy Nan przyjmuje kolejne gratulacje. Przy jej uśmiechu nawet słońce blednie.

— No chodź, Tim — powtarza Jase. — Pod sklepem stoi mój garbus, możemy się przejechać na plażę.

Tim przenosi wzrok ze mnie na niego i z powrotem, potem patrzy na tłum. W końcu wzrusza ramionami i wlecze się za nami z rękami w kieszeniach. Kiedy docieramy do garbusa, upiera się i wczołguje na tylne siedzenie, chociaż ze swoimi długimi nogami ledwie się na nim mieści.

— Jest w porządku — odpowiada krótko, machnięciem ręki zbywając moje kilkakrotne oferty przedniego siedzenia. — Siadaj obok swojego chłoptasia. Rozdzielenie was to przestępstwo, a ja mam już dość na sumieniu. Usiądę sobie wygodnie i przećwiczę kilka bardziej akrobatycznych pozycji z Kamasutry. Samodzielnie, niestety.

Przy takim upale można się spodziewać, iż całe miasto ruszy na plażę, jednak po przyjeździe stwierdzamy, że nad wodą panuje pustka.

— O rany — odzywa się Jase — biegnę popływać. — Ściąga koszulę i wrzuca ją przez okno do samochodu, po czym schyla się i zdejmuje buty.

Już mam powiedzieć, że pobiegnę do domu po strój, kiedy Tim nagle w swoim smokingu i całym ubraniu pada na piasek. Rezygnuję z pójścia do domu. Czy Tim coś jednak kupił od Troya? A jeśli nawet tak, to kiedy zdążyłby to zapalić, zażyć czy wziąć w inny sposób?

Jase prostuje plecy.

— Chcesz się ścigać? — woła do Tima.

Tim odsuwa ramię zakrywające twarz.

— Tak, na pewno. Jesteś w szczytowej formie, a ja jestem żalosnym niedojdą. Wyścig to świetny pomysł. Na plaży. W smokingu. — Unosi palec. — Nie. Po zastanowieniu uznaję, że lepiej się nie

ścigać. Mam zbyt wielką przewagę, a nie chciałbym, żebyś źle wypadł przed tą tutaj Samantha.

Jase grzebie nogą w piasku.

— Nie bądź durniem. Po prostu myślałem, że biegnąc, uwolnisz się od myśli. Mnie bieganie pomaga, kiedy coś mi utkwii w głowie.

— Żartujesz? — Ton Tima jest wyjątkowo sarkastyczny. — Pomaga ci? Bieganie pomaga ci zapomnieć o gorącym ciele Samantha...

— Jeśli napraszasz się o to, żebym ci dał w mordę — przerywa mu Jase — wystarczy, że będziesz się zachowywał jak zwykle. Nie musisz wciągać w to Samantha.

Tim znów zakrywa ramieniem oczy. Spoglądam na niebieskie fale. Chciałabym wrócić po kostium, ale jeśli mama już jest w domu i wciągnie mnie w jakieś wydarzenie polityczne?

— Alice zawsze trzyma kostiumy w bagażniku — mówi Jase i w tej samej chwili rozlega się dzwonek mojej komórki.

— Samantho Reed! Gdzie ty się podziewasz?

— Cześć, mam, ja, ehm...

Na szczęście pytanie jest retoryczne i mama mówi dalej:

— Pod koniec parady rozejrzałam się, a ty znikłaś. Mogłam się tego spodziewać po Tracy, ale ty..

— Ja...

— Razem z Clayem jedziemy pociągiem w górę rzeki. Mam przemówienie w Riverhampton, potem przybędziemy statkiem na fajerwerki. Chciałam, żebyś z nami pojechała. Gdzie jesteś?

Tim metodycznie odwija z siebie pas i zdejmuje muszkę. Jase opiera się o garbusa, unosi zgiętą nogę, potem drugą, rozciąga się. Zaciskam powieki.

— Z Nan — mówię z rozpaczliwą nadzieją, że Nan nie stoi w tej chwili obok mamy.

Dzięki Bogu głos w słuchawce łagodnieje.

— Świetnie sobie poradziła, prawda? Idealny wstęp do mojego przemówienia. Co? — woła przytłumionym głosem do kogoś dalej. — Pociąg odjeżdża, kochanie. Będę w domu około dziesiątej. Wracaj z Tracy. Idę, Clay! Zachowuj się, kochanie. Do zobaczenia wieczorem.

— Wszystko w porządku? — pyta Jase.

— To tylko mama — odpowiadam, marszcząc brwi. — Mówiłeś, że gdzie znajdę kostium?

Jase otwiera przednią pokrywę samochodu.

— Nie wiem, czy... bo Alice chyba jest... — Wydaje się zakłopotany, a ja zastanawiam się, dlaczego, kiedy moja komórka znów zaczyna dzwonić.

— Samantha, Samantha! — woła Nan. — Słyszysz mnie?

— Tak.

Nan wciąż wrzeszczy, jakby to miało pomóc.

— Jestem pod komórką, ale muszę się streszczać, bo Tim znów zużył mi wszystkie minuty! Daniel zabiera mnie na łódź swoich rodziców. Słyszysz mnie? Bardzo kiepski tu zasięg!

Wrzeszczę, że ją słyszę, w nadziei, że dotarło.

— Powiedz moim rodzicom, że jestem z tobą! — grzmi Nan. — Dobrze?!

— Ale ty powiedz mojej mamie, że jestem z tobą! Dobrze?!

— CO?! — wrzeszczy Nan.

— CO?! — odwrzaskuję.

— Może będziemy nocować na łodzi. Powiedz, że śpię u ciebie! — wrzeszczy Nan tak głośno, że słyszą ją wszyscy. Tim siada nagle ożywiony.

— Chcę z nią porozmawiać — mówi do mnie stanowczo.

— Tim chce z tobą porozmawiać!

Tim wrywa mi telefon z ręki.

— Opowiem ci wszystko! — woła Nan. — Ale zrób to dla mnie!

— Oczywiście! — wrzeszczy Tim do słuchawki. — Wszystko dla ciebie, moja uzdolniona siostrzyczko!

Oddaje mi telefon.

— Wszystko z nim w porządku? — pyta Nan ciszej.

— Ja nie... — zaczynam, ale w tej chwili komórka wydaje ten przygnębiający pisk, oznajmiający koniec baterii i w słuchawce zapada cisza.

— Sam, nie wpakowałaś się w kłopoty? — pyta Jase.

— Jak widzę, mnie o to nie pytasz — woła Tim, zdejmując spodnie, spod których wyłaniają się bokserki we wzór herbów. Przechwytuje moje spojrzenie. — Ellery je sprzedaje, mama dała mi pod choinkę. Kiedy mnie wyrzucili, nie zabrali ich.

Jase wciąż przygląda mi się dziwnym wzrokiem. Przeszukuję bagażnik garbusa.

— Jak się przebierzesz, chodź do nas na brzeg — mówi Jase. — Idziemy, Tim.

Przerzucając szpargały w bagażniku — stroje ukryte są pod kijami do lacrosse i piłkami, butelkami napojów i papierkami po batonikach zbożowych — zaczynam rozumieć, o co chodziło Jase'owi. Jedyne strój, jaki na mnie pasuje, składa się z dwóch skąpych kawałków sztucznej skóry. Oprócz niego znajduję tylko kilka par spodenek drużyny piłkarskiej Stony Bay należących do Jase'a oraz coś, co wygląda na jednoczęściowy strój dla Patsy. Zapewne również należy do Alice.

Zakładam więc strój z czarnej niby-skóry, łapię ręcznik i staram się nonszalanckim krokiem skierować na plażę. Nie za bardzo mi to wychodzi.

Jase spogląda na mnie, rumieni się, znów spogląda i cofa na głębszą wodę. Tim patrzy na mnie.

— Cholera, pieprzona kobieta kot!

— To strój Alice — przypominam. — Idziemy pływać.

Reszta dnia upływa nam na lenistwie. Jase, Tim i ja leżymy na plaży, kupujemy hot dogi w Clam Shack i znów się wylegujemy. W końcu wracamy do Garrettów i rozkładamy się przy basenie.

George zwija się w kłębek obok mnie.

— Podoba mi się twój strój, Samantho, ale przypominasz w nim wampira. Widziałaś kiedyś nietoperza wampira? Wiesz, tak naprawdę one się nie wplątują we włosy, to tylko legenda. Naprawdę są bardzo przyjemne. I atakują tylko krowy i zwierzęta. Ale faktycznie piją krew, nie mleko.

— Nie widziałam ich nigdy — odpowiadam. — Jednak nie spieszy mi się z nimi zapoznać, nawet jeśli są przyjazne.

Rozlega się trzask drzwi kuchennych i wychodzi promienna Andy. Tanecznym krokiem zbliża się do nas, po czym osuwa po ogrodzeniu i dramatycznie przymyka oczy.

— Stało się — oznajmia.

— Kyle Camstock? — pytam.

— Tak! Nareszcie mnie pocałował. Było... — przerywa — w sumie to trochę bolało. On też nosi aparat na zębach. Ale i tak było wspaniale. No i Kyle zrobił to przy wszystkich. Po paradzie. Będę to pamiętać przez całą wieczność, to będzie moja ostatnia myśl, zanim na zawsze zamknę oczy. Potem znów mnie pocałował, kiedy zjedliśmy lody, a potem jeszcze, kiedy...

— Tak, tak, wyobrażamy sobie — przerywa jej Jase. — Andy, naprawdę się cieszę twoim szczęściem.

— No dobrze, a co teraz? — Andy rozgląda się zaniepokojona. — Myślicie, że następnym razem będzie z języczkiem?

— A teraz nie było? — pyta Tim z niedowierzaniem. — Dobry Boże.

— Nie było. A powinno być? Zrobiliśmy coś złe?

— Ands, w tych sprawach nie obowiązują żadne reguły. — Jase wyciąga się na ręczniku obok mnie i George'a.

— A powinny — upiera się Andy. — Jak inaczej mamy wiedzieć, co robić? To w niczym nie przypominało całowania łóżka albo lustra.

Jase i Tim wybuchają śmiechem.

— Bez języczka — mruczy Jase.

— Ewentualnie tylko z własnym. A zabawa solo nigdy tak nie smakuje — śmieje się Tim.

— Ale po co całowałaś łóżko, Andy? To obrzydliwe. — George krzywi się. Andy rzuca trzem

chłopakom oburzone spojrzenie i odpływa z powrotem do domu.

Tim sięga do marynarki, wyjmując papierosy z wewnętrznej kieszeni i postukuje nimi o dłoń. Oczywiście George'a stają się okrągłe.

— Czy to papieros? Czy to papierosy?

Tim wydaje się lekko zakłopotany.

— No pewnie. Przeszkadza ci?

— Jak zapalisz, to umrzesz. Płuca ci się zadymią na czarno i skurczą, a potem umrzesz. — George nagle jest bliski płaczu. — Nie umieraj! Nie chcę widzieć, jak umierasz. Widziałem, jak umierał chomik Jase'a, zrobił się cały sztywny, oczy miał nadal otwarte, tylko już nie błyszczą.

Tim ma niewyraźną minę; rzuca okiem na Jase'a, jakby w poszukiwaniu pomocy. Jase tylko odpowiada mu nieruchomym spojrzeniem.

— Cholera — odzywa się Tim i chowa papierosy, po czym wstaje, idzie do basenu i skacze na główkę.

George odwraca się do mnie.

— Co to znaczy? Tak czy nie?

Pani Garrett wysuwa głowę przez drzwi kuchenne.

— Jase, młynek do śmieci znów się popsuł. Pomożesz?

Garrettowie mają sztuczne ognie, jak mi opowiada pani Garrett, dzięki jej bratu Hankowi, który mieszka na południu i co roku wysyła im je nielegalnie. Kiedy zapada letni zmierzch, zbieramy się wszyscy na ich trawniku.

— Jack! — woła pani Garrett. — Nie oparz sobie ręki! A właściwie po co ja ci to mówię? Powtarzam to co rok.

— Jeśli się oparzę — mówi pan Garrett, ustawiając fajerwerki w kręgu kamieni — pozwę twojego brata. Nigdy nie przysyła instrukcji. Podpalaj, Jase!

Jase pociera długą zapałkę i podaje ją ojcu. Pani Garrett otacza ramionami George'a i Patsy.

— I tak byś jej nie przeczytał! — woła, zapałka rozjarza się niebiesko, a sztuczne ognie lecą w nocne niebo.

Kiedy ostatni spada z sykiem z wysoka, przewracam się na bok i palcem przesuwam po zarysie twarzy Jase'a.

— Nigdy dla mnie nie zagrałeś — mówię.

— Hmm? — mruczy sennie.

— Widziałam, że Andy i Duff grają na swoich instrumentach. Podobno umiesz grać na gitarze, ale nigdy mi tego nie udowodniłeś. Kiedy zagrasz dla mnie balladę?

— E... nigdy.

— Dlaczego? — pytam, sunąc po jego ciemnych brwiach.

— Bobym się zbłąźnił i wyszedł na idiotę. A ja nigdy nie chcę się błąźnić ani wychodzić na idiotę.

Przewraca się na plecy i wskazuje nocne niebo.

— No dobrze, co to za gwiazda? Albo tamta?

— To jest Trójkąt Letni. To Vega, a tam Deneb i Altair. A tutaj... Lira, Strzelec... — Palcem wskazuję mu migoczące gwiazdy.

— Bardzo mi się podoba, że tyle wiesz — mówi cicho Jase. — O, czy to gwiazda spada? Można wtedy pomyśleć życzenie, prawda?

— To samolot, Jase. Widzisz małe czerwone światełko na ogonie?

— Boże, no dobrze. Udało mi się nie zbłąźnić i nie wyjść na idiotę.

Śmieję się, całuję go w szyję.

— Ale i tak, jeśli chcesz, możesz sobie pomyśleć życzenie do lecącego samolotu.

— Ale cała przyjemność już uleciała — odpowiada, przyciągając mnie do siebie. — Poza tym już niczego więcej sobie nie życzę.



## Rozdział dwudziesty ósmy

— Dzień dobry, kochanie. — Głos jest zimny jak woda. — Masz mi coś do powiedzenia?

Zastygam w połowie bezszelestnego zamykania drzwi. O mój Boże. Jakim cudem nie zauważyłam samochodu mamy? Myślałam, że pokaz ogni sztucznych i przejazd pociągiem potrważą dłużej. Dlaczego tak późno wróciłam?

— Nigdy bym nie uwierzyła, że zrobię dla ciebie coś takiego — teraz głos jest rozbawiony. Unoszę wzrok i widzę Tracy siedzącą na kanapie i kręcącą głową nade mną.

Zapomniałam, jak doskonale potrafi udawać mamę, co w połączeniu z jej imponującymi zdolnościami do podrabiania podpisów zapewniało jej zwolnienie z wycieczek, na które nie miała ochoty jeździć, z lekcji, jeśli nie nauczyła się na klasówkę, lub z lekcji nauki o zdrowiu, które ją nudziły.

Wybucham śmiechem i biorę głęboki oddech.

— Jezu, Trace. O mało nie dostałam zawału.

Siostra obdarza mnie drwiącym uśmiechem.

— Mama zadzwoniła zaraz po tym, jak powinnaś wrócić, żeby sprawdzić, czy jesteś bezpieczna. Powiedziałam, że od kilku godzin śpisz bezpiecznie w swoim łóżeczku jak niewinne dziecko i zapewne słodko śniesz. Dobrze, że cię nie widzi. — Wstaje, podchodzi do mnie i obraca mnie twarzą do lustra. — No to kim on jest?

— Nie ma... — zaczynam.

— Samantha, proszę. Masz rozczochrane włosy, obrzmiałe usta, a żeby zakryć tę malinkę, będziesz potrzebowała swojego głupiego szalika z Breakfast Ahoy. Powtarzam pytanie: co to za facet?

Rzeczywiście jestem zaczerwieniona i potargana. Często widywałam Tracy w takim stanie, lecz u siebie dopiero się do tego przyzwyczajam.

— Nie znasz go — mówię, próbując wygładzić włosy. — Proszę, ani słowa mamie.

— Panna Doskonała ma faceta! — Tracy wybucha śmiechem.

— My nie... my jeszcze nie...

— Hm — stwierdza Tracy niezmiészana — sądząc z wyrazu twojej twarzy, to tylko kwestia czasu.

Kryłam cię, a teraz proszę o zwierzenia. Jeśli go nie znam, musi być jakiś powód. Proszę, powiedz, że mama nie dostanie szału.

— Zadowolona raczej nie będzie — przyznaję.

— Dlaczego, to jakiś ćpun? Alkoholik?

— Garrett — przyznaję. — Sąsiad.

— Do jasnej, Samantha. Naprawdę idziesz po bandzie, wiesz? I kto by pomyślał, że to ty okażesz się buntowniczką! To ten w czarnej skórzanej kurtce i na motorze? Jeśli tak, to masz przegwizdane. Mama da ci szlaban do trzydziestych piątych urodzin.

Prycham ze zniecierpliwieniem.

— Nie on, jego młodszy brat, Jase. To chyba najlepszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam. Życzliwy, inteligentny i dobry. On... ja... — Brakuje mi słów i przeciągam palcami po ustach.

— Przepadłaś! — jęczy Tracy. — Widzę wyraźnie, że kompletnie tobą zawładnął. Nie wolno ci na to pozwolić, niezależnie od tego, jak bardzo podziwiasz tego gościa. Jeśli masz zamiar wskoczyć z nim do łóżka, pamiętaj, że to on ma to uznać za zaszczyt. Inaczej prosisz się o to, żeby cię wykorzystał i rzucił.

Moja siostra — niepoprawna romantyczka.

„I co?” — piszę do Nan następnego poranka.

„????” — odpowiada.

„Wciąż na łodzi? Co się stało?”

„Nie. Daniel musiał ją oddać, zanim rodzice się zorientują, że miał ją całą noc. Jestem w domu”.

„I???”

„Gdzie jesteś?”

Przed pracą wyskoczyłam na plażę, popatrzeć, jak pan Garrett trenuje Jase’a. W tej chwili Jase brodzi w wodzie po kolana, wynurza się, żeby zrobić kilka pompek, i znów wchodzi do wody. Gdyby jeszcze kilka tygodni temu ktoś mi powiedział, że uznam to za atrakcyjny widok, wyśmiałabym go. Moje palce zawisają nad ekranem, gdyż wciąż waham się, kiedy mam powiedzieć Nan zbyt wiele, ale w końcu wystukuję: „Na plaży SB”.

„Daj mi 10 min” — odpisuje.

Nan pojawia się po kwadransie, akurat wtedy, kiedy Jase rzuca się na piasek na kolejną porcję pompek.

— A, teraz rozumiem — stwierdza z domyślnym uśmiechem. — Myślałam, że pływasz albo łapiesz poranne słońce, ale to wszystko dla chłopaka, prawda?

Nie zwracam na nią uwagi.

— I jak poszło z Danielem?

Nan rzuca się na plecy i zasłania ręką oczy, niemal tym samym gestem, co Tim wczoraj. Nawet po tylu latach fascynuje mnie to, jak nieświadomie naśladują się nawzajem. Nan mruży powieki w słońcu, po czym przewraca się na brzuch i spogląda na mnie poważnymi szarymi oczami.

— Na łodzi? Popłynęliśmy w górę do Rocky Park, rzuciliśmy kotwicę i urządziliśmy sobie piknik. Potem popłynęliśmy cieśniną. Daniel popływał, ale ja się bałam wielkich białych rekinów. Według niego dla nich tu za zimno, ale...

— Nan! Wiesz, że nie o to mi chodzi.

— Naprawdę? — pyta niewinnie i w końcu ustępuje. — Masz na myśli, czy Daniel i ja „przenieśliśmy nasz związek na kolejny etap”?

— Eee, niezupełnie. Kto tak mówi? — Rzucam w nią muszelką.

— Daniel tak to nazywa. — Nan siada i wpatruje się w wodę, osłaniając oczy dłonią. — Nie.

— Bo...? Uznaliście, że nie jesteście gotowi? Czy Daniel chciał czegoś innego?

Jase znów wchodzi do wody, masując sobie udo, jak przy skurczu.

— Po co mu to? — pyta Nan. — Sam się męczy. Wciąż mam wrażenie, że za chwilę jego tata weźmie wąż i poleje mu twarz zimną wodą albo każe mu powtarzać te rekruckie rymowanki.

— Przygotowuje się do sezonu piłkarskiego — odpowiadam, rzucając w nią kolejną pomarańczowo-różową muszelką. — A ty się wykręcasz od odpowiedzi.

— Daniel tego chciał. Ja też. Ale w ostatniej chwili... nie potrafiłam. — Nan siada z nogami zgiętymi i kolanami przy piersi. — Zagadaliśmy moment. Najpierw Daniel poczęstował mnie winem, i to dobrze, ale potem musiał mi wyjaśnić, że to chodziło o „rozluźnienie moich blokad”. Potem gadał i gadał o tym, jaki to ważny krok i jaki nieodwracalny, i jak na zawsze zmieni nasz związek. Miałam niemal wrażenie, że za chwilę wyciągnie formularz i zacznie go wypełniać.

— Seksowne — komentuję.

— No właśnie! To znaczy... wiem, że życie to nie jest *Romans z nieznanym*... — To ulubiony film Nan, z jej ukochanymi aktorami Steve'em McQueenem i Natalie Wood. — Nie oczekiwałam... dzwonek i gitary, nie przy Danielu — opuszcza głowę — a może w ogóle nigdy mnie to nie spotka.

Przyglądam się Jase'owi, który chyba to wyczuł, bo odwraca się i rzuca mi swój zaraźliwy uśmiech.

— Dlaczego nie, Nanny? — pytam łagodnie.

— Sporo rozmyślałam. — Nan obgryza i tak za krótki paznokieć kciuka; to jej nawyk od przedszkola. Wyciągam rękę i odsuwam jej dłoń od ust — to mój nawyk z przedszkola. — Nie czeka nas wielka namiętność. Spotykamy się od dwóch lat... pasujemy do siebie. Nie będzie nam niezręcznie.

Pan Garrett unosi kciuki i woła:

— Dobrze ci idzie, synu!

— Joel byłby chyba szybszy — odpowiada Jase, dysząc ciężko.

— A ja nie zrobiłbym tego wcale! — odkrzykuje pan Garrett. — Poza tym on to zrobił przed całą

szkołą. Świetnie ci idzie. — Klepie Jase'a po ramieniu.

— Nanny, nie powinno to być coś więcej niż tylko „nie będzie nam niezręcznie”?

Nan wysuwa rękę z mojej dłoni i zaczyna obgryzać paznokiec małego palca.

— W prawdziwym świecie? Jedyna rada dotycząca seksu, jaką usłyszałam od mamy, brzmiała: wyszłam za mąż jako dziewica. Nie rób tego.

Odsuwam jej dłoń po raz drugi; Nan trzepie mnie żartobliwie. Jase rzucił się na ziemię do kolejnej serii pompek. Widzę, jak drżą mu ramiona.

— Kiedy dostałam okres, mama wyjaśniła mi, jak to działa, i ostrzegła, żebym nigdy nie próbowała seksu.

— Na Tracy bardzo to podziałało, jak widać — chichocze Nan, po czym marszczy brwi i biegnie za moim spojrzeniem. — Daniel wyjedzie. — Przesuwa palcem po piasku. — To jasne. Jest prymusem, dostał się na MIT jako jeden z pierwszych. Pod tym względem jesteśmy podobni... ja chcę jedynie wydostać się stąd. — Zatacza ramieniem łuk nad horyzontem, jakby tym gestem mogła go wykreślić. — Oderwę się od Tima, mamy, taty... wszystkiego.

— Nan... — zaczynam, ale nie wiem, co powiedzieć dalej.

— A kim będzie ten twój Garrett? — pyta Nan. — No dobrze, teraz jest świetny, przyznaję. Ale za pięć, dziesięć lat... jak jego ojciec. Będzie prowadził jakiś sklep żelazny w innej dziurze w Connecticut. Dorobi się gromady dzieci... Daniel i ja możemy nie zostać razem na zawsze, ale przynajmniej... on nie pociągnie mnie w dół.

Czuję, jak twarz mnie piecze.

— Nan, nawet nie znasz Jase'a — zaczynam, lecz w tej chwili Jase we własnej osobie podbiega do nas, schyla się z dłońmi rozłożonymi na udach, zasapany.

— Hej, Sam, cześć, Nan. Przepraszam, muszę złapać oddech. Wystarczy na dzisiaj, tato.

— Jeszcze jedna rundka — mówi pan Garrett. — Na zakończenie. Potrafisz.

Jase kręci głową, wzrusza ramionami, ale wchodzi do wody.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ku wielkiemu zdziwieniu otoczenia i zapewne własnemu Tim rozkwita w biurze kampanii mamy. Rejestruje wyborców przez telefon w dwudziestu różnych akcentach. Przekonuje zwykłych ludzi, którzy wierzą w mamę, żeby pisali do swoich lokalnych gazet listy o tym, jak zmieniło się ich życie, gdyż senator Grace Reed naprawdę na nich zależy. Po dwóch tygodniach zaczyna nawet pisać krótkie przemówienia dla mamy. Ona zaś i Clay wciąż się nad nim rozplývają.

— Ten dzieciak naprawdę wziął wszystko w garść — dziwi się Clay w drodze na kolejne spotkanie z wyborcami, na którym stoję obok mamy, starając się wyglądać kompetentnie i budzić zaufanie. — Jest inteligentny i sprytny. No i ma niesamowity refleks.

— No tak, jak się okazuje, chodzi w tym głównie o manipulowanie sprawami i ludźmi — przyznaje Tim, kiedy mu powtarzam słowa Claya. Siedzimy na podjeździe przed domem Garrettów; Jase pracuje przy mustangu. Siedzę na masce, na kocu, na co nieśmiało nalegał Jase, twierdząc, że nie chce zadrapań na podkładzie. Walczy z jakimiś kabelkami.

— Kto by pomyślał, że lata leżenia i zbijania bąków na coś się przydadzą?

— Nie przeszkadza ci to? — pyta Jase. — Sam, możesz podać mi klucz? Bóg jeden wie, co wyprawiał poprzedni właściciel tego auta. Wyścigi równoległe? Sprzęgło kompletnie spalone... a piąty bieg dziwnie wyje, chociaż w sumie jeszcze działa. Poza tym wszystkie kolanka się poluzowały.

— Mów po ludzku, koleś — prosi Tim, kiedy podaję Jase'owi klucz. Chłopak leży pod samochodem i ciężko pracuje; ogarnia mnie przemożna chęć, żeby pocałować strużkę potu spływającą po jego szyi. Tracę kontrolę.

— Ktoś nie dbał o ten samochód — odpowiada Jase. — Ale ty... Sam, przepraszam, ale ty, Tim, nie wierzysz w nic z tego, co głosi Grace Reed. Nawet nie jesteś republikaninem. Nie czujesz się niewyraźnie, pomagając jej?

— No pewnie — odpowiada Tim swobodnie. — Ale ja zawsze tak się czułem, więc to nic nowego.

Jase wystawia głowę spod mustanga i prostuje się powoli.

— I nie przeszkadza ci to? Bo mnie by przeszkadzało.

Tim wzrusza ramionami.

Jase mierzwi sobie włosy gestem, jakiego używa zawsze w chwilach dezorientacji lub wahania.

— Zatem Nan pojechała na weekend do Nowego Jorku z chłopakiem — mruczy Tim.

Podskakuję zaskoczona; wiedziałam tylko, że Nan wybierała się gdzieś z Danielem.

— Dla mnie to zarozumiały buc, który w końcu ją skrzywdzi. Ale czy to ją powstrzyma? Na

pewno nie. Ja popełniłem miliony błędów, czas, żeby Nan wyrównała rachunek.

Jase zaciska palce na czymś w skrzynce z narzędziami i znów znika pod samochodem.

— Tak ci dobrze ze świadomością, że ona jest nieszczęśliwa?

— Może. — Tim sięga po puszkę mountain dew, którą piastował przez ostatnie pół godziny.

— Przynajmniej nie będę się czuł samotny.

\* \* \*

— Samantha, obijasz się. Wyprostuj się i uśmiechnij — szepcze do mnie mama. Stoję obok niej na spotkaniu Amerykańskich Cór Rewolucji i ściskam dłonie. Jesteśmy tu od półtorej godziny, a jakieś piętnaście milionów razy powtórzyłam: „Proszę, głosujcie na mamę. Jej naprawdę zależy na stanie Connecticut”. Naprawdę jej zależy. To przynajmniej jest prawdą. Stwierdzam tylko, że na każdym spotkaniu czuję się gorsza i bardziej winna z powodu tego, na czym jej zależy.

Nie jestem zwierzęciem politycznym. O wydarzeniach bieżących wiem z gazet i rozmów w szkole, lecz nie chodzę na demonstracje czy pikety. A jednak różnice między tym, w co wierzę, a tym, w co wierzy moja mama, wydają się większe z każdym dniem. Słyszałem, jak Clay rozmawia z nią i chwali strategię, gdyż największą słabością Bena Christophera jest jego zbyt liberalizm, więc im bardziej mama idzie w drugą stronę, tym lepiej dla niej. Ale... w czasie jej poprzedniej kampanii miałam jedenaście lat. Ona zaś konkurowała z maniakiem, który nie popierał bezpłatnej edukacji.

Jednak tym razem... zastanawiam się, ile dzieci polityków myślało to, co mnie w tej chwili przebiega przez głowę, kiedy ściskam te wszystkie dłonie i mówię: „Głosujcie na mamę”, myśląc jednocześnie: „Tylko nie to, co ona głosi. Bo ja tego nie popieram”.

— Uśmiechaj się — syczy mama przez zęby, schylając się, żeby posłuchać drobnej, białowłosej kobiety, zdenerwowanej z powodu jakiejś budowy na głównej ulicy.

— Budynki powinny jakoś wyglądać, a ten nie ma żadnej prezencji! Będę walczyć, pani senator, będę walczyć!

Mama mruczy uspokajająco o sprawdzeniu zgodności budowy z rozporządzeniami i o tym, że jej personel to sprawdzi.

— Ile jeszcze? — szepczę.

— Dopóki się nie skończy, panienko. Praca dla ludzi nie trwa osiem godzin dziennie.

Odwracam głowę; z daleka widzę jeden z plakatów wyborczych mamy ustawiony na trójnogu: GRACE REED, WALCZY DLA NASZYCH PRZODKÓW, NASZYCH RODZIN I NASZEJ PRZYSZŁOŚCI — staram się nie zwracać uwagi na szmaragdowy połysk wody w basenie za dużymi oknami. Szkoda, że nie mogę do niego wskoczyć. Jest mi gorąco i niewygodnie w granatowej sukience z wysokim stanem, którą nałożyłam z powodu nalegań mamy. „To bardzo konserwatywne

kobiety, Samantha. Najlepiej odsłaniać możliwie najmniej ciała”.

Ogarnia mnie szalona chęć, by zedrzeć z siebie sukienkę — wtedy wśród krzyków i omdleń moglibyśmy wszyscy wymknąć się do domu. Dlaczego po prostu nie odmówię mamie? Czy jestem tresowanym pieskiem? Marionetką? Clay rządzi mamą, a mama mną.

— Nie musisz cały czas być tak niemiła — gani mnie mama, kiedy jedziemy samochodem do domu.  
— Niektóre córki byłyby przeszczęśliwe, mogąc się zaangażować w kampanię. Bliźniaczki Bushów pokazywały się z ojcem wszędzie.

Nie mam na to odpowiedzi, szarpie więc za wyciągniętą nitkę ze szwu sukienki. Mama odrywa rękę od kierownicy i przytrzymuje mi dłoń. Jej silny z początku uścisk słabnie. Mama ujmuje mnie za rękę i ścisła.

— Całe to wzdychanie i przestępowanie z nogi na nogę — wzdycha. — To było naprawdę żenujące.

Odwracam się i wbijam w nią wzrok.

— Może następnym razem nie ciągnij mnie za sobą, mammo.

Rzuca mi ostre spojrzenie; przegląda mnie na wylot.

W jej oczach znów błyska stal. Kręci głową.

— Nie wiem, co Clay powie na twój występ.

Clay wyszedł nieco wcześniej, żeby wrócić do biura i zabrać rekwizyty na piknik w Linden Park, gdzie na szczęście moja obecność nie jest wymagana.

— Mam wrażenie, że Clay w ogóle nie zwracał na mnie uwagi, wlepił wzrok tylko w ciebie — odpowiadam.

Na jej policzkach pojawia się rumieniec.

— Może i masz rację — odpowiada cicho. — Jest bardzo... oddany.

Przez kilka minut mama rozwodzi się nad fachowością i oddaniem Claya, podczas gdy ja mam nadzieję, że to tylko zachwyty zawodowe. Niestety nie. Teraz już Clay zostawia u nas ubrania, klucze i inne drobiazgi, ma ulubiony fotel w salonie, nastawił radio w kuchni na swoją ulubioną stację. Mama kupuje jego ulubiony napój, dziwaczny południowy sok wiśniowy pod nazwą Cheerwine. Chyba nawet zamawia go ze sklepu za linią Masona-Dixona.

Kiedy w końcu docieramy do domu, w milczeniu wysiadamy z samochodu. Słyszę w oddali ryk i ulicą nadjeżdża motocykl Joela. Ale nie on nim jedzie, tylko Jase.

Modłę się szybko, żeby wjechał na własny podjazd, lecz na nasz widok on zakręca i zatrzymuje się. Zdejmuje kask, wyciera czoło wierzchem dłoni i obdarza mnie swoim najcieplejszym

uśmiechem.

— Hej, Samantho.

Mama spogląda na mnie ostro.

— Znasz tego chłopaka? — pyta pod nosem.

— Tak — odpowiadam z naciskiem. — To Jase.

Jak zawsze uprzejmy Jase już wyciąga do niej rękę. Modlę się, żeby nie wymienił swojego nazwiska.

— Jase Garrett, mieszkam obok. Dzień dobry.

Mama ściska mu przelotnie dłoń i rzuca mi nieodgadnione spojrzenie.

Jase przenosi wzrok ze mnie na mamę i z powrotem, przerywa i nakłada kask.

— Jadę na przejażdżkę. Masz ochotę, Sam?

Zastanawiam się, w jakie kłopoty się wpakuję, jeśli z nim pojedę. Szlaban do trzydziestki? Kto wie? A kogo to obchodzi. Nagle przekonuję się, że nie dbam o to. Przez kilka godzin tkwiłam w zatłoczonym pomieszczeniu, niezdarnie udając córkę, której pragnie moja mama. Teraz niebo nad głową jest oślepiająco niebieskie, horyzont kusi. Czuję nagły przyptyw energii — jak powiew wiatru, ale to krew szumi mi w uszach, jak w dzieciństwie, kiedy z Timem skakaliśmy na główkę w wielkie fale. Przerzucam nogę nad siodełkiem i sięgam po zapasowy kask.

Ruszamy. Kryję twarz w ramieniu Jase'a, specjalnie nie patrząc na mamę, wciąż jednak podświadomie oczekuję ścigających nas syren lub helikopterów albo oddziału antyterrorystów. Po chwili jednak zapominam o tym, co zostało z tyłu. Wiatr rozwiewa mi włosy, zaciskam ramiona Jase'owi w pasie. Najpierw jedziemy piaszczystą, wysadzoną trawą morską ulicą Shore Road, potem przez miasto — uderza kontrast ze schludnymi czerwono-białymi domkami jak solniczki i równo posadzonymi klonami. Potem wracamy na Shore Road niedaleko plaży. Jase wyłącza silnik w parku McGuire, niedaleko placu zabaw, na którym od lat nie byłam. Kiedyś był to przystanek w drodze powrotnej z przedszkola.

— Zatem, Samantho... — Jase zdejmuje kask, wieszka go na kierownicy i wyciągając rękę, pomaga mi zejść. — Chyba źle trafiłem. — Odwraca się, kopnięciem otwiera podpórkę motocykla.

— Przepraszam — odzywam się po chwili.

Wciąż na mnie nie patrzy. Grzebie butem w żwirze.

— Pierwszy raz widziałem twoją mamę. Myślałem, że jest po prostu surowa, że chodzi jej o ciebie. Nie zdawałem sobie sprawy, że to ja jestem problemem. I moja rodzina.

— Nie tak. Nie o to chodzi — mówię urywanymi zdaniem, jakbym nie mogła złapać tchu. — To chodzi o nią. Ona jest... przykre, ale... to jedna z tych osób, które komentują wszystko w sklepie. Ale ja taka nie jestem.



Jase unosi głowę i przez długą chwilę patrzy na mnie. Odpowiadam spojrzeniem, siłą woli starając się go przekonać, by mi uwierzył.

Jego twarz to przystojna, nieodgadniona maska, której nigdy dotąd u niego nie widziałam. Nagle ogarnia mnie gniew.

— Przestań. Przestań mnie osądzać po postępowaniu mojej mamy. To nie ja. Jeśli chcesz oceniać mój charakter po jej zachowaniu, jesteś taki sam jak ona.

Jase nie odzywa się, nadal grzebiąc butem w piasku.

— Nie wiem — mówi w końcu. — Ale nic nie poradzę na to, że widzę... no cóż, jesteś obecna w moim życiu, w naszym domu, w mojej rodzinie, w moim świecie. Ale czy ja istnieję w twoim? Kiedy zobaczyłem cię w twoim otoczeniu, zrobiło się niezręcznie. Przyjaciółce nawet o mnie nie powiedziałaś. Ja nigdy... — przesuwając dłońmi po włosach i kręci głową — ...nawet nie jadłem u ciebie kolacji. Albo... nie wiem, nie poznałem twojej siostry.

— Wyjechała na lato — zauważam nieśmiało.

— Wiesz, o co mi chodzi. Ty chodzisz ze mną wszędzie. Jesteś w moim pokoju, w sklepie, pomagasz mi w treningach i w ogóle... a ja z tobą? Nie wiem, czy gdziekolwiek mnie zabierasz.

Czuję ściskanie w gardle.

— Też cię zabieram wszędzie.

— Czyżby? — Przestaje grzebać w piasku i podchodzi do mnie; czuję jego ciepło i widzę urazę w oczach. — Jesteś tego pewna? Jak się zdaje, mogę jedynie wspiąć się na twój dach i do twojego pokoju. Czy twoja mama nie uważa mnie za kogoś gorszego?

— Gorszego? Jesteś moim sąsiadem.

Jase spogląda na mnie, jakby chciał się uśmiechnąć, ale nie mógł.

— Musisz przyznać, Sam, że twoja mama nie patrzyła na mnie jak na ulubionego sąsiada. Nie wyglądała tak, jakby chciała zapukać do nas z ciastem w dłoni. Już chętniej wręczyłaby mi zakaz zbliżania się do ciebie.

Czuję ulgę, że znów żartuje. Zdejmuję kask.

— To moja mama, Jase. Według niej nikt nie jest dla mnie dość dobry. Mój pierwszy chłopak, Charley, był zbrojcem, który chciał mnie wykorzystać i porzucić. Potem Michael, ten emo, którego widziałeś, to na pewno diler narkotykowy, który wciągnie mnie w nałóg, a potem zorganizuje zamach na prezydenta.

— Wydawałoby się, że w porównaniu z nimi wypadnę nie najgorzej, ale chyba nie wyszło — krzywi się.

— Chodziło o motocykl.

— Naprawdę? — Jase wyciąga do mnie rękę. — Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem nałożyli

skórzaną kurtkę Joela.

Gestem wskazuje krzaki na końcu ślepej uliczki, z dala od konika i drabinek, i zardzewiałej huštawki. McGuire to schludny park miejski, w którym niczego nie zostawiono przypadkowi, lecz za placem zabaw trawiasty stok schodzi nisko przez kępę dzikich malin do długiego labiryntu kamieni wiodącego do rzeki. Można skakać po nich i dotrzeć do dużej płaskiej skały daleko w wodzie.

— Znasz kryjówkę? — pytam.

— Myślałem, że tylko ja o niej wiem. — Uśmiecha się do mnie jeszcze z lekką rezerwą, ale to już jednak uśmiech. Odpowiadam uśmiechem, myśląc o mamie. „Uśmiech, Samantha”. Teraz nikt nie musi mnie zachęcać. Przedzieramy się przez gęste krzaki, odsuwając drobne kolce sprzed twarzy, potem skaczemy z kamienia na kamień do przypominającej tratwę skały na rzece. Kiedy docieramy na miejsce, Jase siada, otaczając ramionami podkulone kolana, a ja obok niego. Czuję dreszcz, kiedy przypominam sobie, o ile tu zawsze chłodniej z wiatrem wiejącym od rzeki. Bez słowa Jase zdejmuje bluzę i podaje mi. Oblewa nas popołudniowe światło, potem zapach rzeki, ciepły i mulisty. Znajomy i bezpieczny.

— Jase?

— Hm? — Jase podnosi leżący na skale patyk i rzuca go daleko w wodę.

— Powinnam była powiedzieć jej wcześniej. Przepraszam. Już w porządku?

Przez chwilę Jase nie odzywa się, obserwując rozchodzące się zmarszczki na wodzie.

— W porządku, Sam — odzywa się jednak.

Kładę się na plecach na skale i unoszę wzrok na głęboki lazur nieba. Jase kładzie się obok i wskazuje palcem.

— Jastrząb.

Przez kilka minut obserwujemy krążącego ptaka, po czym Jase ujmuję moją dłoń, ściska ją i przytrzymuje. Rzeka wzdycha wokół nas, a drobne kółeczka w moim ciele, które przez cały dzień pędziły z oszałamiającą prędkością, wreszcie zwalniają wzorem leniwie lecącego jastrzębia, a za nimi zwalnia bicie mojego serca.

## Rozdział trzydziesty

Dobrze, że mamy takie chwile, bo natychmiast po wejściu do domu czuję wściekłość mamy ogarniającą mnie jak fala dźwiękowa. Jeszcze przed otwarciem drzwi słyszałam wycie odkurzacza, a to oznacza, że mama jeździ nim po całym domu z zaciśniętymi szczękami.

Drzwi zamykają się, mama wyszarpuje wtyczkę z gniazdka i odwraca się do mnie wyczekująco.

Nie mam zamiaru przeproszać, jakby ona miała rację, a ja zrobiłabym coś niewybaczalnego. To by oznaczało, że okłamałam Jase'a, a nie chcę już go okłamywać, nawet zatajając część prawdy. Idę więc do lodówki i wydaję lemoniadę.

— To tyle? — pyta mama.

— Chcesz trochę? — proponuję.

— Tak swobodnie się zachowujesz? Jakbym nie widziała mojej niepełnoletniej córki wsiadającej na motocykl z obcym?

— To nie jest obcy, tylko Jase. Mieszka obok.

— Doskonale wiem, gdzie on mieszka, Samantho. Przez ostatnie dziesięć lat musiałam znosić ten nieostrzyżony trawnik i wielką, hałaśliwą rodzinę. Od jak dawna znasz tego chłopaka? Często jeździsz z nim motorem Bóg wie dokąd?

Przełykam, upijam łyk lemoniady i chrząkam.

— Nie, to był pierwszy raz. To nie jego motocykl, tylko jego brata. To Jase naprawił odkurzacza, kiedy go rzuciłaś... kiedy się zepsuł.

— I co, wyśle mi za niego rachunek? — pyta mama.

Otwieram usta.

— Żartujesz? Zrobił to z uprzejmości. Bo jest dobrym człowiekiem, a ja go poprosiłam. Nie zależy mu na twoich pieniądzach.

Mama przechyla głowę i obserwuje mnie.

— Widujesz się z tym chłopakiem?

Ulatujące z moich ust słowa są odważniejsze, niż ja się czuję, ale jednak nie dość odważne.

— Jesteśmy przyjaciółmi, mamó — mówię. — Mam siedemnaście lat. Wybieram sobie przyjaciół.

Tego rodzaju kłótnie zwykle rozgrywały się między mamą a Tracy, a nie mną. Kiedy ich słuchałam, marzyłam tylko o tym, żeby moja siostra się zamknęła. Teraz rozumiem, dlaczego nie mogła tego zrobić.

— Nie wierzę własnym uszom. — Mama sięga pod zlew kuchenny, wydaję butelkę ajaxu i skrapia nim nieskazitelnie czysty blat. — Jesteście przyjaciółmi? A co to dokładnie znaczy?

„No widzisz, kupiliśmy prezerwatywy, mamó, i już wkrótce...”

Przez chwilę mam wielką chęć powiedzieć to na głos, mam wrażenie, że słowa same wylecą mi z ust.

— Lubię go, a on lubi mnie. Lubimy spędzać razem czas.

— I co wtedy robicie? — Mama unosi karafkę lemoniady i wyciera plamę wody, która pod nią została.

— Nigdy nie pytasz Tracy, co robi z Flipem.

Zawsze zakładałam, że mama nie chciała poznać odpowiedzi, jednak teraz odpowiada tonem dającym do zrozumienia „Przecież to oczywiste”:

— Flip pochodzi z dobrej, porządnej rodziny.

— Jase też.

Mama wzdycha i podchodzi do okna wychodzącego na trawnik Garrettów.

— Spójrz.

Duff i Harry najwyraźniej się biją. Duff groźnie wymachuje mieczem świetlnym w kierunku młodszego brata, który na naszych oczach podnosi plastikowe wiaderko i rzuca w niego. George siedzi na schodach z lizakiem, bez spodni. Pani Garrett karmi Patsy, w wyciągniętej ręce trzymając książkę, którą chyba czyta na głos.

Jase grzebie coś w mustangu, którego maska jest uniesiona.

— No to co? — pytam. — Ma dużą rodzinę. Dlaczego to taki problem? Czemu ci to przeszkadza?

Mama powoli kręci głową i przygląda się sąsiadom wzrokiem wyrażającym te same uczucia, co zwykle.

— Twój ojciec pochodził z takiej właśnie rodziny. Wiedziałaś o tym?

Faktycznie. Mama ma rację. Przypominam sobie zdjęcia pełne ludzi, które z Tracy znalazłyśmy w pudełku tyle lat temu. Czy to była jego rodzina? Czuję się rozdarta między chęcią wydarcia z niej pazurami dalszych informacji a koncentrowaniem się na tym, co dzieje się w tej chwili.

— Właśnie takiej — powtarza mama. — Dużej, bałaganiarskiej i całkowicie nieodpowiedzialnej. I proszę, co z niego wyrosło.

Chciałabym zauważyć, że właściwie nie wiem, co wyrosło z mojego ojca. Ale przecież on nas zostawił... zatem chyba jednak to wiem.

— Ale to była rodzina ojca, a nie Jase’a.

— Na jedno wychodzi — mówi mama. — Rozmawiamy o poczuciu odpowiedzialności.

Czyżby? Mam wrażenie, że jednak nie.

— O co ci chodzi, mamó?

Jej rysy twardnieją, tylko rzęsy trzepoczą, jak w czasie trudnych debat. Czuję, jak siłą woli

opanowuje nerwy i sili się na znalezienie możliwie taktownych słów.

— Samantho, zawsze potrafiłaś dokonać wyboru. Twoja siostra rzucała się na oślep, ale ty umiałaś myśleć. Nawet kiedy byłaś bardzo mała. Dokonywałaś mądrych wyborów, miałaś mądrych przyjaciół. Miałaś Nan, a Tracy znalazła sobie tę okropną Emmę z kolczykiem w nosie, a potem Darby. Pamiętasz Darby? Z tym chłopakiem i fryzurą? Na pewno dlatego wciąż pakowała się w gimnazjum w kłopoty. Niewłaściwe towarzystwo prowadzi do podejmowania niewłaściwych decyzji.

— Czy tata... — zaczynam, lecz mama wpada mi w słowo.

— Nie chcę, żebyś się spotykała z tym chłopakiem od Garrettów.

Nie pozwolę jej na to — nie pozwolę, żeby usunęła Jase'a z drogi, jakby jej przeszkadzał albo przeszkadzał mnie, jak czasami wyrzuca ubrania, które kupiłam, jeśli jej się nie spodobają, jak zmusiła mnie do rezygnacji z pływania.

— Mamo, nie możesz mi tak po prostu zabronić. Nie zrobiliśmy nic złego. Jechałam z nim motocyklem, jesteśmy przyjaciółmi. Mam siedemnaście lat.

Mama szczypie się w nasadę nosa.

— Nie podoba mi się to, Samantho.

— A może mnie nie podoba się Clay Tucker? Bo nie podoba mi się. I co, przestaniesz się z nim spotykać, przestaniesz ci — robię w powietrzu znak cudzysłowu, czego nie cierpię — doradzać w czasie kampanii?

— To zupełnie inna i oddzielna sprawa — odpowiada mama sztywno. — Jesteśmy dorośli i umiemy ponosić konsekwencje naszych działań. Ty jesteś dzieckiem. Zadajesz się z kimś, kogo nie znam i komu nie mam powodu ufać.

— Ja mu ufam — podnoszę głos. — Czy to nie wystarczy? Skoro jestem ta odpowiedzialna i dokonuję właściwych wyborów?

Mama nalewa mydła do blendera, który zostawiłam w zlewie, dolewa wody i szoruje go wściekle.

— Nie podoba mi się twój ton, Samantho. Kiedy tak się odzywasz, nie wiem, kim jesteś.

Na te słowa ogarnia mnie wściekłość, która w następnej sekundzie przechodzi w wyczerpanie. Sama siebie trochę przerażam. Nigdy nie odzywałam się tak do mamy i to nie klimatyzacja przyprawia mnie o chłodny dreszcz na ramionach. Jednak kiedy widzę kolejne spojrzenie mamy, obciążone co najmniej dziesięcioletnią pogardą, rzucone Garrettom na podwórku, wiem, co robić.

Idę do drzwi kuchennych i schylając się, zakładam kłapki.

Mama depcze mi po piętach.

— Wychodzisz? Nie dokończyliśmy! Nie możesz wyjść.

— Zaraz wracam — rzucam przez ramię. Potem idę przez ganek i furtkę na podjazd. Kładę dłoń na ciepłej skórze pleców Jase’a schyłego nad wnętrzościami mustanga.

Jase odwraca się do mnie z uśmiechem i szybko wyciera czoło.

— Sam!

— Chyba się zgrzałeś — mówię.

Rzuca szybkie spojrzenie na swoją mamę, wciąż czytającą George’owi i Patsy. Duff i Harry chyba przenieśli się z walką gdzieś dalej.

— Ehm, dzięki — wydaje się zdziwiony.

— Chodź ze mną. Do mnie do domu.

— Ale jestem... powinienem wziąć prysznic. Albo nałożyć koszulę.

Ciągnę go za rękę śliską od potu i smaru.

— Nie musisz. Chodź ze mną.

Jase przez chwilę przygląda mi się, w końcu idzie za mną.

— Może powinienem zabrać skrzynkę z narzędziami? — pyta łagodnie, kiedy wchodzimy na schody.

— Nie musisz nic naprawiać, nie w ten sposób.

Z zewnątrz słyszę, że mama znów włączyła odkurzacz. Otwieram drzwi i gestem zapraszam Jase’a. Ten wchodzi z uniesionymi brwiami.

— Mamo! — wołam.

Mama prostuje się znad odkurzanych właśnie poduszek sofy i stoi tak, przenosząc wzrok ze mnie na Jase’a i z powrotem. Podchodzę i wyłączam odkurzacz.

— Mamo, to jest Jase Garrett. Jeden z twoich wyborców. Chce mu się pić i ma wielką ochotę na twoją lemoniadę.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

- Więc teraz poznałeś moją matkę — mówię do Jase’a tej nocy, opierając się plecami o dach.
- Faktycznie. To było niesamowite. I bardzo krępujące.
- Ale dla lemoniady się opłaciło, nieprawdaż?
- Lemoniada była dobra — mówi Jase. — To ta dziewczyna sprawiła, że była niesamowita.
- Siadam koło okna i popycham je, otwierając, po czym przekładam po kolei nogi przez parapet i odwracam się do Jase’a.
- Chodź.
- Gdy unosi brwi, jego uśmiech błyska w zapadających ciemnościach, ale wspina się ostrożnie, a ja zamykam na klucz drzwi swojej sypialni.
- Bądź cicho — mówię mu. — Teraz zamierzam dowiedzieć się o tobie wszystkiego.
- Jakiś czas potem Jase leży na plecach w moim łóżku w samych szortach, a ja klękam przed nim.
- Myślę, że znasz mnie już całkiem dobrze. — Wyciąga rękę, wyjmując gumkę z moich włosów, które opadają powoli, rozsypując się na jego klatce piersiowej.
- Nie. Muszę się dużo dowiedzieć. Masz piegi? Znamiona? Blizny? Zamierzam odnaleźć to wszystko.
- Pochyliam się, dotykając wargami jego pępka.
- Masz pępek wklęsły. Zakodowane.
- Jase wciąga oddech.
- Nie sądzę, bym mógł być cicho. Jezu, Samantho.
- Spójrz, a tutaj... — zjeżdżam językiem od pępka w dół — masz bliznę. Pamiętasz, po czym?
- Samantho. Jeśli dalej będziesz to robić, nie będę nawet pamiętał, jak się nazywam. Ale nie przestawaj. Lubię tak czuć twoje włosy na sobie.
- Potrząsam głową, sprawiając, że moje włosy rozkładają się bardziej promieniście. Zastanawiam się, skąd bierze się to poczucie przejęcia kontroli, ale w tej chwili kogo to obchodzi? Obserwowanie, jak to działa na niego, tłumi jakiegokolwiek wahania, jakiegokolwiek zażenowanie.
- Nie sądzę, żebym dowiedziała się tego tutaj. — Sięgam do skraju jego szortów.
- Trzepocze rzęsami, biorąc kolejny głęboki, chrapliwy oddech. Wolno zjeżdżam w dół, sunąc nad jego szczupłymi biodrami.
- Bokserki. Zwykłe. Żadnych postaci z kreskówek. Rozumiem.
- Samantho. Pozwól mi również popatrzeć na ciebie. Proszę.

— Co chcesz zobaczyć? — Jestem zajęta ściąganiem do końca jego szortów. I traktuję to jako usprawiedliwienie, bo moja brawura zmalała po ujrzeniu Jase'a w samych bokserkach. I zupełnie mi uległego.

Dobra, wiem o pobudzeniu seksualnym. To był całkiem naturalny stan u Charleya. U Michaela również, ale nigdy nie powstrzymało go to od przesuwania mojej ręki do jego krocza. Ale to jest Jase i to, że mogę mu to robić, robić z nim, sprawia, że mam suche usta, a inne części bolą mnie w całkowicie niezwykły sposób.

Sięga do góry, zagarniając mi włosy na tył sukienki, żeby znaleźć zamek błyskawiczny. Oczy ma wciąż zamknięte, ale gdy zamek się rozpina, otwiera je — są soczyście zielone, jak pierwsze wiosenne liście. Koniuszkami palców głaszcze moje ramiona, po czym zsuwa sukienkę, uwalniając z niej moje ręce. Chociaż nie jest zimno, drzę.

Szkoda, że nie mam jakiejś erotycznej bielizny. Noszę zwykły stanik plażowy z rodzaju tych z małym łukiem pośrodku. Ale właśnie kiedy uważam zwykłe bokserki Jase'a za niesamowicie frapujące, on wydaje się zahipnotyzowany moim praktycznym stanikiem. Przesuwa po nim kciukami, odnajdując jego zarys, krążąc po nim. Teraz moja kolej na głęboki oddech. Ale jakoś mi nie wychodzi, gdy jego ręce wracają na moje plecy, szukając zapięcia.

Patrzę w dół.

— Och. Masz znamię. — Dotykam jego uda. — Tutaj. Wygląda prawie jak odcisk palca.

Opuszek mojego palca wskazującego przykrywa je całkowicie.

Jase ściąga ze mnie stanik, szepcząc:

— Masz cudownie miękką skórę. Przytul się.

Kładę się na nim, moja skóra przy jego skórze. Jest wysoki, ja nie, jednak gdy leżymy w ten sposób, pasujemy do siebie. Wszystkie krągłości mojego ciała zapadają się w jego silne ciało.

Gdy ludzie rozmawiają o seksie, używają terminów technicznych... albo temat wymyka im się spod kontroli. Nic w rodzaju tego poczucia rzeczywistości, poczucia, że jest się stworzonym, by pasować do siebie.

Ale leżąc razem, nie przejmujemy się tym więcej. Czuję pod sobą głucho bicie serca Jase'a, i sposób, w jaki lekko się wygina, speszony prawdopodobnie, że jego pragnienia są bardziej widoczne niż moje. Więc głaszcze jego policzek i mówię — tak, mówię, dziewczyna, która zawsze pilnowała swojego serca — mówię po raz pierwszy:

— Kocham cię. Jest dobrze.

Jase patrzy mi prosto w oczy.

— Tak — szepcze. — Jest, prawda? Też cię kocham, moja Sam.



Przez kilka następnych dni po naszej kłótni o Jase'a mama stosuje swoją metodę: a) ciche dni z akompaniamentem westchnień, lodowatych spojrzeń i wrogich pomruków pod nosem; następnie b) wypytuje mnie o moje plany na cały dzień co do godziny; i c) ustanawia zasady: „Ten chłopiec nie będzie tu przychodził, gdy ja jestem w pracy, młoda damo. Wiem, co się dzieje, gdy pozostawić dwoje nastolatków sam na sam, i nie będzie się to działo pod moim dachem”.

Udaje mi się nie odburknąć, że w takim razie znajdziemy odpowiednie miejsce na tylnym siedzeniu albo tani motel. Jase i ja stajemy się sobie coraz bliżsi. Jestem uzależniona od zapachu jego skóry. Interesuję się każdym szczegółem jego dnia, sposobem, w jaki analizuje klientów i dostawców, charakteryzując ich zwięźle, ale ze zrozumieniem.

Jestem zniewolona sposobem, w jaki patrzy na mnie ze speszyonym uśmiechem, gdy mówię, jakby jednocześnie słuchał mojego głosu i pochłaniał całą resztę mnie. Jestem zadowolona z każdego jego kawałka i każda nowa część, którą odkrywam, jest jak prezent.

„Czy tak się czuje mama? Czy ma wrażenie, jakby każdy kawałek Claya został zaprojektowany specjalnie, by ją uszczęśliwić?” Sama myśl przyprawia mnie o mdłości. Jeśli jednak odczuwa to w ten sposób, jaką osobą jestem ja, skoro nie lubię, gdy Clay choćby przebywa w pobliżu?

— Będziesz musiała mnie w tym wyręczyć, dziecinko — mówi Tim, wchodząc do kuchni, w której wyciągam z piekarnika podgrzane kwadraciki focacci, posypując je tartym parmezanem. — Potrzebują więcej wina, a nie najlepszym pomysłem jest prosić mnie, bym robił za kelnera, który je podaje. Gracie zamówiła dwie butelki pinot grigio.

W jego głosie brzmi przekora, ale trochę się poci, i to prawdopodobnie nie z upału.

— Dlaczego cię poprosili? Myślałam, że masz być pomocnikiem biurowym, a nie obsługiwać gości. — Mama wydaje obiad dla dwunastu sponsorów. Posiłki są z cateringu, ale ukrywa ten fakt przed nimi, każąc mi podgrzać ugotowane wcześniej jedzenie.

— Obowiązki są czasami całkiem nieokreślone. Nie masz pojęcia, ile kursów z kawą i pączkami zrobiłem, odkąd zgłosiłem się jako bezrobotny do pomocy przy kampanii twojej mamy. Wiesz, jak to otworzyć? — Wskazuje głową na dwie butelki, które wyjęłam z niższej półki lodówki.

— Myślę, że coś wykombinuję.

— Nie cierpię wina — mówi Tim w zamyśleniu. — Nie uwierzysz, ale nigdy nie lubiłem jego zapachu. Teraz mógłbym wypić duszkiem obydwie butelki w równo dwie sekundy.

Przymyka oczy.

Zrywam metalową powłokę z wierzchu i wkładam korkociąg, jeden z tych nowych, wymyślnych,

wyglądających raczej jak młynek do pieprzu.

— Przykro mi, Tim. Jeśli chcesz tam wrócić, zaniosę je.

— Nie. Staje się to coraz bardziej pretensjonalne. Nie wspominając o dogmatyczności. Ten facet, Lamont, jest strasznym dupkiem.

Zgadzam się. Steve Lamont jest prawnikiem podatkowym miasta i przykładem niepoprawności politycznej. Mama nigdy go nie lubiła, jest również seksistą i lubi żarty na temat ubierania się na czarno co roku w rocznicę dnia, w którym kobiety uzyskały prawo głosu.

— Nie rozumiem, co on tu robi — mówię. — Clay jest z Południa, ale nie jest dogmatykiem, nie sądzę. Ale pan Lamont...

— Jest pieprzonym bogaczem, dziecinko. Albo jak Clay to nazwał: „Jest tak napakowany kasą, że kupuje nową łódź za każdym razem, gdy stara się zmoczy”. To wszystko. Znieśliby dużo gorsze piekło, żeby coś z tego pozyskać.

Drzę, szarpiąc się z korkiem, który się łamie.

— O cholera.

Tim sięga po butelkę, ale odsuwam ją od niego.

— W porządku, chciałem tylko usunąć ten złamany kawałek.

— Timothy? Dlaczego to tak długo trwa? — Mama wkracza przez wahadłowe drzwi do kuchni, rzucając okiem między nas.

Podaję butelkę.

— Oj, szczerze... — mówi. — Zepsujesz całą butelkę, jeśli kawałek korka dostanie się do środka.

Wyciąga ją z moich rąk, marszczy nad nią brwi, po czym wyrzuca do śmieci i otwiera lodówkę, żeby wyciągnąć następną. Chcę wziąć ją od niej, ale chwyta korkociąg i sama wkręca go zręcznie. Następnie robi to samo z drugą butelką.

Potem podaje jedną Timowi.

— Po prostu obejdź stół i napełnij szklanki.

Tim wzdycha.

— Dobra, Gracie.

Mama wyjmuje z półki kieliszek i napełnia go, po czym bierze głęboki łyk.

— Pamiętaj, że publicznie masz mnie tak nie nazywać, Tim.

— Dobrze, pani senator. — Tim trzyma butelkę przed sobą tak, jakby miała wybuchnąć.

Mama bierze kolejny łyk.

— Jest bardzo dobre — mówi do nas z roztargnieniem. — Myślę, że idzie naprawdę dobrze, nie sądzisz?

Kieruje to pytanie do Tima, który potakuje głową.

— Praktycznie można usłyszeć, jak otwierają portfele — mówi. Jeśli jego głos brzmi trochę sardonicznie, mama tego nie wychwytuje.

— Cóż, nie dowiemy się do czasu, gdy nie nadejdą czeki. — Kończy kieliszek wina jednym haustem, po czym spogląda na mnie. — Czy mam jeszcze szminkę na ustach?

— Tylko na brzegu — odpowiadam. — Większa część została na kieliszku.

Wzdycha zniecierpliwiona.

— Pobiegnę na górę i wracam. Tim, idź tam i nalewaj. Samantha, foccacia musi wystygnać.

Wyjmij ją i dodaj trochę więcej oliwy z oliwek dla schłodzenia.

Kręcąc się, biegnie po schodach. Wyjmuję wino z rąk Tima, wymieniając je na butelkę oliwy.

— Dzięki, dziecinko. To nie jest tak kuszące.

Spoglądam na kieliszek z czerwonoróżową plamą.

— Chyba wychyliła to jednym haustem.

Wzrusza ramionami.

— Twoja mama nie lubi prosić ludzi o byle co. To nie w jej stylu. Pijacka odwaga, jak sądzę.

## Rozdział trzydziesty drugi

— Nie uwierzysz, co mi się właśnie przydarzyło — mówi Jase dokładnie w tej samej chwili, gdy włączam komórkę, korzystając z przerwy w B&T. Na wszelki wypadek odwracam się od panoramicznego okna, żeby pan Lennox, ignorując znak przerwy, dziarsko nie zaliczył mi pierwszego przewinienia.

— Spróbuj.

Zniża głos.

— Wiesz, że założyłem zamek w drzwiach mojego pokoju? No więc tata najwyraźniej to zauważył. Tak więc dzisiaj prowadzę inwentaryzację rolek trawnikowych, a on podchodzi i pyta, dlaczego to zrobiłem.

— Uch. — Moją uwagę przykuwa dziecko skradające się do kąpieli z hydromasażem (istnieje ścisła zasada, że nie można z niej korzystać, nie mając szesnastu lat) i potrząsam srogo głową. Dzieciak oddała się chyłkiem. Musi być pod wrażeniem mojego imponującego uniformu.

— Więc mówię, że potrzebuję czasami prywatności i nieraz spędzamy razem z tobą czas i nie chcemy, by nam przerwano dziesięć milionów razy.

— Dobra odpowiedź.

— W porządku. Sądzę, że to koniec sprawy. Ale potem mówi mi, że musi ze mną „porozmawiać” w pokoju na zapleczu.

— Uch, jeszcze raz.

Jase zaczyna się śmiać.

— Idę za nim, a on każe mi usiąść i pyta, czy jestem odpowiedzialny. Hmmm. Wobec ciebie.

Cofając się w cień krzaków, uciekam jeszcze dalej od możliwego wzroku pana Lennox.

— O mój Boże.

— Mówię, że tak, że radzimy sobie, jest fajnie. Ale poważnie? Nie mogę uwierzyć, że mnie o to spytał. Mam na myśli, Samantho, Jezu. Moi rodzice? Trudno w tym domu nie mieć pojęcia o seksie i tych sprawach. Więc mówię mu, że idziemy powoli i...

— Powiedziałaś mu to?

Boże, Jase! Czy kiedykolwiek spojrzę ponownie panu Garrettowi w oczy? Pomocy.

— To mój tata, Samantho. Cóż. Nie, że nie chciałem skończyć natychmiast tej rozmowy, ale jednak...

— Więc co się zdarzyło później?

— Tak więc, przypomniałem mu, że omawiali to naprawdę dokładnie w szkole, nie wspominając o domu, i że nie jesteśmy nieodpowiedzialni.

Zamykam oczy, próbując wyobrazić sobie taką rozmowę z moją matką. Niewyobrażalne. To nie była zamierzona gra słów.

— Więc... mówi dalej — Jase jeszcze bardziej zniża głos — hm... o zachowaniu taktu i hm... wzajemnym zadowoleniu.

— O mój Boże! Powinnam umrzeć. Co odpowiedziałeś? — pytam, chcąc się dowiedzieć, nawet gdy całkowicie rozpraszają mnie myśli. Wzajemne zadowolenie, he? Co wiem o jego dawaniu? A jeśli sklepowa złodziejka Lindy miała w rękawie triki, o których nie mam pojęcia? To nie tak, że mogę spytać mamę. „Podczas rozmowy z córką pani senator dostaje ataku serca”.

— Powiedziałem: „Tak jest”. I mówił, i mówił, a wszystko, co mogłem pomyśleć, to że za chwilę przyjdzie Tim i usłyszy, jak mój tata mówi coś w stylu: „Twoja mama i ja stwierdziliśmy, że... bla bla bla”.

Nie mogę przestać się śmiać.

— O nie. Nie wspomniał o twojej matce.

— Wiem! — Jase też się śmieje. — Mam na myśli... wiesz, jak blisko jestem ze swoimi rodzicami, ale... Jezu.

— Więc jak sądzisz? — pyta Jase, podnosząc z podłogi dwie puszki farby i stawiając je na blacie. Otwiera z hałasem pokrywkę jednej, potem drugiej, zanurza w puszkach płaskie drewniane mieszadło, miesza farby. — Dla mustanga? Mamy twój zwykły zielony wyścigowy. — Ociera patyk o kawałek gazety. — Trochę go ożywimy. — Kolejne pociągnięcie. — Który wolisz?

Kolory różnią się nieznacznie. Przypatruję się uważnie obu patykom.

— Jaka była na nim oryginalna farba? — pytam.

— Zwykła zielona. Która nawet wydaje się odpowiednia. Ale przecież...

Mój telefon komórkowy śpiewa głośno.

— Hej, dziecinko, potrzebuję twojej pomocy. — To Tim. — Jestem w głównym biurze, a zostawiłem swojego laptopa w sklepie. Napisałem to przemówienie, rodzaj wstępu, dla twojej mamy na dziś wieczór. Potrzebuję, żebyś popchnęła kopię na jej e-mail. Jest w magazynie na biurku pana Garretta.

Łatwo znajduję tego laptopa.

— Dobra, co dalej?

— Po prostu wejdź — nie ma tam wielu plików. Praca albo coś w tym guście.

— Jakie masz hasło? — Moje palce wiszą w powietrzu nad klawiaturą.

— Alicja — mówi Tim. — Ale wyprę się, jeśli komuś powiesz.

— W Krainie Czarów, prawda?

— Dokładnie. Muszę iść — ten sztywniak Malcolm o coś gardłuje. Oddzwoń do mnie, jeśli nie będziesz mogła go znaleźć.

Wpisuję hasło i szukam dokumentów. Nie ma niczego nazywającego się „praca”. Przeszukując, przewijam wszystko i w końcu natykam się na folder opatrzony etykietą „pierdoły”. Znajac Tima, wystarczająco podobne. Klikam na niego i wyskakuje seria dokumentów. *Dawaj tę dziewczynę na A: Badania nad Hester Prynne Hawthorna. Porównanie Huckleberry Finna i Holdena Caulfielda. Niebezpieczeństwo u Dickensa. Cztery wolności.*

Klikam na *Cztery wolności*... i tam jest wszystko. Zwycięskie nagrodzone przemówienie Nan na czwartego lipca. Datowane ostatniej jesieni.

Ale napisała to dla rządu amerykańskiego. Tej wiosny.

Daniel w zeszłym roku wziął rząd amerykański. Przypominam sobie, jak podczas lunchu wciąż mówił przy stole o Johnie Adamsie. Więc Nan musiała dostać od niego konspekt. Zawsze przygotowywała się w ten sposób. Ale jednak... pisząc wypracowanie, zanim klasa nawet nie zaczęła? Ekstremalne. Nawet dla Nan.

I niby dlaczego miałyby to znaleźć się na komputerze Tima? W porządku. Nan pożyczła często jego laptopa, kiedy jej własny się psuł.

Przesuwam mysz na Huckleberry Finna i Holdena Caulfielda, wypracowanie Nan opublikowane w czasopiśmie literackim. Jest tu esej, który wygrał Lazlo, słowo w słowo.

Wiem, że go kryła. Spójrzmy prawdzie w oczy, obydwie to robiłyśmy. Ale nie spodziewałam się, że posunie się aż tak daleko.

Nie mogę w to uwierzyć. Tim wykorzystywał prace Nan.

Dalej wpatruję się w monitor, czując się, jakby ktoś spuścił całą krew z mojej głowy.

— Samantho, potrzebuję cię! Możesz odrzepić się na chwilę od tego swojego chłopaka? — Wysoki i drżący głos Nan trzeszczy w mojej komórce.

— Oczywiście. Gdzie jesteś?

— Spotkajmy się w Doane. Potrzebuję lodów.

Nan znowu zaczyna szybką terapię cukrową. Zły znak. Czy pojechała z Danielem do Nowego Jorku? To tylko sobota. Tim mówił, że powiedziała swoim rodzicom, że zabiera ją na jakieś Model UN i zatrzymują się u jego bardzo surowego wuja.

Nawet nie wiem, czy Daniel ma wuja, który mieszka w Nowym Jorku, ale gdyby miał, jest pewne, że wuj byłby surowy.

Dom Masonów leży znacznie bliżej miasta niż mój, więc gdy docieram do Doane, nie dziwi mnie, że znajduję ją siedzącą przy ladzie. Dziwi mnie, że już wcina banana z lodami i bitą śmietaną.

— Przepraszam — mówi przez kęs bitej śmietany. — Nie mogłam czekać. Prawie przeskoczyłam przez ladę i przekopałam palcami kubelki. Z pewnością dla ocalenia potrzebuję teraz czekoladowego zapomnienia. Tak jak Tim. Odkąd przestał pić, oszalał na punkcie słodyczy.

— Ale ty nie rzucasz nałogu — mówię. — Czy tak? Co z Danielem?

Czerwienieje i łzy napływają jej do oczu, spływając w dół po poczerwieniałych, pokrytych piegami policzkach.

— Och, Nan. — Chcę objąć ją ramionami, ale potrząsa głową.

— Zamów sobie coś i usiądźmy przy stoliku na zewnątrz. Nie chcę, żeby wszyscy w Doane to słyszeli.

Jedyni „wszyscy” w Doane w tej chwili to matka z brzdącem, który krzyczy, ponieważ nie pozwoliła mu kupić Tootsie Roll. Wrzeszczy: ZŁA MAMA. ZABIJĘ CIĘ MIECZEM!

— Tak, lepiej wynieśmy się, zanim staniemy się świadkami morderstwa — mówię. — Później zamówię lody. Prowadź.

Ustawia przed sobą na stole pucharek, wybiera wiśnię i macza ją w sadzawce polewy czekoladowej.

— Jak myślisz, ile to milionów kalorii?

— Nan. Powiedz mi. Co się stało? Tim powiedział, że wyjeżdżasz na cały weekend.

— Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Daniel nie chciał, by ktokolwiek wiedział. Powiedziałam prawdę tylko Timowi, bo pomyślałam, że może pomógłby mi wymyślić lepszą wymówkę, ale powiedział, że Model UN i surowy wuj to dobry pomysł. Chociaż stwierdził, że byłoby jeszcze lepiej, gdybym powiedziała, że mieszkaliśmy z jego ciotką w klasztorze.

— Mogłaś mi powiedzieć. Nigdy nie doniosłabym na ciebie.

Czy wie, że Tim kradnie jej wypracowania? Powinnam jej powiedzieć?

Jej oczy ponownie napełniają się łzami i wyciera je niecierpliwie, biorąc się za kolejną gałkę lodów.

— Wiem. Przepraszam. Byłam... Pomyślałam, że jesteś zbyt zajęta naszym miejscowym ciachem. Pomyślałam, że po prostu pojedę i wrócę jako obyta kobieta, która w Nowym Jorku przeniosła swoje relacje na następny poziom.

Krzywię się. Nie ma żadnych szans, żebym poruszyła teraz sprawę Tima.

— Daniel znowu wykorzystał ten zwrot? Może napisałybyśmy mu mały słownik? Mogłyśmy przetłumaczyć jego słowa na coś trochę bardziej erotycznego. Zamiast „przenieśmy nasze relacje na następny poziom” może być „chodź, mała, rozpal we mnie ogień”.

Bierze kolejną porcję lodów, przełyka, po czym mówi:

— A jeśli już czas opuścić naszą strefę komfortu?

— Och, Nan. Naprawdę?

Potakuje.

— On naprawdę nie może być w naszym wieku. Może to jak w *Zakręconym piątku* jakiś agent ubezpieczeniowy w średnim wieku opanował ciało Daniela.

Zagarnia kolejną ogromną łyżkę.

— Co się dzieje po opuszczeniu strefy komfortu, Nan? — badam.

— Cóż, byliśmy w miejskiej rezydencji jego wuja — ta część była prawdziwa. Ale w weekend wuj był daleko, w Pound Ridge, więc... zjedliśmy obiad i chodziliśmy po parku — nie za długo, bo Daniel wciąż miał wrażenie, że ktoś zamierza na nas napaść. Więc wróciliśmy na piechotę i nastawiliśmy muzykę.

— Proszę, nie mów mi, że to było *Boléro* Ravela.

— Tak naprawdę, nie mógł złapać stacji, jakiej chciał, więc skończyliśmy na tych wszystkich rapach. Ale myślał, że to też jest jakby zabawne. Zauważyłam, że robi się mniej sztywny, kiedy my, cóż, kiedy ja stałam się bardziej... hmmm...

— Pewna siebie?

— Właśnie. Niby wiedziałam, że to jest kryptonit Daniela. Więc miałam na sobie zieloną sukienkę z wszystkimi tymi małymi guzikami z przodu i po prostu ją rozerwałam. Wszędzie guziki. Powinnaś widzieć jego minę!

— No no... — Nie mogę sobie wyobrazić, że Nan to zrobiła. Gdy nocuję u niej, wciąż przebiera się w swojej szafie.

— Wtedy powiedziałam: „Przestańmy rozmawiać, profesorze”. I rozerwałam jego koszulę.

— Uśmiecha się teraz lekko.

— Nan, ty bezwstydna latawico.

Uśmiech stopniowo zanika, kładzie głowę na stole obok topniejącego deseru lodowego i szlocha.

— Przepraszam, żartowałam. Co dalej? Nie zmusił cię do pójścia prosto na Madison Avenue i kupienia mu nowej, prawda?

— Nie. Zupełnie w to wszedł. Powiedział mi, że to moja nowa strona i nie przestraszy się pewnej siebie kobiety. — Wyciąga kawałek banana spływającego syropem, ale potem odrzuca łyżkę z powrotem i wydmuchuje nos w rąbek T-shirta. — Więc było wspaniale i nie było niczego lepszego od połączenia ze sobą mózgów i piękna, a następnie przestał mówić i zaczął całować mnie jak szalony. Leżeliśmy na podłodze przed kominkiem i... — Kolejny szloch.

Moja ręka głaszcze tył głowy Nan, umysł przebiega wszelkie możliwe scenariusze. „Daniel



oznajmił, że jest gejem. Daniel jest impotentem. Daniel przyznał się, że jest wampirem i nie może uprawiać z nią seksu, bo mógłby ją zabić”.

— Wszedł jego wuj. Prosto do biblioteki. Nawet nie wyjechał. Miał wyjechać w przyszły weekend. Był w pracy, gdy wnieśliśmy swoje walizki, a teraz na górze brał kąpiel; usłyszał hałasy i wszedł z laską, gotów nas zabić.

„Och, biedna Nanny”.

— Nakrzyczał na Daniela, nazwał mnie zdzirą i różnymi takimi, a Daniel nie mógł znaleźć swoich spodni, więc stał tam nagi, a potem wypchnął mnie przed siebie.

„Cholerny Daniel. Nie mógł chociaż zachować się szarmancko i osłonić ją? Tim miał rację. To kutafon”.

— Co za tchórz! — Ups, czy Nan się nie wkurzy? Przygotowuję się na to. Ale ona kiwa tylko głową głową i mówi:

— Wiem, dobra? Steve McQueen nigdy by tego nie zrobił. Pobiłby go tak, jak kiepskiego lekarza w *Romansie z nieznajomym*.

— A więc co?

— Tak więc wuj z Danielem zaczęli się kłócić. Daniel prosił go, żeby nic nie mówił rodzicom, a wuj ciągle na niego krzyczał. W końcu zgodził się nie mówić, jeśli „od razu opuścimy posiadłość”.

Wiem, skąd Daniel nabrał takiego stylu wysławiania.

— Więc wróciłaś wtedy do domu?

— Nie, było naprawdę późno. Wykorzystaliśmy moją awaryjną kartę American Express, żeby zatrzymać się w Doubletree Midtown. Daniel próbował zacząć w punkcie, którym przerwaliśmy, ale nastrój prysnął. Po prostu pooglądaliśmy *Star Treka* i poszliśmy spać.

Wyciągam ręce i tym razem wtula się w nie, składając głowę na moim ramieniu, potrząsając swoimi.

— Dlaczego nigdy mi się nie udaje? Po prostu chciałam być nieodparta i śmiała. Teraz jestem dziwką i nawet nie zaznałam seksu. Jestem poronioną dziwką. — Jej gorące łzy moczą mój obojczyk.

— Myślę, że byłaś niesamowita. Rozrywając jego koszulę, biorąc sprawy w swoje ręce. Jesteś dziwką na wszystkie najlepsze sposoby, Nan Mason.

— Naprawdę trudno ją było rozedrzeć, faktycznie — ociera ręką oczy. — Brooks Brothers musi przyszywać te guziki drutem.

— Powiedział, że byłaś piękna i dzielna — mówię. — I byłaś.

— Nie mów nikomu, co się wydarzyło. Nawet Timowi nie powiedziałam. Powiedziałem mi, że Daniel wstrząsnął moim światem. Fu.

Wydaje mi się, że Tim zrozumiałby, że sprawy nie ułożyły się zgodnie z planem.

Głaszczę ją łagodnie po plecach i mówię:

— Przysięgam na mały palec.

Prostuje się gwałtownie.

— Choćby nie wiem co, nie mów tego temu chłopakowi od Garrettów. Nie zniosę myśli o facetach śmiejących się z nas.

Krzywię się. Wiedząc, jak opiekuńczy jest Jase dla swoich sióstr, jak próbował przekonać Tima, by miał więcej współczucia dla Nan, wiem, że nigdy by się nie śmiał. Boli, że Nan pomyślała, że mógłby tak się zachować, boli prawie tak, jak gdyby pomyślała to o mnie. Ale jedyne, co mówię, to:

— Nie powiem nikomu.

— Potrzebuję więcej lodów — mówi Nan. Ma tak czerwoną i spuchniętą twarz, że mruży oczy.

— Chcesz wziąć na spólkę to Doane's Dynamo z dziesięciu łopatek wielkości frisbee?

## Rozdział trzydziesty trzeci

— Życie mi szczęścia w Chuck E. Cheese — wzdycha pani Garrett, gdy podwozi Jase’a i mnie do sklepu żelaznego. — Piekło na ziemi, z pizzą i olbrzymią mówiącą myszą.

Dzisiaj zmiana Jase’a i Tima. Tyle tylko, że Tim nie pokazał się, by nas podwieźć. Pani Garrett, mówiąc, że nie potrzebuje mnie dzisiaj do opieki nad dziećmi z powodu przyjęcia urodzinowego w Chuck E. Cheese, na które jest zaproszony George, podwiozła nas. W Breakfast Ahoy mam wolne wczesne popołudnie, kartkuję leniwie przewodnik przygotowujący do testu SAT, który dała mi Nan.

Jase zaczyna rozpakowywać transport gwoździ. Nic nie mówimy o nieobecności Tima, ale zauważam pod gęstymi ciemnymi rzęsami oczy Jase’a zerkające tak jak ja na zegar nad drzwiami. Nie chcę, by Tim wszystko schrzanił. Ale mija dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny.

Pan Garrett wychodzi z zaplecza, by się przywitać. Klepie Jase’a po plecach i całuje mnie w policzek, mówiąc, że w biurze jest mnóstwo kawy. Zaszywa się w nim z powrotem, mówi, że musi wypełnić księgi kwartalne. Jase gwizdże pod nosem, sortując gwoździe, gryzmołąc ilości na podkładce. Słyszę słaby, monotony dźwięk dochodzący z biura pana Garretta. Przerzucam strony w przewodniku przygotowawczym, próbując zidentyfikować dźwięk.

*Klik klik klik klik klik.*

Spoglądam pytająco na Jase’a.

— Długopis — wyjaśnia. — Tata twierdzi, że klikanie nim zawsze pomaga mu dodawać — albo, w naszym przypadku, odejmować. — Otwiera torbę z gwoździami o zaokrąglonych łebkach, zgarniając je z brzękiem do pustej plastikowej szuflady przed sobą.

— Nie lepiej: „zarządzać finansami”? — Podchodzę, kładąc ręce na jego plecach, opierając policzek na jego łopatce. Ma dziś na sobie szarą sportową bluzę i wdycham jego zapach.

— Ale nie gorzej. — Odpowiada uśmiechem, odwraca się przodem do mnie, obejmując ręką moją szyję i uśmiecha się, przyciągając mnie.

— Wyglądasz na pobitego. — Przesuwam powoli palcem po ciemnym niebieskawym cieniu pod jego okiem.

— Tak. Jestem. To dobrze tak się czuć, Sam.

— Ślęczysz po nocach? Co robisz?

— Myślę, że używam światła dziennego, ale faktycznie o czwartej rano nie czuję się jak w środku dnia.

Oczy ma wciąż zamknięte. Sunę palcem w dół jego policzka, potem przesuwam na drugie oko.

— Wstajesz o czwartej rano? Dlaczego?

— Nie śmieję się.

Dlaczego ten zwrot zawsze wywołuje uśmiech? Otwiera oczy i znów uśmiecha się do mnie.

Przybieram ponury wyraz twarzy.

— Nie śmieję się.

— Zostałem gazeciarem.

— Co?

— Doręczam gazety do Stony Bay Sentinel. Zaczynam o czwartej, sześć dni w tygodniu.

— Od jak dawna to robisz?

— Od dwóch tygodni. Nie sądziłem, że będzie tak ciężko. Nigdy w filmach nie widzisz gazeciarzy pijących duszkiem red bulla i no-doz.

— Prawdopodobnie dlatego, że zazwyczaj jest ich dziesiątka. Duff nie może tego robić?

Ręka Jase'a ześlizguje się w płataninę moich włosów i ściąga gumkę; zawsze to robi.

— Duff nie ma szans na college w przyszłym roku. Ja tak. Chociaż jest to cholernie mało prawdopodobne, skoro tak idzie. Cholera, nie powinienem kupować tego samochodu. Po prostu chciałem go... to źle. I niedługo będzie już jeździł. To znaczy, pochłonie kolejne pieniądze.

Przygryzam wargę. Nigdy nie muszę martwić się o pieniądze.

— Nie bądź taka smutna, Sam. Będzie dobrze. Nie powinienem o tym mówić.

— Ja zaczęłam — przypominam mu. — Jestem twoją dziewczyną. Powinieneś móc rozmawiać o tym ze mną. Nie tylko pozwalać mi swobodnie rozporządzać swoim rozgrzanym ciałem, wiesz o tym.

— Chociaż to bardzo na mnie działa — mówi Jase, wkręcając palce w moje włosy i przyciągając do siebie.

— A niech to. Dosyć tych pierdół z palmtopa.

Obracamy się w kierunku drzwi, ponieważ wchodzi Tim w szarym garniturze Impress Grace Reed. Wygląda na zmiętego i niezwykle wkurzonego.

— Mason — wita się Jase, nie puszczając mnie. — Wszystko w porządku? — Wskazuje ręką na zegar.

— Zależy, co rozumieć przez „w porządku”. — Tim zrywa kurtkę i rzuca ją na wieszak. Rozplątuje krawat, jakby miał boa dusiciela owiniętego wokół szyi. — Czego nie powinienem, cholera, wiedzieć, co? — Idzie sztywnym krokiem, siadając za Jase'em, który ukradkiem zerka na jego źrenice i obwąchuje jego oddech. Nie czuję zapachu niczego. Mam nadzieję, że Jase też. Tim nie wygląda na nawalonego... po prostu jest wściekły.

— Co się dzieje? — Jase podaje mu kartę kontrolną.

Tim pochyla się, by czarnym markerem nabazgrać czas przyjścia.

— Samantha? Jak dużo wiesz o tym pieprzonym Clayu Tuckerze?

— Tim, spokojnie. Przestań przeklinać. — Kładę rękę na jego ramieniu. Ostatnio przestał używać niecenzuralnych słów, czasami obywając się bez żadnego w czasie całej rozmowy.

— Dlaczego, Samantha? Ja pierdołę, dlaczego powinienem przestać? — Obdarza mnie swoim sztuczno-czarującym uśmiechem. — Ja mogę tylko pogadać, wy to wcielacie w czyn. Jak rozumiem, i tak będziecie wygrani.

— Dość tego, Tim. To nie wina Samantha. O co chodzi z Clayem Tuckerem? — Jase opiera się biodrem o ladę, krzyżując ramiona.

— Nie wiem. To znaczy, nie powinienem krytykować manipulujących drani, zresztą sam taki jestem i w ogóle. Ale ten facet... to nowy poziom. I twoja mama, Samantha... tam z nim. — Tim pociera czoło.

— Co masz na myśli? — pytam, a jednocześnie pan Garrett pyta:

— Wracasz tam do pracy dziś wieczorem? — Musiał wejść do pokoju tak cicho, że żadne z nas go nie usłyszało.

Tim potrząsa głową, ale rumieniec wspina się po jego szyi. Nigdy wcześniej się nie spóźnił, nie tutaj.

— Zatem dobra. Zostaniesz po zamknięciu i skończysz ten inwentarz magazynu, który zacząłeś wczoraj.

Tim chrząkając, kiwa głową. Pan Garrett kładzie rękę na jego ramieniu.

— Nigdy więcej, Timothy. Słyszysz? — Wraca korytarzem do swojego biura, jego szerokie ramiona wyglądają, jakby trochę opadły.

Jase wyciąga z kieszeni dzinsów paczkę gum Trident i częstuje Tima.

— Mów dalej.

— Więc stary Clay... — Tim bierze sześć gum, połowę paczki. Jase unosi brwi, ale nic nie mówi. — Wpieprza się wszędzie. Podniesiesz w tej kampanii kamień, a on wylezie spod niego. Grace ma ten cały personel, a Clay ma nad wszystkim pieprzoną kontrolę. Powie coś i wszyscy podskakują. Nawet ja. Facet nigdy nie sypia. Nawet ten mały koleś, ten lizus, kierownik kampanii twojej mamy, Malcolm, wygląda na wypompowanego, ale Clay zasuwa jak pieprzony Króliczek Energizera z Connecticut. Nawet tę małą... tę gorącą brunetkę z biura Bena Christophera skaptował jako swoją podwójną agentkę. Dziewczyna przyłazi codziennie rano przekazać mu, co robi Christopher. Wtedy Grace może wejść przeciwnikowi w paradę, pokazać się, wyglądać lepiej.

Uświadomienie sobie tego uderza mnie mocno, ale ledwie mam czas to przetworzyć, ponieważ Tim mówi dalej.

— Dyryguje też sesjami zdjęciowymi. Wczoraj był to jakiś przylatujący do Stanów biedny drań, który stracił obie nogi w Afganistanie. Clay był na miejscu, żeby się upewnić, że całująca go na

powitanie Grace będzie miała pół strony rozkładówki w „Stony Bay Bugle”.

Tim wciska ręce w kieszenie, chodząc po pokoju i opowiadając.

— Potem jedziemy do jakiegoś ośrodka dziennej opieki, gdzie robi zdjęcie Grace otoczonej sześciorgiem słodkich jasnowłosych dzieci. Roztropnie usunął dziewczynę z jednym z tych dużych czerwonych znamion na twarzy. Mam na myśli, że jest dobry w tym, co robi. To wprost niewiarygodne przyglądać się, jak pracuje. Ale jakoś również cholernie przerażające. A twoja mama... ona po prostu nic nie mówi, Samantha. Stoi na baczność, jakby pracowała dla niego. O co, do cholery, chodzi?

Nie, żebym o tym wszystkim nie myślała. Gdy jednak mówi o tym Tim, czuję niechęć. Poza tym, kim jest Tim, żeby to oceniać?

— Słuchaj — mówię. — Może to wyglądać tak, że to on rządzi, ale mama nigdy nie dałaby się tak odsunąć. Kocha tę pracę i jest całkowicie zaangażowana w zwycięstwo, a to trudny wyścig...

Milknę. Mówię jak ona.

— Tak, i prowadzi we wszystkich naszych wewnętrznych sondażach. Nawet uwzględniając margines błędu. Niewiele, ale prowadzi. Ale oczywiście Clayowi to nie wystarcza. Clay musi się asekurować. Clay musi urządzić w listopadzie swoją małą niespodziankę, czym się da, więc musi mieć pieprzoną absolutną pewność, że ona nie tylko wygra, ale jej przeciwnik poniesie pieprzoną porażkę. Dużą. Nie tylko przegra wyścig. Przegra całą swoją karierę.

Jase z roztargnieniem gładzi mnie po boku lewą dłonią, wciąż wyciągając z kartonu plastikowe paczki gwoździ.

— I robi to przez...?

— Kopiąc w brudach, które nie mają znaczenia. Pilnując, żeby nabrały znaczenia i przyłgnęły do niego.

Oboje wpatrujemy się w Tima.

— Ben Christopher, który startuje przeciwko Grace? Dwa razy prowadził po alkoholu — mówi Tim. — Pierwszy raz trzydzieści lat temu, w liceum. Drugi raz dwadzieścia sześć lat temu. Wywiązał się, zapłacił grzywny. Widuję faceta na spotkaniach. Jest całkiem przyzwoity. Zrobił wszystko, co mógł, żeby to odrobić. Ale stary Clay już sobie to zapisał, żeby mieć pewność, że nigdy nie uciekniesz od przeszłości. Wie od swojego małego kochanego szpiega, że sztab Christophera robi w gacie ze strachu, że wyjdzie to na jaw. I zamierza zmusić starą Grace do zwołania wiecu z jakimś dupkiem, który to wszystko wygada. Trzy dni przed wyborami.

— Jaka w tym wszystkim jest twoja rola? — pyta Jase.

Tim patrzy na nas błagalnie.

— Nie wiem. Clay Tucker myśli, że czynię cuda. Z jakiegoś powodu każda cholerna rzecz, którą

wykonam, robi wrażenie na tym onaniście. Chryste, dziś pochwalił mnie za posegregowanie dokumentów. Nigdy nikomu tak nie zaimponowałem. Nawet gdy zapieprzałem. Teraz tak. Jestem rzeczywiście dobry w tych pierdołach. W dodatku potrzebuję rekomendacji.

Jego głos wzrasta o kilka oktaw.

— „Praca w sklepie żelaznym to nic złego, Timothy, ale w kampanii zdobywasz doświadczenie, a co pani senator powie o tobie, utoruje ci drogę do naprawienia szkód, które sobie wyrządziłeś”.

— Twoja mama? — pytam.

— Naturalnie. Nie ma na tej planecie osoby, która powiedziałaaby o mnie tyle miłych rzeczy, co Clay Tucker. I oczywiście, moje szczęście, po drodze musi zniszczyć zanego człowieka.

W tej chwili sklep nagle zapełnia się klientami. Kłótliwie wyglądająca kobieta z nastoletnią córką wybierają we wzorniku kolor farby. Starsza kobieta chce dmuchawę do liści, której nie trzeba dźwigać. Brodaty facet sprawiający wrażenie kompletnie zielonego mówi Timowi, że chce „jedną z tych rzeczy, za pomocą której można coś naprawić, tak jak w telewizji”. Po pięciu minutach Tim oferuje mu wszystko, od szpachli, przez DustBuster do noża Ginzu, w końcu Jase domyśla się, że chodzi o komplet narzędzi. Facet wybiega, wyglądając na zadowolonego.

— Więc co zrobisz? — pytam.

— Cholera, cholera, psiakrew! — odpowiada Tim, sięgając do kieszeni koszuli, w której wciąż trzyma papierosy, po czym opuszcza pustą rękę. Zakaz palenia w budynku. Zamyka oczy, wyglądając, jakby ktoś wbijał mu gwóźdź w skroń, po czym otwiera je i wygląda nie lepiej. Tłucze pięścią w ladę, aż podskakuje plastikowy pojemnik z długopisami.

— Nie mogę po prostu odejść. Już zbyt wiele schrzaniłem. To sprawi wrażenie, że znów to zrobiłem... chociaż wcale tak nie jest.

Pochyliła się do przodu nad kasą, wciskając knykcie w oczy. Płacze?

— Mogłeś powiedzieć mu, co myślisz o jego taktyce — wskazuje Jase. — Powiedz mu, że tak nie wolno.

— Jakby go to obchodziło. Nie cierpię tego. Nie cierpię wiedzieć, co należy zrobić, i nie mieć jaj, żeby to zrobić. Do bani. To odpłata, nie? Nie uwierzyłybyś, co robiłem, ściągane testy, łamane zasady, czas, który przepierdoliłem, ludzie, których oszukałem.

— Och, skończ, facet, z tą starą śpiewką „nikt nie zna okropności, jakie widziałem”. To staje się naprawdę nudne — mówi ostro Jase.

Robię głęboki wdech, jakbym zamierzała coś powiedzieć — nie mam pojęcia, co — ale zanim zaczynam, on mówi dalej.

— Nie mordowałeś noworodków, żeby wypić ich krew. Schrzaniłeś wszystko w prywatnej podstawówce. Nie przeceniaj siebie.

Brwi Tima wznoszą się do linii włosów. Ani Tim, ani ja nigdy nie widzieliśmy, żeby Jase stracił panowanie nad sobą.

— To nie jest moralny dylemat stulecia. — Jase przeczesuje palcami swoje włosy. — To nie wynalezienie bomby atomowej. Chodzi tylko o to, czy zamierzasz zrobić coś przyzwoitego, czy dalej babrać się w gównie. Więc wybieraj. Po prostu przestań kwilić.

Tim kiwa lekko głową, szarpie brodę do góry, po czym skupia uwagę na liście, jakby liczby i symbole były najbardziej pasjonującą rzeczą, jaką kiedykolwiek zobaczył. Ostatnio jego twarz jest dużo bardziej wyrazista niż zwykle, ale teraz przybrał ten nijaki wyraz, o którym zwykłam myśleć jako jego prawdziwej twarzy.

— Powiniennem iść do magazynu — mruczy i rusza korytarzem.

Jase wsypuje ostatnią torebkę pełną gwoździ do plastikowego pojemnika. Stukot przerywa ciszę.

— Mówiłeś jak nie ty — zauważam cicho, wciąż stojąc obok niego.

Jase wygląda na zakłopotanego.

— Rodzaj ujawnienia. To jest... to sprawia, że czuję się... zmęczony...

Masuje się po karku, po czym przesuwa dłoń po twarzy, zakrywając oczy.

— Lubię Tima. To dobry chłopak... — Opuszcza rękę, uśmiechając się do mnie. — Ale nie mogę powiedzieć, że nie zdaję sobie sprawy ze zmarnowania tych wszystkich szans, jakie miał Tim. I kiedy zachowuje się, jakby ktoś go przeklął albo coś... — Potrząsa głową, jakby otrząsając się z myśli, odwraca i patrzy na mnie, po czym wskazuje głową zegar. — Powiedziałem tacie, że zostanę do późnego wieczora i wypełnię trochę formularzy ponownych zamówień. — Sięga po kilka kosmyków moich włosów, owijając je wokół palca. — Jesteś później zajęta?

— Powinnam iść z mamą na spotkanie z wyborcami w Fairport, ale powiedziałam jej, że muszę uczyć się do SAT-u.

— Uwierzyła w to? Jest lato, Sam.

— Nan zmusiła mnie do zapisania się na te szalone próbne egzaminy. I... powiedziałam o tym mamie, kiedy była trochę rozproszona.

— Ale, oczywiście, nie specjalnie wtedy.

— Oczywiście, że nie — odpowiadam.

— Więc jeśli miałbym przyjść zobaczyć się z tobą po ósmej, będziesz się uczyć.

— W rzeczy samej. Ale mogę potrzebować... kogoś do nauki. Bo mogę zмагаć się z jakimiś naprawdę trudnymi problemami.

— Zmagać się, hę?

— Szamotać — mówię. — Borykać. Radzić sobie.

— Mam cię. Brzmi to, jakbym powinien do nauki przynieść ze sobą sprzęt ochronny. — Jase



uśmiecha się do mnie.

— Jesteś naprawdę nieustępliwy. Będzie w porządku.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Właśnie wchodzę przez drzwi, gdy odzywa się mój telefon komórkowy.

— Tak, ponieważ musimy zacząć tak wcześnie rano... Fabryka otwiera się o piątej, możesz wyobrazić sobie... naprawdę to ma więcej sensu... do usłyszenia, gdy wrócisz ze szkoły.

Moja komórka odbiera bardzo dobrze, ale dobiegający z niej metaliczny głos zdaje się przybliżać i oddalać, jakbym miała problem z nastawieniem częstotliwości w radiu. Ponieważ ten głos wskazuje, że będzie nieobecna przez całą noc, bo wczesnym porankiem ma mityng w odległej fabryce w zachodnim zakątku stanu... to nie może być Stacja Grace Reed. Musiałam złapać alternatywny program. Albo wszechświat. Ale mama kończy:

— Jesteśmy już w połowie drogi i nie ma sensu wracać do domu. Clay znalazł nam wspaniały pokój w hotelu. Będziesz grzeczna, prawda?

Jestem tak zaskoczona, że kiwam głową, zapominając, że nie może mnie widzieć.

— Żaden problem, mam. Będę grzeczna. Ciesz się hotelem.

Niemal dodaję, że gdyby zechciała, mogłaby zostać na kolejną noc, zanim stwierdzę, że może to zabrzmieć podejrzanie nadgorliwie.

Wyjeżdża. Na całą noc. Z Clayem i jego pogmatwanym programem w cudownym pokoju hotelowym. Ale nie myślę o tym. To, o czym myślę, o czym natychmiast myślę, to cała noc. Dlatego od razu wystukuję numer komórki Jase'a.

— Sam. — Jestem w stanie usłyszeć uśmiech w jego głosie. — Właśnie dziesięć minut temu wyszedłem ze sklepu. Przeżywasz już kryzys naukowy?

— Dziś w nocy nie będzie mamy. W ogóle.

Następuje pauza, podczas której czuję się speszona. Mam to przeliterować? Jak to nawet zrobić? „Chcę wydać przyjęcie z noclegiem?” Nie mamy sześciu lat.

— Twojej mamy w ogóle nie będzie w domu? — powtarza.

— Tak, zgadza się.

— Więc może pragnęłabyś towarzystwa do zmagania się z tymi wszystkimi problemami naukowymi.

— To jest właśnie to, na co miałabym ochotę.

— Drzwi czy okno? — pyta.

— Już otwieram okno.

Rozplątam włosy z warkocza, rozpuszczam je luźno. Naprawdę muszę je obciąć któregoś dnia. Teraz

opadają mi na plecy, suszenie ich po pływaniu zajmuje całe wieki. Dlaczego właśnie teraz o tym myślę? Sądzę, że jestem trochę zdenerwowana. Nie chciałam za dużo myśleć, ale dopóki po prostu nie rzucimy się na siebie pod wpływem chwili — trudne do zrobienia, mówiąc z punktu widzenia logistyki, trzeba trochę planować. Trochę czasu na przemyślenia. Słyszę stukanie i podchodzę do okna. Zanim popchnę szybę, żeby je otworzyć, moja ręka przylega do ręki Jase'a.

Przyniósł śpiwór, jeden z tych dużych, zielonych, nieporęcznych L.L. Bean. Patrząc pytająco.

Podąża za moim spojrzeniem, czerwieni się.

— Powiedziałem rodzicom, że chcę pomóc ci się uczyć, a potem może obejrzymy film, i gdyby zrobiło się dość późno, rozłożyłbym się na podłodze w twoim salonie.

— I co powiedzieli?

— Mama powiedziała: „Miłego wieczoru, kochanie”. Tata tylko na mnie spojrzał.

— Wprawiając w duże zakłopotanie?

— Warto było.

Podchodzi powoli z oczami utkwionymi w moich, po czym obejmuje mnie rękami w talii.

— Hmm. Cóż... zamierzamy się uczyć? — Mój ton jest rozmyślnie swobodny.

Jase głaszcze mnie kciukami za uszami, pocierając wgłębienie u ich nasady. Od mojej twarzy dzielą go tylko centymetry, wciąż spogląda mi w oczy.

— Zgadłaś. Uczę się ciebie. — Przygląda mi się powoli, po czym wraca do moich oczu. — Masz małe złote plamki pośrodku niebieskiego.

Pochyla się do przodu i dotyka wargami jednej powieki, drugiej, po czym się cofa.

— I twoje rzęsy wcale nie są blond, są brązowe. I...

Odsuwa się trochę, powoli uśmiechając się do mnie.

— Już się tu zarumieniłaś. — Jego wargi dotykają wgłębienia mojego gardła.  
— I prawdopodobnie tu...

Nawet przez T-shirt czuję ciepło jego kciuka głaszczącego moją pierś.

W filmach, gdy para jest gotowa iść do łóżka, ubranie po prostu się rozplywa. Oboje są cali ozłoceni, a scenę wzmacnia ścieżka dźwiękowa. W rzeczywistości tak to nie wygląda. Jase musi zdjąć koszulę i szarpie się z kłamrą u paska, a ja skaczę po pokoju, ściągając skarpety, zastanawiając się przy tym, jak mało jest to seksowne. Ludzie w filmach nie noszą nawet skarpet. Kiedy Jase ściąga dzinsy, drobne, które ma w kieszeni, wypadają i toczą z brzękiem po podłodze.

— Przepraszam! — mówi i oboje zamieramy, chociaż w domu nie ma nikogo, kto mógłby dosłyszeć jego głos.

W filmach nikt nigdy w takiej chwili nie staje się nieśmiały, nie myśli, że powinien umyć zęby. W filmach wszystko jest świetnie opracowane choreograficznie, ustawione pod coraz bardziej

dramatyczną ścieżkę dźwiękową.

W filmach, kiedy oboje są w końcu rozebrani, a chłopak przyciąga do siebie dziewczynę, nigdy nie uderzają się zębami, przystają speszzeni i śmiejąc się, próbują jeszcze raz.

Ale oto prawda: w filmach nigdy nie jest w połowie tak pięknie, jak jest tutaj i teraz z Jase'em.

Robię głęboki wdech, gdy jego ręka muska moje udo. Dotyk jego skóry, całej skóry, przyprawia mnie o dreszcze. Wtedy przyciąga mnie i zaczynamy pocałunek, który jest jak głęboka topiel. Gdy w końcu przestajemy, by zaczerpnąć powietrza, owijam obie nogi wokół jego bioder. Kąciki jego oczu marszczą się. Gdy podchodzi do łóżka, zaciska ręce na moim tyłku. Zsuwam się i leżę na boku, patrząc na niego. Pochyla się, przykucając obok łóżka, i wyciąga rękę, kładąc ją na moim sercu. Robię to samo, czując szybki rytm jego serca.

— Jesteś zdenerwowany? — szepczę. — Nie wydajesz się.

— Martwię się, że na początku będzie cię bolało. Myślę, że to nie w porządku, że tak jest.

— Jest w porządku. Nie martwię się o to. Przybliź się.

Jase powoli prostuje się, podchodzi do dzinsów i wyciąga jedną z prezerwatyw, które razem kupiliśmy. Trzyma swoją dłoń na zewnątrz, płasko.

— Wcale się nie denerwuję. — Gestem głowy wskazuje swoje palce, które drżą nieznacznie.

— Jak się nazywają? — pytam.

— Nawet nie wiem. Po prostu złapałem kilka, wychodząc. — Pochylamy się nad małym foliowym kwadracikiem. — Ramses.

— Co jest z tymi nazwami? — pytam, gdy Jase ostrożnie otwiera paczkę. — Mam na myśli, czy Egipcjanie byli znani ze skutecznych środków antykoncepcyjnych, czy co? I dlaczego Trojanie? Czy nie są raczej pamiętani jako faceci, którzy przegrali? Pomyślałbyś, że wykorzystaliby Macedończyków, gdyby nie zwyciężyli? To znaczy, wiem, że to nie brzmi tak męsko, ale...

Jase kładzie dwa palce na moich wargach.

— Samantho? Wszystko w porządku. Sza. Nie musimy... Możemy po prostu...

— Ale ja chcę — szepczę. — Chcę tego.

Robię głęboki wdech i sięgam po prezerwatywę.

— Chcesz, żebym ci pomogła, hmmm, ją nałożyć?

Jase rumieni się.

— Tak, dobra.

Gdy oboje leżymy na łóżku, po raz pierwszy całkowicie nadzy, tylko patrzenie na niego w świetle księżycy przyprawia mnie o ból gardła.

— Wow — mówię.

— Myślę, że moja kolej — odszeptuje Jase. Kładzie rękę na moim policzku i patrzy na mnie

uważnie. Przykrywam ją swoją i kiwam głową. Jego ciało przysuwa się do mnie, a moje otwiera na jego powitanie.

W porządku. Trochę boli. Myślałam, że może nie będzie, bo przecież to Jase. Boli, ale nie szarpiąc albo kłując, bardziej jak pieczenie, które ustępuje, po czym boli trochę, gdy mnie wypełnia.

Przygryzam mocno dolną wargę, otwieram oczy i widzę Jase'a przygryzającego swoją, patrzącego na mnie z niepokojem, tak że coś w głębi serca zupełnie ustępuje.

— W porządku?

Kiwam głową, przyciągając mocniej jego biodra do swoich.

— Teraz będzie lepiej — obiecuje Jase i znów zaczyna mnie całować, poruszając się rytmicznie. Moje ciało ustępuje, nie pozwalając mu odejść, już zadowolone, że ma go ponownie.

## Rozdział trzydziesty piąty

Jak łatwo sobie wyobrazić, następnego dnia w Breakfast Ahoy jestem beznadziejna. Dzięki Bogu nie mam dzisiaj dyżuru na basenie. O ile nie mogę zapamiętać, jaką jajecznicę lubią poszczególne osoby, które przychodzą tu codziennie, o ile wpatruję się bez celu w ekspres do kawy, niezdolna przestać się uśmiechać, to przynajmniej niczyje życie nie jest zagrożone.

Gdy Jase wychodził dziś rano przez okno, zszedł do połowy po kratce, po czym wrócił na górę.

— Zatrzymaj się po pracy koło sklepu — szepnął po ostatnim pocałunku.

Więc idę tam, punktualna co do minuty, tak szybko, że prawie biegnę. Gdy dochodzę do Main Street, próbuję zwolnić, ale nie mogę. Otwieram gwałtownie drzwi sklepu, zapominając, że zawiasy są popsute, i drzwi uderzają głośno o ścianę.

Pan Garrett rzuca okiem znad swojej poczty obok książki rachunkowej, mając okulary do czytania na nosie i stosy papierów na kolanach.

— O, cześć, Samantho.

Nawet nie zmieniałam swojego uniformu, którego nikt nie mógłby nazwać inspirującym i budzącym zaufanie. Czuję się kompletnie speszona; przypominam sobie o zamku w drzwiach i myślę: on wie, on wie, to widać, zupełnie widać.

— Jest z tyłu za domem — mówi łagodnie pan Garrett. — Rozpakowuje przesyłkę.

Po czym wraca do papierów.

Czuję się zmuszona wytłumaczyć swoje zachowanie.

— Właśnie pomyślałam, że wpadnę. Zanim zajmę się dziećmi. Wie pan, u państwa w domu. Tylko tak, by powiedzieć „cześć”. Więc... Zamierzam to teraz zrobić. Zatem Jase jest na zapleczu? Tylko powiem mu „cześć”.

Jestem taka układna.

Usłyszałam odgłos paczek rozrywanych nożem i znajduję Jase'a, zanim jeszcze otworzyłam tylne drzwi, z olbrzymim stosem tekturowych pudeł. Jest odwrócony do mnie tyłem i nagle czuję przy nim takie samo onieśmienie, jak przy jego ojcu.

To głupie.

Pokonując zakłopotanie, podchodzę i kładę mu rękę na ramieniu.

Prostuje się z szerokim uśmiechem.

— Cieszę się, że cię widzę!

— Naprawdę?

— Naprawdę. Myślałem, że to tata przyszedł mi powiedzieć, że znów coś schrzałem. Cały dzień jestem do niczego. Wciąż coś przewracam. Puszki farby, naszą wystawę ogrodową. W końcu, gdy

przewróciłem drabinę, wysłał mnie tutaj. Sądzę, że jestem trochę zaaferowany.

— Może powinieneś więcej spać — sugeruję.

— Nie mam mowy — odpowiada. Po czym tylko wpatrujemy się w siebie dłuższą chwilę.

Z jakiegoś powodu oczekiwałam, że będzie wyglądał inaczej, tak jak spodziewałam się, że ja będę wyglądać inaczej w lustrze dziś rano... Myślałam, że będę wyglądała lepiej, tak uzewnętrzniając szczęście, jak czuję się szczęśliwa w środku, ale jedyną rzeczą, którą widać, to moje wargi opuchnięte od pocałunków. Jase również wygląda tak jak zwykle.

— To była najlepsza sesja naukowa w moim życiu — mówię.

— Mnie też zapadła w pamięć — odpowiada, po czym rzuca okiem w bok, jakby speszony, schylając się, by rozerwać następne pudło. — Chociaż rozmyślanie o tym sprawiło, że ustawiając wystawę ścienną, uderzyłem się młotkiem w kciuk.

— Ten kciuk? — Sięgam po jedną z jego pokrytych odciskami rąk, by pocałować palec.

— Lewy. — Twarz Jase'a rozjaśnia się w uśmiechu, gdy podnoszę jego drugą rękę. — Złamałem kiedyś obojczyk — mówi mi, wskazując, po której stronie. Całuję go. — Również kilka żeber podczas treningu pierwszoroczników.

Nie podciągam jego koszuli do miejsca, gdzie wskazuje teraz jego palec. Nie jestem taka śmiała. Ale pochylam się, by pocałować go przez miękki materiał koszuli.

— Lepiej?

Jego oczy błyszczą.

— W ósmej klasie wdałem się w bójkę z chłopakiem, który prześladował Duffa i podbił mi oko.

Moje usta przesuwają się do jego prawego oka, potem lewego. Obejmuje mnie z tyłu za szyję swoimi ciepłymi rękami, usadawiając mnie na swoich rozłożonych nogach, szepcząc mi do ucha: „Myślę, że miałem też rozciętą wargę”.

Zatem całujemy się i wszystko inne staje się nieważne. W każdej chwili może wejść pan Garrett, może podjechać ciężarówka pełna zaopatrzenia, flota obcych statków kosmicznych może przesłonić niebo; nie jestem pewna, czy zauważyłabym to.

Stoimy tak, opierając się plecami o drzwi do chwili, gdy naprawdę podjeżdża duża ciężarówka i Jase musi wyładować kolejne pakunki. Jest dopiero 11.30, a u Garrettów mam być o trzeciej, więc nie chcę wychodzić, co oznacza, że zajmuję się niepotrzebnymi rzeczami, jak przekładanie próbek farb, nasłuchiwanie pstrykania długopisu pana Garretta i ponowne przeżywanie wszystkiego w moim szczęśliwym sercu.

Później walczę, by się skupić, i pomagam Duffowi budować „humanitarne zoo dla zwierząt

arktycznych z surowców wtórnych” na wystawę jego obozu naukowego. Zadanie jest skomplikowane przez fakt, że George i Harry nie przerywają jedzenia kostek cukru, których usiłujemy użyć jako materiału budowlanego. Także przez fakt, że Duff jest niewiarygodnie skrupulatny, jeśli chodzi o znaczenie słów „nadający się do przetworzenia”.

— Nie sądzę, by cukier liczył się jako nadający się do przetworzenia. I z pewnością nie wyciorę do rur! — mówi, piorunując mnie wzrokiem, gdy chlapię białą farbą na kartony po jajkach, przekształcając je w góry lodowe, które będą płynąć po naszych sztucznych wodach arktycznych z folii aluminiowej.

Drzwi do kuchni otwierają się gwałtownie i bez wyjaśnienia, w powodzi łez, przebiega Andy, jej zawodzenie rozbrzmiewa echem na schodach.

— Nie mogę złożyć tych kostek razem. Rozpuszczają się, gdy kładę na nich klej — mówi rozdrażniony Duff, mieszając pędzlem w kałuży kleju Elmera, który właśnie rozpuścił kolejną kostkę cukru.

— Może jeśli przetrzemy je na czysto? — sugeruję.

— Też się roztopią — mówi ponuro Duff.

— Tylko spróbujmy — proponuję.

George, chrupiąc, sugeruje, żeby zamiast z cukru zbudować ściany z pianki cukrowej.

— Mam dosyć kostek cukru.

Duff reaguje z nieproporcjonalną wściekłością.

— George. Nie buduję tego jako przekąski dla ciebie. Pianka cukrowa w ogóle nie wygląda jak szklane cegły w ścianie. Muszę zrobić to porządnie — jeśli mi się uda, wygram i obóz w przyszłym miesiącu będzie kosztował połowę.

— Spytajmy tatę — proponuje Harry. — Może lakier do łodzi? Albo co?

— Moje życie jest skończone — szlocha na górze Andy.

— Sądzę, że powinnam z nią porozmawiać — mówię chłopcom. — Zadzwońcie do ojca albo Jase’a.

Kieruję się na piętro w kierunku rozbrzmiewających echem zawodzeń, łapiąc po drodze z łazienki pudełko chusteczek higienicznych i wchodzę do pokoju Andy i Alice.

Leży na łóżku twarzą w dół, w przemoczonym kostiumie kąpielowym, płacząc tak mocno, że wokół poduszki tworzy się duża wilgotna plama. Siadam obok niej, podając jej kilka chusteczek.

— To koniec. Wszystko skończone.

— Kyle? — pytam, krzywiąc się, bo wiem, co się stało.

— On... zerwał ze mną! — Andy podnosi głowę, jej piwne oczy wypełnione są łzami. — Notatką na kartce... Nakleił ją na moim kapoku, gdy ćwiczyłam taklowanie.



— Żartujesz — mówię, wiedząc, że nie jest to najlepsza rzecz, jaką mogę powiedzieć, ale brzmi szczerze.

Andy sięga pod poduszkę i wyciąga neonowopomarańczową kwadratową kartkę, na której widnieje tekst: „Andrea. Było fajne, ale teraz chcę chodzić z Jade Whelan. Do zobaczenia, Kyle”.

— Uprzejmy.

— Wiem! — Andy rozpoczyna nową rundę łez. — Kochałam go przez trzy lata, od kiedy w pierwszy dzień obozu żeglarskiego nauczył mnie wiązać pętlę... i nawet nie może powiedzieć mi tego w twarz!?! „Do zobaczenia”?! Jade Whelan? Na spotkaniach w czwartej klasie zabiera chłopaków za fortepian i pokazuje im swój stanik! Nawet go nie potrzebuje! Nienawidzę jej. Nienawidzę go.

— Powinnaś — mówię. — Przykro mi.

Masuję plecy Andy małymi kręgami, jak nieraz robiłam to Nan.

— Pierwszy chłopak, którego pocałowałam, to był Taylor Oliveira. Rozpowiedział wszystkim w szkole, że nie wiem, co zrobić z językiem.

Andy chichocze słabo przez łzy.

— Nie wiedziałaś?

— Nie miałam pojęcia. Ale Taylor też nie. Używał go jak szczoteczki do zębów. Faj. Może dlatego, że jego tata był dentystą.

Andy znowu chichocze, po czym opuszcza wzrok i dostrzega kartkę. Znowu płyną łzy.

— To był mój pierwszy pocałunek. Czekałam na kogoś, kto naprawdę mi się spodoba... i teraz okazało się, że to kretyn. Już nie mogę tego cofnąć. Zmarnowałam swój pierwszy pocałunek na kretyna! — Zwija się na łóżku w kulkę, szlochając jeszcze głośniej.

— Zamknij się, Andy, nie mogę skoncentrować się na moim projekcie! — woła Duff, stojąc na schodach.

— Mój świat dobiegł końca — odpowiada głośno Andy. — Więc nieszczęśliwie mnie to obchodzi!

W tym momencie, jak gdyby nigdy nic, wchodzi Patsy; nauczyła się ostatnio zarówno wydostawać z łóżeczka, jak i zdejmować pieluszki, niezależnie od tego, w jakim są stanie. W tym przypadku są pełne. Wskazuje mi je tryumfalnie.

— Kuuupa.

— Faj — narzeka Andy. — Zwymiotuję.

— Wezmę je. — Zastanawiam się nad faktem, że dwa miesiące temu nawet nie miałam do czynienia z pieluchami. Teraz mogłabym na dodatkowym kursie uczyć wielu sposobów praktycznego radzenia sobie z jakąkolwiek potencjalną katastrofą fizjologiczną.

Patsy patrzy na mnie z bezstronną ciekawością, kiedy wycieram jej pupę (fuj), zmieniam prześcieradło (znowu fuj), wkładam do szybkiej kąpieli, przewijam i owijam w nowe pieluchy.

— Gdzie kupa? — pyta żałośnie, wyciągając szyję, by obejrzeć się od spodu.

— Gee-ooorge! — dobiega z kuchni wściekły ryk. Schodzę, by stwierdzić, że gdy Duff rozmawiał z ojcem przez telefon, George użył młotka ze swojego kompletu narzędzi Boba Budowniczego do rozbicia pozostałych kostek cukru. Teraz George, machając chudymi nogami, w samych tylko slipkach Supermana, wybiega przez drzwi, a za nim goni Duff gniewnie wymachujący telefonem jak orężem.

Biegnę za nimi po podjeździe właśnie w chwili, gdy podjeżdża garbus i z gracją wysiada z niego Jase.

— Hej. — Wyciąga do mnie rękę. Stoimy razem na podjeździe, Jase całuje mnie, a to, że Harry wydaje wymiotne odgłosy, a Duff właśnie ma zabić George'a, nie liczy się wcale. Jase obejmuje mnie ręką za szyję, odwraca się do braci i mówi:

— Dobra, co się dzieje?

W okamgnieniu wszystko załatwia. Duff maluje na biało patyczki po lodach, by zastąpić nimi kruszące ściany z cukru. Andy je milky way i ogląda *Ellę zaklętą* na dużym łóżku w pokoju rodziców. Harry robi z poduszek gigantyczną klatkę dla Patsy i George'a, którzy udają małe tygrysy.

— Teraz — zauważa Jase. — Zanim coś albo wszystko naraz rozpadnie się ponownie, chodź tu.

Opiera się plecami o blat, przyciągając mnie między swoje uda i przeciąga rękami po moich plecach.

Wszystko jest tak dobre. Moje ciało jest rozśpiewane ze szczęścia, dni są pełne dobrych chwil, moje życie układa się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Tak właśnie może być, jak się teraz czuję, tak to się właśnie dzieje. Idziesz swoją drogą, zaślepiona jej doskonałością, czujesz się wspaniale, po czym tylko kilka rozstajów i pogrążasz się tak bardzo, jak nigdy nie mogłaś sobie tego wyobrazić.

## Rozdział trzydziesty szósty

Gdy następnego dnia podbijam kartę w B&T, jestem zaskoczona, widząc jettę wjeżdżającą na parking i Tima machającego na mnie ze środka.

— Potrzebuję cię — krzyczy, zatrzymując się, wbrew przepisom, w strefie przeciwpożarowej.

— Po co? — pytam, wsiadając do samochodu i nieporadnie obciągając moją krótką spódnicę.

— Obsmarowałem twoją mamę. Cóż, głównie Claya. Zadzwoń i zrezygnowałem. Teraz muszę zabrać swoje drobiazgi z biura i potrzebuję tarczy. Ile ważysz? Pięćdziesięciokilowej tarczy.

— Pięćdziesięciopięciokilowej — poprawiam. — Nawet nie podejrzewam, że Clay tam jest. Załatwiają z mamą coś w fabryce.

Z paczki przechowanej w osłonie przeciwsłonecznej Tim pstryknięciem wydobywa marlboro, wbijając go w kącik ust.

— Wiem. Znam jego harmonogram. — Stuka się palcem w skroń. — Może dlatego będę cię potrzebował, żeby to zrobić i nie odwalić cykora w ostatniej chwili. Może potrzebuję cię, żebyś popchnęła mnie do drzwi i z powrotem. Pomożesz mi?

Potakuję.

— Pewnie. Jeśli jednak szukasz tarczy, Jase jest dużo większy ode mnie.

— Tak, tak. Ale twój kochaś jest dziś zajęty, z pewnością wiesz.

Nie mam zamiaru przyznawać, że wiem. Zamiast tego rozplatom warkocz.

— Dziewczyno, jesteś takim dzieckiem. — Potrząsa głową Tim. — Dlaczego wszystkie gorące dziewczyny pragną napalonych sportowców i grzecznych chłopców? My, straceni, jesteśmy jedynymi, którzy was potrzebują.

Ostrożnie sprawdzam wyraz jego twarzy. Nigdy przedtem nie miałam wrażenia, że Tima do mnie ciągnie. Może widać mój nowy nie-dziewiczy stan. Może promieniuje teraz palącym seksem. Jakoś w to wątpię, szczególnie w swojej atrakcyjnej marynarce z godłem i niebieskiej spódnicy ze spandexu.

— Nie denerwuj się. — Tim w końcu zapala zwisającego papierosa. — Nie chcę być takim cieniasem, który uderza do dziewczyny, której nie może mieć. Po prostu gadam.

Robi szeroki — i niezgodny z przepisami — łuk, żeby szybciej ruszyć w kierunku miejscowego biura mamy.

— Chcesz zapalić? — rzuca mi na kolana paczkę marlboro.

— Nie. Wiesz o tym, Tim.

— Co robisz ze swoim czasem, z rękami, to rzecz, której nie mogę odgadnąć. — Zdejmuje jedną rękę z kierownicy i potrząsa nią energicznie, jakby miał niekontrolowany skurcz. — Co cię kręci?

Czuję żar na twarzy.

Tim uśmiecha się do mnie złośliwie.

— W porządku. Zapomniałem. Poza kochasiem i jego...

Unoszę rękę powstrzymującym gestem, zmieniając temat wcześniej, nim dokończy zdanie.

— Wciąż ciężko nie pić i nie ćpać, Tim? Ile to, miesiąc?

— Trzydzieści trzy dni. Nie żebym liczył. I tak, rzeczywiście jest cholernie ciężko. Tylko takim ludziom jak ty i Pan Perfekcyjny rzeczy przychodzą z łatwością. Dla mnie, to jak codziennie — milion razy dziennie — chcę wrócić razem z gorącą dziewczyną, alias butelką bacardi albo torbą koksów lub czymś w tym stylu, nawet kiedy wiem, że to znów mnie tylko wydyma.

— Tim, musisz skończyć z tym „wszystko jest łatwe dla wszystkich innych”. To nieprawda i jest to nudne.

Tim gwizdże.

— Zajmij się Jase'em, dobra?

Potrząsam głową.

— Nie, po prostu... Po prostu obserwując ciebie i Nan...

Milknę. Jest jakiś sens mówić mu, że wiem, że wykorzystał jej pracę? Jakie to ma teraz znaczenie? Został wydalony. Nan zdobyła nagrody.

— Obserwując, jak Nan robiła co? — pyta Tim, podłapując drżenie mojego głosu, gdy wymawiam jej imię. Wyrzuca papierosa przez okno, sięgając po następny.

Wykręcę się.

— Jest tak zestresowana, tymi wakacjami, uczelnią...

— Tak, cóż, my, Masonowie, jesteśmy ogarnięci obsesją i nałogiem osiągnięcia doskonałości — prycha. — Ogólnie raczej trzymam się części dotyczącej nałogu, a Nan zostawiam obsesję, ale czasami się wymieniamy. Kocham moją siostrę, ale nie ma dla nas spokoju. Zawsze może na mnie liczyć, że dam jej lekcję o tym, jak boli, kiedy się coś schrzani, a ona zawsze mi przypomina, jaka jest nieszczęśliwa z tą swoją doskonałością. Mówiąc o nieszczęśliwych — jesteśmy.

Parkuje na miejscu zarezerwowanym dla biura mamy.

Chociaż harmonogram mamy jest zapchany, wciąż jestem jakoś zaskoczona, stwierdzając, że biuro jest pełne ludzi pracujących przy wysyłce, składaniu broszur, wkładaniu ich do kopert i przyklejaniu etykiet i znaczków. Ludzie naprawdę w nią wierzą, wystarczająco dosyć, by siedzieć w dusznych biurach, wykonując nudne zadania podczas najpiękniejszych dni zbyt krótkiego w Connecticut lata.

Gdy wchodzimy, dwie starsze kobiety przy dużym stole na środku patrzą na nas i obdarzają Tima szerokimi, macierzyńskimi uśmiechami.

— Słyszałyśmy plotki, że nas porzucasz, ale wiedziałyśmy, że to nie może być prawda — mówi

wyższa, szczuplejsza. — Siadaj, kochany Timothy.

Tim obejmuje ręką jej kościste ramię.

— Przykro mi, Dottie. Te plotki są prawdziwe. Wyjeżdżam, by spędzić więcej czasu z moją rodziną.

Ostatni raz mówi głosem automatycznej sekretarki z Moviefone.

— A to jest... — druga kobieta zezuje na mnie. — Ach! Córka pani senator.

Zwraca oczy na niego.

— I twoja dziewczyna? Jest bardzo ładna.

— Nie, niestety, należy do innego, Dottie. Ja po prostu z oddali usycham za nią z tęsknoty.

Zaczyna wpychać papiery i — zauważam — materiały biurowe do swojego plecaka. Przemierzam biuro, podnosząc broszury i znaczki promocyjne mamy, po czym odkładam je z powrotem. W końcu zapuszczam się do jej cichego biura.

Mama lubi wygody. Jej fotel biurowy należy do najwyższej półki ergonomii, świetna skóra. Biurko nie jest żadnym szarym metalowym meblem biurowym, ale bogato rzeźbionym dębowym antykiem. Jest i wazon czerwonych róż i zdjęcie mamy ze mną i Tracy w dopasowanych satynowo-aksamitnych świątecznych strojach.

Jest również duży kosz narzędzi ogrodniczych, opakowany w błyszczący zielony celofan z notatką: „Pracownicy Riggio’s Quality Lawns są wdzięczni za wsparcie”.

Kilka biletów na przedstawienie na Broadwayu przypięte pinezką do tablicy korkowej: „Proszę pozwolić nam na zaproszenie na wysokiej jakości rozrywkę w podziękowaniu za wszystko, co Pani robi”, od zwykłych ludzi o nazwisku Bob i Marge Considine.

Wizytówka z Carlyle Contracting ze słowami: „Podziękowania za poważnie rozważenie naszej oferty”.

Nie znam zasad prowadzenia kampanii, ale to wszystko nie wygląda dla mnie przyzwoicie. Stoję ze ściśniętym żołądkiem, gdy wolnym krokiem wkracza Tim z plecakiem przerzuconym przez jedno ramię, z tekturowym pudłem w ręce.

— Chodź, dziecinko. Stańmy się duchami, zanim będziemy mieć do czynienia z twoją mamą albo Clayem. Już tu jadą. Bycie po jasnej stronie mocy to dla mnie nowość i mogę zmienić zdanie.

Gdy tylko jesteśmy na zewnątrz, Tim rzuca pudło z materiałami i plecak na tylne siedzenie jetty, po czym przesuwa siedzenie dla pasażera do przodu, tak że mogę wsiąść.

— Jak zły jest Clay? — pytam cicho. — Mam na myśli, czy rzeczywiście jest tak brudny moralnie?

— Wygooglałem go — przyznaje Tim. — Jak na faceta, który ma tylko trzydzieści sześć lat, cholernie imponujące CV.

Trzydzieści sześć? Mama ma czterdzieści sześć. Więc jest młody. To niekoniecznie oznacza, że jest zły. Mama słucha go, jakby nadawał na jedynej prawdziwej częstotliwości, ale to też nie oznacza, że jest zły. Ale... ale co z podwójną agentką? To drobny wyścig w wyborach w Connecticut, nie zimna wojna.

— Jak sądzisz, w jaki sposób tak szybko zaszedł tak wysoko? — pytam Tima. — Chodzi o to, że naprawdę ma trzydzieści sześć lat? A jeśli jest tak dużą gwiazdą na republikańskim firmamencie, dlaczego poświęca czas na pomoc w tym mało ważnym wyścigu do senatu? Powinno coś piknąć na radarze.

— Nie wiem, dziecinko. Jednak na pewno to kocha. Któregoś dnia leciała ta reklama z jakiegoś wyścigu na Rhode Island i kiedy się skończyła, Clay dzwonił do nich do biura, żeby powiedzieć im, co było nie tak w ich wiadomościach. Może pomoc twojej mamie to jego pomysł na wakacje.

Ze złośliwym uśmiechem rzuca na mnie spojrzenie.

— Wakacje z kilkoma dodatkowymi korzyściami.

— Od mojej mamy? Czy tej brunetki, o której mówiłeś?

Tim schyla się na siedzeniu kierowcy, przekręca kluczyk w stacyjce i jednocześnie wyjmuje zapalniczkę.

— Nie wiem, o co w tym chodzi. Flirtuje z nią, ale ci południowcy tacy są. Z pewnością jest oddany twojej mamie.

Wstręciuch. Wiem o tym, ale nie chcę o tym myśleć.

— Ale na szczęście to już nie mój problem.

— Nie zniknie dlatego, że nie jest twój.

— Tak, mamusiu. Słuchaj, Clay idzie na skróty i siedzi w polityce. To mu dobrze robi, Samantha. Dlaczego powinien się zmieniać? Żadnych bodźców. Żadnych profitów. W moich krótkich błyskotliwych chwilach bycia politycznym zwierzęciem nauczyłem się jednego. Chodzi o motywację i zyski, tak to wszystko wygląda. Polityk jest bardzo podobny do alkoholika, który nie przyjmuje do wiadomości tego, że nim jest.

## Rozdział trzydziesty siódmy

W dniu próbnego egzaminu pojechałyśmy z Nan na rowerach do Stony Bay High rozwiązywać test. W sierpniu, w upale migoczącym na chodnikach i przy leniwym szemraniu cykad. Ale gdy tylko wchodzimy do szkoły, jakby został pstryknięty przełącznik. Sala jest duszna, pachnie wiórkami ołówków i przemysłowym środkiem dezynfekującym, a nad to wszystko przebijają się zbyt mocne perfumy i dezodoranty zbyt wielu ciał.

Stony Bay High jest jedną z tych niskich, niekończących się, szablonowych ceglanych szkół z brzydkimi, zielono zacieniowanymi oknami, obłazącą szarą farbą na drzwiach i pofałdowanym czerwonym linoleum na piętrach. Bynajmniej nie przypomina Hodges, które zbudowane jest jak twierdza, z blankami, witrażami i opuszczanymi kratami. Ma nawet most zwodzony, bo nigdy nie wiadomo, kiedy twoją prywatną szkołę podstawową mogą najechać Sasi.

Publiczna czy prywatna, ma taki sam szkolny zapach, dzisiaj bez kontekstu, gdy przesuвам się na swoim lepkiem krześle, słuchając leniwego, dobiegającego z zewnątrz ryku kosiarki do trawy.

— Przypomnij mi, dlaczego ponownie to robię? — pytam Nan, gdy zajmuje miejsce w rzędzie przede mną, ustawiając plecak u stóp.

— Ponieważ ćwiczenie czyni mistrza. Albo przynajmniej zbliża do mistrzostwa na tyle, by uzyskać najmniej dwa tysiące, które dadzą nam wstęp do college'u naszych marzeń. I ponieważ jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Sięga do kieszeni plecaka i wyjmuje pomadkę, smarując sobie wargi lekko poparzone przez słońce. Gdy to robi, nie mogę nie zauważyć, że ma na sobie nie tylko zwycięski niebiesko-biały T-shirt Columbian, ale także krzyżyk, który dostała na komunię, i bransoletkę z breloczkami, zielono-białymi zwisającymi emaliowanymi czterolistnymi koniczynami, którą dała jej irlandzka babcia.

— Gdzie jest Budda? — pytam. — Nie będzie czuć się jak outsider? Co z Zeusem? Króliczą łapką?

Udaje, że piorunuje mnie wzrokiem, układając swoje siedem ołówków nr 2 w równym rzędzie wzdłuż krawędzi stolika.

— To ważne. Mówią, że te egzaminy nie są tak trudne jak kiedyś, ale wiesz, że to nieprawda. Nie można przesadzić z ostrożnością. Spaliłabym szalwie, wyściskała scjentologa i założyła jedną z tych kabalistycznych bransoletek, gdybym była przekonana, że w jakikolwiek sposób mi to pomoże. Muszę wyrwać się z tego miasta.

Niezależnie od tego, jak często Nan o tym mówi, nigdy nie powoduje to u mnie dreszczu bólu. Śmieszne. To nie o mnie. Nikt nie myśli o domu Masonów jak o schronieniu.

Potwierdzając to, kontynuuje:

— Teraz, gdy Tim pracuje tylko u Garretta, jest wręcz jeszcze gorzej. Mamunia wszystkie rozmowy z nim zaczyna od: „A więc, odkąd postanowiłeś przez całe życie pozostawać nieudacznikiem”, po czym kończy potrząśnięciem głową i wyjściem z pokoju.

Wzdycham.

— Jak się zachowuje Tim?

— Myślę, że dochodzi do trzech paczek na dobę — mówi Nan. — Papierosy i cukierki Pixy Stix. Ale żadnych oznak czegoś innego... jeszcze.

Z jej głosu przebija rezygnacja, najwyraźniej spodziewa się, w każdej chwili może znaleźć dowód czegoś gorszego.

— On... — zaczyna, potem milknie, bo otwierają się boczne drzwi klasy i wchodzi mała kobieta w beżach i wysoki mężczyzna o piaskowych włosach, przedstawiając się jako nadzorujący przebieg egzaminu dla tej grupy. Kobieta monotonicznie powtarza reguły, podczas gdy mężczyzna przechadza się po sali, sprawdzając nasze identyfikatory i rozdając niebieskie notebooki.

Szum klimatyzacji przybiera na sile, niemal zagłuszając monotoniczny głos beżowej kobiety. Nan wyciąga z plecaka rozpinany sweter i układa go po omacku kapturem do góry, na wszelki wypadek. Siada z powrotem, opiera łokcie na stole, składa brodę w złożonych rękach i wzdycha.

— Nie cierpię pisania — mówi. — Nie cierpię wszystkiego, co się z tym wiąże. Gramatyka, słownictwo... ble.

Pomimo jasnej opalenizny, której zawsze nabywa późnym latem, pod piegami jest blada, tylko poparzony przez słońce nos zdradza porę roku.

— Jesteś wielką pisarską gwiazdą — przypominam jej. — Przebrniesz przez to. Antologia literatury Lazlo, pamiętasz? Ten egzamin to dla ciebie druga liga.

Wysoki blondyn wskazuje z emfazą na zegar, a beżowa kobieta mówi: „Sza” i zaczyna odliczanie tak uroczyście, jakbyśmy asystowali przy odpalaniu rakiety na przylądku Canaveral, a nie rozwiązywali próbny test.

— Dziesięć, dziewięć, osiem... — Rozglądam się po sali. Wszyscy, widocznie tak zakręceni jak Nan, mają zeszyty do prac egzaminacyjnych i ołówki ułożone w doskonałej symetrii. Znowu zerkam na Nan, żeby ujrzeć, jak ponownie poprawia rękaw swojej sportowej bluzy w plecaku, pozwalając mi, z mojego punktu obserwacyjnego po lewej z tyłu zobaczyć wystający z lekko niebieskiej krawędzi bluzy róg jej elektronicznego słownika.

Nan wpatruje się w zegar, usta układa w ponury grymas, ołówek trzyma w palcach tak kurczowo, że zdumiewające jest, że nie złamie go na pół. Nan jest leworęczna. Prawą rękę ma opartą na udzie, w zasięgu szybkiego ruchu do plecaka.

Nagle w głowie pojawia mi się obraz, w jaki sposób Nan zawsze siadała na każdym teście, który



wraz z nią zdawałam; plecak zawsze oparty był po stronie jej bluzy z kapturem albo swetra, czy czegoś w tym stylu zakrywającego środek przed wzrokiem z zewnątrz. Wspomnienia migają jak klatki filmu powoli przewijane jedna za drugą i zdają sobie sprawę, że to nie jest odosobniony incydent. Nanny, od zawsze moja najlepsza przyjaciółka w klasie, Nan — gwiazda szkoły, od lat ściga.

Dobrze, że to próbny test, ponieważ ledwie mogę się skupić. Wszystko, o czym mogę myśleć, to to, co zobaczyłam, co wiem teraz na pewno. Nan nie musi ścigać. Oczywiście nikt nie musi, ale Nan w każdym razie może być pewna, że pójdzie jej dobrze. Mam na myśli poziom jej wypracowań.

Jej wypracowania.

Te pliki na komputerze Tima, które widziałam, za których...

Za których kradzież obarczyłam winą Tima. Uświadomienie sobie prawdy zmraza mnie. Minuty przemijają, zanim w końcu biorę ołówek i próbuję skoncentrować się na egzaminie.

Podczas przerwy ochlapuję twarz wodą w brzydkiej łazience i próbuję wymyślić, co robić. Powiedzieć pilnującym? To nie wchodzi w rachubę. Nan jest moją najlepszą przyjaciółką. Ale...

Gdy tak stoję, wpatrując się w lustrze we własne oczy, Nan pojawia się obok mnie, strykając płynem antybakteryjnym na ręce i pocierając nim ramiona, jakby myła się przed operacją.

— Nie sądzę, żeby dało się zmyć — mówię, zanim zdążę pomyśleć.

— Co?

— Wina. Na lady Makbet nie podziałało, prawda?

Nan blednie, a rumieńce pokrywają piegami przejrzystą skórę, szybko pokazując oba odcienie. Rzuca szybko wzrokiem po łazience, upewniając się, że jesteśmy same.

— Myślę o przyszłości — syczy. — Mojej przyszłości. Możesz być szczęśliwa, wystając przy garażu z twoją złotą rączką, jedząc makaron Kraft z serem, ale ja idę na Columbię, Samantha. Zamierzam wyrwać się... — jej twarz się krzywi — z tego wszystkiego.

Macha ręką.

— Wszystkiego.

— Nan. — Ruszam do niej z wyciągniętymi ramionami.

— Od ciebie również. Jesteś częścią tego wszystkiego.

Obraca się i sztywnym krokiem wychodzi z łazienki, zatrzymując się tylko, by zgarnąć plecak, z którego bezużytecznie zwisa rękaw bluzy.

To naprawdę się właśnie wydarzyło? Jest mi niedobrze. Co właściwie poszło nie tak? Kiedy stałam się kolejną rzeczą, od której Nan chce uciec?

## Rozdział trzydziesty ósmy

Duszna i przegrzana hotelowa sala balowa, jakby ktoś zapomniał włączyć klimatyzację. Dzięki temu prawdopodobnie byłabym senna, nawet gdybym nie wstała dziś niespokojna o piątej rano, myśląc o Nan, i nie poszła pływać w oceanie. Nie wspominając o tym, że jesteśmy w Westfield, na drugim końcu stanu, daleko od domu i ciśnie mnie moja wyjściowa niebieska lniana sukienka. Na środku sali znajduje się wielka fontanna, a wokół zostały ustawione stoły z małymi kanapkami i bufet z jedzeniem. Niepasujące do pory roku świąteczne światełka migoczą dookoła posągu Wenus powstającej z fal i Dawida Michała Anioła, wyglądającego na nadąsanego i nie na miejscu, tak samo jak ja czuję się na tym mityngu. Mama wygłasza na podium przemówienie, oskrzydłona przez Claya, a ja walczę, by nie stracić przytomności.

— Musisz być tak dumna ze swojej matki — powtarzają mi ludzie, rozchlapując swoje szampańskie koktajle owocowe z małych plastikowych kubków, a ja powtarzam w kółko: „Och, tak, jestem. Jestem, tak”. Mam miejsce obok podium i gdy mama mnie przedstawia, nie mogę powstrzymać opadania głowy do chwili, gdy nie ukłuje mnie nagle swoją stopą i drgnę, siadając z powrotem prosto, skwapliwie otwierając oczy.

W końcu wygłasza coś w rodzaju mowy podsumowującej na dobranoc, następują owacje i okrzyki „Go Reed!”. Clay opiera rękę na jej plecach, popychając, i wychodzimy na zewnątrz, w noc, która nie jest tak naprawdę całkiem ciemna, ma kolor herbaty, bo jesteśmy w mieście.

— Jesteś cudowna, Gracie. Dwunastogodzinny dzień, a mimo to wyglądasz świetnie.

Mama uśmiecha się zadowolona, po czym bawi się kolczykiem.

— Kochanie? — waha się i wreszcie mówi: — Tylko nie rozumiem, dlaczego ta babka Marcie musi być na prawie każdym moim mityngu.

— Była dziś wieczorem? — pyta Clay. — Nie zauważyłem. I mówiłem ci — wysyłają ją z takimi samymi zadaniami, jakie wykonywał dla nas Tim, licząc samochody na wiecach Christophera, albo Dorothy odwiedzająca jego konferencje prasowe.

Wiem, że to ta brunetka. Ale głos Claya nie brzmi tak, jakby próbował zamydlić mamie oczy. Brzmi, jakby rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy, że „Marcie” tam była.

— Musisz oceniać — przerywa, śmieje się, po czym powtarza ostrożnie: — Oceniać mocne i słabe strony twojego przeciwnika.

Clay potyka się lekko o krawężnik, a mama śmieje się cicho.

— Ostrożnie, kochanie.

— Przepraszam, to te kamienie sprawiły, że straciłem równowagę.

Zatrzymują się, pochylając razem w ciemnościach i lekko kołysząc.

— Lepiej poprowadź.

— Oczywiście — mówi mama. — Tylko daj mi kluczyki.

Dużo chichotania, gdy szuka ich w kieszeniach żakietu.

Niech to... a ja chcę po prostu być w domu.

Mama uruchamia samochód z rykiem, wrrrum, a następnie chichocze ze zdziwieniem, jakby samochody nigdy nie wydawały takiego dźwięku.

— Rzeczywiście, cukiereczku, lepiej daj mi kluczyki — mówi Clay.

— Jasne — odpowiada mama. — Wypiłeś cztery kieliszki, a ja trzy.

— Być może — mówi Clay. — Może faktycznie.

— Po prostu kocham twoje południowe zwroty — mruczy mama.

Późna pora otumania. Osuwam się w dół na swoim siedzeniu, wyciągając niewygodnie nogi na stosie potykaczy ze swoim nazwiskiem i pudeł z ulotkami kampanii, odwracając wzrok na twarde skórzane podbicie pod oknem. Patrzę na światła autostrady, powieki mi opadają, wtedy światła uliczne stają się ciemniejsze, a droga staje się coraz węższa, bliższa domu.

— Jedź Shore Road — mówi cicho Clay. — Mniejszy tam ruch. Już niemal jesteśmy, Gracie.

Szyba pod moim policzkiem jest chłodna, jedyna chłodna rzecz w ciepłym samochodzie. Inne reflektory błyskają przez chwilę, po czym rozmywają się. W końcu po odbłasku księżycy na otwartych wodach poznaję, że mijamy McGuire Park. Przypominam sobie, jak byliśmy tam z Jase'em, leżąc na nasłonecznionej skale w rzece, wtedy powieki zamykają mi się powoli, silnik buczy jak odkurzacz mamy, znajoma kołysanka.

BUM.

Trącam nosem siedzenie przede mną, tak mocno, że w oczach mam gwiazdki, a w uszach mi dzwoni.

— O mój Boże! — woła mama wysokim panikarskim tonem, bardziej przerażającym niż nagłe szarpnięcie. Ostro hamuje.

— Cofnij, Grace. — Głos Claya jest spokojny i pewny.

— Mamo? Mamo! Co się stało?

— O mój Boże — powtarza mama. Zawsze wychodzi z siebie, kiedy coś zadrapie karoserię. Gdy Clay otwiera drzwi po stronie pasażera i wysiada, nagle wpada chłodne nocne powietrze. Chwilę później wraca.

— Grace. Cofnij. Teraz. Nic się nie stało, Samantho. Śpij dalej.

Widzę jego profil, ramię wokół szyi mamy, palce w jej włosach, poszturchiwanie.

— Cofnij i odjedź już — powtarza.

Samochód trzęsie się, cofając, zatrzymuje z szarpnięciem.

— Grace. Popchnijmy razem. — Samochód przyspiesza i skręca w lewo. — Po prostu zawieź nas do domu.

— Mamo?

— Nic się nie dzieje, kochanie. Śpij. Uderzyliśmy w mały wybój na drodze. Śpij, proszę — mówi mama ostrym głosem.

Więc zasypiam. Może jeszcze coś mówi, ale jestem taka zmęczona. Gdy Tracy i ja byliśmy młodsze, mama, zamiast lecieć samolotem, czasami woziła nas na ferie zimowe na Florydę samochodem. Lubiła zatrzymać się na Manhattanie, w Waszyngtonie, w Atlancie, nocować w hotelowym pokoju ze śniadaniem, zaglądać po drodze do sklepów z antykami. Tak bardzo nie mogłam doczekać się, kiedy dojedziemy do piasku i delfinów, że próbowałam przespać każdą godzinę, którą spędzałyśmy w samochodzie. Tak się teraz czuję. Osuwam się w miękką czerni, tak absolutną, że nieledwie można ją przygarnąć, gdy mama mówi:

— Samantho, jesteśmy w domu. Idź do łóżka. — Potrząsa mnie za ramię niemal tak mocno, że boli, i wlokę się na górę, padając na mój materac, zbyt znużona, by zdjąć sukienkę albo zanurkować pod kołdrę. Po prostu zapadam w nicość.

Moja komórka buczy uporczywie. Jak zwykle wepchnęłam ją pod poduszkę. Teraz, na wpół przytomna, szukam jej, palce chwytają kurczowo pościel, podczas gdy aparat wciąż buczy nieustannie. W końcu znajduję ją.

— Sam? — Głos Jase’a jest zachrypnięty, prawie nie do poznania. — Sam!

— Hmm?

— Samantho!

Krzyczy głośno, zdenerwowany. Odsuwam gwałtownie komórkę od ucha.

— Co? Jase?

— Sam. Hmmm, potrzebujemy cię. Możesz wpaść?

Czołgam się w poprzek łóżka, z zaczerwienionymi oczami, sprawdzić godzinę na wyświetlaczu zegara.

1.16 w nocy.

Co?

— Teraz?

— Teraz. Proszę. Możesz przyjść zaraz?

Wygrzebuję się z łóżka, zrywam sukienkę, wciągam spodnie, T-shirt i japonki, wychodzę przez okno po kratce. Rzucam okiem za siebie na dom, ale nocna lampka mamy jest wyłączona, więc

w lekkim deszczyku biegnę przez trawnik do Garrettów.

Wszystkie światła — na podjeździe, ganku, w kuchni są zapalone. To tak niezwykle o tej porze, że potykam się, zatrzymując na podjeździe.

— Samantho! — Głos Andy dobiega z drzwi kuchennych. — To ty? Jase powiedział, że przyjdiesz.

Jej sylwetka rysuje się w drzwiach otoczona przez mniejsze cienie. Duff, Harry, George, Patsy w ramionach Andy? O tej porze? Co się dzieje?

— Tatuś. — Andy powstrzymuje łzy. — Coś się stało tatusiowi. Był telefon do mamy. — Jej twarz wykrzywia grymas bólu. — Pojechała z Alice do szpitala.

Rzuca się w moje ramiona.

— Jase też pojechał. Powiedział, że zaopiekujesz się nami.

— Dobrze. Dobrze, chodźmy do środka — mówię. Andy cofa się, oddychając ciężko, próbując wziąć się w garść. Dzieci patrzą zdziwione z wybałuszonymi oczami. Zamarły wyraz na twarzy George'a jest jedną z najgorszych rzeczy, na jakie kiedykolwiek musiałam patrzeć. Wyobrażał sobie wszystkie możliwe katastrofy, a nigdy nie wyobraził sobie takiej.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

W oświetlonej kuchni wszystkie dzieci, śpiące i zdezorientowane, mrugają oczami. Próbuje zastanowić się, co pani Garrett zrobiłaby z takim zgromadzeniem i wymyślam jedynie, że zrobię prażoną kukurydzę. Więc robię. I gorącą czekoladę, chociaż powietrze, pomimo deszczu, jest parne jak koc elektryczny. Gdy mieszam z mlekiem czekoladę w proszku, George siada obok mnie na blacie.

— Mamusia najpierw sypie czekoladę — gani mnie, patrząc spod przymrużonych powiek w blasku sufitowej lampy.

To bez wątpienia dobry pomysł, bo trudzę się z ziarnistymi grudkami proszku, próbując rozetrzeć je o ścianki garnka. Mama robi gorące kakao z jakichś wymyślnych wiórków czekoladowych Ghirardelli z San Francisco. One rozpuszczają się łatwiej.

— Nie mamy bitej śmietany — osowiał Harry. — Gorąca czekolada bez bitej śmietany nie ma sensu.

— Ma sens, jeśli jest pianka cukrowa — upiera się George.

— Am-am? — domaga się żałośnie Patsy z ramion Andy. — Gdzie am-am?

— A jeśli tatuś umarł, a oni nam tego nie mówią? — wtrąca Andy. George zaczyna płakać. Gdy podnoszę go, wtula głowę w moje ramię i ciepłe łzy spływają na moją nagą skórę. Przez chwilę przypomina mi się płacz bezbronnej Nan w moich ramionach. I to, jakim murem się teraz otoczyła. Co mogło przydarzyć się wysportowanemu, silnemu panu Garrettowi: atak serca, udar, tętniak mózgu...

— On nie umarł — mówi stanowczo Duff. — Jeśli nie żyjesz, przychodzą do ciebie policjanci. Widziałem w telewizji.

Harry błyskawicznie biegnie otworzyć drzwi ganku.

— Żadnego policjanta — woła. — Ale, ooo... Cześć, Tim.

— Cześć, mały. — Tim przeciska się do pokoju, włosy ma przemoczone, wilgoć błyszczy na jego wiatrówce.

— Dzwonił do mnie Jase, Samantho. Jedziesz do szpitala. Ja tu popilnuję. — Rzuca mi kluczyki do jetty. — Jedź — powtarza.

— Nie umiem prowadzić.

— O, kurwa. Dobra — odwraca się do Andy. — Zabiorę ją do szpitala i jestem z powrotem pomóc ci... ech, zrobić coś... z wyjątkiem zmiany pieluszek. — Dźga Patsy palcem wskazującym.

— Nie ośmielaj się zrobić kupy.

— Kuuupa — mówi Patsy cichym, przygaszonym głosem.

Zanim dojedziemy na oddział nagłych wypadków, Tim upiera się, by wpaść do Gas and Go po papierosy, szukając po omacku gotówki w kieszeniach.

— Nie mamy na to czasu — syczę. — W dodatku to szkodzi twoim płucom.

— Masz dziesięć baksów? — rzuca w odpowiedzi. — Moje płuca to w tej chwili nasz najmniejszy problem.

Rzucam mu kilka banknotów. Jak tylko załatwia swój problem, znowu jedziemy do szpitala.

Nie ma żadnego śladu po pani Garrett. I Alice. Ale Jase siedzi zgarbiony w poczekalni na jednym z brzydkich pomarańczowych plastikowych krzeseł, podpierając dłońmi czoło. Tim niepotrzebnie popycha mnie mocno i znika.

Wsuwam się na miejsce obok Jase'a. Nie rusza się, albo nie zauważając, albo i nie troszcząc się, że ktoś siedzi obok niego.

Kładę rękę na jego plecach.

Opuszcza ręce i odwraca się, spoglądając na mnie. Oczy ma pełne łez.

Następnie przytula się do mnie mocno, a ja go obejmuję. Siedzimy tak dłuższą chwilę, nic nie mówiąc.

Po chwili wstaje, podchodzi do zbiornika, ochlapuje twarz wodą, wraca i kładzie swoje zimne, mokre ręce na moich policzkach. Wciąż nic nie mówimy.

Trzaskają drzwi. Alice.

— Uraz głowy — mówi ponuro do Jase'a. — Wciąż jest nieprzytomny. To może być krwiak podoponowy. Naprawdę nie mogą teraz powiedzieć, jak poważny, po prostu go podtrzymują. Jest duża opuchlizna. Z pewnością złamanie miednicy — niedobrze. Trochę żeber... to nie jest ważne. Chodzi o stan mózgu, a o tym przez jakiś czas nie będziemy wiedzieć.

— Cholera. Niech to szlag — mówi Jase. — Alice...

— Wiem — mówi. — Nie rozumiem tego. Dlaczego szedł tak późno po Shore Road? Nie miał tam żadnych spotkań. Przeważnie nie.

Shore Road.

Shore Road.

Jakby rozwiała się jakaś okropna mgła i widzę, jak mama prowadzi samochód z Westfield do domu, wybierając niezatłoczoną trasę wzdłuż rzeki. McGuire Park. Nad rzeką. Shore Road.

— Muszę tam wrócić — mówi nam Alice. — Przyjdę, gdy będę wiedziała więcej.

Nigdy ani chwili nie spędziłam w szpitalu. Poczekalnia zapełnia się ludźmi, którzy wydają się rozpaczliwie chorzy, i ludźmi, którzy wydają się tak spokojni, jakby czekali na przystanku

autobusowym, by pojechać do celu, który jest im naprawdę obojętny. Mała wskazówka zegara przesuwana się z drugiej na trzecią, na czwartą. Niektórzy ludzie z przystanku autobusowego zostają wezwani przed ludźmi, którzy wyglądają, jakby ich czas na ziemi był mierzony w milisekundach. Jase i ja siedzimy, a monitory szemrzą. „Doktor Rodrigues. Proszony jest doktor Rodrigues. Doktor Wilcox. Kod niebieski. Doktor Wilcox”.

Opieram się o ramię Jase’a, a on pochyla głowę, która opada mu coraz niżej. Do powrotu Alice trzymam jego głowę na swoich kolanach i kiwam się na jego lokami.

Alice potrząsa mną mocno, przywracając mnie z jakiegoś pogmatwanego snu o Shore Road do tego pokoju ze świetlówkami i ciężarem Jase’a na moich kolanach, i tej całej katastrofy.

— Mama mówi, że oboje powinniście wracać do domu. — Alice przerywa, by pociągnąć colę z butelki trzymanej w ręce, po czym przyciska ją do skroni. — Jase musi otworzyć sklep. Nie możemy zostawić go zamkniętego na cały dzień. Więc potrzebuje kilku godzin snu.

— Co? — Jase budzi się gwałtownie. — He? — Zazwyczaj wydaje się starszy od mnie, ale teraz, z potarganymi włosami i zamglonymi od snu zielonymi oczami, wygląda tak młodo. Wzrok Alice spotyka się z moim, bez słów nakazując opiekę nad nim.

— Idźcie do domu. Jeszcze nic nie wiemy. — Alice dopija colę kilkoma dużymi łykami i rzuca ją łukiem do niebieskiego pojemnika na recykling plastików; doskonały koszt.

Gdy wychodzimy z Jase’em do furgonetki, wciąż pada lekki deszcz, kropelki łagodnej mgły. Jase podnosi głowę do nieba, które jest zamglone, nie można dostrzec gwiazd.

W drodze do domu nie odzywamy się do siebie, ale zdejmuję jedną rękę z kierownicy, splatając ją z moją, ściskając tak mocno, że niemal powoduje ból.

Gdy wjeżdżamy na podjazd, dom Garrettów wciąż jest oświetlony jak tort urodzinowy.

— Wciąż wszyscy nie śpią — mamrocze Jase.

— Byli bardzo przestraszeni — mówię, zastanawiając, jaki chaos zastaniemy po wejściu. Zostawić wszystko pod opieką Tima? Może to nie był najlepszy pomysł.

Ale w domu panuje cisza. Kuchnia wygląda, jakby przeszła przez nią wataha głodnych najeźdźców i ulotniła się szybko, zostawiając opakowania lodów, krem, torby chipsów i pudełka płatków zbożowych, miski i talerze rozłożone wszędzie. Ale nikt się nie rusza.

— Mogłaś wspomnieć, że to dziecko nigdy nie śpi — woła Tim z salonu. Wchodzimy i znajdujemy go zapadniętego w głębokim fotelu obok rozkładanej kanapy. Andy położyła się na łóżku z rozłożonymi na boki długimi opalonymi nogami, George wtulił się w jej ramiona. Duff, wciąż w ubraniu, leży pod spodem, Harry zwinął się w kłębek na poduszce pod wyciągniętą nogą Andy. Jak widać, dla nich bezpieczeństwo — takie, jakie zdołali sobie stworzyć — polegało na bliskości.

Patsy dotyka palcami nosa Tima i ciągnie jego dolną wargę, niebieskie oczy ma szeroko otwarte.



— Przepraszam, chłopie — mówi Jase. — Zazwyczaj zasypia o swojej porze.

— Masz pojęcie, ile razy przeczytałem temu dziecku *Jeśli dasz myszy ciasteczko?* To jakaś popieprzona historia. Ta książka jest dla dzieci?

Jase śmieje się.

— Myślałem, że to o opiece nad dziećmi.

— Niech to licha, to uzależnienia. Ta pieprzona mysz nigdy nie jest zadowolona. Dajesz jej jedno, ona chce czegoś innego, a potem prosi o więcej i więcej. Przejebane. Patsy się jednak podobało. Pięćdziesiąt tysięcy razy. — Tim ziewa, a Patsy utula się wygodniej na jego klatce piersiowej, łapiąc w garść koszulę. — Więc co robimy?

Mówimy mu, co wiemy — to znaczy nic — po czym układamy dziecko w łóżeczku. Patsy patrzy spode łba, przez chwilę zła i zdziwiona, następnie chwyta pięć smoczków, zamyka oczy z wyrazem gwałtownej koncentracji i zapada w bardzo głęboki sen.

— Do zobaczenia w sklepie, facet. Otworzę go. Dobranoc, Samantho.

Tim wychodzi w ciemność.

Jase i ja przez kilka minut stoimy w drzwiach, przyglądając się, jak Tim zapala reflektory i jetta wyjeżdża z podjazdu.

Potem Jase przerywa chwilę milczenia.

— A co, jeśli tata ma uszkodzony mózg, Sam? Uraz głowy? Co, jeśli jest w śpiączce? Co, jeśli nigdy się nie wybudzi?

— Jeszcze nie wiemy, jak bardzo poważny jest to uraz — mówię. Nie może być źle. Proszę, niech nie będzie źle.

Jase schyla się, ściągając skarpetkę.

— To uraz głowy, Sam. Nie ma szans, by było dobrze. Mama i tata nie wykupili dla siebie ubezpieczenia zdrowotnego. Tylko dla nas, dzieci.

Zamykam oczy, pocierając czoło, jakby to mogło wymazać te słowa.

— Zrezygnowali ubiegłej wiosny — mówi łagodnie Jase. — Słyszałem, jak rozmawiali... mówili, że tylko przez kilka miesięcy, oboje byli zdrowi, wystarczająco młodzi, nic wcześniej... to nie była wielka sprawa.

Zdejmuje drugą tenisówkę, dodając z przydechem:

— Teraz jest.

Chrząkam, potrząsając głową, nie mając nic do powiedzenia na pociechę, naprawdę nic.

Prostując się, sięga do mnie ręką, ciągnąc mnie w kierunku schodów.

Jego pokój jest łagodnie oświetlony ciepłą lampą w klatce Voldemorta, słabym czerwonym blaskiem, który ledwie rozświetla inne klatki i gniazda, nasycony ziemistą wonią roślin i cierpkim

zapachem ekologicznych trocin w zwierzęcych klatkach, z cichym szumem koła chomika.

Jase włącza nocną lampkę, wyjmuje z tylnej kieszeni telefon komórkowy, podkręca głośność dzwonnka i rzuca go na nocny stolik. Przenosi na podłogę kota Mazdę, który rozłożył się pośrodku łóżka z wyciągniętymi do góry łapami. Podchodzi do komody, wyciąga biały T-shirt i podaje mi go.

— Sam — szepcze, odwracając się do mnie; piękny, zdziwiony chłopiec.

Sapię w jego szyję, opuszczając koszulkę na podłogę, gdy ręce Jase'a zsuwają się do wcięcia mojej talii, przyciągając mnie tak blisko, że czuję na sobie bicie jego serca.

To, co sobie wyobrażam, nie może być możliwe, nie może być możliwe, być prawdą, więc łapię Jase'a i próbuję przelać całą moją miłość i wszystkie siły, jakie mam, w niego, przez moje wargi, moje ramiona i moje ciało. Odpycham ten szept: „Shore Road” i mamę mówiącą: „O mój Boże”, opanowany głos Claya i ten okropny głuchy odgłos. Składam je, odkładam, owijam w bąbelkową folię i taśmę izolacyjną.

Oboje się spieszymy, żeby szybko poczuć to wszystko, co czuliśmy, ale nigdy w ten sposób, nigdy tak gwałtownie. Jase ciągnie moją koszulę, a ja sunę dłońmi w górę jego gładkich pleców, czuję jego mięśnie drgające w napięciu i w odpowiedzi, jego ciepłe wargi na mojej szyi, moje palce w jego włosach, trochę desperacji i jakąś ulgę, jakieś poczucie siły życia w tej nieruchomej nocy.

Po wszystkim Jase schyla głowę, wtulając ją mocno w moje ramię, ciężko oddychając. Przez chwilę nic nie mówimy. Po czym:

— Muszę przeproszać? — pyta. — Nie wiem, co... Nie wiem, dlaczego ja... To pomogło, ale...

Przesuwam powoli palce na jego wargi.

— Nie, nie. Nie musisz. Mnie też to pomogło.

Pozostajemy tak przez dłuższy czas, bicie naszych serc powraca stopniowo z powrotem do normalnego rytmu, pot schnie na naszej skórze, oddechy się zlewają. W końcu bez słowa wchodzimy do łóżka Jase'a. Składa łagodnie moją głowę na swojej klatce piersiowej, ciepła ręka na mojej szyi. Po krótkiej chwili jego oddech się wyrównuje, ale ja nie mogę zasnąć, wpatrując się w sufit.

Mamo, coś ty zrobiła?

## Rozdział czterdziesty

— Jase. Kochanie? Jase! — Głos pani Garrett rozlega się głośno w cichym pokoju. Mama Jase'a szarpie lekko za klamkę, ale drzwi są zamknięte na klucz, więc nie może otworzyć. Jase zrywa się błyskawicznie, w mgnieniu oka jest przy drzwiach, jego wysokie ciało rysuje się pod światło. Przekręca klucz, ale tylko uchyla drzwi.

— Czy tata... Co się dzieje? — pyta łamiącym się głosem.

— Stan jest stabilny. Przeprowadzili procedurę dla nagłych przypadków — coś w rodzaju trepanacji dla obniżenia ciśnienia w czaszce. Alice mówi, że to standardowe postępowanie. Przyszłam do domu tylko się przebrać i odciągnąć pokarm dla Patsy. Joel tam jest. Naprawdę nie możemy za dużo powiedzieć do czasu, gdy się nie obudzi.

Jej głos jest wyraźny, ale pełen łez.

— Jesteś pewien, że możesz zająć się dziś sklepem?

— Tak, mam.

— Alice zostanie ze mną, będzie tłumaczyć terminy medyczne. Joel musi iść do pracy, ale wróci wieczorem. Możesz wziąć Tima do pomocy? Wiem, że to nie jego dzień, ale...

Wychodzi na korytarz, schyla się, przytulając ją. Zawsze uważałam panią Garrett za wysoką. Ze zdziwieniem uświadamiam sobie, że jest tak mała, jak ja wobec jej szczupłego syna.

— Będzie dobrze. Będziemy pracować. Tim już powiedział, że otworzy sklep. Powiedz tacie... powiedz tacie, że go kocham. Weź coś, by mu poczytać. Książkę *Doskonały sztorm*? Zawsze chciał ją przeczytać. Jest w jego ciężarówce.

— Samantho? Możesz zostać z dziećmi? — woła pani Garrett. Nawet w niewyraźnym świetle widzę, jak Jase czerwienieje.

— Sam właśnie...

Milknie. Biedny Jase. Co może powiedzieć? Wpadła? Pomóc karmić zwierzęta?

— W porządku — mówi szybko pani Garrett. — Możesz zostać, Sam?

— Będę tu — wołam.

Dzień mija jak we mgle. Robię to, co zawsze, kiedy zajmuję się dziećmi Garrettów, ale one nie zachowują się tak, jak powinny. Nigdy nie miałam Patsy na więcej niż kilka godzin, i nie jestem pewna, czego nienawidzi bardziej — butelki czy mnie. Pani Garrett dzwoni o dziesiątej, przepaszając: nie może przyjść do domu zająć się Patsy, w zamrażarce jest trochę mleka. Patsy nie dostaje niczego. Zawodząc, odtrąca butelkę. O drugiej po południu jest czerwonym na twarzy, szlochającym, spoconym problemem. Po nucie hysterii w jej krzyku wiem, jak jest zmęczona, ale nie będzie drzemać. Gdy układam ją w łóżeczku, w geście czystego protestu wyrzuca z niego wszystkie

pluszowe zwierzaki. George nie oddała się od mnie. Ściszyłam, pełnym napięcia tonem, łatwo wpadając w płacz, relacjonuje mi wypadki, trzymając mnie kurczowo za ramię, by upewnić się, że słucham. Harry systematycznie robi rzeczy, których nie powinien robić, bije George'a i Duffa, wrzuca całą rolkę papieru toaletowego do klozetu „żeby zobaczyć, co się wydarzy”, wyjmuje surowe ciasto z lodówki i zaczyna je jeść. Jeszcze przed piątą, zanim wróci Jase, jestem o krok od tego, żeby położyć się na dywanie obok Patsy i razem z nią bębnić piętami o podłogę. Ale cieszę się, że jestem zajęta, ponieważ to prawie... nie całkiem, ale prawie... zamyka gonitwę myśli, które biegają mi po głowie tak, jak pasek wiadomości u dołu ekranu telewizyjnego. To nie może mieć nic wspólnego z mamą. Nie może. Nie ma mowy.

Jase wygląda na tak wycieńczonego, że biorę się w garść i pytam, jak poszła sprzedaż, czy słyszał jakieś nowiny ze szpitala.

— Nic nowego — mówi, rozsznurowując tenisówkę i rzucając ją do przedpokoju. — Stan jest stabilny. Nie ma żadnej zmiany. Nawet nie wiem, co znaczy „stabilny”. Został potrącony przez samochód i ma dziurę wywierconą w czaszce. Mówisz „stabilny”, gdy wszystko jest bez zmian. Ale tu nic nie jest bez zmian.

Rzuca mocno o ścianę drugą tenisówką, zostawiając czarną plamę. Hałas wystraszył Patsy w moich ramionach i dziewczynka znowu uderza w płacz.

Jase spogląda na nią, po czym wyciąga ramiona i przytula siostrę, jego jasnobrązowa opalona skóra kontrastuje z jej wiotkimi bladymi ramionami.

— Zgaduję, że twój dzień również był do bani, Sam.

— Nie tak jak twój. — Patsy łapie w garść jego T-shirt i próbuje umieścić go w swojej buzi.

— Biedne dziecko — mówi łagodnie Jase w szyję Patsy.

Niedługo później wraca do domu Alice, przynosząc pizzę, ale żadnych nowych wiadomości opakowanych w lekarski żargon.

— Musieli zrobić trepanację, by złagodzić ciśnienie śródczaszkowe, Jase. Przy urazach głowy opuchlizna mózgu zawsze budzi niepokój, a najwyraźniej wygląda na to, że upadł na głowę. Ale pacjenci zazwyczaj wychodzą z tego bez długotrwałych następstw — konsekwencji — pod warunkiem, że nie ma dodatkowych urazów, o których jeszcze nie wiemy.

Jase potrząsa głową, przygryza wargi i odwraca się, gdy młodsze dzieci wpadają do kuchni zwabione zapachem pizzy i głosami starszych, którzy być może to wszystko rozumieją.

— Przejechałem dziś po południu na rowerze Shore Road, szukając śladów — informuje Duff.  
— Nic.

— To nie jest „CSI”, Duff. — Głos Alice jest ostrzejszy niż nóż, którego używa do krojenia pizzy.

— A jednak to tajemnicze. Ktoś potrącił tatę i po prostu odjechał. Pomyślałem, że może znajde

ślady hamowania i moglibyśmy zidentyfikować opony. Albo rozbite kawałki plastiku z reflektora, czy co. Wtedy może dopasowalibyśmy to do jakiegoś typu samochodu i...

— To do niczego nie doprowadzi — mówi Alice. — Ktokolwiek potrącił tatę, dawno odjechał.

— Większość sprawców potrąceń, którzy uciekli z miejsca wypadku, nigdy nie zostaje zidentyfikowana — przyznaje Duff. — Też to czytałem w sieci.

Zamykam oczy, bo przepływa przeze mnie haniebna fala ulgi.

Jase podchodzi do drzwi z moskitierą, zaciska i rozluźnia pięści.

— Jezu. Jak ktoś mógł to zrobić? Co za typ człowieka? Potrącić kogoś — potrącić samochodem innego człowieka i po prostu pojechać dalej?

Jest mi niedobrze.

— Może nie wiedzieli, że kogoś uderzyli?

— Niemożliwe. — Jego głos jest mocniejszy, twardszy, niż kiedykolwiek słyszałam. — Gdy prowadzisz, wiesz, kiedy trafiasz na szorstką łatę żwiru, stary kawałek opony, pojemnik po fast foodzie, zabita wiewiórkę. W żaden sposób nie możesz uderzyć osiemdziesięciokilogramowego człowieka i tego nie zauważyć.

— Może osoba, która go potrąciła, była osobą, z którą miał się spotkać — spekuluje Duff.

— Może tata wplątał się w jakieś ściśle tajne interesy i...

— Duff. To nie są *Spy Kids*. To realne życie. Nasze życie. — Alice ciska papierowym talerzem w swojego młodszego brata.

Twarz Duffy'ego czerwieni się, łzy zalewają mu oczy. Chrząka, opuszczając wzrok na swój kawałek pizzy.

— Tylko próbuję pomóc.

Jase podchodzi do niego, ściska za ramię.

— Wiemy. Dzięki, Duffy. Wiemy.

Maluchy wcinają, ich apetyty, mimo wszystko, pozostają niezmienione.

— Może tata jest w mafii — spekuluje Duff chwilę później, oczy ma teraz suche, usta pełne.

— I właśnie miał gwizdnąć na to wszystko i...

— Zamknij się, do cholery, Duff! Tatuś nie jest w mafii! Nie jest nawet Włochem! — wykrzykuje Andy.

— Istnieje chińska mafia i...

— Przestań! Po prostu specjalnie zachowujesz się głupio i denerwująco! — Teraz Andy wybuchą łzami.

— Chłopaki — zaczyna Jase.

— Teraz. Bądźcie. Cicho — mówi Alice bezbarwnie tak grobowym głosem, że wszystkich mrozi.

George kładzie głowę na stole, zakrywając uszy. Patsy celuje oskarżająco palcem w Alice i mówi: „Dupa!”. Duff pokazuje język Andy, która w odpowiedzi piorunuje go wzrokiem. Moi Garrettowie są w chaosie.

Nastaje długa cisza, przerywana szlochem George’a.

— Chcę tatusia — wyje. — Nie lubię cię, Alice. Jesteś wielkim złośliwcem. Chcę mamusi i tatusia. Musimy zabrać tatusia ze szpitala. Nie jest tam bezpieczny. Do kroplówki mógł dostać się pęcherzyk powietrza. Mógł dostać złe leki. Mógł dostać wredną pielęgniarkę, która jest morderczynią.

— Stary. — Jase zgarnia George’a w górę. — To się nie zdarzy.

— Skąd wiesz? — pyta gwałtownie George z dyndającymi nogami. — Obiecujesz?

Jase zamyka oczy, pociera lekko jedną ręką wystającą łopatkę George’a.

— Obiecuję.

Ale widzę, że George mu nie wierzy.

Wyczerpana Patsy zasypia w swoim wysokim krzeselku, jej różowy policzek opada w plamę sosu pomidorowego. George i Harry oglądają bardzo mało prawdopodobny film o przygodach grupy malutkich dinozaurów w tropikach. Alice wraca na oddział intensywnej terapii. Dzwonię do mamy, żeby powiedzieć jej, że nie będę w domu na obiedzie. Odpowiada z jakiegoś głośnego miejsca z mnóstwem śmiechu w tle.

— W porządku, cukierczku, tak czy inaczej jestem na spotkaniu z gośćmi i prasą w Tidewater. Przybyło dużo więcej ludzi, niż oczekiwaliśmy. To olbrzymi sukces!

Jej głos jest spokojny i radosny, nie słychać w nim żadnego napięcia. To musi być zbieg okoliczności, musi być, to uderzenie w nocy i pan Garrett. Nie ma tu jakiegokolwiek związku. Gdybym o to spytała, zabrzmiałbym jak wariatka.

Nauczyła nas sumiennosci. Najgorsza rzecz, jaką Tracy i ja mogliśmy zrobić, to skłamać. „To, co zrobiłaś, było złe, ale kłamstwo w tej sprawie uczyniło ją po stokroć gorszą” — mowa była tak znana, że mogliśmy napisać do niej muzykę.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Gdy następnego dnia dzwonię do Breakfast Ahoy, by złożyć rezygnację, naczynia brzęczą i tłuką się. Słyszę przekleństwa Ernesta na temat wyjątkowo dużego ruchu o poranku, gdy mówię Felipe, że rezygnuję. Jest pełen niedowierzania. Tak, wiem, to całkowicie niepodobne do mnie rezygnować tak nagle. Tym bardziej w środku letniego sezonu. Ale Garrettowie mnie potrzebują.

— *No creo que se pueda volver y recuperar su trabajo* — warczy Felipe, przechodząc na jego rodzimy hiszpański, zanim przetłumaczy. — Nie myśl, że możesz wrócić i odzyskać pracę, panienko. Odchodzisz teraz, odchodzisz na zawsze.

Tłumię ukłucie smutku. Nieustanne tempo i energia Breakfast Ahoy były antidotum na długie okresy bezruchu i nudy w B&T. Ale nie mogę rzucić B&T — mama dowiedziałaby się o tym natychmiast.

Jase protestuje, ale ignoruję go.

— Pozbyć się tego uniformu? Dużo za późno — mówię mu.

Co ważniejsze, rezygnacja z Breakfast Ahoy sprawia, że mam wolne trzy poranki w tygodniu.

— Nie cierpię tego, że zmienia to również twoje życie.

Ale to nic takiego porównaniu do tego, jak pozmieniało się życie Garrettów. Pani Garrett praktycznie mieszka w szpitalu. Przychodzi do domu nakarmić Patsy, złapać kilka godzin snu i odbywać długie, złowieszczo brzmiące rozmowy telefoniczne ze szpitalnym działem księgowości. Alice, Joel i Jase na zmianę spędzają noce przy tacie. George ciągle moczy się w łóżku, a Patsy z potężną namiętnością nienawidzi butelki. Harry zaczyna przeklinać częściej niż Tim, a Andy siedzi cały czas na Facebooku i na okrągło czyta *Zmierzch*.

Nocne powietrze w moim pokoju jest ciepłe, gęste i duszne, więc budzę się, mając wielką ochotę przewietrzyć się i napić wody. Schodzę na dół do kuchni i zatrzymuję się, słysząc mamę.

— To nie w porządku, Clay.

— Przerabialiśmy to. Po ilu kieliszkach byłaś?

Jej głos jest wysoki i niepewny.

— Trzech... czterech może? Nie wiem. W każdym razie nie wszystkie z nich wypiałam, tylko po kilka łyków tu i tam.

— Ponad dopuszczalną granicę, Grace. To przekreśliłoby twoją karierę. Rozumiesz? Nikt nic nie wie. Stało się. No dalej.

— Clay, ja...

— Spójrz, co jest tutaj stawką. Możesz uczynić więcej dobrego dla większej liczby ludzi, jeśli zostaniesz ponownie wybrana. To był wyskok... błąd. Każdej publicznej osobie się to zdarza. Masz więcej szczęścia niż większość — nie popełniłaś błędu na oczach wszystkich.

Rozbrzmiewa dzwonek telefonu mamy.

— To Malcolm z biura — mówi. — Lepiej odbiorę.

— Zaczekaj — powstrzymuje ją Clay. — Posłuchaj siebie, kotku. Posłuchaj. Zawsze przede wszystkim liczy się dla ciebie obowiązek. Nawet w samym środku kryzysu w domu. Naprawdę chcesz pozbawić wyborców takiego oddania? Pomyśl o tym. Czy tak się robi?

Słyszę stukot obcasów mamy idącej do gabinetu i zaczynam wracać na piętro.

— Samantho — mówi cicho Clay. — Wiem, że tam jesteś.

Zamieram. Nie może wiedzieć. Schody są wyłożone wykładziną dywanową, jestem na bosaka.

— Odbijasz się w lustrze w przedpokoju.

— Ja byłam tylko... spragniona i...

— Wszystko słyszałaś — stwierdza Clay.

— Ja nie... — Mój głos oddala się.

Wychodzi z za rogu na schody, opierając się o ścianę z założonymi rękami w swobodnej postawie, ale wciąż jest w nim coś nienaturalnego.

— Nie pojawiłem się tu przez przypadek — mówi do mnie łagodnie. Stoi pod światło padające z kuchni i w ogóle nie widzę jego twarzy. — Słyszałem o twojej matce. Twoja mama... ona jest dobra, Samantho. Interesująca partia. Ma wszystko. Wygląd, styl, stanowisko... może być wielka. Na skalę kraju. Przyjazna.

— Ale... — mówię. — Potrafiła go, prawda?

Pierwszy raz powiedziałam to głośno. Clay obraca się nieznacznie i teraz widzę go lepiej. Tak bardzo chcę dostrzec na jego twarzy wyraz zaskoczenia albo zmieszania. Ale nic takiego się nie pojawia, Twarz, teraz trochę bardziej ponura, wyraża jedynie skupienie i determinację.

— Wypadek.

— Czy to ma znaczenie? Pan Garrett wciąż jest ranny. Bardzo ciężko. A oni nie mają ubezpieczenia zdrowotnego i już są bez grosza i...

— To smutne — mówi Clay. — Naprawdę. Dobrzy ludzie walczą. Życie nie jest sprawiedliwe. Ale istnieją ludzie, którzy mogą zmieniać rzeczy, które są ważne. Twoja matka jest jedną z nich. Wiem, że ci Garrettowie są ci bliscy. Ale pomyśl o całym wielkim dziele, Samantho.

W głowie widzę pana Garretta cierpliwie trenującego Jase'a, pojawiającego się za panią Garrett w kuchni, całującego ją w ramię, witającego mnie z radością, wyciągającego rękę do Tima, podnoszącego śpiącego George'a, jego twarz w zmieniającym się błysku fajerwerków, stałego



i sprawnego, pstrykającego długopisem i pocierającego oczy nad księgami w sklepie.

— Oni są wielkim dziełem.

— Kiedy masz siedemnaście lat i burzę hormonów, może — śmieje się lekko. — Wiem, że dla ciebie są teraz całym światem.

— Nie o to chodzi — sprzeciwiam się. — Mama zrobiła coś złego. Wiesz o tym. Ja to wiem. Coś, co komuś bardzo poważnie zaszkodziło. I...

Pobłażliwy wobec mojej przemocy, niemal rozbawiony Clay siada na schodach, znowu opiera głowę o ścianę.

— Nie powinnaś przede wszystkim troszczyć się o własną matkę? Wiesz, jak ciężko pracuje. Jak wiele to dla niej znaczy. Naprawdę mogłabyś żyć ze świadomością, gdybyś jej to odebrała?

Jego głos staje się cichszy.

— Ty, ja i twoja mama. Jesteśmy jedynymi ludźmi na całym świecie, którzy o tym wiedzą. Zacziesz mówić, powiesz tej rodzinie i wszyscy się dowiedzą. Ukaze się to na łamach gazet, w wiadomościach — być może nawet krajowych. Nie byłabyś już uprzywilejowaną księżniczką w jej doskonałym świecie. Byłabyś córką przestępczyni. Jak byś się czuła?

Gorycz pali tył mojego gardła.

— Nie jestem księżniczką — mówię.

— Oczywiście, że jesteś — odpowiada spokojnie Clay. Wskazuje ręką duży salon, eleganckie wyposażenie, drogi wystrój. — Zawsze to miałaś, więc myślisz, że to normalne. Ale wszystko, co masz — kim jesteś — pochodzi od twojej mamy. Z jej rodzinnych pieniędzy i jej ciężkiej pracy. Świetny sposób, by jej odpłacić.

— Nie może po prostu wyjaśnić... mam na myśli... zgłosić się i...

— Nie możesz wyjaśnić, dlaczego odjechałaś z miejsca wypadku, który spowodowałaś, Samantho. Zwłaszcza jeżeli sprawujesz funkcje publiczne. Nawet Teddy Kennedy tego nie robił, jeżeli nie słyszałaś. To zrujnowałoby życie twojej matki. I twoje. A mówiąc prościej, żebyś zrozumiała, nie sądzę, że wpłynęłoby to też dobrze na wasz romans. Nie przypuszczam, żeby twój chłopak naprawdę chciał spotykać się z córką kobiety, która okaleczyła jego tatę.

Słowa tak łatwo wylatują z ust Claya, a ja, pamiętając twarz Jase'a w szpitalnej poczekalni, wyobrażam sobie, jak próbuję powiedzieć mu, co się wydarzyło, jak patrzyłby na mnie z zagubionym wyrazem w oczach. Znienawidziłby mnie. „Co za człowiek mógł to zrobić?” — zapytał. Jak mogłabym odpowiedzieć: „Moja własna matka”.

Spokojna twarz Claya zamazuje się w łzach, które napływają mi do oczu. Sięga do kieszeni, wyciąga chustkę i podaje mi ją.

— To nie koniec świata — mówi łagodnie. — Po prostu jeden chłopiec, jedno lato. Ale powiem

ci coś, czego nauczyłem się w swoim czasie, Samantha. Rodzina jest wszystkim.

„Porzucenie miejsca wypadku: jedno z najpoważniejszych przestępstw w stanie Connecticut. Do dziesięciu lat więzienia i 10 000 dolarów grzywny” — wpatruję się w informacje, których poszukiwałam w internecie, proste czarne litery biją po oczach.

Co by się stało, gdyby mama poszła na dziesięć lat do więzienia? Tracy będzie w college’u, zatem daleko, gdzieś... Ale dokąd poszłabym ja? Nie mogłabym zdać się na łaskę ojca. Skoro odszedł, nie czekając na moje narodziny, domyślam się, że nie byłby zachwycony, widząc mnie na swoim progu jako nastolatkę.

Ale pan Garrett... Dziś noc w szpitalu przypadła na Jase’a. Zadzwoił do mnie, by powiedzieć: — Tata obudził się, jest dobrze, rozpoznał nas. Ale teraz złapał coś, co się nazywa „głęboka zakrzepica żylna”, a nie mogą podawać mu na to leków ze względu na głowę. Nie chcą spowodować wylewu do mózgu. Słucham tego lekarskiego żargonu... nie rozumiem, dlaczego nie mówią tego jasno po angielsku. Może dlatego, że jest to tak cholernie przerażające.

Nie mogę mu powiedzieć. Nie mogę. Co mogę zrobić? „Być przy nich” wydaje się słabe i bez znaczenia. Jak hasło z koszulki lub naklejki, którego nigdy nie trzeba wcielać w życie.

Mogę opiekować się dziećmi. Przez cały czas. Za darmo. Mogę...

Co? Zapłacić rachunki za szpital? Wyciągam z szuflady biurka książeczkę oszczędnościową, przeglądając sumy za zeszłe trzy lata odłożone z pensji i prawie niewydane: 4532,27. Pewnie starczy na pokrycie kosztów kilku opatrunków i aspiryny. Nawet gdyby udało mi się znaleźć sposób, jak przekazać im tę sumę tak, żeby nie wiedzieli.

Następne kilka godzin spędzam, szukając rozwiązania. Koperta w skrzynce pocztowej „Od zyczliwego przyjaciela”. Wsuniecie pieniędzy do kasy sklepowej. Podrobione dokumenty wskazujące, że Garrettowie wygrali na loterii; zagubiony, chory, starszy, nieprzyjemny, nieznaną krewny...

Do nadejścia świtu nie wpadam na żaden błyskotliwy pomysł. Więc robię przynajmniej to, co mogę zrobić, jedyna rzecz, o której mogę myśleć... biegnę przez podwórko, wokół naszego ogrodzenia, japonki klepią na podjeździe, biorę ostry i poszarpany klucz Garrettów trzymany pod brodzikiem, niemal pochowany w zbyt wysokiej trawie.

Parzę kawę. Wyciągam pudełko płatków zbożowych. Próbuję zrozumieć bałagan na stole kuchennym. Zastanawiam się, kto tu jest i czy iść na górę do pokoju Jase’a, kiedy trzaskają drzwi z moskitierą, wchodzi Jase, przecierając oczy i wtedy mnie dostrzega.

— Trening? — pytam, chociaż na drugi rzut oka wygląda na to zbyt schludnie.

— Roznoszenie gazet. Wiesz, że na Mack Lane naprawdę jest facet, który co poranek czeka, aż rzucę gazetę, by ją złapać? Krzyczy, jeśli spóźnię się pięć minut. Co tu robisz, Sam? Nie żebym się nie cieszył, widząc cię tutaj. — Podchodzi do mnie, zanurzając głowę w moim ramieniu.

Macham w kierunku stołu.

— Po prostu pomyślałam, że mogę być pierwsza. Nie wiem, czy twoja mama była w domu, czy...

Jase ziewa.

— Nie. Zatrzymałem się w drodze powrotnej. Zamierza cały dzisiejszy dzień zostać w szpitalu.

Alice wynajęła tę pompę.

Rumieni się.

— Rozumiesz, dla Patsy. W każdym razie, ma opiekę. Mama nie chciała zostawić taty, odkąd w końcu zaczął mówić.

— Przypomina sobie coś? — Jeśli tak, nie mógł powiedzieć Jase'owi, którego otwarta, ekspresyjna twarz nigdy nie ukrywa tego, co chłopak myśli.

— Nic. — Otwiera lodówkę, wyciąga mleko, pijąc prosto z plastikowej butelki. — Jedyne, że był tam, wracając po spotkaniu, zdecydował się iść do domu na piechotę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, myślał, że zanosi się na deszcz, następnie obudził się opleciony rurkami.

Czy to moja nielojalna, czy lojalna część odczuwa taką ulgę?

Jase zakłada ręce za głowę, zginając się z jednej strony na drugą, rozciągając z zamkniętymi oczami. Cicho, prawie pod nosem, mówi:

— Mama jest w ciąży.

— Co?

— Nie wiem z całą pewnością. To znaczy, niezupełnie dobry termin na zapowiedzi, prawda? Ale jestem całkiem pewien. Ma poranne mdłości rano, wypija duszkiem gatorade... powiedzmy, że znam objawy.

— Super — mówię, siadając twardo na jednym z kuchennych krzeseł.

— To dobra wiadomość, prawda? Powinienem się cieszyć. Zawsze dotąd się cieszyłem, ale...

— Niezupełnie dobry termin — powtarzam.

— Czasami czuję się tak cholernie winny, Sam, ostatnio za rzeczy, o których zacząłem myśleć.

Z jakiegoś powodu, jak bardzo znamy siebie nawzajem, nigdy nie pomyślałam o Jasie z poczuciem winy. Po prostu wygląda na zbyt zdrowego, zbyt zrównoważonego na to.

— Wiesz, jak bardzo wkurzają mnie ci ludzie — kontynuuje, wciąż takim cichym głosem, jakby nawet sam nie chciał słyszeć, co mówi. — Ci, którzy podchodzą do mamy w supermarkecie albo gdzieś tam i mówią jej, że istnieje coś takiego jak kontrola narodzin. Albo ten dupek, który w zeszłym miesiącu naprawiał w sklepie generator. Gdy tata zapytał go, czy mógłby zapłacić w ratach, facet

odpowiedział: „Nie wiesz, że mając tyle dzieci, zawsze będziesz splukany?”. Chciałem mu przywalić. Ale... czasami też tak myślę. Zastanawiam się, dlaczego moi rodzice nigdy... wyobraź sobie... co dla każdego z nas oznaczałoby, że jednego z nas nie ma. Czuję za to odrazę do siebie. Ale myślę o tym.

Ujmuję jego twarz w swoje dłonie, trzymając mocno.

— Nie możesz czuć do siebie odrazy.

— Czuję. To po prostu nie w porządku. Jak, bez kogo mógłbym się obyć? Harry? Patsy? Andy?

Żadne z nich... ale... ale Samantha, jestem tylko dzieckiem numer trzy i nie ma już pieniędzy na college. Co będzie, gdy dojdziemy do George'a?

Myślę o skupionej twarzy George'a pochylonego nad jego książkami o zwierzętach, o całej wiedzy, którą ma w małym palcu.

— George jest sam dla siebie college'em — mówię. — Garrett U.

Jase śmieje się.

— Tak. Masz rację. Ale... ja nie jestem taki. Chcę studiować. Chcę być... wystarczająco dobry.

Przerywa.

— Dla ciebie. Nie być facetem, pochodzącym z biednej dzielnicy, Samantha.

— To może przeszkadzać mojej matce. Nie mnie.

— Zatem zgaduję, że część tego to ja — mówi ociężale. — Ponieważ, Samantha... spójrz na siebie.

— Jestem po prostu dziewczyną z łatwym życiem i funduszem powierniczym. Bez żadnych problemów. Spójrz na siebie.

Wtedy przychodzi mi do głowy okropna myśl.

— Czy ty... masz... masz mi to za złe?

Jase prychnął.

— Nie bądź śmieszna. Dlaczego miałbym mieć? Nie uważasz tego za rzecz oczywistą. Cały czas ciężko pracujesz.

Przerywa na chwilę.

— Nie żywię już nawet urazy do Tima. Żywiłem przez chwilę, bo wyglądał na tak obojętnego. Ale tak naprawdę nie jest. A jego rodzice są najgorsi.

— Prawda?

Pan Mason przesypiający swoje życie w fotelu, nieświadom niczego, i pani Mason z jej wesolutkim głosem, wesolutkimi figurkami Hummela i nieszczęśliwymi dziećmi. Myślę o Nan. Okaze się taka sama jak jej matka?

— Jase — mówię powoli. — Mam... trochę pieniędzy. Oszczędności. Nie znaczą dla mnie tyle,

co dla ciebie. Mogłabym...

— Nie — mówi szorstko. — Po prostu skończ. Nie.

Cisza między nami jest teraz duszna i przytłaczająca. Inna. Nie cierpię jej. Odwracam się do misek wystawionych z szafek, szukając łyżek, znajdując zajęcie dla rąk.

Jase przeciąga się, splatając palce za głową.

— Muszę pamiętać, ile mam szczęścia. Moi rodzice mogą być bez grosza, sprawy mogą iść teraz źle, ale są wielcy. Gdy byliśmy mali, Alice miała zwyczaj pytać mamę, czy będziemy bogaci. Zawsze odpowiadała, że jesteśmy bogaci we wszystkie rzeczy, które się liczą. Muszę pamiętać, że miała rację.

Tak jak Jase, muszę pamiętać o tym, co mam w życiu dobrego, i wziąć się w garść.

Podchodzi blisko, dotyka szorstkim palcem mojej brody.

— Pocałuj mnie, Sam, wtedy będę mógł sobie wybaczyć i zapomnieć.

— Jest ci wybaczone, Jasie Garretcie, że jesteś tylko człowiekiem — mówię.

Tak łatwo mu wybaczyć. Wcale żadnych grzechów. Nie tak, jak moja mama. Nie tak, jak ja. Gdy nasze wargi stykają się, nie czuję znajomego ciepła i spokoju. Czuję się jak Judasz.

## Rozdział czterdziesty drugi

W miejscu, gdzie powinna być Nan, ziele wielka dziura. Mogłabym pójść do niej i opowiedzieć jej wszystko, a Nan oczywiście wysłuchałaby i może nawet pomogła znaleźć wyjście. Nan rozumiałaby wszystkich ludzi. Była ze mną tego dnia, kiedy w krótkich białych szortach dostałam miesiączki na zajęciach gimnastycznych na korcie tenisowym. Zauważyła to, zanim zauważył ktokolwiek inny, odciągnęła mnie na bok i zdjęła swoje własne spodenki — nieśmiała Nan — podeszła w bieliźnie do swojej szafki, wyjmując inną parę — i tampon. Byłam z nią, gdy pierwszy raz zobaczyliśmy Tima naprawdę pijanego — miał dwanaście lat — wepchnęliśmy go pod zimny prysznic (nie pomógł) i zrobiliśmy mu kawę (podobnie) przed położeniem go do łóżka, żeby się trochę przespał i doszedł do siebie. Była przy tym, gdy Tracy wydała huczne „dienne przyjęcie” w naszym domu w czasie, gdy mama była w pracy, po czym odjechała ze swoim chłopakiem, zostawiając nas — miałyśmy po czternaście lat — żeby wykopać z domu czterdziestu starszych nastolatków i wysprzątać go przed powrotem mamy.

Ale teraz nie odpowiada na SMS-y albo odrzuca telefony. Gdy przechodzę obok sklepu z upominkami, zajmuje się klientami albo mówi: „Idę zrobić inwentaryzację magazynu / zjeść lunch / zobaczyć się z kierownikiem”.

Jak cała nasza przyjaźń, całe dwanaście lat naszej znajomości, mogło zostać przekreślone przez to, co zobaczyłam? Lub to, co zrobiła. Albo co powiedziałam o tym, co zrobiła. Po prostu nie mogę pozwolić jej odejść w ten sposób, mówię sobie, chociaż Nan zdaje się nie mieć z tym żadnego problemu. Tak więc równo o piątej, pod koniec dnia w B&T, łapię ją, gdy wypisuje formularz zamówienia.

Gdy kładę rękę na jej ramieniu, szarpie się odruchowo jak koń oganiający się od nieznośnej muchy.

— Nan. Nanny. Nie masz zamiaru już ze mną rozmawiać? Nigdy?

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Dobrze, ja mam kilka rzeczy do powiedzenia tobie. Przyjaźniłyśmy się, odkąd miałyśmy po pięć lat. To się nie liczy? Teraz mnie nienawidzisz?

— Nie nienawidzę cię. — Przez chwilę w oczach Nan błysnęły uczucia, których nie potrafię zidentyfikować, po czym spuszcza wzrok, przekręcając klucz w kasie, by ją zamknąć. — Nie nienawidzę cię, ale po prostu zbyt się różnimy. Zbyt wiele wysiłku kosztuje mnie bycie twoją przyjaciółką.

To zdanie jest niespodziewane.

— Zbyt wiele wysiłku? Jak? — Mogłabym być tak trudna, nie zdając sobie z tego sprawy?

Przebiegam w myślach wspomnienia. Zbyt dużo, zbyt długo opowiadałam jej o swojej matce? Za dużo mówiłam o Jasie? Ale wiem, wiem, było co najmniej po równo. Całymi godzinami słuchałam o problemach Tima. Słyszałam o każdym zakręcie i zmianie jej relacji z Danielem. Współczułam jej posiadania takich rodziców. Oglądałam z nią jej ukochane filmy ze Steve'em McQueenem, chociaż tak naprawdę nigdy nie byłam pod jego urokiem. To wszystko nic nie znaczy?

Nan prostuje się, spoglądając mi w oczy. Zauważam, że drżą jej ręce.

— Jesteś bogata i piękna. Masz doskonałe życie, doskonałe ciało, doskonałą średnią w szkole i nigdy nie musiałaś na to pracować — syczy do mnie. — Wszystko przychodzi ci łatwo, Samantha. Wszystko spada ci z nieba. Michael Kristoff wciąż pisze wiersze o tobie. Wiem, bo tej wiosny chodził na moje zajęcia z literatury. Charley Tyler wszystkim opowiada, że jesteś najgorętszą dziewczyną w szkole. I kłamie, że uprawiał z tobą seks. Wiem, bo ktoś powiedział Timowi, a Tim powiedział mnie. Teraz ten Jase Garrett, zdecydowanie zbyt wspaniały, by mógł być rzeczywisty, myśli, że złapał Pana Boga za nogi. Jestem przez to chora. Przez ciebie jestem chora. Przyjaźń z tobą i asystowanie tobie kosztuje mnie zbyt wiele wysiłku. — Jej głos cichnie. — Nie wspominając o fakcie, że teraz wiesz o mnie coś, czego mogłabyś użyć, by zrujnować mi życie.

— Nie zamierzam nikomu nic mówić — odpowiadam łagodnie, próbując przełknąć ból. Czuję taki ucisk w klatce piersiowej, że nie mogę zrobić głębokiego wdechu. „Nasza przyjaźń kosztuje zbyt wiele wysiłku, Nan? Dlaczego? Ponieważ nie ma sposobu, żeby udawać przyjaźń?” — W ogóle mnie nie znasz? Nigdy bym tego nie zrobiła. Ja po prostu — nie musisz kłamać — jesteś zbyt bystra pod każdym względem, aby to robić, a ja chcę być twoją przyjaciółką i... i potrzebuję cię. Coś przydarzyło się tacie Jase'a i...

— Słyszałam — odpowiada krótko. — Tim powiedział mi o tym. I twój chłopak któregoś dnia także przyszedł do mnie do domu, żeby mi opowiedzieć, jak cudownie byłaś pomocna, i że tęsknisz za mną. Nie zamierzasz powiedzieć nikomu, he? Twój superfacet oczywiście wie, że coś się dzieje.

— Nie mówię mu wszystkiego. Prawie niczego. — Nienawidzę się za to, że w moim głosie brzmi skrucha. — Po prostu powiedziałam, że się posprzeczałyśmy.

Spuszczając wzrok na jej ręce, widzę, że jej paznokcie, zawsze nierówne, teraz pogryzione są boleśnie do końca, do krwi.

— Nigdy nie myślałam, że przyjdzie do ciebie do domu.

— Cóż, przyszedł. Znowu pan Bohater na Ratunek. To jest to, co zawsze otrzymujesz. Podczas gdy ja otrzymuję... Daniela.

Chcę powiedzieć: „To TY wybrałaś Daniela”, ale to nic by nie poprawiło. Ma teraz zaczerwienioną twarz, z tym znanym mi wyglądem poprzedzającym łzy.

— Nan... — zaczynam, ale przerywa mi.

— Nie potrzebuję twojej litości. I nie chcę twojej przyjaźni.

Podnosząc torebkę i zarzucając ją na swoje wąskie ramię, mówi:

— Pospiesz się. Muszę zamykać.

Idę za nią do holu. Szarpie zasuwkę, odwraca się i oddala. W ostatniej chwili odwraca się gwałtownie, chuda i zimna.

— Jakie to uczucie nie otrzymać tego, czego chcesz, Samantha?

Nigdy przedtem się tak nie czułam.

Myślałam o tym na okrągło, odkąd poznałam Jase'a. Ale zawsze oznaczało to dobre rzeczy, nie tę dziurę w żołądku, która wszędzie mi towarzyszy.

Jase zabiera mnie z B&T, pytając, czy nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy wpadli na chwilę do szpitala.

Czuję ucisk w brzuchu. Nie widziałam pana Garretta od tej pory, kiedy mama zrobiła to, co zrobiła.

— Oczywiście, że nie — mówię, rodzaj grzecznego kłamstwa, jakiego nigdy wcześniej mu nie mówiłam.

Oddział intensywnej opieki medycznej jest na czwartym piętrze i potrzebujemy przepustek, by się do niego dostać. Kiedy je otrzymujemy, Jase przed wejściem do sali szpitalnej wyraźnie się spina. Niezauważalnie robię to samo.

W szpitalnym ubraniu, z wystającymi zewsząd rurkami, pan Garrett wygląda na mniejszego; jego jasnobrązowa skóra jest zadziwiająco jasna w niebieskawym szpitalnym świetle. To nie jest ten człowiek, który bez trudu nosi na ramionach sterty drewna, podnosi wysoko do góry Harry'ego i George'a, bez wysiłku rzuca piłką. Jase przyciąga krzesło i siada, następnie odnajduje rękę taty z taśmą i rurkami. Pochyla się, by powiedzieć panu Garrettowi coś na ucho, a ja wpatruję się w kardiomonitor skaczący rytmicznie w górę i w dół.

W drodze do domu Jase patrzy prosto przed siebie. Nie sięga jak zwykle do mojej ręki, ale trzyma obydwie na kierownicy, ściskając ją tak mocno, że bieleją mu knykcie. Siedzę na krawędzi siedzenia, opierając obcasy na desce rozdzielczej. Przejeżdżamy obok zjazdu na Main Street.

— Nie jedziemy do domu? — pytam.

Jase wzdycha.

— Pomyślałem, że podjadę do French Boba. Zobaczyć, ile mógłby dać mi za mustanga, gdybym



sprzedał go z powrotem. Poświęciłem mu wiele czasu, nie wspominając o gotówce.

Łapię jego ramię.

— Nie. Nie możesz. Nie możesz sprzedać mustanga.

— To tylko samochód, Sam.

Nie mogę tego znieść. Te wszystkie godziny, które Jase spędził, majsterkując przy mustangu, gwizdząc przez zęby. Jak ślęczał nad magazynami „Car Enthusiast” czy „Hemmings”, zaginając strony. To nie tylko samochód. To miejsce, w którym się odpręża, znowu się odnajduje. To coś jak moje dawne wpatrywanie się w gwiazdy. Albo podglądanie Garrettów. Jak moje pływanie.

— Nie tylko — mówię. — To aż samochód.

Zamiast jechać dalej autostradą w kierunku French Boba, Jase zjeżdża i zawraca na długą drogę wzdłuż rzeki, zatrzymując się w McGuire Park.

Garbus jest stary i hałaśliwy, ale prawdopodobnie nie dlatego, że Jase przekręca kluczyk i wyłącza zapłon, zapada taka cisza. Jestem tu pierwszy raz od tamtej nocy. Słysząc odgłosy — powolny chłupot fal na skałach, kiedy motorowa łódź wyścigowa właśnie przyspiesza, nawołujące się i nurkujące mewy, rzucające małże na skały. Jase wychodzi na zewnątrz, trącąc czubkiem buta kamień na gruntowej drodze, idąc nie do Tajemnej Kryjówki, ale przez plac zabaw w kierunku zakola drogi.

— Wciąż do nich dzwonię — mówi do mnie. — Na policję. Mówią tylko, że nie mogą niczego, naprawdę niczego zrobić. Brak świadków. — Dobrze wymierzony kopniak wysłała kamień z piaszczystej drogi na trawę. — Dlaczego musiało padać tamtej nocy? Przez całe lato prawie nie padało.

— To naprawdę ważne, że padało? — pytam.

— Gdyby nie padało — przysiada, suwa palcem po ziemi — mogłoby coś zostać. Ślady opon. Coś. Jak to jest... ktokolwiek to zrobił, odjechał zupełnie daleko i nigdy nie dowie się, ile krzywdy narobił.

Albo wie i nie obchodzi go to.

Teraz wstyd pali mnie w klatce piersiowej, zastępując gniew na Nan. Bardziej niż wszystko na świecie chcę powiedzieć mu prawdę. Od początku łatwo było mówić mu rzeczy, których nigdy nikomu nie mówiłam. Zawsze słuchał i rozumiał.

Ale nie ma szans, by to zrozumiał.

Jak by mógł, kiedy sama tego nie rozumiem.

## Rozdział czterdziesty trzeci

— Cześć, kochanie! Szykuję ci jedzenie, żebyś miała pod ręką. Tak często teraz wyjeżdżam, że nie możemy zjeść razem obiadu. Nie chcę, żebyś żyła na tych śmieciach z Breakfast Ahoy albo przekąskach w klubie. Więc przygotowałam coś na kilka obiadów — pieczony kurczak, taki jak lubisz, z grzybami, i spaghetti bolognese.

Mama opowiada to wszystko radośnie, gdy dowlekam się do kuchni po powrocie do domu z dyżuru ratownika.

— Opisałam je wszystkie i włożę do zamrażarki.

I tak bez końca.

Jej głos ma mocny i spokojny gawędziarski ton. Mama ma na sobie sukienkę koloru arbuza i rozpuszczone włosy, wygląda wystarczająco młodo, by uchodzić za moją starszą siostrę. Pani Garrett ma ostatnio worki pod oczami, jest wychudła i wiecznie rozproszona. Chociaż próbowałam utrzymać porządek, dom Garrettów z dnia na dzień staje się coraz bardziej zaniedbany. Patsy jest wybredna, George przyklepny, Harry źle się zachowuje, Andy i Duff walczą jak niedźwiedzie. Jase jest spięty i zaabsorbowany, Alice jeszcze bardziej opryskliwa. Obok wszystko jest inne. Tutaj nic się nie zmieniło.

— Masz ochotę na trochę lemoniady? — pyta mama. — W Gibson's Gourmet mieli kilka dni temu cytryny Meyera, więc dla odmiany zrobiłam z nich. Myślę, że to najlepsza lemoniada, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

Nalewa mi szklanekę, obraz pełnej gracji sprawności i matczynej troski.

— Przestań, mamó — mówię i opadam na stołek kuchenny.

— Nie chcesz, bym ci tak bardzo matkowała, wiem. Ale przez te wszystkie lata, gdy musiałam pracować, miałaś Tracy, która dotrzymywała ci towarzystwa. Powinam oznaczyć, co jest zamrożone, a co świeże? Nie muszę tego robić. Zapamiętasz, prawda? Po prostu nagle zdałam sobie sprawę, jaka jesteś samotna.

— Nie masz pojęcia.

Coś w moim tonie musiało do niej dotrzeć, bo zatrzymuje się, rzuca na mnie nerwowo wzrokiem, po czym mówi szybko dalej:

— Gdy skończą się te wybory, zrobimy sobie dobre letnie wakacje. Może gdzieś na Morzu Karaibskim. Słyszałam dużo dobrego o Virgin Gorda.

— Nie wierzę. Jesteś teraz jak robot? Jak możesz tak po prostu zachowywać się, jakby wszystko było w porządku?

Mama zamiera w trakcie wkładania tupperware do zamrażarki.

— Nie wiem, o czym mówisz — mówi.

— Musisz powiedzieć prawdę o tym, co się zdarzyło — odpowiadam.

Prostuje się wolno, po raz pierwszy od jakiegoś czasu spoglądając mi w oczy, przygryza dolną wargę.

— On wydobrzeje.

Zatrząskuje mocno pokrywkę.

— Słyszałam o tym w wiadomościach. Jack Garrett to stosunkowo młody człowiek, w dobrej kondycji. Chwilowo może być ciężko, ale wyzdrowieje. W końcu nie odniósł żadnych poważnych obrażeń.

Pochyliłam się do przodu, ręce opieram na blacie, moje dłonie ślizgają się po chłodnej powierzchni kuchennej wyspy.

— Jak nawet możesz tak mówić? Naprawdę w to wierzysz? To nie jest jakieś, jakieś nic...

Macham ręką, przypadkowo uderzając w kryształową salaterkę pełną cytryn, zrzucając ją w kierunku ściany; roztrzaskuje się na kafelkach podłogi z drażniącym łoskotem, cytryny toczą się po podłodze.

— Należała do moich dziadków — mówi ostro mama. — Nie ruszaj się. Przyniosę odkurzacza.

Coś w jej znajomym widoku, pochylonej, przesuwającej odkurzaczem zdyscyplinowanymi symetrycznymi pociągnięciami w sukience i szpilkach sprawia, że mam wrażenie, że zaraz eksploduję. Zeskakuję ze stołka i pstrykam wyłącznik.

— Nie możesz po prostu posprzątać i zapomnieć o tym, mamó. Garrettowie nie mają ubezpieczenia zdrowotnego. Wiedziałaś o tym?

Wyciąga spod zlewu kosz na śmieci, wkłada gumowe rękawice i zaczyna metodycznie zbierać co większe kawałki szkła do torby.

— Nie moja wina.

— To twoja wina, że jest ważne, że nie mają. Będzie leżał w szpitalu miesiącami! Potem może rehabilitacja — kto wie, jak długa? Sklep żelazny już ma trudności.

— To również nie ma nic wspólnego ze mną. Wiele małych firm ma trudności, Samantho. To godne pożałowania i wiesz, że wygłaszałam przemówienia w tej samej kwestii...

— Przemówienia? Mówisz poważnie?!

Wzdraga się na mój krzyk, po czym odwraca się i znowu włącza odkurzacza.

Wyrrywam wtyczkę ze ściany.

— Co z tym wszystkim, co zawsze opowiadałaś mi o sprostaniu swoim obowiązkom? Czy o to ci chodziło?

— Nie rozmawiaj ze mną w ten sposób, Samantho. Jestem tu rodzicem. Robię odpowiedzialne

rzeczy, zostając tam, gdzie mogę uczynić większe dobro. Jak to pomoże Garrettom, jeśli stracę swoją pracę, jeśli ze wstydem przejdę na emeryturę? To nie załatwi niczego. Co się stało, to się nie odstanie.

— Mógł umrzeć. A gdyby umarł, mamó? Ojciec ośmiorga dzieci. Co wtedy byś zrobiła?

— Nie umarł. Clay telefonował tej nocy po policję z automatu telefonicznego przy Gas and Go. Nie zignorowaliśmy po prostu całej sprawy.

— Ale ty ignorujesz całą sprawę. Właśnie to robisz. Pani Garrett jest w ciąży. Będą mieli następne dziecko, a pan Garrett nie będzie mógł pracować! Co z tobą nie tak?

Mama wyszarpuje z moich rąk sznur od odkurzacza, skręcając go w mocno zaciśnięty zwój.

— Tak więc, proszę. Kto ma tak wiele dzieci w dzisiejszych czasach? Nie powinni mieć tak dużej rodziny, jeśli nie mogli sobie pozwolić na jedno.

— Jak Jase ma wrócić do szkoły tej jesieni, jeśli musi zastępować tatę w sklepie?

— Tu cię mam! — mówi ostro mama. — Jest właśnie tak, jak mówił Clay. To wszystko sprowadza się do twoich uczuć wobec tego młodzieńca. To wszystko na twój temat, Samantho.

Stoję tam pełna niedowierzania.

— To nie ma nic wspólnego ze mną!

Mama zakłada ręce i patrzy na mnie litościwie.

— Gdybym przypadkowo potrafiła kogoś, kogo nie znałaś, obcego, zachowywałabyś się w ten sposób? Prosiłabyś mnie, bym porzuciła całą moją karierę z powodu czegoś, co być może spowoduje jakieś chwilowe wyzwania dla kogoś?

Wpatruję się w nią.

— Mam nadzieję, że tak. Myślę, że tak. Ponieważ to właściwa rzecz, którą należy zrobić.

Oddech zniesmaczenia rozwiewa kilka kosmyków jej starannie uczesanych włosów.

— Och, oszczędź mi tego, Samantho. Łatwo wiedzieć, jak właściwie postępować, kiedy masz siedemnaście lat i nie musisz podejmować żadnych istotnych decyzji. Kiedy wiesz, że choćby nie wiem co zrobisz, ktoś będzie się tobą opiekować i wszystko naprawi. Gdy jednak jesteś dorosła, świat nie jest tak czarno-biały i sposoby właściwego postępowania nie mają małej schludnej strzałki wskazującej na siebie. Zdarzają się różne rzeczy, osoby dorosłe podejmują decyzje i to jest zasadnicza kwestia.

— Kwestią zasadniczą jest to, że potrafiłaś człowieka i odjechałaś z miejsca... — zaczynam mówić, ale przerywa mi przenikliwy dźwięk telefonu komórkowego mamy.

Sprawdza go i mówi:

— To Clay. Rozmowa skończona. Co się stało, to się nie odstanie, i wszyscy musimy przejść nad tym do porządku dziennego.

Z trzaskiem otwiera telefon.

— Cześć, skarbie! Nie, nie jestem zajęta. Pewnie, tylko pozwól mi pójść do biura i to wziąć.

Jej szpilki stukają po płytkach w korytarzu.

Kąt kuchni wciąż pokryty jest cytrynami i drobnymi kryształowymi odłamkami.

Osuwam się z powrotem na taboret, opierając policzek o chłodny granit kuchennego blatu. Od kilku dni szykowałam się na rozmowę z matką, porządkując sobie rzeczy w głowie, przywołując najbardziej klarowne argumenty, jakie mi przychodziły na myśl. Teraz przytoczyłam je wszystkie, ale rozmowa jakby nawet nie zaistniała, jakby została zamieciona i odłożona.

Tej nocy wychodzę przez okno, siadając na moim starym tradycyjnym miejscu. Pomimo tych wszystkich lat, gdy siedziałam na nim sama, teraz bez Jase'a czuję się dziwnie i źle. Ale on znowu jest w szpitalu. Przez okno kuchenne Garrettów widzę, jak Alice gotuje jedzenie. Reszta domu pogrążona jest w ciemnościach. Gdy patrzę, na podjazd wjeżdża furgonetka. Czekam, aż pani Garrett z niej wysiądzie, ale nie robi tego. Siedzi, patrząc prosto przed siebie do chwili, gdy nie mogę już dłużej patrzeć i wspinam się z powrotem do swojego pokoju.

Nan powiedziała, że rzeczy po prostu przychodzą mi bez kiwnięcia palcem.

Nigdy tego tak nie odczuwałam, ale zawsze byłam w stanie dostać to, czego naprawdę chciałam, gdy wystarczająco ciężko pracowałam.

Nie teraz.

Nieważne, jak bardzo się staram, a nigdy nie próbowałam tak mocno dla niczego innego, nie mogę poprawić sytuacji Garrettów. Najgorsze ze wszystkiego, że relacje z Jase'em są stresujące. Proponuję, bym pomogła mu w treningach.

— Gdyby twój tata miał konspekt treningów, mogłabym je przeczytać i mówić ci po kolei.

— Wszystko miał w głowie. Więc dzięki, ale sam sobie poradzę.

Zakurzony po dostawie drewna, Jase odkręca kran nad zaśmieconym zlewem i ochlapuje sobie wodą twarz, potem pochyla głowę, żeby się napić, niechcący strąca w połowie pełną szklankę mleka z blatu. Gdy ta upada na podłogę, kopie ją, zamiast podnieść; szklanka, odbijając się rykoszetem po linoleum, rozlewa dookoła mleko.

Czuję w gardle metaliczny posmak strachu. Podchodzę i kładę rękę na jego ramieniu. Stoi z pochyloną głową i widzę mięśnie jego zaciśniętej szczęki. Jego ramię pod moimi palcami jest sztywne; nie patrzy na mnie. Wokół mojego gardła zaciska się ołowiana pięść.

— Facet! — woła Tim z podwórka, gdzie odkurza basen. — Zajebistą rzeczą jest rozdmuchiwanie brudu w basenie, zamiast wsysania go. Możesz się tym zająć?

— Tak, tak, naprawię to — odpowiada Jase, nie poruszając się.

— Co wszyscy tutaj zrobiliby bez ciebie? — mówię, zdobywając się na swobodny ton.

— Wszystko ległoby w gruzach.

Prycha bez humoru.

— Jakby już nie legło, nie tak?

Przysuwam się, opierając policzek o jego ramię, głaszcząc jego plecy.

— Jak mogę pomóc? — pytam. — Zrobię wszystko.

— Nic nie możesz zrobić, Sam. Tylko... — Odwraca się, wpycha ręce w kieszenie. — Może...

tylko... daj mi trochę swobody.

Cofam się w kierunku kuchennych drzwi.

— Jasne. Pewnie. Za chwilę idę do domu.

Na ogół tak się nie zachowujemy. Kręcę się w drzwiach, oczekując... Nie jestem pewna.

Za to on, nie patrząc na mnie, kiwa głową i schyla się, by zetrzeć rozlane mleko.

Gdy wracam do domu, gdzie wszystko jest nieruchome, czyste i wyciszone, wszystkie zewnętrzne dźwięki przytłumione przez szum klimatyzacji, wspinam się na górę, mając wrażenie, jakbym przedzierała się przez wodę albo miała buty zrobione z ołowiu. Siadam nagle w połowie schodów, odchylam głowę na stopień nade mną, zamykam oczy.

Tysiąc razy, od kiedy to się zdarzyło, już miałam wygadać się z tą całą historią, niezdolna do powstrzymania się, niezdolna do zatajenia czegoś tak poważnego przed Jase'em. Ile razy gryzłam się w język, zachowując milczenie, z myślą: Jeśli mu powiem, stracę go.

Dziś wieczorem wiem.

Już wiem.

Późno w nocy w salonie świeci się tylko jedno przymgłone światło. Mama lubi sufitowe, więc od razu wiem, że to nie ona. I mam rację. W dużym fotelu przed kominkiem siedzi Clay, buty zdjęte, u jego stóp leży duży golden retriever. Mama śpi skulona na kanapie, szybko zasnęła, jej włosy wymykają się ze starannego koka, kładąc na ramiona.

Clay wskazuje brodą w kierunku psa.

— Courvoisier. Nazywam go Cory. Czysta rasa z czempionów. Choć jest już stary.

Rzeczywiście, pysk, który opiera się na bosej stopie Claya, jest pobielony wiekiem. Gdy wchodzę, Cory podnosi łeb, uderza ogonem na powitanie.

— Nie wiedziałam, że masz psa. Mama śpi? — pytam, stwierdzając oczywisty fakt.

— Długi dzień. Mityng o piątej rano w General Dynamics. Potem przemówienie u Republikanów

dla Zmian i obiad w White Horse Tavern. Twoja mama jest zawodowcem. Po prostu ciągle zaszuwa. Zasłużyła na odpoczynek.

Wstaje i ściąga tkaną beżową narzutę z kanapy, przykrywając ją.

Zaczynam odwracać się, ale zatrzymuje mnie, kładąc rękę na moim ramieniu.

— Siadaj, Samantho. Też bierzesz zbyt wiele na swoje barki. Jak sobie radzą ci Garrettowie?

Jak może tak spokojnie zadać to pytanie?

— Niedobrze — mówię.

— Tak. Cholerny pech. — Clay podnosi kieliszek wina i bierze swobodnie łyk. — Tak to wygląda we własnej firmie... wszystko zdane na łut szczęścia.

— Dlaczego udajesz, że cię to obchodzi?

Pytam nadszpejowanie donośnie w cichym pokoju. Mama wzdryga się przez sen, po czym przytula głowę do poduszki.

— Jakby to, co się zdarzyło, było jakimś rodzajem boskiego aktu, a nie czymś, za co jesteście odpowiedzialni? Jakbyś nawet miał pojęcie, przez co oni przechodzą?

— Nie wiesz o mnie zbyt wiele, prawda? — Bierze kolejny łyk wina, sięgając w dół, by pogłaskać Cory'ego. — Wiem lepiej, niż kiedykolwiek ty się o tym dowiesz, jak to jest być ubogim. Mój tata prowadził warsztat samochodowy. Ja prowadziłem księgi. Nasze miasteczko było tak małe, że prawie nie potrzeba było samochodu, żeby z jednego końca dotrzeć na drugi. A ludzie w Wirginii Zachodniej są, można to tak nazwać, z natury oszczędni. Przez wiele miesięcy nie zarobił tyle, by spłacić swoich pracowników, a pobrać pensję samemu. Wiem wszystko o tym, jak to jest być bez grosza i stanąć pod ścianą.

Jego oczy nagle skupiają się na moich.

— I zostawiłem to daleko za sobą. Twoja mama jest prawdziwą przepustką, ze wspaniałą przyszłością. Nie pozwolę jakiejś nastolatce z pretensjami odebrać jej tego. Albo mnie.

Mama jeszcze raz się wzdraga, następnie przekręca, prawie do pozycji embrionalnej.

— Musisz trzymać się na dystans od tej rodziny — dodaje Clay prawie łagodnym głosem.

— I musisz zrobić to natychmiast. Inaczej wyjdą sprawy, które nie powinny wychodzić, nastolatki nakręcone hormonami nie są znane z dyskrecji.

— Nie jestem swoją matką — mówię. — Nie muszę robić tego, co mówisz.

Opiera się plecami o krzesło, blond włosy opadają mu na czoło.

— Nie jesteś swoją mamą, ale nie jesteś też głupia. Przeglądałaś księgi sklepu Garrettów?

Przeglądałam, wszyscy przeglądaliśmy, Tim i ja, i Jase, pracując nad nimi. Jak dla mnie, dla której matematyka jest wyzwaniem, sumy nie wyglądają zbyt dobrze. Pan Garrett pstrykałby nad nimi z wściekłością swoim długopisem.

— Zdarzyło ci się zauważyć umowę z Reed Campaigns? Twoja mama używa Garrettów do wszystkich jej tabliczek, billboardów, znaków identyfikacji. To cholernie dużo drewna. Chciała pójść do Lowe'a, ale powiedziałem jej, że wybór lokalnego przedsiębiorcy będzie wyglądał lepiej. To stały dopływ gotówki do sklepu, aż do listopada. Nie tylko to, z usług Garretta korzystają Bath i klub tenisowy. To propozycja twojej mamy. Dostawiają nowe skrzydło do krytego basenu. Gotówka, która idzie do sklepu. Gotówka, która mogłaby odejść z jednym lub dwoma komentarzami. Zielone drewno, byle jaka fachowość...

— O czym ty mówisz? Jeśli nie rozstanę się z Jase'em, to ty, co, zerwiesz te umowy?

W blasku lampy blond włosy Claya błyszczą anielską uczciwością, niemal tego samego koloru co sierść Cory'ego. W swojej białej koszuli z podwiniętymi rękawami i dużymi, niebieskimi i szczerymi oczami wygląda schludnie i niewinnie.

Uśmiecha się do mnie.

— Nie mówię niczego, Samantho. Tylko stwierdzam fakty. Możesz wyciągnąć własne wnioski — przerywa. — Twoja mama zawsze mi opowiadała, jaka jesteś bystra.



## Rozdział czterdziesty czwarty

Rankiem następnego dnia pokonuję krótki dystans z naszego ogrodu do Garrettów, by zobaczyć się z Jase'em.

Gdy wchodzę na górę podjazdu, słyszę jego gwizdanie. To sprawia, że niemal się uśmiecham.

Najpierw widzę jego opalone nogi i znoszoną koszulkę Converse, wystające spod mustanga. Jase leży na plecach na deskorolce Duffy'ego, grzebiąc przy podwoziu. Nie widzę jego twarzy i cieszę się z tego. Nie sądzę, bym poradziła sobie, patrząc mu w oczy.

Jednak rozpoznaje moje kroki. Albo moje buty.

— Hej, Sam. Cześć, mała. — Głos ma radosny, bardziej odprężony niż kilka dni temu. Jest spokojny, robiąc coś, w czym jest dobry, na chwilę odrywając się od rzeczywistości.

Chrząkam. Czuję ucisk w gardle, jakby słowa, które muszę wypowiedzieć, zmieniły się w dławiącą kulę.

— Jase... — Nawet nie poznaję brzmienia swego głosu. Całkiem dobrze, od tej pory wolę nie myśleć, że jest mój. Przeczyszczam gardło. — Nie mogę cię widywać.

— Za sekundę kończę. Muszę tylko to dokręcić, bo wycieknie cały olej.

— Nie. Mam na myśli, że nie możemy się już spotykać.

— Co? — Słyszę uderzenie, bo zapomina, gdzie jest. Następnie wysuwa się spod samochodu. Na czole ma plamę czarnego oleju i czerwony odcisk. Będzie siniak.

— Nie mogę się więcej z tobą widywać. Nie mogę... nie mogę tego robić. Nie mogę zajmować się George'em czy Patsy i widywać się z tobą. Przepraszam.

— Sam, o co chodzi?

— O nic. Po prostu nie mogę tego robić. Ty. My. Nie możemy już tego robić.

Staje koło mnie, tak wysoki, tak bliski, że czuję jego zapach, zapach gumy gaulterii, smaru do osi, czystego ubrania.

Robię krok do tyłu. Muszę to zrobić. Tyle już zostało zrujnowane. Nie mam wątpliwości, co Clay miał na myśli. Wszystko przypomina mi wyraz jego twarzy, gdy mówił o pozostawianiu za sobą swojej przeszłości, jego twardy głos każący mamie cofnąć się i ruszyć z miejsca. Jeśli nie zrobię tego, on zrobi wszystko, żeby zrujnować Garrettów. Nie będzie to trudne.

— Nie mogę tego robić — powtarzam.

Jase potrząsa głową.

— Nie możesz tego robić. Musisz dać mi szansę, bym mógł naprawić, co popsułem. Co zrobiłem?

— To nie twoja wina.

Najstarsza, najgorsza odpowiedź na świecie. A teraz najprawdziwsza.

— To nie ty! Nie zachowujesz się w taki sposób. Co jest nie tak?

Robi krok w moją stronę, oczy przesłania niepokój.

— Powiedz mi, żebym mógł to naprawić.

Składam ramiona, cofając się.

— Nie możesz naprawiać wszystkiego, Jase.

— Tak, tak więc, nawet nie wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Nie rozumiem.

Porozmawiajmy.

Jego głos zniża się.

— Chodzi o seks... że zaczęliśmy tak szybko? Możemy zwolnić. Możemy po prostu... cokolwiek,

Sam. Chodzi o twoją mamę? Powiedz mi, czego potrzebujesz.

Odwracam się.

— Muszę iść.

Owija palce na moim ramieniu, żeby mnie powstrzymać. Całe moje ciało kurczy się, jakbym się pomniejszyła w mojej skórze.

Jase wpatruje się we mnie z niedowierzaniem, po czym opuszcza rękę.

— Nie chcesz, żebym cię dotykał? Dlaczego?

— Nie mogę dłużej rozmawiać. Muszę iść.

Muszę wyrwać się, zanim to zrobię, zanim wszystko wypaplam, choćby nie wiem co miało się zdarzyć z mamą, Clayem i sklepem. Muszę.

— Zamierzasz po prostu odejść — w ten sposób? Zostawiasz to tak? Teraz? Kocham cię. Nie możesz...

— Muszę. — Każde słowo jakby mnie dusiło. Odwracam się i schodzę podjazdem, starając się iść spokojnie, nie biec, nie płakać, w ogóle niczego nie czuć.

Słyszę za sobą szybkie kroki Jase'a.

— Zostaw mnie samą — rzucam przez ramię, przyspieszając kroki, biegnąc do mojego domu, jakby był jakimś schronieniem. Jase, który łatwo mógł mnie dogonić albo wyprzedzić, cofa się, zostawiając mnie szarpiącą się z ciężkimi drzwiami i zataczającą się w przedsionku, a następnie kulącą się, przyciskającą ręce do oczu.

Spodziewam się, że będę musiała za to zapłacić. Alice dzwoniąca do drzwi, żeby mnie pobić. Pani Garrett wpadająca z Patsy na rękach, po raz pierwszy na mnie zła. Albo George o dużych oczach, zadziwiony, pytający, co się dzieje z Czarodziejką z Księżycyca. Ale nic takiego się nie zdarza. Jest tak, jakbym nie poczuła nic, upadając twarzą na ziemię.

## Rozdział czterdziesty piąty

To nie mnie potrącił samochód. To nie ja mam ośmioro dzieci i spodziewam się następnego. Nie jestem Jase'em, starającym się utrzymać to wszystko w kupie, podczas gdy myślenie o obrotach sklepu mnie uspokaja.

Budzenie się każdego poranka z poczuciem, jakbym naciągała kołdrę na głowę, daje mi kopa nienawiści do samej siebie. To nie mnie zdarzyło się nieszczęście. Ja jestem po prostu dziewczyną z łatwym życiem i funduszem powierniczym. Właśnie taka, jak powiedziałam Jase'owi. I jeszcze nie mogę wstać z łóżka.

Mama jest ostatnio bardzo pogodna i troskliwa, mieszając mój koktajl wcześniej, niż mam okazję to zrobić, zostawiając na moim łóżku małe paczki z radosnymi notatkami: „Widziałam ten ładny top i wiem, że będzie świetnie wyglądać na tobie”. „Kupiłam sobie sandały i wiem, że też ci się spodobają!” Nic nie mówi o tym, że śpię do południa. Ignoruje moje monosylabiczne odzywki, sama mówiąc więcej, by wypełnić ciszę. Przy obiedzie trajkocze z Clayem o załatwieniu mi w przyszłym roku stażu w Waszyngtonie albo może znalezieniu czegoś w Nowym Jorku, rozkładając przede mną wachlarz możliwości jak odpryski farby. „Jak wspaniale wyglądałaby twoja przyszłość!” — a ja dziobię swój chowder.

Nie martwiąc się więcej tym, co powie mama, złożę wypowiedzenie w B&T. Świadomość, że Nan jest zaledwie kilka jardów dalej, promieniując gniewem i urazą przez ściany sklepu z upominkami, sprawia, że czuję się chora. Nie mogę skoncentrować się na obserwowaniu ludzi w basenie, gdy wpatruję się nieruchomym wzrokiem w pustkę.

W przeciwieństwie do Felipe'a w Breakfast Ahoy, pan Lennox nie jest wrogo nastawiony. Za to protestuje, gdy wręczam mu swoje wypowiedzenie i próbuję oddać mój czysty, schludnie złożony garnitur, marynarkę i spódnicę.

— Nie teraz, panno Reed! Na pewno... — Rzuca okiem przez okno na zewnątrz, robi głęboki wdech, po czym podchodzi i zamyka drzwi do biura. — Z pewnością nie chcesz dokonać pochopnego wyboru.

Mówię mu, że muszę, niespodziewanie dotknięta tym, jak jest wytrącony z równowagi. Wyciąga z kieszeni marynarki niewielką jedwabną chustkę w tureckie wzory i podaje mi ją.

— Zawsze byłaś znakomitą pracownicą. Twoja etyka pracy jest niezrównana. Nie cierpię patrzeć, jak pochopnie rzucasz pracę. Jest... może... jakaś delikatna sytuacja w pracy, która sprawia, że czujesz się niekomfortowo? Nowy ratownik? Czyni ci niechciane awanse?

Część mnie chce histerycznie zachichotać. Ale duże brązowe oczy pana Lennox, wyolbrzymione przez jego szkła, emanują szczerością i niepokojem.

— Muszę zamienić z kimś kilka słów? — pyta. — Jest coś, co ci leży na sercu?

Żebyś tylko wiedział.

Przez chwilę na usta cisną mi się słowa. Moja matka omal nie zabiła ojca chłopaka, którego kocham, a teraz złamałam mu serce i nie mogę nikomu o tym opowiedzieć. Moja najlepsza przyjaciółka nienawidzi mnie za coś, co ona sama zrobiła, i nie mogę tego naprawić. Nie wiem, kim stała się moja własna matka, nie poznaję samej siebie i wszystko jest okropne.

Wyobrażam sobie, jak wylewam panu Lennoxowi, który jest wytrącony z równowagi, nie znając dokładnej godziny dostawy drewna, te wszystkie żale. Nie ma mowy.

— To nie ma nic wspólnego z pracą. Po prostu muszę odejść.

Kiwa głową.

— Przyjmuję twoją rezygnację z dużym ubolewaniem.

Dziękuję mu. Gdy odwracam się do wyjścia, woła:

— Panno Reed!

— Tak?

— Mam nadzieję, że nadal będziesz trenować pływanie. Możesz zatrzymać klucze. Nasza umowa o treningach nadal obowiązuje.

Uznając to za prezent, odpowiadam:

— Dziękuję.

I wychodzę, zanim powiem coś więcej.

Bez żadnych obowiązków, żadnej opieki nad dziećmi, podawania śniadań albo dyżurów ratowniczych, dni i noce zlewają się z sobą. Nie mogę usiedzieć nocami i spędzam je, włączając się niespokojnie po domu albo oglądając nieśmiertelne filmy, w których każdy jest w gorszej sytuacji niż ja.

Dlaczego nie dzwonię do siostry?

Odpowiedź jest, oczywiście, taka, że to robię. Oczywiście dzwonię. Patrzy na to z dystansu, zna mamę, mnie. Zna to wszystko. Ale oto, co dzieje się, gdy dzwonię:

Prosto na pocztę głosową. Chrapliwy głos mojej siostry, głęboki od gromkiego śmiechu, tak znajomy i tak odległy. „Masz mnie. Albo nie, poważnie. Wiesz, co robić. Porozmawiaj ze mną! Mogę nawet oddzwonić do ciebie”. Wyobrażam sobie: Tracy na plaży, jasnoniebieskie oczy zmrużone w słońcu, ciesząca się tym beztroskim latem, na które, jak powiedziała mamie, zarobiła, telefon w kieszeni Flipa albo wyłączony, wielkie rzeczy. Ich doskonałe lato. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale rozłączam się.

Najdziwniejsza rzecz? Mama zwykle zauważała niemal niewidoczną plamkę na mojej koszulce albo że nie nałożyłam na włosy wystarczająco dużo odżywki, czy też że mój ustalony poranny porządek dnia odbiegał w jakiś sposób od rutyny: „Zawsze pijesz koktajl przed pracą, Samantha. Dlaczego jesz tosta? Czytałam, że zmiana w ustalonym porządku dnia nastolatków może być poważną oznaką uzależnienia od narkotyków”.

Ale teraz? Chmury dymu z garnka mogłyby wypływać spod moich drzwi i prawdopodobnie nie zapobiegłoby to wysypowi przyklejanych karteczek, które ostatnio są jej podstawową formą komunikowania się ze mną.

„Proszę, odbierz mój jedwabny kostium z czyszczenia. Płócienne krzesło w studiu ma plamę, użyj OxiClean. Dziś wieczorem będę bardzo późno; włącz alarm, zanim pójdziesz spać”.

Porzuciłam wszystkie moje prace i stałam się samotniczką. A moja matka zdaje się tego nie zauważać.

— Kochanie! W samą porę — mówi jowialnie mama, gdy wlokę się do kuchni w odpowiedzi na jej „Halo, Samantha, jesteś potrzebna!”. — Właśnie pokazywałam temu miłemu panu, jak przyrządzam swoją lemoniadę. Kurt, mówiłeś, że tak masz na imię?

Mama zwraca się do człowieka siedzącego koło naszej wyspy kuchennej po wesołym zamachaniu do mnie skrobaczką do cytryn.

— Carl — odpowiada. Znam go. To pan Agnoli, który robi zdjęcia dla „Stony Bay Bugle”. Zawsze fotografował zwycięskie zespoły pływackie. Teraz siedzi w naszej kuchni, wygląda na zafascynowanego mamą.

— Pomyśleliśmy o szybkiej sesji zdjęciowej z panią senator przygotowującą w domu lemoniadę. Metafora, co może zrobić dla stanu — mówi do mnie pan Agnoli.

Mama odwraca się i sprawdza mieszankę cukru i wody topiącą się na kuchence, pouczając pana Agnolego, że cała sztuka polega na dodaniu startej skórki cytryny, która naprawdę załatwia sprawę.

— Wracam na górę — mówię i odchodzę. Może jeśli uda mi się zasnąć na sto lat, obudzę się w lepszej rzeczywistości.

Budzę się potrząsana przez mamę za ramię.

— Wzięłam wolne na cały dzień. — Głaszcz mnie teraz po plecach. — Byłam tak zajęta,

zanieczywałam cię, wiem. Pomyślałam, że może pójdziemy do spa?

— Do spa?

Cofa się trochę, słysząc brzmieniu mojego głosu, po czym kontynuuje takim samym usypiającym tonem:

— Pamiętasz, jak miałyśmy zwyczaj robić to pierwszego dnia wakacji? To była nasza tradycja, a w tym roku ją zanieczybałam. Pomyślałam, że mogę zrobić to dla ciebie, a potem mogliśmy pójść na lunch?

Podnoszę się gwałtownie.

— Naprawdę myślisz, że to wszystko załatwi? Nie jestem tą, której musisz pomóc.

Podchodzi do okna, zerkając na trawnik Garrettów.

— Przestań. To nic nie da.

— Może gdybym mogła zrozumieć, dlaczego nie, mamó.

Wygrzebuję się z łóżka i stoję obok niej przy oknie, patrząc z góry na dom Garrettów, zabawki w ogródku, nadmuchiwane materace pływające w basenie, mustanga.

Zaciska szczęki.

— Chcesz prawdy? Świetnie! Nigdy nie cieszyło mnie, gdy ty i Tracy byliście małże. Nie jestem jak ta kobieta tam... — Wskazuje gestem za okno w kierunku Garrettów. — Nie jestem jakąś kłaczą rozplodową. Chciałam mieć dzieci, pewnie. Byłam dorastającą jedynaczką, zawsze samotną. Gdy spotkałam twojego ojca z jego dużą rodziną, pomyślałam, że... ale nie cierpię bałaganu i smrodów, i ciągłego zakłócania spokoju. Jak się okazało, też miał dosyć całego tego dzieciństwa. Więc postanowił nie wracać do tego i pozostawił mnie z dwoma niemowlakami. Mogłam pozwolić sobie na dziesięć niań, a miałaś tylko jedną, i tylko w dni powszednie. Przetrwałam ten czas. Teraz w końcu znalazłam swoje miejsce.

Wyciąga rękę, chwytając znowu mnie za ramię, jakby jednak ponownie próbując wybudzić mnie ze snu.

— Chcesz, żebym z tego zrezygnowała?

— Ale...

— Pracuję tak ciężko, pracuję tak mocno dłużej, niż możesz pamiętać. Powinnam przez resztę życia płacić pokutę za jedną noc, kiedy mogłam się odprężyć i dobrze zabawić?

Znowu targa mnie za ramię. Jej twarz jest blisko mojej.

— Naprawdę myślisz, że to w porządku, Samantha?

Nie wiem już, co jest w porządku. Boli mnie głowa, a serce drętwieje z zaskoczenia. Chcę zrozumieć jej argumenty i zrozumieć, co jest nie w porządku, ale to wszystko jest tak poplątane.

Wciąż obserwuję Garrettów, z ulgą odnotowuję wszelkie oznaki normalności: Alice opalającą się na leżaku, Duffa i Harry'ego walczących pistoletami na wodę. Ale nie czuję przy tym tego, co kiedyś — nadziei i kojącego przekonania, że istnieją światy inne niż mój, gdzie może się zdarzyć coś niezwykłego. Czuję się jak na wygnaniu, jak Dorotka, która wróciła do Kansas, a cały jej świat znów jest czarno-biały.

Bardzo się staram unikać wspomnień związanych z Jase'em, ale one są wszędzie wokół. Wczoraj znalazłam pod łóżkiem jego koszulkę. Zamarłam w przerażeniu, że jej dotąd nie zauważyłam — ani mama. Wsunęłam ją w głąb mojej szuflady z T-shirtami. A potem wyjęłam i spałam w niej.

## Rozdział czterdziesty szósty

Idę podjazdem; jedno z nielicznych moich wyjść na dwór, kiedy czuję dotyk na ramieniu i odwróciwszy się, widzę Tima.

— Co ty robisz, do cholery? — pyta, chwytając mnie za rękę.

— Zostaw mnie! — Wyrrywam mu się.

— Nie wygłupiaj się. Nie zgrywaj przy mnie Królowej Śniegu, Samantho. Rzuciłaś Jase'a bez wyjaśnienia, Nan nie umie mi powiedzieć o tobie nic więcej niż to, że już się nie przyjaźnicie. Spójrz na siebie, wyglądasz jak widmo, chuda i blada. Nie przypominasz już tej dziewczyny, którą byłaś. Co się z tobą dzieje, do cholery?

Wyciągam klucz i przekręcam go w zamku. Mimo gorąca mam wrażenie, że ciąży mi w dłoni i chłodzi jak kamień.

— Nie chcę z tobą rozmawiać, Tim, to nie twoja sprawa.

— Opuść sobie te teksty. On jest moim przyjacielem. To ty wprowadziłaś go w moje życie. On mi pomógł się pozbierać. Nie mam zamiaru stać z boku i przyglądać się, jak nim pomiatasz, skoro jego świat już i tak się rozpada. Ma dość na głowie.

Otwieram drzwi i upuszczam torebkę, która również wydaje się ciężka jak ołów. Głowa mnie boli. Tim oczywiście, jak zawsze bezlitosny, wchodzi za mną, a za naszymi plecami drzwi same się zamykają.

— Nie mogę z tobą rozmawiać.

— Dobrze. Pogadaj z Jase'em.

Okręcam się w miejscu, by spojrzeć na niego. Nawet ten ruch sprawia ból. Może powoli sama zamieniam się w kamień, chociaż wtedy nie czułabym takiego bólu, prawda?

Tim wpatruje się w moją twarz i jego gniew powoli ustępuje miejsca z troskaniu.

— Samantho, proszę. Nie jesteś sobą. Tak zachowują się zwariowane odlotowe dziewczyny na stanowiskach. Albo dupki mojego pokroju. Znam cię od dzieciaka, już wtedy byłaś zrównoważona. Ty i Jase... byliście tacy solidni. Czegóż takiego się nie rzuca. Co ci odbiło, do jasnej?

— Nie mogę z tobą rozmawiać — powtarzam.

Jego chłodne szare oczy powoli przesuwają się po mojej twarzy, oceniając mnie.

— Musisz z kimś pogadać. Jeśli to nie Jase, jeśli Nan... nie jestem pewien, czy twoja mama... z kim porozmawiasz?

I nagle w tej chwili zaczynam płakać. Dotąd w ogóle nie płakałam, a teraz nie mogę przestać. Tim, najwyraźniej przerażony, rozgląda się po pokoju, jakby w nadziei, że ktoś, ktokolwiek, wyskoczy z kąta i uratuje go przed tą rozsłochaną dziewczyną. Powoli zsuwam się po ścianie, nie przestając



płakać.

— Cholera, przestań. Chyba nie jest aż tak źle. Cokolwiek to jest... można sobie z tym poradzić.

— Tim podchodzi do blatu kuchennego, wyciąga kawał papierowego ręcznika z porcelanowego podajnika i podaje mi. — Wytrzyj oczy. Wszystko można naprawić. Nawet mnie. Posłuchaj, zapisałem się na kurs do matury. Chcę się wyprowadzić. Mój kumpel Connor z AA ma mieszkanie nad warsztatem i zamieszkać z nim, czyli nie będę musiał sobie radzić z rodziną i mogę... masz, wytrzyj nos.

Biorę od niego szorstki papier i wydmuchuję nos. Wiem, że twarz mam zaczerwienioną i spuchniętą, a teraz, jak zaczęłam płakać, możliwe, że już nigdy nie przestanę.

— No dobrze. — Tim niezgrabnie gładzi mnie po plecach, co przypomina bardziej próby usunięcia mi czegoś z gardła niż pocieszenie. — Cokolwiek się dzieje, będzie dobrze... ale nie wierzę, że rzucanie Jase'a może pomóc.

Wybucham jeszcze mocniejszym płaczem.

Ze zrezygnowaną miną Tim oddziera kolejne ręczniki.

— Mogę...? — Teraz zaczyna mi się czkawka, która nadchodzi po zbyt mocnym płaczu, co jeszcze utrudnia złapanie oddechu.

— Czy możesz co...? Wyrzuć to z siebie.

— Mogę się wyprowadzić z tobą?

Tim zamiera w bezruchu z ręką uniesioną w połowie wycierania mi oczu.

— Co?

Nie wystarczy mi oddechu — albo może odwagi — żeby powtórzyć.

— Samantha, nie możesz... owszem, pochlebiasz mi, ale... po co, do licha, miałabyś robić coś takiego?

— Nie mogę tu zostać. Z nimi obok i z mamą. Nie mogę spojrzeć w twarz Jase'owi i nie znoję jej widoku.

— Chodzi ci o Grace? Co zrobiła? Powiedziała, że odbierze ci twój fundusz powierniczy, jeśli nie rzucisz Jase'a?

Kręcę głową, nie patrząc na niego.

Tim zsuwa się po ścianie obok mnie, wyciąga przed siebie długie nogi, podczas gdy ja siedzę obok niego skurczona, z nogami przy piersi.

— No już, wal, mała. — Patrzy mi w twarz bez mrugnięcia. — Dowal mi. Zaraz idę na spotkania, nie uwierzysz, jakie paskudztwa na nich słyszałem.

— Wiem, kto przejechał pana Garretta — wyrzucam z siebie.

Tim robi niedowierzającą minę.

— Niech mnie szlag. Naprawdę? Kto?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Oszalałaś? Musisz powiedzieć. Powiedz Garrettom. Powiedz Jase'owi. Może pozwą drania i dostaną miliony. A skąd to w ogóle wiesz?

— Byłam tam, wtedy wieczorem. W samochodzie. Z mamą.

Pod piegami jego twarz blednie, a włosy płoną jeszcze żywszą czerwienią.

Cisza zapada między nami jak kurtyna.

W końcu Tim ją przerywa.

— Chyba wybrałem zły dzień na zerwanie z amfetaminą.

Wbijam w niego wzrok.

— Przepraszam, żarcik samolotowy. Jestem niedojrzały. Wiem, co mówisz. Tylko nie chcę naprawdę wiedzieć, co mówisz.

— No to idź.

— Samantho — Tim chwyta mnie za rękaw — nie możesz siedzieć cicho. Grace popełniła przestępstwo.

— Ale to zniszczy jej życie.

— Więc ona może niszczyć życie innym?

— To moja matka, Tim.

— No jasne, ale twoja mama naprawdę spieprzyła porządnie. I teraz z tego powodu będziesz niszczyć życie Jase'a i pani G., i ich dzieciaków? Nawet twoje...? To dopiero popieprzone.

— To co mam zrobić? Iść do nich, spojrzeć Jase'owi w oczy i powiedzieć: „Przykro mi, wiesz, kim jest ta osoba, w której istnienie nie wierzyłeś, taka, która potrafi człowieka i ucieka? To twoja sąsiadka. Moja mama”.

— On zasługuje na to, by wiedzieć.

— Nie rozumiesz.

— Owszem, nie rozumiem. Coś takiego nie zdarza się codziennie. Boże, potrzebuję dymka.  
— Klepie się po kieszonce koszuli, ale nic w niej nie ma.

— To ją zniszczy.

— I jeszcze czegoś bym się napił.

— Tak, to by na pewno pomogło — odpowiadam. — Właśnie dlatego to się stało. Wypiła za dużo wina, prowadziła... — Chowam twarz w dłoniach. — Spałam i nagle poczułam okropne uderzenie.  
— Spoglądam na niego przez palce. — Nie potrafię o tym zapomnieć.

— Uch, mała. Cholera, niech to. — Tim ostrożnie otacza ramieniem moje drżące ramiona.

— Clay kazał jej jechać dalej, wycofać i jechać, a ona... ona go posłuchała. — Słyszę, jak głos

mi się załamuje, wciąż z niedowierzaniem. — Tak po prostu.

— Wiedziałem, że to drań. — Tim spluwa. — Wiedziałem. I to najgorszy typ, drań elegancik. Przez kilka minut siedzimy w milczeniu plecami oparci o ścianę.

— Musisz powiedzieć Jase'owi — powtarza Tim. — Musisz opowiedzieć mu o wszystkim. Przysuwam pięści do policzków.

— Musiałaby zrezygnować, mogłaby iść do więzienia, a wszystko przeze mnie. — Teraz, kiedy już przerwałam milczenie, słowa płyną mi z ust strumieniem.

— Nie, nie, mała. Przez nią samą. To ona źle zrobiła. A ty zrobiłabyś wtedy coś dobrego.

— Tak jak ty z Nan? — pytam cicho.

Tim rzuca mi szybkie spojrzenie i otwiera szerzej oczy. Potem przekrzywia głowę, wpatruje się we mnie, w końcu na jego twarzy pojawia się wyraz zrozumienia. Czerwieni się i opuszcza wzrok na dłoń.

— Eee... No tego — odzywa się w końcu. — Nan to niezła świruska, lubię ją wkurzać i trochę jej zatruć życie... ale to moja siostra.

— A to moja matka.

— To co innego — mruczy Tim. — Rozumiesz, ja naprawdę przerąbałem sobie życie. Nie oszukiwałem w papierach, ale robiłem wszelkie inne głupoty, które przyszły mi do głowy. Niemal jak karma, której nie mogłem się pozbyć. Ale ty jesteś inna. Wiesz, kim jesteś.

— Teraz jestem kompletnym zerem.

Spogląda na mnie.

— No.. tak jakby. Ale jak się wysmarkasz i może przyczesz włosy...

Nie mogę powstrzymać śmiechu, co jeszcze potęguje katar i wzmacnia ogólne wrażenie, jakie w tej chwili sprawiam.

Tim unosi w górę oczy, prostuje się i podaje mi całą rolkę ręczników.

— Rozmawiałaś z mamą? Pan Garrett złapał jakieś zakażenie... ta wysoka gorączka i wszystko jeszcze się pogarsza. Może powinna wiedzieć, jak z nim kiepsko.

— Próbowałam, jasne, że próbowałam. Jakbym mówiła do ściany. Co się stało, to się nie odstanie, już po wszystkim, jej rezygnacja w niczym Garrettom nie pomoże i tak dalej.

— Wytoczenie jej sprawy akurat by im pomogło — mamrocze Tim. — A policja? Może powinnaś zawiadomić ich anonimowo? Nie, potrzebują dowodu. A jakbyś najpierw porozmawiała z panią Garrett? To świetna kobieta.

— Tim, nie mogę znieść widoku ich domu, a co dopiero rozmowy z panią Garrett.

— No to zacznij od Jase'a. Chłopak się sypie, Sam. Pracuje w sklepie, lata do szpitala i wciąż ćwiczy jak wariat, jeszcze próbuje ogarnąć sprawy w domu... i cały czas zastanawia się, co się, do

cholery, stało z tą dziewczyną — czy nie poradziłaś sobie z sytuacją, czy to on zrobił coś złego, czy może według ciebie jego rodzina to same zera i nie chcesz mieć z nimi do czynienia.

— To mama — odpowiadam odruchowo. — Nie ja — wciąż wracam do starej śpiewki.

A jednak... to wciąż ja. Siedzę cicho i udaję. Robię to samo, co mama. W końcu bardzo ją przypominam.

Podnoszę się.

— Wiesz, gdzie jest Jase? W sklepie?

— Sklep jest zamknięty, Samantho, jest po piątej. Nie wiem, gdzie jest. Zamknąłem sklep, ale mam samochód i numer jego komórki. Zawiozę cię do niego. Nie, nie zamierzam zostawać ani nic w tym guście, musicie to załatwić między sobą. — Zgina łokieć, oferując mi ramię jak dziewiętnastowieczny dżentelmen. Pan Darcy. W nieco nietypowych okolicznościach.

Biorę głęboki wdech i obejmuję palcami jego łokieć.

— I jeszcze jedno — dodaje Tim. — Jest mi tak cholernie przykro, Samantho. Tak cholernie, cholernie przykro z powodu tego wszystkiego.

## Rozdział czterdziesty siódmy

Od pierwszego dnia wchodziłem do Garrettów bez pukania, jednak teraz, kiedy Tim kładzie dłoń na klamce drzwi z siatki, kręcę głową. Nie ma dzwonka, więc głośno pukam w metalową ramę, wprawiając ją w drżenie. Słyszę schrypnięty głos George'a gadającego bez przerwy w pokoju obok, więc na pewno ktoś jest w domu.

Do drzwi podchodzi Alice; z jej twarzy raptownie znika uśmiech.

— Czego chcecie? — pyta przez siatkę.

— Gdzie jest Jase?

Ogląda się przez ramię i wychodzi na schody, zamykając za sobą drzwi. Jest ubrana w biały stanik od bikini i spłowiałe szorty jeansowe. Ze stojącego obok mnie Tima skupienie ulatuje szybciej niż hel z przekłutego balonika.

— A po co ci on? — Alice zagradza nam drogę i krzyżuje ramiona.

— Muszę mu coś... powiedzieć. — Głos mam schrypnięty. Odchrząkuję. Tim przysuwa się nieco bliżej — albo chce mi okazać wsparcie, albo szuka okazji, by zerknąć za dekolt Alice.

— Jestem pewna, że wszystko już mu powiedziałaś — odpowiada dziewczyna bez ogródek.

— Może wracaj tam, skąd przysłaś.

Jakaś część mnie przyzwyczajona do wykonywania poleceń, do posłuszeństwa, córka mojej mamy, ucieka ze łzami. Ale reszta — ja prawdziwa — nie ugina się. Nie mogę wrócić tam, skąd przysłałam. Ta Samantha już znikła.

— Alice, muszę się z nim zobaczyć. Jest w domu?

Alice kręci głową. Od czasu wypadku pana Garretta zaprzestała ciągłych zmian koloru włosów, które teraz przybrały kolor brązowy z jasnymi kosmykami i widocznymi odrostami.

— Nie widzę powodu, dla którego miałabym ci to powiedzieć. Zostaw go w spokoju.

— To ważne, Alice — wtrąca się Tim, który najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą.

Alice wbija go w podłogę palącym spojrzeniem, po czym zwraca się znów do mnie.

— Samantho, nie mamy czasu ani głowy do twoich dramatów. Zaczęłam już myśleć, że może jesteś inna niż te wszystkie księżniczki ze szkół prywatnych, ale jesteś akurat taka sama jak one. Mój brat nie potrzebuje kogoś takiego.

— Twój brat nie potrzebuje kogoś, kto walczy za niego. — Żałuję, że nie jestem wyższa, żeby móc nad nią górować i może nawet onieśmielić; niestety jesteśmy tego samego wzrostu. Tym łatwiej jest jej rzucać teraz mordercze spojrzenie prosto w moje oczy.

— To mój brat, nic dziwnego, że walczę za niego — ripostuje Alice.

— Chwila, moment. — Tim staje tuż obok, patrząc na nas z góry. — Niewiarygodne, że wtrącam

się w kłótnię dwóch gorących lasek, ale wszystko się popieprzyło. Alice, Jase naprawdę musi porozmawiać z Samantha. Odłóż swój miecz.

Alice nie zwraca na niego uwagi.

— Wiem, że chcesz sobie poprawić samopoczucie, powiedzieć mu, że nie chciałaś go zranić i że powinniście zostać przyjaciółmi i inne takie pierdoły. Ale odpuść sobie i wyjdź. Tutaj jesteś skończona.

— Czarodziejka z Księżyca! — odzywa się zadowolony głosik i George wpycha nos w oczko siatki drzwi. — Dzisiaj na śniadanie miałem pasztet eskimoski. Wiesz, że tak naprawdę wcale nie robią go Eskimosi? Ani — zniża głos — nie robią go z Eskimosów. A wiesz, że Eskimosi robią lody z tłuszczu fok? To trochę obrzydliwe.

Porzucam na chwilę Alice i schylam się.

— George, czy Jase jest w domu?

— Jest w swoim pokoju. Mam cię zaprowadzić? Albo iść po niego? — Jego twarz promienieje na mój widok; nie okazuje nawet śladu wyrzutu za moje zniknięcie. George potrafi wybaczać. Zastanawiam się, co Garrettowie — Jase — powiedzieli o mnie jemu — i całej reszcie. Jednak teraz jego twarz się zachmurza.

— Jak myślisz, chyba nie robią lodów z małych foczek? Tych białych i puszystych?

Alice jeszcze mocniej opiera się o drzwi.

— George, Samantha wychodzi. Nie zwracaj Jase'owi głowy.

— Nigdy w życiu nie zrobiliby lodów z małych foczek — odpowiadam dziecku. — Oni robią lody tylko z... — Nic nie przychodzi mi do głowy.

— Z fok śmiertelnie chorych — dopowiada Tim. — Takich o skłonnościach samobójczych.

George wydaje się zdezorientowany, co jest zrozumiałe.

— Fok, które chcą zostać przerobione na lody — dodaje szybko Alice. — Same się zgłaszają na ochotnika. A potem jest losowanie. To wielki zaszczyt.

George kiwa głową, przyswajając informacje. Przyglądamy mu się wszyscy, oceniając, na ile uwierzył. Nagle za jego plecami odzywa się głos.

— Sam?

Ma włosy rozczochrane i wilgotne po prysznicu. Cienie pod oczami pogłębiły mu się, a szczęka rysuje się mocniej.

— Cześć, stary — zaczyna Tim. — Przyprowadziłem twoją dziewczynę, podziwiam twoją strażniczkę i tak dalej. Ale — ciągnie, robiąc krok w tył — już lecę. Do zobaczenia później. Alice, jakbyś miała ochotę na zapasy w błocie, dzwoń o każdej porze.

Alice niechętnie odsuwa się, kiedy Jase otwiera drzwi, po czym wzrusza ramionami i wchodzi do

domu.

Jase wychodzi przed dom z twarzą pozbawioną wyrazu.

— Zatem — mówi — po co przyszłaś?

George wraca do siatki.

— Myślisz, że one mają smaki? Te lody? Na przykład foka z płatkami czekolady albo foka truskawkowa?

— Sprawdzimy później, dobrze, mały? — odpowiada Jase.

George odsuwa się.

— Masz garbusa albo motocykl? — pytam.

— Mogę wziąć samochód — odpowiada. — Joel wziął motocykl do pracy. — Zwraca się z powrotem do wnętrza domu i woła: — Al, biorę samochód!

Nie słyszę wyraźnie odpowiedzi Alice, ale na pewno składa się ona wyłącznie z wyrazów niecenzuralnych.

— Dokąd jedziemy? — pyta, kiedy już siedzimy w samochodzie.

Żebym to ja wiedziała.

— Do parku McGuire — proponuję.

Jase krzywi się.

— W tej chwili to miejsce raczej źle mi się kojarzy, Sam.

— Wiem — odpowiadam, kładąc mu dłoń na kolanie. — Ale chcę porozmawiać na osobności. Możemy pójść do latarni lub gdzieś indziej, jeśli wolisz. Musimy tylko zostać sami. — Jase zerka na moją rękę; cofam ją.

— No to niech będzie McGuire, w kryjówce powinniśmy być bezpieczni — mówi głosem równym i wypranym z emocji. Wycofuje, naciskając pedał gazu mocniej niż zwykle, po czym skręca w główną ulicę.

Między nami panuje cisza, ta niezręczna cisza, której dotąd nie znaliśmy. Moja dobrze wyszkolona część (córeczka mamusi) ma ochotę zagadać ją banałami typu: „Piękna pogoda, wszystko dobrze, a co u ciebie? Świetnie! A jak sobie radzi drużyna Soxów?”.

Jednak nie odzywam się. Wbijam wzrok w dłonie na kolanach, chwilami rzucając ukradkowe spojrzenia na jego spokojny profil.

Kiedy przeskakujemy z kamienia na kamień do przekrzywionej skały na rzece, Jase automatycznie podaje mi pomocną dłoń. Uścisk jego ciepłej, silnej ręki jest tak znajomy, tak bezpieczny, że kiedy mnie puszcza na skale, czuję się niekompletna.

— No to... — zaczyna, siadając i obejmując ramionami kolana. Nie patrzy na mnie, lecz na wodę. Może istnieją właściwe słowa w takiej sytuacji. Taktowny sposób rozpoczęcia rozmowy. Przekonujące wyjaśnienie. Ale ja ich nie znam. Z moich ust wydobywa się nieozdobiona, okropna prawda.

— To moja mama potrąciła twojego ojca. To ona prowadziła samochód.

Jase gwałtownie odwraca głowę i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Widzę, jak pod opalenizną jego skóra blednie. Rozchyła usta, lecz nie odzywa się.

— Byłam tam, spałam na tylnym siedzeniu. Nie widziałam. Nie byłam pewna, co się stało. Przez kilka dni. Nie zdawałam sobie sprawy. — Wytrzymuję jego spojrzenie, czekając, aż zaskoczenie ustąpi miejsca pogardzie, a pogarda obrzydzeniu, upewniając się, że dam radę. Jase jednak po prostu się we mnie wpatruje. Zastanawiam się, czy jest w szoku i czy powinnam powtórzyć to, co powiedziałam. Pamiętam, jak po przejeździe z Timem dał mi batonik czekoladowy, gdyż według Alice czekolada pomaga ludziom w szoku. Szkoda, że nie mam nic przy sobie. Czekam, aż się odezwie, powie cokolwiek, lecz Jase wygląda tak, jakby dostał w dołek i stracił dech.

— Clay też tam był — dodaję niepotrzebnie. — To on kazał jej odjechać, zresztą to nieważne, bo to ona to zrobiła, ale...

— Ale czy się chociaż zatrzymali? — Jase podnosi schrypnięty głos. — Sprawdzili, czy oddycha? Powiedzieli mu, że pomoc jest w drodze? Cokolwiek?

Staram się zaczerpnąć powietrza, ale jakoś mi to nie wychodzi.

— Nie. Mama cofnęła i pojechała dalej. Clay zadzwonił po pomoc z budki niedaleko.

— Zostawili go samego na deszczu, Samantho.

Kiwam głową, starając się przełknąć kulę drutu kolczastego, która utkwiała mi gardle.

— Gdybym wiedziała, gdybym sobie uświadomiła... — mówię. — Wysiadłabym. Naprawdę. Ale kiedy to się zdarzyło, spałam, oni pojechali dalej... to wszystko działo się tak szybko.

Jase prostuje się i odwraca wzrok w kierunku wody. Potem mówi coś niskim głosem, lecz jego słowa porywa wiatr od wody. Przysuwam się bliżej. Chcę go dotknąć, zasypać dzielącą nas przepaść, lecz Jase jest nieruchomy i sztywny. Roztoczył wokół siebie pole siłowe, które mnie odpycha.

— Kiedy się dowiedziałaś? — pyta tym samym niskim głosem.

— Coś mi świtało, kiedy wspomniałaś o Shore Road, ale...

— To było dzień później — przerywa mi Jase, tym razem głośno. — Następnego dnia, kiedy lekarze wiercili dziury w głowie taty, a policja wciąż zachowywała się tak, jakby mieli znaleźć sprawcę. — Wsuwa rękę w kieszenie i odchodzi kawałek, odsuwając się od równego fragmentu skały do jej poszarpanej części schodzącej do wody.



Idę za nim i dotykam jego ramienia.

— Ale ja naprawdę nie wiedziałam. Nie dopuszczałam tego do siebie. Do czasu, kiedy usłyszałam rozmowę Claya i mamy tydzień później.

Jase nie odwraca się do mnie; wciąż patrzy w wodę. Ale i nie odsuwa się dalej.

— I wtedy uznałaś, że to dobra chwila na zerwanie? — W jego zwykle pełnym ekspresji głosie tym razem nie ma żadnych emocji.

— Wtedy uznałam, że nie potrafię spojrzeć ci w oczy. Clay zagroził, że zerwie wszystkie te umowy, które mama miała na kampanię ze sklepem twojego ojca, i ja...

Jase zastanawia się nad moimi słowami; w końcu zerka na mnie.

— Dużo tego naraz.

Kiwam głową.

— Nie potrafię o tym zapomnieć; wciąż widzę tatę, który leży tam na deszczu. Upadł na twarz, wiedziałaś o tym? Samochód go uderzył i wyrzucił w powietrze, zapewne na jakieś parę metrów. Kiedy karetka dotarła, znalazła go w kałuży. Jeszcze kilka minut i byłby się utopił.

Znów ogarnia mnie przemożna chęć ucieczki. Nie ma nic do powiedzenia, nie da się tego naprawić.

— On niczego nie pamięta — ciągnie Jase. — Pamięta tylko, że zanosilo się na deszcz, a potem wszystko znikło, obudził się dopiero w szpitalu. Ale wciąż mi się wydaje, że musiał coś czuć. Wiedział, że jest sam, ranny i nie ma przy nim nikogo. — Odwraca się do mnie gwałtownie. — Zostałabyś z nim?

Podobno nigdy nie wiemy, co byśmy zrobili w jakiejś wymyślonej sytuacji. Chcemy myśleć, że podarowalibyśmy swoją kamizelkę ratunkową komuś innemu i ze stoickim spokojem machali mu z pokładu tonącego Titanica, że rzucilibyśmy się przed lufę przestępcy, zasłaniając kogoś obcego albo zamiast się ratować po ataku pobiegli w górę Bliźniaczych Wież w poszukiwaniu rannych. Jednak naprawdę nie wiemy na pewno, czy kiedy świat się wali, przedłożylibyśmy nad wszystko własne bezpieczeństwo, czy też bezpieczeństwo byłoby ostatnią rzeczą, o jakiej byśmy myśleli.

Spoglądam w oczy Jase'a i mówię mu jedyną prawdę, jaką mam.

— Nie wiem. Nie dano mi tego wyboru. Ale wiem, co się dzieje teraz. I chcę zostać z tobą.

Trudno powiedzieć, kto pierwszy wyciągnął ramiona; zresztą to się nie liczy. Trzymam Jase'a w ramionach i ściskam go mocno. Ostatnio tyle płakałam, że już brakło mi łez. Ramiona Jase'a drżą, ale stopniowo uspokajają się. Przez długi czas nie padają żadne słowa.

I dobrze, bo nawet te najważniejsze — „Kocham cię. Przepraszam. Wybacz. Jestem przy tobie” — to tylko namiastka tego, co znacznie lepiej można wyrazić bez słów.

## Rozdział czterdziesty ósmy

Droga z powrotem do Garrettów upływa w takiej samej ciszy, jak droga do parku, jednak to całkiem inna cisza. Wolna dłoń Jase'a jest spleciona z moją, o ile nie zmienia biegów, a ja przechylam się przez szparę między siedzeniami i kładę mu głowę na ramieniu.

Skręcamy w podjazd obok furgonetki, kiedy Jase pyta:

— I co teraz, Sam?

Przyznanie się przed nim było najtrudniejsze, ale to nie koniec. Czeka mnie jeszcze spojrzenie w oczy Alice, pani Garrett. Mojej mamie.

— Nie myślałam nad tym.

Jase kiwa głową, zagryzając dolną wargę i przestawia rączkę skrzyni biegów do postoju.

Zaciska szczęki i spuszcza wzrok na swoje dłonie.

— Jak chcesz to załatwić? Wejdiesz ze mną?

— Chyba muszę powiedzieć mamie. Że wiesz. Będzie... — przesuвам dłońmi po twarzy — nie mam pojęcia, jak zareaguje. Ani co zrobi. Ani co zrobi Clay. Ale musimy jej powiedzieć.

— Słuchaj, muszę to przemyśleć. Jak to powiedzieć. Czy zacząć od mamy, czy... nie wiem. Mam komórkę. Jeśli cokolwiek się zdarzy, jeśli będziesz mnie potrzebować, zadzwoń, dobrze?

— W porządku — zaczynam wysiadać, ale Jase zatrzymuje mnie jeszcze, chwytając za rękę.

— Nie wiem, co o tym myśleć — mówi. — Wiedziałaś o tym. Od początku. Przecież to niemożliwe, żeby było inaczej.

Pytanie zasadnicze.

— Jak mogłaś nie zorientować się, że zdarzyło się coś strasznego? — pyta Jase.

— Spałam — odpowiadam. — Stanowczo za długo.

Wiem, że mama jest w domu, gdyż jej granatowe sandały stoją przed drzwiami, torebka od Prady wisi przerzucona przez balustradę w korytarzu, ale mamy nie ma w kuchni ani w salonie. Idę więc na górę, do jej apartamentu, czując się tak, jakbym wkraczała na zakazany teren, chociaż jestem we własnym domu.

Chyba wybiera strój na jakieś wyjście i nie może się zdecydować, gdyż na łóżku piętrzy się stos ubrań... tęcze kwiaty, delikatne pastele, głębokie kolory oceanu, ostro kontrastujące z bielą i granatem strojów oficjalnych.

Z prysznicza leje się woda.

Łazienka mamy jest ogromna, w ciągu lat parę razy przerabiana. Za każdym razem stawała się

większa i bardziej luksusowa. Jest w niej dywan, kanapa i wpuszczana w podłogę wanna, podgrzewacze do ręczników i szklana kabina prysznicowa z siedmioma wylotami wody z różnych stron. Wszystko w kolorze, który mama nazywa ostrygowym, a który dla mnie jest po prostu szary. W kącie wyściełany taboret i toaletka, a na niej flakoniki perfum, balsamów, słoiki, buteleczki i stopy kosmetyków do makijażu. Kiedy uchylam drzwi, pomieszczenie wypełnia para, w której kłębach ledwie widzę.

— Mamo! — wołam.

Słyszę jej krzyk.

— Nie rób tego, Samantho! Nie wchodź, kiedy ktoś bierze prysznic! Nie widziałaś *Psychozy*?

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Robię sobie peeling.

— Więc jak skończysz, ale to pilne.

Woda nagle przestaje lecieć.

— Możesz podać mi ręcznik? I szlafrok?

Zdejmuję jej brzoskwiniowy jedwabny szlafrok z wieszaka na drzwiach, przy okazji zauważając mimowolnie, że obok wisi drugi, męski, granatowy. Mama wyciąga rękę przez uchylone drzwi i chwyta w dłoń materiał.

Kiedy już schludnie zawiązała w pasie szarfę, a ostrygowy ręcznik okręciła jak turban na głowie, siada przed lustrem toaletki i sięga po krem do twarzy.

— Zastanawiam się nad zabiegiem wypełniania zmarszczek między brwiami — odzywa się. — Nie tak, żebym wyglądała na zrobioną, ale żeby pozbyć się tej zmarszczki. — Wskazuje na niewidoczną fałdę, po czym naciąga sobie skórę na czole. — To może nawet pomóc mi w karierze, gdyż zmarszczki na czole sprawiają wrażenie, jakbym się czymś martwiła. Moi wyborcy nie powinni mnie posądzać o zmartwienia, bo przestaną we mnie wierzyć. Nie uważasz? — Uśmiecha się do mnie. Moja matka ze swoją skrzywioną logiką i w turbanie z ręcznika.

Wybrałam najkrótszą do celu. Żadnych wstępów.

— Jase wie.

Mama blednie pod warstwą kremu, po czym marszczy brwi.

— Chyba mu nie powiedziałaś?

— Owszem.

Mama zrywa się z taboretu tak gwałtownie, że go przewraca.

— Samantho, dlaczego?

— Musiałam, mamo.

Zaczyna chodzić po łazience w tę i z powrotem. Teraz po raz pierwszy zauważam zmarszczki

biegnące w poprzek czoła i długie linie biorące w nawias jej usta.

— Przecież rozmawialiśmy, zgodziliśmy się, że to dla dobra nas wszystkich, że o tym zapomnimy.

— Nie, mamó, to ty rozmawiałaś o tym z Clayem. Nie ze mną.

Zatrzymuje się; z oczu lecą jej iskry.

— Dałaś mi słowo.

— W żadnym wypadku. To ty nie słuchałaś tego, co mówię.

Mama opada na taboret, ramiona jej zwisają. Nagle podnosi na mnie wzrok; oczy ma szeroko otwarte, błagalne.

— Claya też stracę. Jeśli wybuchnie skandal — a na pewno wybuchnie — będę musiała odejść, wtedy on też sobie pójdzie. Clay Tucker trzyma tylko z wygranymi. Taki już jest.

Mama wiedziała o tym, a mimo to chciała z nim być? „Mała, jeśli pojawią się kłopoty, spadam”. Cieszę się, że nie znam ojca. Smutne, lecz prawdziwe. Jeśli mama osądza mężczyzn na podstawie ojca i Claya, mogę jej tylko współczuć.

W jej oczach pojawiają się łzy. Czuję zmęczenie i ukłucie winy, które jest niemiłe, ale nie ciąży na żołądku tak bardzo, jak zachowywanie milczenia.

Mama odwraca się z powrotem do lustra, opiera łokieć na blacie i patrzy w swoje odbicie.

— Samantho, muszę zostać sama.

Kładę dłoń na kłamce.

— Mamó?

— Co jeszcze?

— Czy możesz na mnie spojrzeć?

Spogląda na mnie w lustrze.

— Po co?

— Odwróć się do mnie.

Z ciężkim westchnieniem mama obraca się na taborecie.

— Tak?

— Powiedz mi prosto w twarz, że według ciebie postąpiłam źle. Spójrz mi w oczy i powiedz to. Jeśli naprawdę tak uważasz.

W przeciwieństwie do moich oczu, ze złotymi i chyba też zielonymi plamkami, oczy mamy są jednolicie niebieskie. Mama patrzy mi w oczy, wytrzymuje przez chwilę i odwraca wzrok.

— Jeszcze nikomu nie powiedziałem — mówi Jase, kiedy otwieram mu okno wczesnym wieczorem. Słońce wisi nisko nad horyzontem.

Wymęczona rozmową z mamą po prostu cieszę się, że nie muszę już nikomu niczego wyznawać i mierzyć się z reakcjami innych.

Jednak ta samolubna myśl znika po chwili.

— Dlaczego?

— Mama wróciła do domu i poszła się przespać. Ostatniej nocy nie spała, bo tatę musieli zaintubować z powodu tego zakażenia. Lepiej niech pośpi. Ale zastanawiałem się, co robić dalej. Wydaje mi się, że trzeba sięgnąć po mówiący kij.

— Co takiego?

— Mówiący kij. To kawałek drewna, który Joel znalazł w wodzie, a Alice pomalowała, kiedy byliśmy bardzo mali. Mama miała wtedy koleżankę, jej dzieci były naprawdę szalone, mam na myśli wdrapywanie się po zasłonach i skakanie z dachu. Ta koleżanka, Laurie, nie miała pojęcia, jak sobie z nimi poradzić, więc latała za chłopakami i krzyczała: „To będzie temat następnej rozmowy przy mówiącym kiju”. Chyba zbierali się całą rodziną, a ten, kto trzymał kijek, miał prawo głosu o czymś, co dotyczyło całej rodziny. Mama i tata najpierw się z tego śmiali, ale potem zauważyli, że kiedy tylko próbowaliśmy coś razem omówić, wszyscy przekrzykiwali się nawzajem i nikt nic nie słyszał, więc zrobiliśmy sobie własny mówiący kij. Wciąż go używamy, kiedy trzeba podjąć ważną decyzję albo oznajmić nowinę. — Śmieje się i spuszcza wzrok na swoje stopy. — Duff stwierdził kiedyś na lekcji, że kiedy tylko tata wyjmuje mówiący kij, mama ma następne dziecko. Chyba po tym jego wystąpieniu zwołano specjalną radę pedagogiczną.

Dobrze jest móc się znów roześmiać.

— Super! — Rzucam się na łóżko i ręką pokazuję mu miejsce obok.

Jase nie siada. Wsuwa dłonie w kieszenie i opiera się o ścianę.

— Zastanawiałem się nad jedną sprawą.

Czuję dreszcz niemiłego oczekiwania; w jego głosie pojawiła się nieznana mi dotąd nuta, niszcząca przyjemność, jaką czerpię z faktu, że znów mam go obok siebie.

— Co takiego?

Końcem tenisówki Jase podnosi dywanik, po czym znów go kładzie.

— Chyba nic wielkiego. Tylko przypomniałem sobie, jak do nas przyszłaś poprzednio... Tim wiedział, co chcesz mi powiedzieć. Powiedziałaś mu wcześniej, pierwszemu. Mnie dopiero potem.

Czy ta nieznana nuta to zazdrość? Czy wątpliwość? Nie wiem.

— On to ze mnie praktycznie wydarł, nie chciał odpuścić, aż w końcu pękłam. To mój przyjaciel... — Wpatrując się w pochyloną głowę Jase'a, dodaję: — Nie jestem w nim zakochana, jeśli o to ci chodzi.

Wtedy Jase unosi na mnie wzrok.

— Chyba to wiem. Tak, wiem o tym. Ale czy nie powinno być tak, że najbardziej szczerzy jesteśmy z tymi, których kochamy? Czy nie o to chodzi?

Podchodzę do niego i unoszę głowę, żeby spojrzeć w przejrzyste zielone oczy.

— Tim jest przyzwyczajony do tego, że wszystko się wali — mówię w końcu.

— Na pewno, ja też się do tego właśnie przyzwyczajam. Sam, dlaczego nie powiedziałaś mi od początku?

— Bałam się, że mnie znienawidzisz. A Clay chciał zrujnować wasz sklep. Zniszczyłam już wszystko, więc wołałam odejść, niż narażać się na twoją nienawiść.

Jase marszczy czoło.

— Miałbym cię znienawidzić za to, co zrobiła twoja mama? Albo za groźby tego drania? Dlaczego? Jaki w tym sens?

— Nie ma w tym sensu. Byłam głupia i... pogubiona. Wszystko szło tak wspaniale i nagle wszystko się zawaliło. Ty miałeś szczęśliwą rodzinę, dobrze wam było, po czym pojawiłam się ja i coś z mojego świata wszystko ci zepsuło.

Jase odwraca się, żeby wyrzeć przez okno, nad naszym parapetem spogląda na swój dom.

— To ten sam świat, Samantha.

— Niezupełnie, Jase. Ja mam konferencje prasowe mamy i tych pozeraczy w B&T i udawanie, że wszystko jest dobrze, chociaż wcale nie jest, bo to same śmieci. A ty...

— Mam długi, pieluchy, bałagan w domu i tyle samo śmieci — przyznaje Jase. — A nie pomyślałaś, że gdyby to był twój świat, gdybyś to ty musiała się z tym zmagać, to chciałbym, żebyś się tym ze mną podzieliła?

Zamykam oczy i biorę głęboki oddech, po czym otwieram je i widzę jego spojrzenie pełne miłości i zaufania.

— Straciłam wiarę — mówię.

— A teraz? — pyta Jase cicho.

Wyciągam do niego otwartą dłoń, Jase zamyka na niej palce ręki. Pociąga mnie lekko i ląduję w jego ramionach, trzymając się go. Nie ma chórów anielskich, ale jest bicie jego i mojego serca.

W tej chwili otwierają się drzwi pokoju i staje w nich moja mama, wbijając w nas wzrok.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

— Jesteście oboje — odzywa się mama — doskonale.

Nie tego bym się spodziewała w sytuacji, w której mama przyłapuje nas razem w moim pokoju. Zaskoczenie na twarzy Jase'a musi odbijać moje własne.

— Clay już tu jedzie — mówi mama zdyszczanym głosem — będzie za kilka minut. Chodźcie do kuchni.

Jase zerka na mnie; wzruszam ramionami. Mama idzie na dół.

W kuchni mama odwraca się do nas z uśmiechem — tym jej towarzyskim uśmiechem pod tytułem „wszyscy jesteśmy przyjaciółmi”.

— Może czekając, napijemy się czegoś? Jesteś głodny, Jase? — W jej głosie pojawia się ślad południowego akcentu — wpływ Claya.

— Hm, nie bardzo. — Jase spogląda na nią czujnie, jak na zwierzę, które w każdej chwili może zmienić nastrój. Mama ubrała cytrynową sukienkę, starannie uczesała włosy i nałożyła nienaganny makijaż. W niczym nie przypomina ogłuszonej kobiety w szlafroku z maseczką na twarzy, którą zostawiłam w łazience jakiś czas temu.

— Jak przyjedzie Clay, przejdziemy wszyscy do biura. Może zrobię herbaty. — Mama mierzy Jase'a wzrokiem. — Chociaż nie wyglądasz na miłośnika herbaty. Piwa?

— Jestem niepełnoletni, więc dziękuję, pani senator — odpowiada Jase głosem bez wyrazu.

— Mów mi Grace. — Mama nie zauważa sarkazmu. No nie. Nawet Nan i Tim, którzy znają ją niemal od urodzenia, nie są z mamą po imieniu. Przynajmniej nie publicznie.

Mama podchodzi nieco bliżej do Jase'a, który stoi nieruchomo, może w obawie, że nagle uderzy go zniecka, jak dzikie zwierzęta.

— Masz bardzo szerokie ramiona.

„Mamo, roztaczasz przerażającą aurę Blanche DuBois”.

— Co tu się dzieje... — zaczynam, ale mama wpada mi w słowo.

— Bardzo dzisiaj gorąco. Może chcecie lemoniadę? Chyba nawet mamy ciastka!

„Czy ona straciła rozum? Spodziewa się, że Jase powie: Tak, ma pani ciastka czekoladowe? Z orzechami? Bo jeśli tak, to wszystko wybaczmy! Czym jest ucieczka z miejsca wypadku w porównaniu z taką ucztą!”.

Biorę go za rękę, ściskam ją i zbliżam się do niego. W tej chwili słyhać trzask otwieranych drzwi.

— Gracie?

— W kuchni, kochanie! — krzyczy mama z uczuciem. Wchodzi Clay z rękami w kieszeniach,

z podwiniętymi rękawami koszuli.

— Hej, Jason, prawda?

— Używam imienia Jase. — Teraz Jase dzieli swoją uwagę między dwa zwierzęta o nieznanym charakterze. Przysuwam się jeszcze bliżej, a on robi krok do przodu, zasłaniając mnie sobą. Obchodzę go i staję u jego boku.

— Niech będzie Jase — mówi Clay gładko. — Ile masz wzrostu, synu?

„Co to za nagła obsesja na temat wyglądu?” Jase rzuca mi spojrzenie mówiące: „Czy on chce zamówić dla mnie trumnę?”, jednak odpowiada uprzejmie.

— Metr osiemdziesiąt siedem... proszę pana.

— Grasz w kosza?

— Futbol. Jestem na krańcu obrony.

— To kluczowa pozycja. Sam grałem w obronie — mówi Clay. — Pamiętam, jak kiedyś...

— Świetnie — przerywa mu Jase — a czy może pan powiedzieć nam, o co tu chodzi? Wiem, co się zdarzyło mojemu tacie, Sam mi powiedziała.

Spokojny, kordialny wyraz twarzy Claya nie zmienia się.

— Tak słyszałem. Proponuję przejść do biura Grace. Gracie, kochanie, prowadź.

Biuro domowe mamy jest bardziej kobiece niż jej gabinet w pracy, z błękitnymi ścianami i białą tapicerką na kanapie i krzesłach. Zamiast krzesła biurowego stoi tu fotel obity lśniąca tkaniną w kolorze kości słoniowej. Mama sadowi się w nim, za biurkiem, Clay zaś rozsiada się w jednym z krzeseł, przechylając je do tyłu, jak zawsze.

Jase i ja siadamy blisko siebie na długiej kanapie.

— Zatem, Jase, masz nadzieję, że na studiach dalej będziesz grał?

— Nie rozumiem, dlaczego o tym mówimy — odpowiada Jase. — Moje studia nie mają wiele wspólnego z panią senator i tym, co zrobiła mojemu tacie, proszę pana.

Wyraz twarzy Claya jest nadal bezmyślnie pogodny.

— Doceniam mówienie prosto z mostu, Jase — chichocze. — Kiedy idzie się w politykę, niewiele się tego słyszy. — Uśmiecha się do Jase'a, którego twarz pozostaje kamienna. — No dobrze — kończy Clay — pomówmy otwarcie. Jase, Samantha, Grace... mamy tu pewien problem. Coś się stało i musimy sobie z tym poradzić. Czy mam rację?

Ponieważ tak ogólne podsumowanie może dotyczyć wszystkiego — od psa, który nasikał na dywan, po przypadkowe odpalenie głowic jądrowych, Jase i ja kiwamy głowami.

— Ktoś kogoś skrzywdził, mam rację?

Rzucam spojrzenie na mamę, która wysuwa nerwowo język i oblizuje górną wargę.

— Tak — odpowiadam, gdyż Jase wrócił do czujnej obserwacji Claya jak węża, który może



uderzyć w każdej chwili.

— Ile osób o tym wie? Cztery, prawda? Czy może powiedziałeś jeszcze komuś, Jase?

— Jeszcze nie. — Głos Jase'a dźwięczy jak stal.

— Jednak masz taki zamiar, bo tak należy, mam rację, synu?

— Nie jestem pana synem. Tak.

Z trzaskiem stawiając krzesło we właściwej pozycji, Clay pochyła się do przodu, kładzie łokcie na kolanach i rozstawia palce, jakby w prośbie.

— I z całym szacunkiem, tu chyba zawodzi cię zdolność logicznego myślenia.

— Czyżby? — pyta Jase zimno. — W którym momencie?

— Wtedy, kiedy uważasz, że dwa elementy złe sumują się w dobro. Kiedy ogłosisz, co się stało, senator Reed na pewno ucierpi. Straci karierę, której poświęciła życie, pozycję, na której tak dobrze służy mieszkańcom Connecticut. Nie jestem pewien, czy przemyślałeś też cenę, jaką zapłaci twoja dziewczyna. Jeśli to się rozniesie, zostanie napiętnowana, jak to mówią, przez kontakt. Szkoda, ale niestety tak się dzieje z dziećmi przestępców.

Mama kurczy się na słowo „przestępców”, lecz Clay mówi dalej.

— Jesteś gotów z tym żyć? Wszędzie, gdzie Samantha się pojawi, ludzie będą wątpić w jej moralność. Będą sobie zadawać pytanie, czy w ogóle ma jakiegokolwiek zasady. Dla młodej kobiety to niebezpieczne. Są mężczyźni, którzy nie zawahają się z tego skorzystać.

Jase wbija wzrok w swoje dłonie, które zacisnęły się w pięści. Jednak na twarzy ma ból, a co gorsza — zmieszanie.

— Nie obchodzi mnie to — odzywam się. — To absurd. Co ty w ogóle opowiadasz — cały świat ma mnie uznać za złą, bo mama potrafiła człowieka samochodem? Nie rozśmieszaj mnie. Na ulotkach ze szkoły dla oślizgłych dupków na pewno mieli lepsze wstawki.

Jase wybuchą śmiechem i otacza mnie ramieniem.

Niespodziewanie Clay również zaczyna się śmiać. Mama nie zmienia wyrazu twarzy.

— Jak rozumiem, zaproponowanie wam pieniędzy za milczenie w nieoznakowanych banknotach nie zostanie przyjęte, co? — Clay wstaje, przechodzi za plecy mamy i zaczyna masować jej ramiona. — No dobrze, to na czym стоимy? Jaki będzie twój kolejny ruch, Jase?

— Porozmawiam z rodziną. Niech moi rodzice zdecydują, co chcą zrobić, jak będą mieli wszystkie informacje.

— Nie musisz przyjmować postawy obronnej. Przecież jestem z Południa, potrafię docenić człowieka, który broni rodziny. To naprawdę godne pochwały. Zatem powiesz wszystkim rodzinie, a potem, jeśli oni zechcą zwołać konferencję prasową i ogłosić to całemu światu, tobie to nie przeszkadza.

— Właśnie tak. — Jase mocniej obejmuje mnie ramieniem.

— A jeśli te oskarżenia nie zostaną potwierdzone z braku świadków, a ludzie uznają twoich rodziców za naciągaczy, którzy zwietrzyli okazję, to też nie będzie ci przeszkadzało?

Na twarzy Jase'a znów pojawia się niepewność.

— Ale...

— Jest świadek. Ja — zauważam.

Clay przechyla głowę, spogląda na mnie i kiwa głową.

— Racja. Zapomniałem, że bez problemu zdradzasz mamę.

— Ta kwestia też pochodzi prosto ze szkoły dla oślizgłych dupków — zauważam.

— To nie ma sensu — odzywa się mama. — Garrettowie się dowiedzą, zrobią, co zechcą, i nic na to nie poradzimy. — Unosi twarz, po której spływają łzy, i patrzy na Claya. — Ale dziękuję, że próbowałeś, kochanie.

Facet sięga do kieszeni, wyciąga chusteczkę i delikatnie wyciera jej rzęsy.

— Grace, kochanie, zawsze można jakoś to rozegrać. Trochę wiary. Od jakiegoś czasu siedzę w tej grze.

Mama pociąga nosem i spuszcza wzrok. Jase i ja wymieniamy niedowierzające spojrzenia. Gra?

Clay wsuwa kciuki do kieszeni, znów wychodzi przed biurko i zaczyna przemierzać pokój.

— No dobrze, Grace. A może zwołaj konferencję prasową i to z Garrettami. Ty przemówisz pierwsza. Wyznasz wszystko. Zdarzyła się okropna rzecz, zżerało cię poczucie winy, gdyż twoja córka i chłopak Garrettów są związani... — zawiesza głos i uśmiecha się do nas, jakby nam błogosławiąc — ...więc nic nie mówiłaś. Nie chciałaś zniszczyć pierwszej miłości córki. Wszyscy się z tym utożsamiają — wszyscy to przeżywaliśmy — a jeśli nie, to chcielibyśmy. Zatem nie odzywałaś się ze względu na córkę, ale... — marszczy brwi i podejmuje wędrówkę po pokoju — ...nie mogłabyś uczciwie reprezentować ludzi z tak wielkim ciężarem na sumieniu. To większe ryzyko, ale też się udaje, widziałem. Ludzie kochają skruszonych grzeszników. Otoczy cię rodzina — córki stojące przy matce. Garrettowie, sól ziemi, młodzi kochankowie...

— Minuta — przerywa mu Jase. — To, co Samantha i ja czujemy do siebie, nie jest jakimś... — przerywa, szukając właściwego słowa — narzędziem marketingowym.

Clay rzuca mu rozbawiony uśmiech.

— Z całym szacunkiem, synu, uczucia to zawsze narzędzie marketingowe. O to właśnie w nim chodzi: żeby trafić ludzi w czułe miejsce. Mamy tu młodych zakochanych, rodzinę z klasy pracującej dotkniętą niespodziewanym kryzysem... — Zatrzymuje się i uśmiecha szeroko. — Gracie, już wiem. Mogłabyś też wykorzystać okazję i wprowadzić nowe projekty ustaw wspomagające rodziny pracujące. Nic zbyt radykalnego, tylko tyle, by przekazać, że Grace Reed wyszła z tego

doświadczenia z jeszcze większym współczuciem dla ludzi, którym służy. Tak, wszystko się doskonale układa. Pan Garrett, ranny przedstawiciel ludzi pracy, mógłby powiedzieć, że nie chce, by cała praca senator Reed poszła na marne z powodu tego jednego wydarzenia.

Spoglądam na Jase'a. Usta ma lekko rozchylone i wpatruje się w Claya zafascynowany, jak w gotową do ataku kobrę.

— Potem mogłabyś zaapelować do ludzi, by dzwonili, pisali lub przysyłali maile prosto do twojego biura, jeśli nadal chcą, żebyś ich reprezentowała. W branży nazywamy to „zbieraniem makulatury”. Ludzie się nakręca, bo będą czuli, że coś od nich zależy. Zaczną cię zalewać maile i telefony, a ty przyczaisz się na kilka dni, a potem zwołasz kolejną konferencję i pokornie podziękujesz mieszkańcom Connecticut za ich wiarę w ciebie, oczywiście solennie obiecasz, że ich nie zawiedziesz. To moment kluczowy, w przynajmniej połowie przypadków zapewnia ci zwycięstwo w wyborach — kończy, spoglądając triumfalnie na mamę.

Ona też gapi się na niego z otwartymi ustami.

— Ale... — zaczyna.

Jase i ja milczymy.

— No już — nalega Clay. — To najlepsze rozwiązanie. Jedyne logiczne.

Jase podnosi się. Z przyjemnością spostrzegam, że jest wyższy od Claya.

— To z pewnością jest rozwiązanie, proszę pana. I może nawet jest logiczne. Ale z całym szacunkiem, chyba kompletnie panu odbiło. Chodź, Sam, idziemy do domu.

## Rozdział pięćdziesiąty

Kiedy wychodzimy, na dworze zapada już zmierzch. Jase wielkimi krokami przemierza podjazd, a ja niemal biegnę, żeby nie zostać w tyle. Już prawie dotarliśmy do drzwi kuchennych u Garrettów, kiedy zatrzymuję się nagle.

— Czekaj.

— Przepraszam, praktycznie ciągnąłem cię za sobą. Chyba jednak muszę wskoczyć pod prysznic. Jasny gwint, Sam, co to było?

— Wiem — odpowiadam. — Przykro mi.

Jak Clay mógł opowiadać to wszystko głosem gładkim jak bourbon z Kentucky, a mama siedziała i nic nie mówiła, jakby sama wypila już całą butelkę? Przeciągam palcami po czole.

— Przykro mi — mamrocze znów.

— Mogłabyś już przestać przepraszać — odpowiada Jase.

Ze wzrokiem utkwionym w jego butach nabieram głęboko powietrza.

— Ale tylko tyle mogę zrobić, żeby cokolwiek naprawić.

Jase ma ogromne stopy, przy nich moje wyglądają jak stopy karzełka. Ma na nich sportowe buty, jak zwykle, podczas gdy ja nałożyłam klapki. Przez minutę stoimy zwróceni palcami stóp do siebie, potem Jase wsuwa swoją wielką stopę między moje.

— Byłeś wspaniały — odzywam się, trzymając się prawdy.

Jase wsuwa rękę w kieszenie.

— Żartujesz? To ty za każdym razem punktowałaś bzdury, które wygadywał, kiedy ja dawałem się niemal przekonać, że złe jest dobre, a góra jest dołem. Prawie mnie zahipnotyzował.

— Po prostu ja to wszystko już słyszałam. Przejrzenie jego argumentów zajęło mi kilka tygodni.

Jase kręci głową.

— Nagle ze wszystkiego zrobił się materiał na zdjęcie. Jak on mógł? Teraz rozumiem, dlaczego Tim taki był na niego wściekły.

W milczeniu spoglądamy na mój dom.

— Moja mama... — zaczynam i przerywam. Niezależnie od oskarżeń Claya o to, że tak łatwo zdradzam matkę, nie jest to dla mnie łatwe. Skąd Jase ma wiedzieć czy zrozumieć, że to ona przez tyle lat uczyła nas wszystkiego dobrego? A przynajmniej uczyła nas tak, jak umiała.

Ale on czeka, cierpliwie i z wyrozumiałością, aż zbiorę myśli.

— Mama nie jest potworem. Chcę, żebyś to wiedział. Co prawda to nieważne, bo to, co zrobiła, było tak złe. Ale nie jest zła sama w sobie. Tylko... — głos mi drży — nie jest silna.

Wychodząc z domu, nie spojrzałam na mamę, nie było sensu. Nawet wcześniej, kiedy na nią

zerkałam, nie wiedziałam, co wyczytam z jej twarzy.

— Pewnie nie będę musiała iść z nią dzisiaj na kolację do B&T. Może nawet nie chce mnie w domu.

— Ale ja cię chcę w moim. — Jase przyciąga mnie bliżej, stoimy, dotykając się biodrami. — Może warto wprowadzić w życie pomysł George'a. Wprowadzisz się do mnie do pokoju i będziesz spać w moim łóżku. Jak tylko mały z tym wyskoczył, wiedziałem, że to dobry pomysł.

— George mówił tylko o pokoju, a nie o łóżku — odpowiadam.

— Ale powiedział ci, że nigdy nie sikałem do łóżka. To wyraźna zachęta.

— Czarodziejko z Księżycyca! — krzyczy George przez siatkę drzwi. — Będę miał młodszego brata! Albo siostrę, ale ja chcę brata. Mamy zdjęcie. Chodź, zobaczysz, koniecznie, no chodź, chodź!

Zwracam się do Jase'a.

— To już pewne?

— Alice wydobyła to z mamy swoją taktyką ninja. Chyba trochę jak Tim z ciebie.

George wraca do drzwi i przyciska do nich wydruk.

— Widzisz, to mój brat. Na razie wygląda jak chmura deszczowa, ale się zmieni, bo mama mówi, że to najlepiej potrafią dzieci.

— Odsuń się, kolego — mówi Jase i otwiera szeroko drzwi, żebyśmy oboje się w nich zmieścili.

Od jakiegoś czasu nie widziałam Joela. Z wyluzowanego chłopaka zmienił się w chmurę gradową chodzącą po kuchni. Alice produkuje naleśniki, młodsze dzieci siedzą przy stole, oglądając starsze rodzeństwo jak film na ekranie.

Wchodzimy akurat w chwili, kiedy Joel pyta:

— Dlaczego tacie włożyli tę rurę do gardła? Przecież dobrze oddychał. Czy coś się cofa?

Alice zsuwa z patelni mały, płaski, bardzo ciemny naleśnik.

— Pielęgniarki wszystko już wyjaśniły.

— Ale nie po angielsku. Możesz przetłumaczyć, Al?

— Z powodu zakrzepu żył głębokich, takie grudki w naczyniach krwionośnych. Dlatego założyli mu te buty medyczne, bo nie chcieli mu dawać antykoagulantów...

— Mów po ludzku — powtarza Joel.

— Leków rozcieńczających krew. Z powodu rany głowy. Założyli mu buty medyczne, ale ktoś zapomniał albo zignorował polecenie, żeby je zdejmować co dwie godziny.

— A możemy tego kogoś pozwać? — pyta Joel z gniewem. — Tata już mówił, poprawiało mu się, a teraz jest z nim gorzej niż przedtem.

Alice zrzuca z patelni cztery kolejne chude, czarne jak węgiel naleśniki i dodaje nieco masła.

— Dobrze, że się zorientowali, Joel. — Unosi wzrok i po raz pierwszy zauważa, że stoję obok

Jase'a.

— Co ty tu robisz?

— Jest u siebie — odpowiada Jase. — Daj spokój, Alice.

Andy zaczyna płakać.

— Tata już nie jest do siebie podobny.

— Owszem, jest. Wygląda jak zawsze — upiera się George i podaje mi wydruk komputerowy.

— To nasze dziecko.

— Słodziak — mówię do George'a, przyglądając się czemuś, co wygląda faktycznie jak huragan na Bahamach.

— Tata jest chudy — ciągnie Andy — i pachnie szpitalem. Boję się na niego patrzeć, bo nagle zrobił się starym człowiekiem. Nie chcę starego faceta, chcę tatusia!

Jase mruga do niej.

— Tata po prostu potrzebuje naleśników Alice. Wtedy mu się poprawi.

— Alice robi najgorsze naleśniki znane ludzkości — zauważa Joel. — To raczej podstawki pod szklanki.

— Ja gotuję — odpala Alice ostro. — A ty co robisz? Pisziesz recenzje kulinarne? Krytyk się znalazł. Jeśli chcesz się na coś przydać, zamów coś. Palant.

Jase rozgląda się wokół i potem patrzy na mnie. Rozumiem jego wahanie. Chociaż życie Garrettów ostatnio opanował chaos — nie ma pór posiłków, wszyscy są podenerwowani — mimo wszystko to jakaś normalność. Nie powinniśmy rzucać bomby i obwieszczać naszej nowiny. To tak, jakby wmaszerować w środek kłótni państwa Capuletów o to, czy za dużo płacą niani, i oznajmić im: „A teraz przerwiemy wasze życie codzienne wielką tragedią”.

— Hejka. — Otwierają się siatkowe drzwi i wchodzi Tim obładowany czterema pudłami z pizzą, dwoma pudełkami lodów i na szczycie wszystkiego niebieską torbą na zamek, w której Garrettowie trzymają zawartość kasy w sklepie.

— Hej, gorąca Alice. Może założysz fartuch i sprawdzisz mi puls?

— Nigdy nie bawię się z dziećmi — rzuca ostro Alice, nie odwracając się od kuchenki, na której wciąż uparcie smaży naleśniki.

— A powinnaś. Nie brakuje nam energii ani chęci do figli.

Alice nie zadaje sobie trudu, by mu odpowiedzieć.

Jase odbiera pudła od Tima i składa je na stole, odsuwając niecierpliwe dłonie rodzeństwa.

— Moment, tylko wyjmę talerze! Jezu. Jaki utarg na koniec dnia?

— A wiesz, że zadziwiająco dobry. — Tim wyjmuje z kieszeni zwitek serwetek i rozkłada wachlarzem na stole. — Sprzedaliśmy maszynę do rozdrabniania drewna, to ogromne ustrojstwo,

które zajmowało całe zaplecze.

— Niemożliwe. — Jase wyjmuje z lodówki kartonik mleka i starannie rozlewa je do kubków plastikowych.

— Dwa tysiące dolców. — Tim zrzuca kawałki pizzy na talerze, które podsuwa Duffowi, Harry'emu, Andy, George'owi i wciąż nachmurzonemu Joelowi.

— Hej, mała. Miło cię tu widzieć. — Uśmiecha się do mnie. — Witaj w domu i tak dalej.

— Mi! — krzyczy Patsy, wskazując na Tima. Chłopak podchodzi do niej i wicherzy jej delikatne włosy.

— Widzisz, gorąca Alice? Nawet najmłodsze pokolenie nie może się oprzeć mojemu zwierzęcemu magnetyzmowi. To nieodparte pragnienie, siła równa sile ciężenia lub...

— Kupa!

— Albo to. — Tim odsuwa dłoń Patsy szarpiącą go za koszulę. Biedne dziecko naprawdę nie znosi picia z butelki.

Uśmiecha się szeroko do Alice.

— No i, gorąca Alice? Jak myślisz, założysz swój fartuszek i sprawdzisz mi odruchy?

— Przestań nagabywać moją siostrę w naszej własnej kuchni, Tim. Boże. A przy okazji, jej fartuszek to zielony drelich. Alice wygląda w nim jak Gumby z kreskówki — odpowiada Jase, odstawiając galon mleka do lodówki.

— Umieram z głodu, ale nie chcę pizzy — mówi Duff ciężko. — Teraz jemy tylko pizzę. Mam dość pizzy i chipsów, a kiedyś lubiłem je najbardziej ze wszystkiego.

— Kiedyś myślałem, jak to fajnie cały czas oglądać telewizję — dopowiada Harry. — Ale to wcale nie jest fajne, to nudne.

— Wczoraj siedziałam do trzeciej, oglądając filmy z Jakiem Gyllenhaalem, nawet te dla dorosłych — dodaje Andy. — Nikt nawet nie zauważył i nie kazał mi iść spać.

— Urządzamy godzinę zwierzeń? — pyta Joel. — Mam wyjąć mówiący kij?

— Właściwie... — zaczyna Jase, po czym rozlega się pukanie do drzwi.

— Joel, wiedziałeś, że robię naleśniki, ale zamówiłeś jedzenie? — pyta Alice z gniewem.

Joel obronnym gestem unosi dłonie.

— Bóg mi świadkiem, miałem ochotę, ale nie zdobyłem się. Przysięgam.

Znów rozlega się pukanie, a Duff otwiera drzwi, za którymi stoi... moja mama.

— Zastanawiałam się, czy jest tu moja córka. — Jej spojrzenie przesuwają się po towarzystwie zgromadzonym przy stole: Patsy z włosami noszącymi ślady masła, syropu i sosu pomidorowego; George'u bez koszuli, ze strużkami syropu na piersi; Harrym sięgającym po kolejny kawałek pizzy, Duffym w najbardziej wojowniczym nastroju, zażawionej Andy. Jasie, który zamiera w połowie

ruchu.

— Cześć, mammo.

Jej spojrzenie spoczywa na mnie.

— Tak się spodziewałam, że cię tu zastanę. Cześć, kochanie.

— Hej, Gracie. — Tim przesuwa fotel z salonu do części kuchennej. — Wyluzuj. Odpręż się.

Częstuj się. — Rzuca spojrzenie na mnie, potem na Jase'a i unosi brwi.

Jase wciąż wpatruje się w mamę, a na jego twarzy znów pojawia się ten wyraz zmieszania, który widziałam w jej biurze. Moja mama patrzy na pudełka z pizzą jak na ślady lądowania kosmitów w Roswell w Nowym Meksyku. Wiem, że jej ulubione dodatki to pesto, karczochy i krewetki. Mimo wszystko mama siada na krześle.

— Dziękuję.

Patrzę na nią. Nie jest to ani złamana kobieta w jedwabnym szlafroku, ani energiczna gospodyni proponująca Jase'owi piwo. Na jej twarzy pojawiło się coś, czego przedtem nie widziałam. Zerkam na Jase'a, który też wpatruje się w nią z nieprzeniknioną twarzą.

— To pani jest mamą Czarodziejki z Księżyca. — George usiłuje mówić z ustami pełnymi pizzy.

— Nigdy nie widzieliśmy pani z bliska, tylko w telewizji.

Mama uśmiecha się do niego lekko.

— Jak masz na imię?

Pośpieszam z przedstawianiem wszystkich. Mama wydaje się sztywne, skrepowane, nienaganna i nie na miejscu w swoim chaosie kuchni.

— Idziemy do domu, mammo?

Kręci głową.

— Nie. Chciałabym poznać rodzinę Jase'a. Mój Boże, to wszyscy?

— Nie ma taty, bo jest w szpitalu — mówi George tonem towarzyskiej rozmowy, wstając od stołu i idąc do mamy. — A mama śpi. I nie ma naszego nowego dziecka, bo ono jest u mamy w brzuchu i pije jej krew.

Mama blednie.

Alice unosi oczy do góry.

— George, to zupełnie nie tak. Wyjaśniłam ci tylko wtedy, jak dziecko je. Substancje odżywcze przechodzą przez pępowinę we krwi matki, więc...

— A ja wiem, jak dziecko tam weszło — oznajmia Harry. — Powiedzieli mi na obozie żeglarskim. Tata wkłada...

— Dobra, dzieciaki, dość tego — przerywa Jase — uspokójcie się już. — Znów spogląda na mamę, która bębni palcem o blat.



Cisza.

Nieco niezręczna, żeby nie powiedzieć niezwykła. George, Harry, Duff i Andy zajadają. Joel otworzył torbę z gotówką i sortuje banknoty według nominału. Tim otworzył pudełko lodów i wyjada je wprost z opakowania.

Czym zwraca uwagę Alice.

— Zdajesz sobie sprawę, jakie to niehigieniczne?

Tim natychmiast z miną winowajcy upuszcza łyżeczkę.

— Przepraszam, to tak bezmyślnie... potrzebowałem cukru. Strasznie się obżeram słodyczami. Jestem czysty, niewiele palę, ale czeka mnie śmiertelna otyłość.

O dziwo, Alice uśmiecha się do niego.

— To należy do procesu odstawiania, Tim. Całkowicie normalne. Tylko po prostu weź miseczkę, dobrze?

Tim odpowiada jej uśmiechem; zapada dziwna cisza, po czym Alice odwraca się i sięga do szuflady.

— Proszę.

— Chcę lody! Chcę lody! — woła George, waląc łyżeczką w stół.

Patsy podchwytuje jego nastrój.

— Am-am! — wrzeszczy. — Kupa!

Mama marszczy brwi.

— To jej pierwsze słowa — wyjaśniam pośpiesznie. Potem czuję oblewający mnie rumieniec wstydu. Dlaczego mam tłumaczyć zachowanie Patsy?

— Aha.

Jase przechwytuje moje spojrzenie; w jego wzroku widzę burzę uczuć, niedowierzenie i ból tak silny, że czuję się jak uderzona.

Co ona tu robi? Było nam z Jase'em dobrze, byliśmy blisko, a tu nagle wchodzi mama. Po co?

Jase wskazuje głową drzwi.

— Przyniesiemy lody z zamrażarki w garażu. Chodź, Sam.

Na stole stoją dwa pełne kartony. Alice spogląda na nie, potem na Jase'a.

— Ale... — zaczyna.

Jase kręci głową.

— Sam?

Wychodzę za nim. Widzę mięsień przeskakujący mu w szczęce; czuję napięcie jego ramion tak wyraźnie, jakby stanowiły część mojego ciała.

Natychmiast po zejściu ze schodów Jase odwraca się do mnie.

— Co się dzieje? Po co ona tu przyszła?

Robię krok do tyłu.

— Nie wiem — mówię. Mama zachowuje się tak normalnie, tak spokojnie, jakby była to zwykła sąsiadzka wizyta. Jednak nic nie jest normalne. Jak ona może być tak spokojna?

— Czy to kolejna sztuczka Claya? — pyta Jase. — Czy kazał jej tu przyjść i przypochlebiać się nam, zanim wszyscy inni się dowiedzą?

Oczy mnie pieką, pod powiekami czuję łzy.

— Nie wiem — powtarzam znów.

— Może moja rodzina ma pomyśleć, że ta przemiła pani nie mogłaby zrobić niczego aż tak złego, że może mi się coś pomyliło i...

Chwytam go za rękę.

— Nie wiem — szepczę. Czy to kolejna część gry Claya? To całkiem możliwe. Mimo wszystko miałam nadzieję, że to jej dobra wola... propozycja pokoju. Ale może to jednak kolejny element strategii politycznej? Żołądek mi się zwija. Nie wiem, co myśleć, nie wiem, co czuję. Łzy, które powstrzymywałam siłą woli, wypływają w końcu. Ze złością wycieram policzek.

— Przepraszam — mówi Jase, przyciągając mnie tak, że policzkiem opieram się o jego klatkę piersiową. — Oczywiście, że tego nie wiesz. Tylko... kiedy ją zobaczyłem, jak siedzi sobie w kuchni i je pizzę, jakby wszystko było w najlepszym porządku... to...

— Chore — kończę za niego, zamykając oczy.

— Nie chodzi mi tylko o tatę, ale i o ciebie. O ciebie też, Sam.

Mam ochotę się sprzeciwić, znów powtórzyć, że mama nie jest złym człowiekiem. Ale jeśli naprawdę przyszła tu tylko z polecenia Claya, żeby pokazać swoją przyjaźniejszą stronę, to...

— Macie te lody? — woła Alice zza drzwi. — Nie przypuszczałam, że się przydadzą, ale jednak!

— Już! — odkrzykuje Jase, w pośpiechu unosząc drzwi garażu. Sięga do zamrażarki Garrettów, zawsze pełnej rzeczy z dyskontu, i wyjmuje karton. — Chodźmy, zanim zabiorą się za miski. — Próbuje przywołać swój stary swobodny uśmiech, lecz nie udaje mu się.

Po powrocie do kuchni słyszymy, jak George mówi do mamy:

— Lubię posypać lody płatkami Gorilla Munch. Tak naprawdę nie robi się ich z goryli.

— A, to dobrze.

— Tylko z masła orzechowego i innych zdrowych rzeczy. — George grzebie w pudełku, po czym wysypuje garść płatków do miseczki. — Ale jeśli kupuje się pudełka płatków, można uratować goryle. A to dobrze, bo inaczej zamrą.

Mama wzrokiem prosi mnie o tłumaczenie. Albo o wybawienie.

— Wymrą — podpowiadam.

— No właśnie. — George nalewa mleka na płatki i lody, po czym miesza wszystko energicznie.

— To znaczy, że nie będą się rozmnażać i będą martwe na zawsze.

Znów zapada cisza. Ciężka cisza. „Martwe na zawsze” — te słowa wydają się dźwięczeć echem w powietrzu, przynajmniej dla mnie. Pan Garrett leżący na brzuchu w deszczu, obraz, który Jase dodał do wspomnienia tego przerażającego łomotu. Czy mama też to widzi? Odkłada kawałek pizzy na talerz i ściskając serwetkę w palcach, wyciera nią usta. Jase wbił wzrok w podłogę.

Mama wstaje tak gwałtownie, że o mało nie przewraca krzesła.

— Samantho, czy możesz na chwilę wyjść ze mną na dwór?

Ogarnia mnie przerażenie. „Chyba nie chce mnie zaprowadzić do domu i poddać naukom Claya. Wszystko, tylko nie to”. Rzucam spojrzenie Jase’owi.

Mama schyla się przez stół, jej oczy znajdują się na wysokości twarzy George’a.

— Przykro mi z powodu waszego taty — mówi do niego. — Mam nadzieję, że wkrótce mu się poprawi.

Po czym pośpiesznie wychodzi, przekonana, że pójdę za nią nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło.

„Idź” — mówi do mnie Jase bezgłośnie, podbródkiem wskazując drzwi. Spojrzenie w jego oczy mówi mi wszystko: on musi wiedzieć.

Szybko wychodzę za mamą, której sandały chrzęszczą na podjeździe. Mama zatrzymuje się i powoli obraca. Już się niemal ściemniło, latarnia rzuca na podjazd krąg światła.

— Mamo? — Szukam wzrokiem jej twarzy.

— Te dzieci...

— Co?

— Nie mogłam siedzieć dłużej. — Słowa płyną z jej ust najpierw powoli, potem coraz szybciej.

— Znasz numer pokoju pana Garretta? Jest w szpitalu Maplewood Memorial, tak?

W mojej głowie kłębią się melodramatyczne scenariusze. Clay pojedzie do szpitala i przyłoży poduszkę do twarzy pana Garretta albo wstrzyknie banieczkę powietrza do rurki z kroplówką. Mama... już nie potrafię sobie wyobrazić, co mama robi. Czy naprawdę mogłaby przyjść tutaj, zjeść z nami pizzę, a potem dokonać czegoś okropnego?

Ale przecież już zrobiła coś okropnego, a potem wymyśliła całe to pokrętne rozumowanie. Teraz odgrywa dobrą sąsiadkę.

— Po co? — pytam.

— Muszę mu powiedzieć, co się stało. Co zrobiłam. — Mama zaciska usta i kieruje spojrzenie na dom Garrettów; drzwi z siatki rysują się na ciemnej ścianie jako doskonały kwadrat światła.

Dzięki Bogu.

— Teraz? Chcesz się przyznać?

— Tak — odpowiada cichym, miękkim głosem. Sięga do torebki, wyjmuje długopis i mały notesik. — W którym pokoju leży pan Garrett?

— Mamo, on jest na intensywnej terapii — odpowiadam ostro. Jak mogła zapomnieć? — Nie pozwolą ci z nim rozmawiać, w ogóle cię nie wpuszczą. Nie jesteś rodziną.

Patrzy na mnie, mrugając.

— Jestem twoją matką.

Wytrzeszczam oczy zupełnie osłupiała, dopiero po chwili do mnie dociera. Myślała, że ja nie uważam jej za rodzinę. W tej chwili wydaje się to prawdą. I nagle uświadamiam sobie, że znalazłam się bardzo daleko od niej. Cała moja siła i wola skierowały się na obronę tej rodziny. Moja mama i to, co zrobiła...

Nie potrafię jej bronić.

— Nie wpuszczą cię do niego — mówię tylko. — Wpuszczają tylko najbliższych krewnych.

Jej twarz się ściąga i ze skurczem w żołądku odgaduję targające nią uczucia: odrobina wstydu, ale głównie ulga. Nie będzie musiała spojrzeć mu w oczy.

Mój wzrok pada na furgonetkę; drzwi po stronie kierowcy. Już wiem, kto tak bardzo jak pan Garrett potrzebuje prawdy.

Mama nerwowo wygładza dłonią spódnice.

— Musisz porozmawiać z panią Garrett — mówię do niej. — Powiedz jej. Jest w domu, możesz iść teraz.

Znów to szybkie spojrzenie na drzwi, potem mama gwałtownie odwraca głowę, jakby cały dom był świadkiem wypadku.

— Nie zdołam znów tam wejść. — Dłoń mamy spoczywa sztywno w mojej, kiedy ciągnę ją w kierunku podjazdu. Jest spocona. — Nie wrócę do tych wszystkich dzieci.

— Musisz.

— Nie mogę.

Moje oczy też zwracają się ku drzwiom, jakby w nadziei, że znajdę w nich rozwiązanie.

I tak się staje. To Jase z panią Garrett u boku. Stoi wyprostowany, ramieniem otacza matkę.

Otwierają drzwi z siatki i wychodzą.

— Pani senator, przekazałem mamie, że chce jej pani coś powiedzieć.

Mama kiwa głową i przełyka ślinę. Pani Garrett jest boso, w potarganych od snu włosach, twarz ma zmęczoną, lecz spokojną. Jase jeszcze jej nie powiedział.

— Tak, muszę... muszę z panią porozmawiać — mówi mama. — Na osobności. Czy może... ma pani ochotę na lemoniadę u mnie w domu? — Palcem dotyka wargi i dodaje: — Bardzo dzisiaj

duszno.

— Możecie porozmawiać tutaj. — Jase wyraźnie nie chce wprowadzać matki w orbitę wpływu Claya. Ta unosi brwi na jego ton.

— Serdecznie zapraszam do domu, pani senator — mówi pani Garrett łagodząco i uprzejmie. — Będziemy tylko we dwie — zapewnia mama Jase'a. — Wszyscy inni wyszli.

— Tutaj będzie dobrze — powtarza Jase. — Sam i ja zatrzymamy dzieci w domu.

— Jase... — zaczyna pani Garrett, rumieniąc się na niewytłumaczalne grubiaństwo syna.

— Może być. — Mama bierze głęboki oddech.

Jase otwiera siatkowe drzwi i gestem zaprasza mnie do wewnątrz. Stoję przez chwilę, przenosząc wzrok z mamy na panią Garrett i z powrotem. Te dwie kobiety stojące naprzeciw siebie na podjeździe dzielą lata świetlne. Mama ma na sobie prostą słoneczną sukienkę i stopy po pedikiurze, pani Garrett pomiętą letnią sukienkę i paznokcie bez śladu lakieru. Mama jest wyższa, pani Garrett młodsza. Jednak mają niemal identyczne zmarszczki między brwiami, a na obu twarzach maluje się taka sama obawa.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Nie wiem, jakich słów użyła moja mama, czy prawda wyleciała, czy raczej wypęzła z jej ust. Ani Jase, ani ja nie słyszeliśmy nic poza hałasem w kuchni; widzieliśmy tylko dwie sylwetki w gęstniejącym mroku, kiedy unosiliśmy wzrok znad sprzątanego pudełka po pizzy, prowadzenia dzieci do kąpielni lub do łóżka, lub w kierunku hipnotycznego mruczenia telewizora. Wiem tylko, że po dwudziestu minutach pani Garrett otworzyła drzwi kuchni. Jej twarz nie zdradzała niczego. Powiedziała Alice i Joelowi, że jedźcie do szpitala i chce, żeby z nią pojechali, po czym zwróciła się do Jase'a.

— Jedziesz z nami?

Po ich wyjeździe, kiedy Andy, najwyraźniej wciąż jeszcze odczuwająca skutki maratonu filmów z Jakiem Gyllenhaalem, zasypia na kanapie, słyszę głos z ganku kuchennego.

— Mała?

Wyglądam przez oczka siatki; widzę bursztynowy ognik papierosa Tima.

— Wyjdź. Nie chcę palić w domu, żeby George się nie obudził, ale odpalam jednego od drugiego, nic nie poradzę.

Wychodzę i z zaskoczeniem stwierdzam, jak świeże jest powietrze, widzę liście poruszające się na tle ciemniejącego nieba. Czuję się, jakbym przez wiele godzin, dni i stuleci tkwiła zamknięta w dusznym pomieszczeniu, bez oddechu. Nawet w parku McGuire nie mogłam głębiej odetchnąć, nie wiedząc, co mam powiedzieć Jase'owi.

— Chcesz? — pyta Tim. — Wyglądasz, jakbyś miała puścić pawia. — Podsuwa mi sfatygowaną paczkę marlboro.

Muszę się roześmiać.

— Jeśli to zapalę, to na pewno tak się stanie. Tim, za późno, żebyś mnie demoralizował.

Słowo „demoralizacja” wraca do mnie rykoszetem — teraz Garrettowie wiedzą. Wezwali policję? Prasę? Gdzie mama?

— Więc? — Tim pstryka zapalniczką i zgniata kłapką poprzedni niedopałek. — Prawda wyszła na jaw?

— Myślałam, że pojechałeś do domu.

— Wymknąłem się, kiedy wyszłaś z Grace. Myślałem, że Jase będzie chciał wszystko powiedzieć, że to czas dla rodziny i tak dalej.

Owszem, miłe spotkanie rodzinne.

— Ale nie chciałem jechać do domu, na wypadek, no wiesz, gdyby ktoś mnie potrzebował. Podwózka, poduszka do łez, usługi seksualne. — Chyba zrobiłam minę, bo Tim wybucha śmiechem.

— Alice, nie ty. Albo popilnowanie dzieci, nieważne. Którykolwiek z moich wielu talentów.  
Poruszył mnie. Nie ma Nan, ale jest Tim. Po tak długim czasie oddalenia.  
Jak się wydaje, Tim odczytał moje uczucia, gdyż szybko mówi dalej.  
— Usługi seksualne to czysty interes własny. Poza tym naprawdę nie chciałem jechać do domu, no więc... gdzie Gracie?  
Policjant recytuje jej, do czego ma prawo?  
Oczy wypełniają mi się łzami. Nie cierpię tego.  
— Cholera, tylko nie to. Przestań. — Tim gwałtownie macha mi dłonią przed twarzą, jakby emocje mógł przepędzić jak muchy. — Pojechała do szpitala przyznać się?  
Mówię mu o intensywnej terapii. Tim gwizdże.  
— Zapomniałem. To gdzie jest, w domu?  
Kiedy mu mówię, że nie mam pojęcia, rzuca papierosa na ziemię, zdeptuje go, kładzie mi ręce na ramionach i obraca w kierunku mojego własnego podwórka.  
— Idź sprawdzić. Ja tu popilnuję.

Idę podjazdem Garrettów. Mama nie odbiera komórki; może policja skonfiskowała jej telefon, zapakowała do samochodu i pobiera odciski palców. Jest dwudziesta druga. Garrettowie wyjechali ponad godzinę temu.

W domu jest ciemno. Ani śladu samochodu mamy, mogła jednak zaparkować w garażu. Wchodzę na schodki werandy, mam zamiar wejść bocznymi drzwiami i sprawdzić, kiedy ją dostrzegam.

Siedzi na kutej żelaznej ławce przy drzwiach frontowych; kupiła ją, żeby nas nauczyć zdejmowania butów na dworze. Siedzi z ramionami oplatającymi zgięte kolana.

— Cześć — mówi cicho, apatycznie. Wyciąga rękę i sięga po coś, co stoi obok.

Kieliszek białego wina.

Na jego widok znów czuję mdłości. Mama siedzi na schodach z chardonnay? A gdzie Clay? Odgrzewa focaccię?

Na moje pytanie wzrusza ramionami.

— Zapewne już w połowie drogi do domu letniego. — Pamiętam jej słowa, że jeśli się wygadam, jego również straci. Clay gra dla zwycięzców. Mama pociąga kolejny łyk, kręci kieliszkiem i zagląda do niego.

— No to... tego... zerwaliście?

Wzdycha.

— Nie w aż tylu słowach.

— A co to znaczy?

— Nie jest ze mnie zadowolony. Chociaż pewnie napisze dla mnie dobre przemówienie na wycofanie się z wyścigu. Clay kwitnie w czasie kryzysu.

— No to... wykopałaś go? Czy sam odjechał? Czy co? — Mam ochotę wyrwać jej kieliszek z ręki i rzucić na trawę.

— Powiedziałałam mu, że Garrettowie zasługują na prawdę. Powiedział, że prawda to rzecz elastyczna. Bardzo elokwentnie. Powiedziałałam, że idę rozmawiać z tobą i z Garrettami, a on dał mi ultimatum. I tak wyszłam, ale kiedy wróciłam, już go nie było. Napisał jednak... — Sięga do kieszeni sukienki i na dowód wyjmuje telefon.

Nie mogę dojrzeć telefonu, ale mama mówi dalej.

— Napisał, że nadal przyjaźni się ze swoimi starymi dziewczynami — stwierdza mama, krzywiąc się. — Chyba miał na myśli poprzednie dziewczyny, bo to ja byłam najstarsza. Jak twierdzi, nie lubi palić za sobą mostów. Ale przyda nam się chwilowa rozłąka, żeby sprawdzić, w jakim miejscu jesteśmy.

Cholerny Clay.

— Więc nie będzie już z tobą pracował?

— Ma przyjaciółkę w kampanii Christophera, Marcie, która podobno chce wykorzystać jego umiejętności.

Bez wątpienia.

— Ale... Ben Christopher to demokrat!

— No tak — przyznaje mama. — To samo wspomniałam w SMS-ie, ale Clay odpisał: „To polityka, kotku. Nic osobistego”. — W jej głosie pobrzmiwa rezygnacja.

— Co się zmieniło? — Wskazuję wykusz w jej gabinecie, wyginający się wdzięcznym łukiem w bocznej ścianie domu. — Tam ty i Clay graliście w jednej drużynie.

Mama oblizuje wargi.

— Nie wiem, Samantho. Wciąż myślę o tej jego przemowie, jak to zrobiłam to wszystko dla ciebie. Żeby chronić ciebie i tego chłopaka od Garrettów. — Wyciąga rękę, przesuwa dłońmi po moich policzkach i wreszcie spogląda mi w oczy. — Problem w tym... że ja w ogóle o tobie nie myślałam. A kiedy pomyślałam... — Drapie się w skrzydełko nosa. — To tylko tyle, że gdyby ciebie tam nie było, nikt by się nie dowiedział. — Zanim zdążę odpowiedzieć czy nawet przetrwać tę informację, mama unosi dłoń. — Wiem. Nie musisz nic mówić. Jaka matka tak myśli? Nie jestem dobrą matką. To sobie właśnie uświadomiłam. Nie jestem też silna.

Żołądek mnie boli. Chociaż sama tak myślałam, chociaż sama powiedziałam to Jase'owi na głos, czuję się przygnębiona i winna.



— Ale teraz się przyznałaś, mammo. A to siła. Dobrze zrobiłaś.

Mama wzruszeniem ramion zbywa moje współczucie.

— Kiedy na wiosnę poznałam Claya, ciężko było mi się przyznać, że mam córki nastolatki. Prawda była... niewygodna. Mam ponad czterdzieści lat i niemal dorosłe dzieci. — Śmieje się gorzko. — Wtedy wydawało się to dużym problemem.

— Tracy wie?

— Jutro rano przyjeżdża. Zadzwoiłam do niej po powrocie.

Staram się wyobrazić sobie reakcję Tracy. Moja siostra, przysłała prawniczką. Jest mamą przerażona? Przygnębiona, że przerwano jej wakacje? Albo coś jeszcze innego. Coś, czego nawet sobie nie wyobrażam? Och, Trace. Tak się za nią stęskniłam.

— Co powiedziała pani Garrett? Co się teraz stanie?

Kolejny porządny łyk wina. To nie uspokaja.

— Nie chcę o tym myśleć — mówi. — Przekonamy się niedługo. — Prostuje nogi, wstaje. — Późno już. Powinnaś iść spać.

Jej matczyne karcący ton. Po tym wszystkim wydaje się absurdalny. Ale kiedy widzę, jak garbi się, sięgając do klamki, mogę powiedzieć jej tylko kolejną prawdę, chociażby niewygodną.

— Kocham cię, mammo.

Schyła głowę, potwierdzając, że usłyszała, po czym wpuszcza mnie do chłodnego od klimatyzacji pomieszczenia. Odwracając się, żeby zamknąć za sobą drzwi, wzdycha:

— Wiedziałam.

— Co wiedziałaś? — Odwracam się do niej.

— Wiedziałam, że z tej znajomości z sąsiadami nic dobrego nie wyniknie.

## Rozdział pięćdziesiąty drugi

Wbrew przewidywaniom Claya nazajutrz Garrettowie nie zwołują konferencji prasowej. Ani nie dzwonią na policję. Jednak wyjmują gadający kij. W szpitalu odbywa się narada rodzinna, ze wszystkimi dziećmi, nawet Duffem. Alice i Joel optują za zgłoszeniem sprawy na policję. Andy i Jase oponują. Wreszcie pan i pani Garrett uznają, że nie będą nadawać sprawie rozgłosu. Mama zaproponowała, że pokryje wszystkie koszty leczenia i dodatkowe koszty zatrudnienia kogoś na zastępstwo w sklepie — tak mi powiedział Jase, a jego rodzice zastanawiają się nad tym. Pan Garrett nie chce litości ani pieniędzy za milczenie.

Przez tydzień omawiają to na forum rodziny. Pan Garrett zostaje przeniesiony na zwykły oddział i mama jedzie go odwiedzić.

Nawet Jase nie wie, co zaszło między nimi, lecz następnego dnia mama rezygnuje ze startu w wyborach.

Tak jak przepowiedział, Clay pisze dla niej przemówienie pożegnalne. „Niedawne wydarzenia rodzinne przekonały mnie, że muszę zrezygnować z zaszczytu kandydowania do urzędu i nadziei, że znów będę wam służyć jako senator. Nawet osoby publiczne mają rodziny, dlatego muszę zająć się moimi najbliższymi, zanim wrócę do służby światu”.

W prasie pojawia się mnóstwo spekulacji — zapewne zawsze po nieoczekiwanym odejściu polityka tak się dzieje — ale zamieszanie ucicha po kilku tygodniach.

Spodziewam się, że mama wybierze się w rejs, na wycieczkę do Virgin Gorda, ucieknie — ale ona spędza dużo czasu w domu, zajmując się ogrodem, który uwielbiała, zanim cały jej czas zajęła polityka. Gotuje kolacje dla Garrettów i przekazuje mi, żeby im zanieść, aż Duffowi tak w końcu przejadają się suszone w słońcu pomidory, kozi ser i paszteciki, jak niedawno pizza. Spuszczając wzrok, mama pyta mnie, jak się czuje pan Garrett. Kiedy Jase proponuje, że skosi nam trawnik, dziękuję, ale „mamy wynajętego pracownika”.

Wydawałoby się, że po tych latach pracy w B&T, wszystkich kolacjach piątkowych, letnich imprezach, godzinach spędzonych w basenie i obok niego, będzie mi ich brakować bardziej, odkąd odwiesiłam kostium i pożegnałam się z panem Lennoxem. Jednak chociaż mama uznaje, że to jedyne możliwe miejsce na ostatnią rodzinną kolację, zanim Tracy wyjedzie na studia, nie czuję nostalgii przy otwieraniu dębowych drzwi do jadalni; raczej zaskoczenie, że nic się tu nie zmieniło. Dyskretna muzyka klasyczna jest tak cicha, że ledwie słyszalna, głośny śmiech znad baru, szczękanie sztućców. Zapach oleju z cytryną, za mocno wykrochmalonych obrusów i żeberek.

Tracy prowadzi, co jest niezwykle. Mama idzie za nią. Dostajemy tego samego kelnera co zwykle, ale nie prowadzi nas on do naszego stołu, pod morze z wielorybami na harpunach i pechowymi żeglarzami. Zamiast tego prowadzi nas do małego stolika w kącie.

— Bardzo przepraszam — mówi do mamy — nie było tu pani od jakiegoś czasu i teraz tamten stół zwykle zostawiamy dla pana Lamonta, który przychodzi co piątek.

Mama spogląda na swoje dłonie, po czym nagle rzuca spojrzenie kelnerowi.

— Oczywiście. Naturalnie, wszystko w porządku. Tak nawet lepiej, bardziej intymnie.

Opada na krzesło zwrócone plecami do sali i strząsa serwetkę.

— Bardzo nam przykro, że nie będzie nas już pani reprezentować, pani senator — dodaje łagodnie kelner.

— Cóż, czas na zmiany. — Mama sięga do koszyka, po czym z takim namaszczeniem smaruje masłem bułkę i zjada ją, jakby to był jej ostatni posiłek. Tracy rzuca mi spojrzenie spod uniesionych brwi. Ostatnio często tak się porozumiewamy. Nasz dom przypomina pole minowe. Tracy nie może się doczekać ucieczki do Middlebury i trudno mi ją za to winić.

— A przy okazji — odzywa się Tracy — częściowo zmieniam plany na studia.

Mama odkłada ostatni kęs bułki.

— Nie — protestuje słabo.

Tracy jedynie spogląda na nią tak, jakby mama straciła wszelkie prawa do akceptacji lub sprzeciwu wobec jej postępowania. Zresztą taki pogląd wyznaje od powrotu z Vineyard. Mama odwraca wzrok.

— Flip przenosi się do Vermontu, żeby być bliżej mnie. Dostał świetną posadę jako opiekun do dzieci u profesorów z anglistyki. Wynajmiemy razem mieszkanie.

Mama chyba nie ma pojęcia, jak zareagować.

— Opiekun? — mówi w końcu.

— Tak, mamó. — Tracy zamyka swoją kartę. — I wspólne mieszkanie.

Na pierwszy rzut oka przypomina to ich dawne bitwy: Tracy zawsze pilnująca swojego prawa do buntu i mama dławiąca jej rebelie. Jednak teraz mama zawsze najpierw mruga. Spogląda na serwetkę na kolanach, popija ostrożnie wodę, wreszcie odzywa się:

— No no, to nowina.

Następuje przerwa, w której kelner przyjmuje od nas zamówienia. Wciąż jesteśmy zbyt dobrze wychowane lub wyszkolone, by okazać emocje przy obsłudze. Jednak po jego odejściu mama sięga po sweter, który powiesiła na oparciu krzesła, i grzebie w kieszeni.

— W takim razie chyba to dobra pora, żeby pokazać wam to. — Rozkłada kartkę papieru, wygładza ją i kładzie między Tracy a mną.

„Na sprzedaż — dom jak z marzeń. Wtulony w zaciszny kąt ślepej uliczki w jednym z najbardziej ekskluzywnych miasteczek w Connecticut, doskonały pod każdym względem, z wyposażeniem z górnej półki, świetnie ulokowany niedaleko plaży, podłogi z litego drewna, wszystkie materiały najwyższej jakości. Cena: proszę się dowiadywać w Postscript Realty”.

Wpatruję się w tekst, nie do końca pojmując, o co chodzi, ale Tracy orientuje się natychmiast.

— Sprzedajesz nasz dom? Wyprowadzamy się?

— Samantha i ja wyprowadzamy się, ty się przeniesiesz wcześniej — odpowiada mama z echem dawnego ostrego tonu.

Dopiero wtedy rozpoznaję na zdjęciu nasz dom ujęty pod kątem ostrym — rzadko widzę go teraz z tej strony, przeciwnej niż dom Garrettów.

— To dobre wyjście — mówi mama energicznie, podczas gdy kelner bezgłośnie stawia przed nią talerz sałatki. — On jest za duży na dwie osoby. Za dużo... — Jej głos zamiera, mama nabija na widelec suszoną żurawinę. — Mówią, że pójdzie najwyżej w miesiąc.

— W miesiąc! — wybucha Tracy. — Samantha jest w ostatniej klasie! Dokąd wyjedziecie?

Mama przeżuwa swoją porcję sałatki i wyciera usta.

— Może do tych nowych osiedli nad zatoką. Dopóki nie staniemy na nogi. Dla Samantha nie zmieni się nic, nadal będzie chodziła do Hodges.

— No dobrze — mamrocze Tracy. — Boże, mamo, czy Samantha nie miała już dość zmian?

Nie odzywam się, ale w pewien sposób Tracy ma rację. Kim jest ta dziewczyna, która weszła tu na początku lata z Nan, swoją najlepszą przyjaciółką, martwiąc się o Tima, niepokojąc Clayem i skrywając przed światem swoje zauroczenie?

Ale właśnie o to chodzi, prawda? Przecież najważniejsze zmiany już nastąpiły.

Nasz dom był koronnym dziełem mamy, świadectwem jej przekonania, że zasługuje na wszystko najlepsze. Ale ja najbardziej lubiłam widok z okna. I przez długi czas byłam właśnie tą osobą: dziewczyną, która z okna przyglądała się Garrettom. Mojemu życiu obok.

Ale już nią nie jestem. Między Jase'em a mną rozpoczęło się coś rzeczywistego i żywego. Nie ma to nic wspólnego z tym, jak sprawy wyglądają z zewnątrz, najważniejsze jest, jak je widać z bliska. A to się nie zmieni.

## Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Zbliża się świt, długi weekend. Jutro zaczyna się szkoła, stopy zadań domowych, zajęcia dla kandydatów na studia, kolejne oczekiwania. Kiedy otwieram oczy, czuję zmianę; leniwe powietrze jest już inne, letnie dni Nowej Anglii ustępują miejsca bardziej rześkim porankom jesieni. Rowerem jadę nad ocean, żeby rano popływać, skupiam się na uderzeniach ramion, potem unoszę się na wodzie, patrząc w błędne gwiazdy. Na jesieni na pewno wstąpię do drużyny pływackiej.

Wracam do domu, zanim słońce wzeszło. Wychodząc spod prysznic, słyszę jego głos.

— Samantha! Sam! — Wycieram ręcznikiem włosy i podchodzę do okna. Wciąż jest dość ciemno, ale w rzednym mroku dostrzegam Jase'a stojącego obok kratki z pnączem. Trzyma coś w ręce.

— Odsuń się na chwilę! — woła do mnie.

Odsuwam się posłusznie; przez okno wpada gazeta, zataczając idealny łuk. Znow wystawiam głowę za okno.

— Co za rzut! Ale nie prenumeruję „Stony Bay Bugle”.

— Otwórz!

Zdejmuję gumkę i rozwijam gazetę. Wewnątrz widzę okrągły kwiat dzikiej marchewki, biały i delikatny jak koronka wokół zielonej jak wiosna łodygi, do której przymocowano karteczkę. „Chodź do sąsiadów, twój powóz czeka”.

Schodzę po kracie. Na podjeździe Garrettów stoi mustang. Poszarpane przednie siedzenia obito gładką brązową skórą, a maskę pomalowano na jaskrawy zielony kolor samochodów wyścigowych.

— Piękny — mówię.

— Chciałem poczekać, aż będzie skończony i całkowicie pomalowany, ale potem uświadomiłem sobie, że mogłoby to za długo potrwać.

— Nie widzę dziewcząt tańczących hula — zauważam.

— Jeśli masz ochotę zatańczyć albo założyć spódniczkę z trawy, nie krępuj się. Chociaż przednie siedzenia są nieco ciasne. Musiałabyś usadowić się na masce.

— I podrapać lakier? — Śmieję się. — Nie ma mowy.

— Chodź. — Jase z rozmachem otwiera drzwi, zaprasza mnie, po czym sam przeskakuje przez drzwi kierowcy.

— Co za wersal. — Śmieję się.

— Prawda? Ćwiczyłem. Najważniejsze, żeby nie wylądować na dźwigni skrzyni biegów.

Wciąż się śmieję, podczas gdy Jase obraca kluczyk w stacyjce, a silnik budzi się do życia.

— Działa!

— Oczywiście — mówi bardzo zadowolony z siebie Jase. — Zapnij pas, mam ci coś jeszcze do

pokazania.

Miasto wciąż jest ciche i senne, kiedy jedziemy ulicami; sklepy wciąż pozamykane, nawet Breakfast Ahoy jeszcze nie uchylił drzwi. Tylko dostawcy gazet wykonali swoją pracę.

Jedziemy długą nadmorską drogą i hamujemy na parkingu przy plaży, niedaleko Clam Shack, gdzie umówiliśmy się na pierwszą randkę.

— Chodź, Sam.

Biorę Jase'a za rękę i razem idziemy na plażę. Piasek jest chłodny, twardy i mokry po odpływie, lecz powietrze już ciepłe zapowiadające upalny dzień.

Idziemy skalistą dróżką do latarni. Wciąż jeszcze panuje półmrok, Jase przytrzymuje mnie w pasie, kiedy przeskakujemy po wielkich nierównych kamieniach. Kiedy docieramy do latarni, pociąga mnie w kierunku czarnych, malowanych olejno rur tworzących schodki na dach.

— Ty pierwsza — mówi. — Idę zaraz za tobą.

Na szczycie wchodzimy do pomieszczenia, w którym ogromny reflektor zwraca się w kierunku oceanu, po czym wychodzimy na lekko pochyły dach. Jase zerka na zegarek.

— Za dziesięć, dziewięć, osiem...

— Coś tu wybuchnie? — pytam.

— Pst... to korzyść dodatkowa z bycia roznosicielem gazet. Wiem dokładnie, kiedy się to zdarzy.

Cicho teraz, Samantho. Patrz.

Leżymy razem, trzymając się za ręce, i patrzymy na ocean. Słońce wznosi się nad dach świata.

## Podziękowania

Chociaż nigdy nie zakładałam, że pisanie to praca samotnicza, w której uczestniczy tylko autor zaszyty na przewiewnym poddaszu, nie zdawałam sobie sprawy, ilu ludzi będę potrzebować, by przekazać słowa, które napisałam, w ręce czytelnika. Mam naprawdę wiele szczęścia.

Zaczynam od mojej wspianiałej i niesłuchanej pomocnej agentki, Christiny Hogrebe z agencji Jane Rotrosen. Idealnie równoważy znajomość rynku z przemyślaną analizą fabuły i wsparciem dla zestresowanego autora. Jest prawdziwą czarodziejką.

Meg Ruley i Annelise Robey z tej samej agencji, które wyrzekły magiczne słowa: „Masz w sobie to coś” — co podtrzymywało mnie przy pisaniu. Carlie Webber wniosła swoją wiedzę fachową, a jej błyskotliwe pytania dotyczące zaplecza powieści nad wyraz mi pomogły.

Jessica Garrison to moja redaktorka. Kiedy przeczytała *Moje życie obok* i postanowiła wspomóc je swoim talentem i umiejętnościami, był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Nie ma strony, której nie poprawiłoby jej sokole oko, zamiłowanie do szczegółu i talent twórczy.

„Dziękuję” to za mało dla całego zespołu działu literatury dla młodzieży wydawnictwa Dial/Penguin. Regina Castillo ze swoją nadnaturalną pamięcią zarówno co do fabuły, jak i gramatyki ochroniła mnie przed niejednym błędem. Kathy Dawson i Jackie Engel obie wierzyły w książkę nawet w jej niezręcznym okresie dojrzewania. Theresa Evangelista stworzyła dla mnie okładkę przechodzącą moje wyobrażenia, a Jasmin Rubero przepięknie przedstawiła moje słowa na papierze.

Opowieść nigdy nie dotarłaby do końca bez cierpliwości i uczciwości mojej ukochanej grupy krytycznej FTTHWA. Zapewniali mi wszystko, od aktualnego slangu młodzieżowego do trzymania za rękę w trudnych chwilach. Dziękuję wam: Ginny Lester, Ana Morgan, Morgan (Carole) Wyatt, Amy Villalba, Jaclyn Di Bona i Ushma Kothari. Jak również moim przyjaciołom z rodzinnego miasta, którzy dostarczyli mi podstawowej wiedzy o budowie samochodu, sposobie pracy nastoletniego mózgu i skutkach katastrof medycznych.

No i jest jeszcze CTRWA. Po pierwszym spotkaniu zadzwoniłam do męża i powiedziałam: „Znalazłam swoich”. Jak się okazało, byliście czymś więcej. Dodatkowe podziękowania dla Jessiki Anderson, która wygładzała mój akcent, i Toni Andrews, która cierpliwie znosiła niekończące się pytania nowicjuszek.

Wielkoduszność Kristan Higgins wobec świeżo upieczonych pisarzy przeszła do legendy, jak i jej buty. Kristan zawsze robiła więcej, niż do niej należało. Dziękuję jej i jej utalentowanym klonom, które przecież musi mieć. Prawda?

Wreszcie Gay Thomas i Rhonda Pollero okazali mi niezmienną życzliwość w mojej podróży od ich szczęśliwej redaktorki do koleżanki po piórze. Jak Charlotta z pajęczyny, są zarówno

niewzruszeni w przyjaźni, jak i doskonali w pisaniu. Nasza przyjaźń to dla mnie zaszczyt i wielkie szczęście.

Moim dzieciom — zawdzięczam wam nieskończenie wiele powodów do radości, najpiękniejsze chwile w życiu oraz świadomość tego, co się naprawdę liczy. Kocham was ponad wszystko.

Moja siostra, deLancey, trzymała mnie za rękę i przechodziła ze mną cały długi proces. Mam ogromne szczęście mieć tak opiekuńczą, nieustraszenie uczciwą i niewiarygodnie zabawną siostrę, która oczywiście nigdy nie umawiała się z blond tenisistami. Nigdy.

Ojcu, który zawsze był moim bohaterem. I Georgii, mojej ukochanej macosze.

I mojemu mężowi Johnowi, który po pierwszej randce, kiedy mu powiedziałam: „Jestem pisarką”, trzymał mnie za słowo i zawsze popychał ku realizacji tej przechwałki. Jesteś moim najwierniejszym fanem, najlepszym agentem i najzyczliwszym krytykiem.